



CZWARARTA MAŁPA

J. D. Barker

**MROCZNA I PEŁNA NAGŁYCH ZWROTÓW AKCJI POWIEŚĆ
NICZYM *MILCZENIE DWIEC* POMNOŻONE PRZEZ *SIEDEM***

Spis treści

[Okładka](#)

[Strona tytułowa](#)

[Strona redakcyjna](#)

1 Porter

2 Porter

3 Porter

4 Porter

5 Pamiętnik

6 Porter

7 Porter

8 Pamiętnik

9 Porter

10 Porter

11 Pamiętnik

12 Emory

13 Porter

14 Pamiętnik

15 Porter

16 Pamiętnik

17 Emory

18 Porter

19 Pamiętnik

20 Clair

21 Pamiętnik

[22 Porter](#)

23 Pamiętnik

[24 Porter](#)

25 Pamiętnik

[26 Emory](#)

27 Pamiętnik

[28 Porter](#)

29 Pamiętnik

30 Porter

31 Pamiętnik

32 Emory

33 Pamiętnik

34 Porter

35 Pamiętnik

36 Porter

37 Pamiętnik

38 Porter

39 Pamiętnik

40 Porter

41 Pamiętnik

[42 Porter](#)

43 Pamiętnik

44 Porter

45 Pamiętnik

46 Clair

47 Pamiętnik

48 Emory

49 Pamiętnik

50 Porter

51 Pamiętnik

52 Clair

53 Pamiętnik

54 Porter

55 Clair

56 Pamiętnik

57 Emory

58 Pamiętnik

59 Porter

60 Pamiętnik

61 Clair

[62 Pamiętnik](#)

63 Clair

64 Emory

65 Pamiętnik

66 Porter

67 Pamiętnik

68 Clair

69 Pamiętnik

70 Porter

71 Pamiętnik

72 Clair

73 Pamiętnik

74 Porter

75 Pamiętnik

76 Clair

77 Pamiętnik

78 Porter

79 Pamiętnik

80 Clair

81 Pamiętnik

[82 Porter](#)

83 Pamiętnik

84 Porter

85 Clair

86 Porter

87 Clair

88 Porter

89 Clair

90 Porter

[91 Porter](#)

[92 Porter](#)

Epilog

Podziękowania

Przypisy końcowe

Tytuł oryginału: *THE FOURTH MONKEY*

Redakcja językowa: Ewa Kaniowska Projekt okładki: © Kav Pola Rusiłowicz Zdjęcie na okładce: © Olga Kovalenko / Shutterstock Korekta: Beata Wójcik

Redaktor prowadzący: Małgorzata Hlal

Copyright © 2017 by J. D. Barker All rights reserved

Copyright for the Polish edition © by Wydawnictwo Czarna Owca, 2018

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku.

Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Wydanie I

ISBN 978-83-8015-578-7

Wydawnictwo Czarna Owca Sp. z o.o.
ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa
Wydawnictwo www.czarnaowca.pl
CZARNA
OWCA
www.czarnaowca.pl
Redakcja: tel. 22 616 29 20; e-mail: redakcja@czarnaowca.pl
Dział handlowy: tel. 22 616 29 36; e-mail: handel@czarnaowca.pl
Księgarnia i sklep internetowy: tel. 22 616 12 72; e-mail: sklep@czarnaowca.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

Dla Matki

Nie przestawaj czytać.
Musisz zrozumieć, co zrobiłem.
– Pamiętnik

1 Porter

Dzień pierwszy, 6.14

Znowu go było słycać, ten nieustępliwy sygnał.

„Przecież wyłączyłem dźwięk. Dlaczego słyszę powiadomienia o otrzymaniu SMS-a? Dlaczego słyszę cokolwiek? Apple zszedł na psy po odejściu Steve’a Jobsa”.

Sam Porter przetoczył się na prawy bok i na ślepo szukał telefonu na szafce nocnej.

Budzik runął na podłogę z łupnięciem typowym dla taniej elektroniki z Chin.

– Ja pierdolę.

Kiedy jego palce wymacały telefon, odłączył urządzenie od ładowarki i przysunął je do twarzy. Mrużąc oczy, wpatrywał się w mały, świecący jaskrawo wyświetlacz.

ZADZWONÓ – 911.

Wiadomość od Nasha.

Porter zerknął na połowę łóżka należącą do jego żony. Była pusta. Leżał tam tylko liścik:

Poszłam po mleko, zaraz wrócę.

Buziaczki,

Heather

Mruknął i znowu zerknął na telefon.

Piętnaście po szóstej.

To by było na tyle, jeśli chodzi o spokojny poranek.

Porter usiadł i wybrał numer swojego partnera. Nash odebrał po drugim sygnale.

– Sam?

– Cześć, Nash.

Drugi mężczyzna milczał przez chwilę.

– Przepraszam cię, Porter. Zastanawiałem się, czy się z tobą kontaktować, czy nie. Wybierałem twój numer z tuzin razy i ani razu nie zdecydowałem się zadzwonić. Wreszcie uznałem, że najlepiej będzie wysłać wiadomość. Dałem ci szansę, żebyś mógł mnie zignorować.

– Nie ma sprawy, Nash. O co chodzi?

Znowu milczenie.

– Będziesz chciał to zobaczyć na własne oczy.

– Co takiego?

– Zdarzył się wypadek.

Porter potarł skroń.

– Wypadek? Pracujemy w wydziale zabójstw. Dlaczego mielibyśmy się zajmować wypadkiem?

– Zaufaj mi. Będziesz chciał to zobaczyć – powtórzył Nash. W jego głosie pobrzmiwał niepokój.

Porter westchnął.

– Gdzie?

– W pobliżu Hyde Parku, na wysokości Pięćdziesiątej Piątej. Wysłałem ci adres SMS-em.

Telefon zadzwonił mu prosto do ucha. Porter odsunął go gwałtownie.

„Pieprzony iPhone”.

Spojrzał na wyświetlacz, zapisał adres i wrócił do rozmowy.

– Mogę przyjechać za pół godziny. Pasuje wam?

– Ta – odparł Nash. – Na razie nigdzie się nie wybieramy.

Porter się rozłączył i zsunął nogi z łóżka, wsłuchując się w przeróżne strzykania i skrzypienia wydawane na znak protestu przez pięćdziesięciodwuletnie ciało.

Słońce zaczęło już wschodzić i przez opuszczone rolety w oknie sypialni przesączało się trochę światła. Zabawne, jak ciche i ponure wydawało się to mieszkanie, gdy nie było w nim Heather.

„Poszła po mleko”.

Budzik leżący na podłodze z twardego drewna mrugnął do niego pękniętym wyświetlaczem, na którym cyfry nie przypominały już cyfr.

To będzie jeden z tych dni.

Ostatnio często się one zdarzały.

Dziesięć minut później Porter wyszedł z mieszkania ubrany w najlepszy strój – wymięty granatowy garnitur kupiony w Men’s Wearhouse przed blisko dekadą – i pokonał cztery kondygnacje schodami, żeby zejść do ciasnego holu na parterze. Zatrzymał się przy skrzynkach na listy, wyciągnął telefon i wystukał numer żony.

– Dodzwoniłeś się do Heather Porter. Skoro słyszysz skrzynkę głosową, prawdopodobnie sprawdziłam, kto dzwoni, i uznałam, że ponad wszelką wątpliwość nie chcę z tobą rozmawiać. Jeżeli chcesz złożyć mi dar w postaci ciasta czekoladowego lub jakiejś innej pyszności, przyślij mi wiadomość ze szczegółami, a ja przemyślę twoją pozycję na drabinie towarzyskiej i pewnie do ciebie oddzwonię. Jeśli jesteś sprzedawcą, który chce mnie namówić do zmiany operatora, możesz się w tej chwili rozłączyć. AT&T jest mi winne

usługi przez co najmniej rok. Wszyscy pozostali mogą zostawić wiadomość. Pamiętajcie, że mój kochany mąż jest gliną nieradzącym sobie ze złością i nosi wielką spluwę.

Porter się uśmiechnął. Zawsze się uśmiechał na dźwięk jej głosu.

– Cześć, Guziczku. To tylko ja. Dzwonił Nash. Coś się dzieje w pobliżu Hyde Parku. Mam się z nim tam spotkać. Zadzwoń do ciebie później, kiedy już będę wiedział, o której wrócę do domu. – Po chwili dodał: – Och, zdaje się, że coś się stało z naszym budzikiem.

Wsunął telefon do kieszeni i przecisnął się przez drzwi. Rześkie chicagowskie powietrze przypomniało mu, że niebawem jesień ustąpi zimie.

2 Porter

Dzień pierwszy, 6.45

Porter pojechał Lake Park Avenue i miał dobry czas; dotarł na miejsce za kwadrans siódma. Wóz policyjny blokował Pięćdziesiątą Piątą Aleję w dzielnicy Woodlawn. Porter dostrzegł światła z odległości kilku przecznic – co najmniej tuzin radiowozów, karetka, dwa wozy strażackie. Dwudziestu funkcjonariuszy, może więcej. I prasa.

Kiedy się zbliżał do tego chaosu swoim dodge'em chargerem, zwolnił i wystawił odznakę przez okno. Młody policjant, w zasadzie jeszcze dzieciak, przeszedł pod żółtą taśmą policyjną i podbiegł do niego.

– Śledczy Porter? Nash kazał mi na pana czekać. Proszę zaparkować gdziekolwiek. Ogrodziliśmy cały kwartał.

Porter kiwnął głową i zaparkował przy jednym z wozów strażackich, po czym wysiadł.

– Gdzie jest Nash?

Dzieciak podał mu kubek z kawą.

– Tam, blisko karetki.

Zobaczył postawną sylwetkę Nasha rozmawiającego z Tomem Eisleyem z zakładu medycyny sądowej. Nash miał blisko metr dziewięćdziesiąt wzrostu i górował nad znacznie niższym mężczyzną. Wydawało się, że wrzucił parę kilogramów w czasie tych kilku tygodni, kiedy Porter go nie widział; charakterystyczne brzuszysko wylewało się znad paska jego spodni.

Nash przywołał go skinieniem ręki.

Eisley powitał Portera nieznacznym kiwnięciem głowy i podsunął okulary na nosie.

– Jak się masz, Sam? – Trzymał podkładkę z klipsem obciążoną co najmniej ryzą papieru. We współczesnym świecie tabletów i smartfonów zdawał się zawsze mieć tę podkładkę pod ręką; jego palce nerwowo przewracały strony.

– Domyślam się, że ma dość ludzi pytających go o to, jak się trzyma, jak mu leci i generalnie, jak się miewa – burknął Nash.

– W porządku. W porządku. – Porter zmusił się do uśmiechu. – Dziękuję, że pytasz, Tom.

– Jeśli ci czegoś trzeba, mów. – Eisley zerknął na Nasha.

– Dziękuję. – Porter popatrzył na Nasha. – A więc, wypadek?

Nash wskazał na autobus miejski zaparkowany przy krawężniku w odległości piętnastu metrów od nich.

– Człowiek kontra maszyna. Chodź.

Porter poszedł za nim. Eisley szedł kilka kroków za nimi, z przygotowaną podkładką.

Technik kryminalistyczny fotografował przód autobusu. Wgniecioną chłodnicę. Pęknięty lakier dwa i pół centymetra nad prawym reflektorem. Inny funkcjonariusz ciągnął za coś przygniecionego przez przednią prawą oponę.

Gdy podeszli bliżej, Porter zauważył czarny worek odgradzony od rosnącego tłumu przez morze mundurowych.

– Autobus jechał ze sporą prędkością. Kolejny przystanek znajduje się jakieś półtora kilometra stąd – poinformował ich Nash.

– Wcale nie pędziłem, do cholery! Sprawdźcie GPS. Niech pan nie rzuca takich oskarżeń!

Porter spojrział w lewo i zobaczył kierowcę autobusu. Był to rosły mężczyzna ważący co najmniej sto pięćdziesiąt kilogramów. Czarna kurtka opinała zwały ciała, które miały się pod nią pomieścić. Kręcone siwe włosy były

zmierzwiłone z lewej strony i sterczały do góry z prawej. Nerwowe oczy strzelały w ich kierunku, przeskakując od Portera do Nasha, a potem Eisleya, i z powrotem.

– Ten popierdoleniec wyskoczył mi przed maskę. To nie był wypadek. Facet skończył ze sobą.

– Nikt nie powiedział, że zrobił pan coś złego – uspokoił go Nash.

Zadzwoił telefon Eisleya. Mężczyzna zerknął na wyświetlacz, uniósł palec i odszedł kilka kroków, żeby odebrać.

Kierowca ciągnął swój wywód:

– Opowiada pan tutaj, że pędziłem. Mogę stracić pracę, emeryturę... Myśli pan, że w swoim wieku mam ochotę szukać pracy? W tej gównianej sytuacji ekonomicznej?

Porter rzucił okiem na plakietkę z nazwiskiem.

– Panie Nelson, może by pan wziął głęboki wdech i spróbował się uspokoić?

Po czerwonej twarzy mężczyzny spływał pot.

– Będę zamiatał chodniki, bo ten fiutek wybrał mój autobus. Mam za sobą trzydzieści jeden lat bezwypadkowej pracy, a teraz to!

Porter położył dłoń na ramieniu mężczyzny.

– Może mi pan opowiedzieć, co się wydarzyło?

– Muszę trzymać gębę na kłódkę do czasu, aż przyjedzie ktoś ze związku.

– Nie mogę panu pomóc, jeśli pan ze mną nie porozmawia.

Kierowca ściągnął brwi.

– A co pan dla mnie zrobi?

– Na początek mogę szepnąć dobre słowo Manny’emu Polanskiemu z Transitu. Jeżeli nie zrobił pan nic złego i będzie z nami współpracował, nie ma powodu, żeby pana zawieszać.

– Cholera. Myśli pan, że mogliby mnie za to zawiesić? – Otarł pot z

czoła. – Chryste, nie stać mnie na to.

– Raczej tego nie zrobią, jeśli się dowiedzą, że pan z nami współpracował i że próbował pan pomóc. Być może nie będzie nawet potrzeby przesłuchania pana – uspokajał go Porter.

– Przesłuchiwania?

– Niech mi pan powie, co się stało. Będę mógł pogadać z Mannym i może zaoszczędzę panu kłopotu.

– Zna pan Manny’ego?

– Przez pierwsze dwa lata służby w mundurze pracowałem dla Transitu. Wysłucha mnie. Jeśli nam pan pomoże, wstawię się za panem, daję słowo.

Kierowca przemyślał propozycję i wreszcie zrobił głęboki wdech i skinął głową.

– Było tak, jak opowiadałem pana koledze. Zatrzymałem się na przystanku przy Ellis o czasie. Wsiadły dwie osoby, wysiadła jedna. Jechałem na wschód Pięćdziesiątą Piątą i wyjechałem z zakrętu. Światło miałem zielone, więc nie było potrzeby zwalniać, chociaż wcale nie pędziłem. Niech pan sprawdzi na GPS-ie.

– Na pewno pan nie pędził.

– Nie pędziłem, jechałem równo z innymi. Może przekroczyłem dopuszczalną prędkość o kilka kilometrów na godzinę, ale nie pędziłem – powtórzył.

Porter machnął lekceważąco ręką.

– Jechał pan na wschód Pięćdziesiątą Piątą...

Kierowca przytaknął.

– Tak. Zobaczyłem kilka osób na rogu. Niewiele. Trzy, może cztery. Kiedy podjechałem bliżej, ten gość wyskoczył mi przed maskę. Bez ostrzeżenia. W jednej sekundzie stał, a w następnej znalazł się na ulicy. Wcisnąłem hamulec do dechy, ale to ustrojstwo nie zatrzymuje się w miejscu. Walnąłem go centralnie. Odrzuciło go na dobre dziesięć metrów.

– Jakiego koloru było światło? – zapytał Porter.

– Zielone.

– A nie pomarańczowe?

Kierowca pokręcił głową.

– Nie, zielone. Wiem to, bo je obserwowałem. Zrobiło się pomarańczowe po około dwudziestu sekundach. Zdążyłem wysiąść, kiedy się zmieniło. – Wskazał na sygnalizator. – Sprawdźcie nagranie z kamery.

Porter spojrział do góry. W ciągu ostatniej dekady kamery przemysłowe trafiły na prawie każde skrzyżowanie w mieście. Przypomni Nashowi, żeby poprosił o nagranie, kiedy dotrą na komisariat. Najprawdopodobniej jego partner już złożył zamówienie.

– Gość nie przechodził przez jezdnię. Wyskoczył na nią. Zobaczycie to na filmie.

Porter podał mu wizytówkę.

– Może pan tu jeszcze chwilę zostać, na wypadek gdybym miał dalsze pytania?

Facet wzruszył ramionami.

– Pogada pan z Mannym, tak?

Porter przytaknął.

– Mogę na chwilę przeprosić? – Odciągnął Nasha na bok i ściszył głos. – Nie zabił go celowo. Nawet jeśli to było samobójstwo, nic nam do tego. Dlaczego do mnie dzwoniłeś?

Nash położył dłoń na ramieniu partnera.

– Jesteś pewien, że sobie poradzisz? Jeśli potrzebujesz więcej czasu, zrozumiem...

– Nic mi nie jest – odparł Porter. – Powiedz mi, co się dzieje.

– Jeśli potrzebujesz pogadać...

– Nash, do diaska! Nie jestem dzieckiem. Przestań owijać w bawełnę.

– Dobra – ustąpił w końcu. – Ale jeśli się okaże, że to dla ciebie za wcze-

śnie, obiecaj mi, że od razu powiesz „pas”. Nikt nie będzie miał pretensji.

– Wydaje mi się, że praca dobrze mi robi. Już zaczęło mi odbijać od tego siedzenia w mieszkaniu – wyznał.

– To jest coś wielkiego, Porter – powiedział cicho Nash. – Zaslugujesz, żeby tu być.

– Chryste, Nash. Wydusisz to wreszcie z siebie?

– Idę o zakład, że nasza ofiara zmierzała do skrzynki na listy. – Zerknął w stronę niebieskiej skrzynki pocztowej stojącej przed ceglanym budynkiem mieszkalnym.

– Skąd wiesz?

Na twarzy partnera Portera pojawił się uśmiech.

– Facet niósł małą białą paczuszkę przewiazaną czarnym sznurkiem.

Porter otworzył szeroko oczy.

– Nieee.

– Aha.

3 Porter

Dzień pierwszy, 6.53

Porter gapił się na ciało, kształt zasłonięty czarnym foliowym całunem.

Brakowało mu słów.

Nash poprosił pozostałych funkcjonariuszy i techników kryminalistycznych, żeby się wycofali i zostawili Portera samego, dali mu czas sam na sam z ofiarą. Przeszli za żółtą taśmę policyjną i rozmawiali przyciszonymi głosami, kiedy mu się przyglądali. Porter ich nie widział. Dostrzegął jedynie czarny worek ze zwłokami i leżącą obok paczuszkę. Technicy postawili przy niej znaczek z numerem jeden i niewątpliwie sfotografowali ją z tuzin razy pod każdym możliwym kątem. Wiedzieli jednak, że nie należy jej otwierać. Zostawili to jemu. Ile takich paczuszek było dotychczas?

Tuzin? Nie. Bliżej dwóch tuzinów.

Zrobił w myślach obliczenia.

Siedem ofiar. Trzy pudełka na ofiarę.

Dwadzieścia jeden.

Dwadzieścia jeden pudełek w ciągu blisko pięciu lat.

Bawił się nimi. Nie zostawiał śladów. Tylko te pudełka.

Duch.

Porter był świadkiem tego, jak wielu policjantów zajmowało się tą sprawą i odchodziło. Z każdą następną ofiarą zespół się rozrastał. Kiedy prasa zwietrzyła pojawienie się pudełka, kłębiła się wokół jak sępy. Miasto

łączyło siły w solidarnym polowaniu. Potem docierało wreszcie trzecie pudełko, znajdowano ciało, a on znowu znikał. Gubił się w cieniu zapomnienia. Mijały miesiące; przestawano o nim pisać. Zespół się kurczył, bo ludzi kierowano do pilniejszych spraw.

Tylko Porter widział to wszystko od początku. Odebrał pierwszą przesyłkę i natychmiast się zorientował, z czym ma do czynienia – to był początek obłąkanego planu seryjnego zabójcy. Kiedy przyszło drugie pudełko, potem trzecie i wreszcie znaleziono ciało, inni też to dostrzegli.

To był początek czegoś potwornego. Zaplanowanego.

Złego.

A on był przy tym od początku. Czyżby teraz był świadkiem końca?

– Co jest w pudełku?

– Jeszcze go nie otworzyliśmy – odparł Nash. – Ale chyba wiesz.

Paczuszka była mała. Miała pięć na pięć centymetrów i była wysoka na siedem i pół centymetra.

„Jak pozostałe”.

Owinięta białym papierem i obwiązana czarnym sznurkiem. Adres wypisano starannym charakterem pisma. Nie znajdują żadnych odcisków palców. Nigdy nie znajdowali. Znaczkę były samoprzylepne – nie znajdują śliny.

Porter zerknął na worek.

– Myślisz, że to naprawdę on? Masz nazwisko?

Nash pokręcił głową.

– Nie ma portfela ani dowodu osobistego. Zostawił twarz na chodniku i kratce chłodnicy autobusu. Wzięliśmy odciski palców, ale nie możemy ich do nikogo dopasować. To nikt.

– Ależ to jest ktoś – zaproponował Porter. – Masz rękawiczki?

Nash wyciągnął parę lateksowych rękawiczek z kieszeni i podał Porterowi. Mężczyzna wciągnął je na dłonie i wskazał na pudełko.

– Mogę?

– Czekaliśmy na ciebie – powiedział Nash. – To twoja sprawa, Sam. Zawsze tak było.

Kiedy Porter przykucnął przy paczuszce i sięgnął w jej stronę, jeden z techników podszedł do niego pospiesznie, majstrując coś przy małej kamerze wideo.

– Przepraszam, sir, ale mam rozkaz to sfilmować.

– Nie ma sprawy, synu. Ale nie chcę tu nikogo więcej. Gotów?

Zapaliło się czerwone światelko z przodu kamery i technik skinął głową.

– Proszę zaczynać, sir.

Porter obrócił paczuszkę tak, żeby móc przeczytać adres. Ostrożnie omijał krwistoczerwone plamki.

– Arthur Talbot, piętnaście czterdzieści siedem Dearborn Parkway.

Nash gwizdnął.

– Szykowna okolica. Stare majątki. Ale nazwisko nic mi nie mówi.

– Talbot jest bankowcem zajmującym się inwestycjami – poinformował technik. – Siedzi też w nieruchomościach. Ostatnio przekształcał magazyny w pobliżu jeziora w lofty. Odwalał swoją część roboty w rugowaniu stamtąd ubogich rodzin, by zastąpić je ludźmi, których stać na wysokie czynsze i regularne kupowanie kawy w Starbucksie.

Porter wiedział dokładnie, kim był Arthur Talbot. Spojrzał na technika.

– Jak się nazywasz, chłopcze?

– Paul Watson, sir.

Porter nie mógł powstrzymać uśmiechu.

– Pewnego dnia będzie z pana doskonały detektyw, doktorze Watsonie.

– Nie jestem doktorem, sir. Piszę pracę, ale mam jeszcze przed sobą co najmniej dwa lata.

Porter zachichotał.

– Czy już nikt nie czyta książek?

– Sam, pudełko.

– Racja, pudełko.

Pociągnął za sznurek i przyglądał się, jak węzeł się rozwiązuje. Biały papier skrupulatnie zagięto tak, by na końcu powstały idealne trójkąty.

„Jak prezent. Zapakował to jak prezent”.

Łatwo było usunąć papier, by odsłonić czarne pudełeczko. Porter odłożył papier i sznurek na bok, zerknął na Nasha i Watsona, po czym powoli uniósł wieczko.

Ucho zostało dokładnie obmyte z krwi i ułożone na podkładzie z waty.

„Dokładnie tak jak poprzednie”.

4 Porter

Dzień pierwszy, 7.05

– Muszę zobaczyć ciało.

Nash zerknął nerwowo na rosnący tłum.

– Jesteś pewien, że chcesz to robić tutaj? Przypatruje ci się sporo oczu.

– Rozstawmy namiot.

Nash przywołał jednego z policjantów.

Kwadrans później, ku przerażeniu nadjeżdżających kierowców, na Pięćdziesiątej Piątej Alei stanął namiot o wymiarach trzy i pół na trzy i pół metra, blokując jeden z dwóch pasów wiodących na wschód. Nash i Porter weszli za klapę. Za nimi wśliznęli się do środka Eisley i Watson. Umundurowany strażnik zajął pozycję przy wejściu, na wypadek gdyby ktoś przedarł się przez barykadę i próbował się dostać do namiotu.

Na żółtych metalowych trójnogach stało sześć tysiącdwustuwatowych reflektorów rozlokowanych w półkolu nad ciałem; zalewały one ciasną przestrzeń ostrym światłem.

Eisley pochylił się i odciągnął górną część worka.

Porter przyklęknął.

– Ktoś go ruszał?

Eisley pokręcił głową.

– Sfotografowaliśmy go, a potem kazałem go jak najszybciej zakryć. Leży tak, jak wylądował.

Mężczyzna leżał twarzą na asfalcie. Obok głowy znajdowała się niewielka kałuża krwi, która spływała stróżką w kierunku krawędzi namiotu. Ciemne, przyprószone siwizną włosy były krótko ostrzyżone.

Porter włożył drugą parę lateksowych rękawiczek z pudełka stojącego po jego lewej stronie i delikatnie uniósł głowę ofiary. Oderwała się od zimnego asfaltu z dźwiękiem przypominającym ten towarzyszący odwijaniu foliowego opakowania z owocowych ruloników. Poczł ucisk w żołądku. Dotarł do niego, że nic nie jadł. Pewnie dobrze się złożyło.

– Pomożecie mi go obrócić?

Eisley chwycił mężczyznę za ramię, a Nash stanął przy stopach.

– Na trzy. Raz, dwa...

Było jeszcze za wcześnie na stężenie pośmiertne. Ciało było luźne. Prawa noga była prawdopodobnie złamana w co najmniej trzech miejscach; lewa ręka również, i może coś jeszcze.

– O Boże, ohyda. – Nash nie odrywał wzroku od twarzy mężczyzny.

A konkretniej miejsca, w którym powinna znajdować się twarz. Policzki zniknęły i tylko wisiała na nich oderwana częściowo skóra. Żuchwa była odsłonięta i wyłamana – usta wyglądały tak, jakby ktoś chwycił szczęki i rozwarł je jak wnyki. Jedno oko było pęknięte i sączył się z niego szklisty płyn. Drugie patrzyło na nich niewidzącym wzrokiem, zielone w jaskrawym świetle.

Porter się pochylił.

– Myślicie, że da się zrekonstruować twarz?

Eisley przytaknął.

– Skieruję kogoś do tego, jak tylko dowieziemy go do mojego laboratorium.

– Trudno cokolwiek powiedzieć, ale na podstawie budowy ciała i lekkiej siwizny zaryzykuję stwierdzenie, że był przed pięćdziesiątką albo krótko po.

– Powinienem też móc podać wam dokładniejszy wiek – powiedział Eisley. Badał oczy mężczyzny, świecąc w nie latarką. – Rogówka jest nie-

tknięta.

Porter wiedział, że istnieje możliwość oszacowania wieku na podstawie datowania radiowęglowego związków organicznych w oku metodą Lynnerupa. Ta metoda pozwalała ocenić wiek z dokładnością do roku lub dwóch.

Mężczyzna miał na sobie granatowy garnitur w prążki. Lewy rękaw był rozerwany; pęknięta kość sterczała na zewnątrz w pobliżu łokcia.

– Ktoś znalazł drugi but?

Brakowało prawego buta. Prawa skarpetka była mokra od krwi.

– Znalazł go któryś z mundurowych. Leży na stole. – Nash wskazał w prawo. – Miał też fedorę.

– Fedorę? Wraca na nie moda?

– Tylko w filmach.

– Ma coś w kieszeni – zauważył Watson i wskazał na kieszeń na piersi po prawej stronie marynarki. – Coś kanciastego. Kolejne pudełko?

– Nie. Jest za cienkie. – Porter ostrożnie odpiął kieszonkę i sięgnął do środka. Wyjął mały zeszyt, notatnik w stylu tych, które uczniowie nosili w czasach sprzed tabletek i smartfonów: jedenaście i pół na osiem centymetrów, czarno-biała okładka, kartki w linie. Był prawie całkowicie wypełniony tak drobnym i precyzyjnym pismem, że w jednej linii mieściły się dwa wersy tekstu. – To może być coś. Zdaje się, że to pamiętnik. Brawo, doktorze.

– Nie jestem...

Porter zbył chłopaka machnięciem ręki.

– Tak, tak. – Odwrócił się do Nasha. – Nie mówiłeś, że przeszukaliście kieszenie?

– Sprawdziliśmy tylko te w spodniach w poszukiwaniu portfela. Chciałem poczekać na ciebie z oględzinami ciała.

– No to sprawdźmy resztę.

Porter zaczął od prawej przedniej kieszeni spodni, na wypadek gdyby coś zostało przeoczone, a potem zajął się pozostałymi. Gdy znajdował jakiś

przedmiot, kładł go delikatnie z boku. Nash nadawał przedmiotom numery, a Watson je fotografował.

– To wszystko. Nie jest tego dużo.

Porter obejrzał znaleziska:

Kwit z pralni

Zegarek kieszonkowy

Siedemdziesiąt pięć centów drobnymi

Kwit niczym się nie wyróżniał. Oprócz numeru 54 873 nie widniały na nim żadne informacje; nie było nawet nazwy ani adresu pralni.

– Zbierzcie odciski palców – polecił Porter.

Nash ściągnął brwi.

– A po co? Mamy go. Nie udało się go zidentyfikować na podstawie odcisków palców.

– Zdaje się, że liczę na cud. Może zidentyfikujemy kogoś, kto pomoże nam jego zidentyfikować. Co myślisz o zegarku?

Nash ustawił zegarek do światła.

– Nie znam nikogo, kto by chodził z zegarkiem kieszonkowym. Może ten gość jest starszy, niż ci się wydawało.

– Fedora też by to sugerowała.

– Chyba że lubił modę vintage – wtrącił Watson. – Znam wielu takich facetów.

Nash wcisnął koronkę i wieko zegarka odskoczyło.

– Hę.

– Co takiego?

– Zatrzymał się o trzeciej czternaście. Nie w momencie, w którym gość

oberwał.

– Może zderzenie przesunęło wskazówki? – zastanawiał się na głos Porter.

– Nie ma na nim nawet ryski. Żadnego śladu uszkodzenia.

– Pewnie stało się coś z mechanizmem. Albo nie był nakręcony. Mogę zerknąć?

Nash podał zegarek Porterowi.

Porter pokręcił koronką.

– Ma luzy. Sprężyna się nie napina. Wspaniały egzemplarz. Chyba ręcznie robiony. Na pewno kolekcjonerski.

– Mam wuja – oznajmił Watson.

– No to gratuluję – odparł na to Porter.

– Prowadzi antykwariat w centrum. Na pewno będzie mógł nam o tym powiedzieć coś więcej.

– Naprawdę chcesz się wykazać, co? W porządku, zajmiesz się tematem zegarka. Kiedy już zakończymy inwentaryzację, zabierz go. Zobaczymy, czego się dowiesz.

Watson przytaknął, rozpromieniony.

– Czy ktoś dostrzega coś dziwnego w jego ubraniu?

Nash przyjrzał się ponownie ciału, po czym pokręcił głową.

– Ładne buty – stwierdził Eisley.

Porter się uśmiechnął.

– Prawda? To John Lobb. Po półtora tysiąca dolarów za parę. Garnitur jest tani, najprawdopodobniej ze sklepu wysyłkowego lub domu handlowego. Kosztował nie więcej niż kilkaset dolarów.

– Do czego zmierzasz? – zapytał Nash. – Pracował w branży obuwniczej?

– Nie jestem pewien. Nie chcę wyciągać pochopnych wniosków. Dziwi mnie tylko, że ktoś wydał tyle kasy na buty, nie wydając odpowiednio dużo

na garnitur.

– Chyba że był sprzedawcą butów i miał specjalne zniżki? To ma sens – podsunął Watson.

– Cieszę się, że się ze mną zgadzasz. Głupie komentarze pogrzebią twoją szansę na nagrodę.

– Przepraszam.

– Nie szkodzi, doktorku. Tylko się ciebie czepiam. Mógłbym się wyżywać na Nashu, ale on przywykł do moich uwag. I psuje mi to ubaw. – Porter wskazał na mały notatnik. – Możesz mi to podać?

Watson podał mu notatnik, a Porter otworzył go na pierwszej stronie. Zmrużył oczy, gdy omiatał tekst wzrokiem.

Witaj, Przyjacielu,

jestem złodziejem, zabójcą, porywaczem. Zabijałem dla zabawy. I z konieczności. A także z nienawiści. Zabijałem po prostu po to, żeby zaspokoić potrzebę, która narastała we mnie z biegiem czasu. Potrzebę przypominającą głód, który da się zaspokoić wyłącznie poprzez rozlew krwi lub melodię, jaką można usłyszeć w udęczonym krzyku.

Informuję Cię o tym nie dlatego, że chcę Cię przerazić lub zrobić na Tobie wrażenie, ale po to, by przedstawić fakty, wyłożyć karty na stół.

Mój iloraz inteligencji wynosi 156. Jestem geniuszem.

Pewien mądry człowiek powiedział kiedyś: „Mierzenie własnej inteligencji, próba etykietowania jej, to przejaw ignorancji”. Nie prosiłem o pomiar IQ; narzucano mi ten test – wyciągnij z tego to, co chcesz.

Nic z tego nie definiuje, kim jestem; mówi tylko o tym, czym jestem. Dlatego postanowiłem sięgnąć po pióro – pragnę podzielić się tym, o czym napiszę. Bez dzielenia się wiedzą nie byłoby postępu. Ty (jako przedstawiciel społeczeństwa) nie wyciągniesz nauki ze swoich licznych błędów. A musisz się jeszcze tak dużo nauczyć.

Kim jestem?

Gdybym podał nazwisko, zepsułbym nam całą zabawę, nie sądzisz?

Najprawdopodobniej znasz mnie pod pseudonimem Zabójcy Czwartej Małpy. I może na tym poprzestaniemy? Ci, którzy lubią skróty, mogą mnie nazywać #4MK. Tak będzie najprościej. Nie ma potrzeby nikogo wykluczać.

Świetnie się zabawimy, Ty i ja.

– Ja pierdolę – burknął Porter.

5 Pamiętnik

Chciałbym coś ustalić na początku.

To nie jest wina moich rodziców.

Dorastałem w kochającym domu, który przykułby pewnie uwagę Normana Rockwella.

Moja matka, niech Bóg czuwa nad jej duszą, zrezygnowała z obiecującej kariery w branży wydawniczej, żeby zostać ze mną w domu po urodzeniu mnie, i chyba nigdy nie chciała wrócić. Codziennie rano stawiała na stole śniadanie dla ojca i dla mnie, a kolację podawała punktualnie o osiemnastej. Radowaliśmy się rodzinnymi chwilami, które spędzaliśmy jak najradośniej.

Matka opowiadała o swoich wyczynach dnia, a ojciec i ja słuchaliśmy jej uważnie. Miała iście anielski głos, a ja po dziś dzień za nim tęsknię.

Ojciec był finansistą. Jestem pewien, że darzono go szacunkiem, chociaż nie mówił w domu o pracy. Wierzył w zdecydowanie, że wydarzenia związane z miejscem pracy należy tam właśnie pozostawić, a nie przynosić je do domu i wylewać w tej ostoi jak jakieś pomyje dla świń. Pracę zostawiał w pracy, tam, gdzie należało.

Nosił błyszczącą czarną aktówkę, ale nigdy nie widziałem, żeby ją otwierał. Codziennie wieczorem stawiał ją przy drzwiach wejściowych i stała tam do czasu, gdy wychodził do biura następnego dnia. Zgarniał ją po drodze, po tym jak pocałował czule matkę i poklepał mnie po głowie.

„Opiekuj się matką”, mawiał. „To ty jesteś tu mężczyzną do czasu mojego powrotu. Jeśli do drzwi zapuka inkasent, odeślij go do sąsiadów. Zignoruj go. Nic nie znaczy w porównaniu z ważniejszymi sprawami. Lepiej, żebyś dowiedział się o tym teraz, zamiast denerwować się takimi sprawami, gdy założysz już własną rodzinę”.

Z fedorą na głowie i aktówką w dłoni wychodził za drzwi z uśmiechem, machając do nas. Podchodziłem do okna i patrzyłem za nim, jak szedł chodnikiem (ostrożnie krocząc po

łodzie w czasie mroźnych zim) i wsiadał do małego czarnego kabrioletu. To było dzieło sztuki o gardłowym ryku, który rozlegał się po przekręceniu kluczyka i narastał, gdy auto wyjeżdżało na drogę i sunęło wzdłuż chodnika z głodnym zachwytem.

Jakże ojciec uwielbiał ten samochód.

Każdej niedzieli wyciągaliśmy z garażu wielkie niebieskie wiadro oraz kilka szmat i szorowaliśmy go od dachu po koła. Ojciec godzinami pielęgnował miękki dach i nakładał wosk na metalowe elementy nie raz, ale dwa razy. Mnie powierzał zadanie czyszczenia szprych, co traktowałem bardzo poważnie. Kiedy kończyliśmy, auto lśniło, jakby dopiero co wyjechało z salonu wystawowego. Ojciec składał następnie dach i zabierał matkę i mnie na niedzielną przejażdżkę. Mimo że porsche było samochodem dwuosobowym, mieściłem się w przestrzeni za siedzeniami, gdzie było mi przytulnie, bo byłem drobnym chłopcem. Jechaliśmy do Dairy Freeze na lody i wodę sodową, a potem do parku na popołudniowy spacer pośród wielkich dębów i trawiastych pól.

Bawiłem się z innymi dziećmi, podczas gdy matka i ojciec obserwowali mnie z zacienionego miejsca pod starym drzewem; trzymali się za ręce, a ich oczy były pełne miłości. Żartowali i śmiali się, a ja ich słyszałem, kiedy biegłem za piłką lub goniłem frisbee. „Patrzcie! Patrzcie!”, wołałem. A oni patrzyli. Tak, jak powinni rodzice. Z dumą. Byłem ich synem, ich radością. Cofałem się pamięcią do tamtych młodocianych lat. Do nich pod drzewem, takich uśmiechniętych. Cofałem się pamięcią i wyobrażałem sobie ich szyje rozplątane od ucha do ucha, krew tryskającą z ran i tworzącą pod nimi kałuże. I śmiałem się, a serce mi trzepotało z ekscytacji; tak bardzo się śmiałem.

To było, rzecz jasna, wiele lat temu, ale z pewnością wtedy się to zaczęło.

6 Porter

Dzień pierwszy, 7.31

Porter zaparkował chargeera przy krawężniku przed Dearborn Parkway 1547 i przyglądał się dużej murowanej rezydencji. Siedzący obok niego Nash skończył rozmowę telefoniczną.

– To był kapitan. Chce nas widzieć.

– I zobaczy.

– Był dość stanowczy.

– #4MK zamierzał wysłać przesyłkę tutaj. Zegar tyka. Nie mamy czasu pędzić teraz do kwatery głównej – odparł Porter. – To nie zajmie nam dużo czasu. Ważne jest, żebyśmy wyprzedzali zdarzenia.

– #4MK? Naprawdę zamierzasz go tak nazywać?

– #4MK, Człowiek Małpa, Zabójca Czwartej Małpy. Nie obchodzi mnie, jak będziemy nazywali tego pojeba.

Nash wyglądał przez okno.

– Niezłe domiszcze? Mieszka tu jedna rodzina?

Porter przytaknął.

– Arthur Talbot, jego żona, nastoletnia córka z pierwszego małżeństwa, pewnie jeden lub dwa rozszczekane kundle i gosposia albo z pięć.

– Sprawdziłem zgłoszenia o zaginięciach. Talbot nikogo nie zgłaszał – poinformował Nash. Wysiedli z samochodu i zaczęli się wspinać po kamiennych schodach. – Jak chcesz to rozegrać?

– Szybko – stwierdził Porter, kiedy nacisnął dzwonek.

Nash ściszył głos.

– Żona czy córka?

– Słucham?

– Ucho. Według ciebie należało do żony czy do córki?

Porter miał właśnie odpowiedzieć, gdy drzwi się uchyliły, zabezpieczone łańcuszkiem. Zimnymi brązowymi oczami patrzyła na nich gniewnie kobieta o latynoskiej urodzie, mająca co najwyżej półtora metra wzrostu.

– Jakoś pomóc?

– Zastaliśmy pana lub panią Talbot?

Zerknęła na Portera, potem na Nasha. I znowu na Portera.

– *Momento.*

Zamknęła drzwi.

– Stawiam na córkę – odezwał się Nash.

Porter zerknął na telefon.

– Ma na imię Carnegie.

– Carnegie? Żartujesz?

– Nigdy nie zrozumieć bogatych ludzi.

Gdy drzwi znowu się otworzyły, w progu stanęła blondynka krótko po czterdziestce. Miała na sobie beżowy sweter i czarne spodnie. Włosy zebrała w kucyk. „Atrakcyjna”, pomyślał Porter.

– Pani Talbot?

Uśmiechnęła się uprzejmie.

– Tak. Czym mogę służyć?

Latynoska stanęła za nią i obserwowała ich z drugiego końca holu.

– Śledczy Porter. A to jest śledczy Nash. Policja Chicago. Czy moglibyśmy porozmawiać?

Uśmiech zniknął z jej twarzy.

– Co ona nawywijała?

– Słucham?

– Cholerna córka mojego męża. Chciałabym przeżyć tydzień bez żadnych dramatów związanych z kradzieżą w sklepie, przejażdżką kradzionym samochodem lub picciem w parku z jej równie zdzirowatymi przyjaciółkami. Mogłabym serwować darmową kawę każdemu policjantowi, który miałby ochotę tu wstąpić, bo połowa z was zagłada do nas regularnie. – Cofnęła się do środka; otworzyła za sobą drzwi, za którymi zobaczyli skąpo umeblowane wnętrze. – Zapraszam.

Porter i Nash weszli za nią. Sklepiiony sufit był wysoki, a pośrodku wisiał żyrandol z błyszczących kryształów. Porter zwalczył chęć zdjęcia butów przed wejściem na biały wypolerowany marmur.

Pani Talbot odezwała się do gosposi: – Mirando, bądź tak miła i przynieś nam herbatę oraz bajgle. Chyba że panowie woleliby pączki? – Ostatnie słowa wypowiedziała z cieniem uśmiechu.

„Ach, to poczucie humoru bogaczy”, pomyślał Porter.

– Proszę się nie kłopotać, proszę pani.

Zamożne białe kobiety nie znosiły, kiedy zwracano się do nich...

– Proszę mi mówić Patricia.

Przeszli za nią przez hol, długim korytarzem, do przestronnej biblioteki. Wypolerowane drewniane podłogi lśniły w porannym świetle, rozjaśniane dodatkowo plamami promieni słonecznych odbijanych przez kryształowy żyrandol wiszący nad dużym murowanym kominkiem. Kobieta wskazała im kanapę ustawioną pośrodku pokoju. Porter i Nash zajęli miejsca. Gospodyni usiadła w wyglądającym na wygodny, przesadnie wypchanym fotelu naprzeciwko nich i sięgnęła po filiżankę z herbatą stojącą na stoliku obok. Poranny egzemplarz „Tribune” leżał nietknięty.

– W zeszłym tygodniu przedawkowała jakieś świństwo i musiałam ją odebrać z ostrego dyżuru w środku nocy. Jej troskliwi przyjaciele odstawili ją tam, kiedy zemdląła w jakimś klubie. Zostawili ją na ławce przed szpitalem.

Wyobrażacie to sobie? Arty wyjechał w interesach. Musiałam ją tu przetransportować przed jego powrotem, bo nikt nie chce go wkurzać. Lepiej, żeby macocha posprzątała i udawała, że nic się nie stało.

Do pokoju weszła gosposia z dużą srebrną tacą. Postawiła ją na stole przed nimi i nalała herbatę do dwóch filiżanek; jedną podała Nashowi, drugą Porterowi. Na tacy stały dwa talerzyki. Na jednym znajdował się odgrzany bajgiel, na drugim czekoladowy pączek.

– Nie walczę ze stereotypami – rzucił Nash i sięgnął po pączka.

– Nie trzeba było – powiedział Porter.

– Bzdura. Smacznego – odparła Patricia.

– Gdzie jest teraz pani mąż, pani Talbot? W domu?

– Wyszedł wcześniej rano, żeby zagrać w golfa w Wheaton.

Nash pochylił się do przodu.

– To prawie godzina drogi stąd.

Porter sięgnął po filiżankę, powoli pociągnął łyk herbaty i odstawił naczynie na tacę.

– A pani córka?

– Pasierbica.

– Pasierbica – poprawił się.

Pani Talbot ściągnęła brwi.

– Może mi powiecie, w jakie tarapaty tym razem się wpakowała? Będę mogła zdecydować, czy pozwolić wam z nią porozmawiać, czy też należy dzwonić do naszych prawników.

– Więc jest tutaj?

Kobieta na moment otworzyła szeroko oczy. Uzupełniła swoją filiżankę, sięgnęła po dwie kostki cukru i wrzuciła je do herbaty, zamieszała ją i wypila. Owinęła palcami ciepłe naczynie.

– W swoim pokoju. I spała tam przez całą noc. Widziałam ją kilka minut

temu, jak szykowała się do szkoły.

Porter i Nash wymienili spojrzenia.

– Możemy ją zobaczyć?

– Co ona zrobiła?

– Badamy trop, pani Talbot. Jeżeli jest tutaj, nie mamy się czym martwić. I zaraz nas tu nie będzie. Jeśli jej nie ma... – Porter nie chciał niepotrzebnie niepokoić kobiety. – Jeśli jej nie ma, możemy mieć powód do obaw.

– Nie ma potrzeby jej kryć – wyjaśnił Nash. – Musimy mieć pewność, że jest bezpieczna.

Patricia obróciła filiżankę w dłoni.

– Mirando? Czy mogłabyś przyprowadzić Carnegie?

Gospośia otworzyła usta, przemyślała to, co chciała powiedzieć, i uznała, że tego nie robi. Porter patrzył za nią, gdy wyszła z biblioteki, przeszła przez korytarz i weszła na schody wijące się po drugiej stronie.

Nash szturchnął go łokciem i się odwrócił. Porter powiódł wzrokiem za jego spojrzeniem i zobaczył zdjęcie w ramce na półce nad kominkiem. Widniała na nim młoda blondynka w stroju do jazdy konnej stojąca obok kasztanowego konia. Wstał i podszedł do fotografii.

– To jest pani pasierbica?

Pani Talbot przytaknęła.

– Cztery lata temu. Miesiąc przed zrobieniem tego zdjęcia skończyła dwanaście lat. Zajęła pierwsze miejsce.

Porter przyglądał się jej włosom. Zabójca Czwartej Małpy dotychczas zamordował tylko jedną blondynkę; wszystkie pozostałe były brunetkami.

– Patricio, co się dzieje?

Odwrócili się.

W drzwiach stała nastolatka w koszulce z wizerunkiem Mötley Crüe, białym szlafroku i kapciach. Miała zmierzwione blond włosy.

– Proszę, nie nazywaj mnie Patricią – warknęła pani Talbot.

– Przepraszam, mamó.

– Carnegie, ci dżentelmeni są z policji Chicago.

Twarz dziewczyny pobrała.

– Dlaczego przyjechała do nas policja, Patricio?

Porter i Nash gapili się na jej uszy. Dwoje uszu. Znajdujących się na właściwym miejscu.

7 Porter

Dzień pierwszy, 7.48

Zaczął mżyć. Schody z kamienia brukowego były mokre i śliskie, gdy Porter i Nash pokonywali je pospiesznie, idąc z rezydencji państwa Talbot do samochodu zaparkowanego przy krawężniku. Wskoczyli do środka i zatrzasnęli za sobą drzwi. Przyglądali się złowieszczemu niebu.

– Nie potrzebujemy tego gówna, nie dzisiaj – utyskiwał Porter. – Jeśli zacznie padać, Talbot odwoła grę i go stracimy.

– Mamy większy problem. – Nash stukał w swojego iPhone’a.

– Znowu kapitan Dalton?

– Nie, gorzej. Ktoś zatweetował.

– Że co?

– Zatweetował.

– Co to, do cholery, znaczy?

Nash podał mu telefon.

Porter przeczytał drobną czcionkę.

@#4MKNAZAWSZE CZY TO JEST ZABÓJCA CZWARTEJ MAŁPY?

Poniżej znajdowało się zdjęcie ofiary porannego wypadku leżącej twarzą na asfalcie. Krawędź miejskiego autobusu była ledwie widoczna w rogu.

Porter ściągnął brwi.

– Kto udostępnił to zdjęcie prasie?

– Cholera, Sam. Powinieneś się doedukować. Nikt niczego nie udostępnił. Ktoś strzelił fotkę telefonem i puścił w obieg, żeby wszyscy mogli ją zobaczyć – wyjaśnił Nash. – Tak działa Twitter.

– Wszyscy? Jak wielu ludzi to wszyscy?

Nash znowu coś wstukał.

– Post pojawił się dwadzieścia minut temu. Dostał trzy tysiące dwieście dwanaście polubień. Tweetowano go dalej ponad pięćset razy.

– Polubień? Tweetowano dalej? Co to jest, kurwa? Mów po ludzku, Nash.

– To znaczy, że sprawa nabrała rozgłosu. Świat już wie, że on nie żyje.

Zadzwoił telefon Nasha.

– Teraz to kapitan. Co mam mu powiedzieć?

Porter uruchomił silnik, wrzucił bieg i pomknął West North Street w stronę drogi 294.

– Powiedz, że podążamy za tropem.

– Jakim tropem?

– Talbotów.

Nash wydawał się skołowany.

– Ale to nie Talbotowie. Obie kobiety są w domu.

– Nie chodzi o nie. Utniemy sobie pogawędkę z Arthurem. Jestem gotów się założyć, że żona i córka nie są jedynymi kobietami w jego życiu – oznajmił Porter.

Nash skinął głową i odebrał telefon. Porter słyszał przez malutki głośnik, że kapitan krzyczy. Po mniej więcej minucie powtarzania: „Tak jest, sir” Nash zasłonił słuchawkę.

– Chce z tobą rozmawiać.

– Powiedz, że prowadzę. Nie jest bezpiecznie rozmawiać w czasie jazdy.
– Skręcił kierownicę ostro w lewo, żeby wyminąć minivana jadącego wolniej niż ich sto czterdzieści kilometrów na godzinę.

– Tak jest, kapitanie. Włączam głośnik. Proszę poczekać...

Cienki, cichy głos kapitana ryknął donośnie po podłączeniu iPhone'a do systemu głośników Bluetooth w samochodzie.

– ...zgłóście się na komisariacie za dziesięć minut, żebyśmy mogli zebrać zespół i zająć się sprawą. Dobijają się do mnie wszyscy dziennikarze z telewizji i gazet.

– Kapitanie, mówi Porter. Zna pan ramy czasowe równie dobrze jak my. Zamierzał wysłać ucho dzisiaj rano. To znaczy, że porwał ją dzień lub dwa dni temu. Dobra wiadomość jest taka, że nigdy ich nie zabija od razu, więc możemy mieć pewność, że ona nadal żyje... gdzieś tam. Nie wiemy, ile ma czasu. Jeżeli planował tylko wyskoczyć, żeby nadać przesyłkę, prawdopodobnie nie zostawił jej jedzenia ani wody. Przeciętna osoba przeżyje bez wody trzy dni i trzy tygodnie bez pożywienia. Zegar tyka, kapitanie. Uważam, że w najlepszym razie mamy trzy dni na znalezienie jej. Może mniej.

– Dlatego musicie tu wracać.

– Najpierw musimy wyjaśnić, kto to jest. Do tego czasu będziemy drepali w miejscu. Chce pan ruszyć z tą sprawą? Proszę mi dać godzinę. Mam nadzieję, że uda mi się podać panu nazwisko, które będzie można przekazać prasie. Da im pan zdjęcie zaginionej dziewczyny i wezmą się do roboty – powiedział Porter.

Kapitan milczał przez chwilę.

– Godzina. I ani minuty dłużej.

– To nam wystarczy.

– Traktujcie Talbota delikatnie. Spotyka się z burmistrzem – dodał kapitan.

– Będziemy działać w rękawiczkach, zrozumiałem.

– Oddzwoncie po rozmowie z nim. – Kapitan się rozłączył.

Porter wyjechał na drogę 294. Nash wprowadził Wheaton do GPS-u.

– Czterdzieści pięć kilometrów.

Samochód przyspieszył, gdy Porter przycisnął jeszcze mocniej pedał gazu. Nash włączył radio.

– Mimo że policja Chicago nie wydała jeszcze oświadczenia, podejrzewa się, że pieszy, który zginął rano pod kołami autobusu miejskiego w pobliżu Hyde Parku, był tak zwanym Zabójcą Czwartej Małpy. Paczuska sfotografowana na miejscu wypadku przypomina te, które zabójca wysyłał w przeszłości. Mianem Zabójcy Czwartej Małpy ochrzcił go niegdyś Samuel Porter, śledczy z chicagowskiej policji, jeden z pierwszych, którzy dostrzegli charakterystyczny schemat działania przestępcy.

– To nieprawda! Nie wymyśliłem tego...

– Cii! – przerwał mu Nash.

– Wizerunek czterech małp wywodzi się ze świątyni Tosho-gu w Nikko w Japonii, gdzie rzeźby przedstawiające małpki umieszczono nad wejściem. Pierwsza zasłania uszy, druga oczy, trzecia usta. Stanowi to ilustrację przysłowia: „Nie słyszałem nic złego, nie widziałem nic złego, nie mówię nic złego”. Czwarta małpa to alegoria „Nie czynię nic złego”. Schemat działania zabójcy pozostaje niezmienny od czasu jego pierwszej ofiary, Calli Tremell, która zginęła pięć i pół roku temu. Dwa dni po porwaniu rodzina Tremellów otrzymała pocztą ucho. Dwa dni później, oczy. Po kolejnych dwóch dniach pojawił się język. Ciało znaleziono w Bedford Park dwa dni po dacie stempla pocztowego na ostatniej przesyłce. Ofiara ścisnęła w dłoni liścik, na którym napisano po prostu: „Nie czynię nic złego”. Później odkryto, że Michael Tremell, ojciec zabitej, był zaangażowany w nielegalny hazard i przelewał miliony dolarów na zagraniczne rachunki...

Nash wyłączył radio.

– Zawsze porywa dziecko lub rodzeństwo, żeby ukarać ojca za jakiegoś rodzaju przestępstwo. Dlaczego nie tym razem? Dlaczego nie Carnegie?

– Nie wiem.

– Ktoś powinien sprawdzić finanse Talbota – podsunął Nash.

– Dobry pomysł. Kogo mamy?

– Matta Hosmana?

Porter skinął głową.

– Zadzwoń do niego. – Sięgnął do kieszeni na piersi, wyciągnął z niej pamiętnik i rzucił go Nashowi na kolana. – A potem czytaj to na głos.

8 Pamiętnik

Matka i ojciec byli dość mocno zżyci z sąsiadami, Simonem i Lisą Carterami. Byłem zaledwie jedenastoletnim chłopcem owego lata, kiedy pojawili się w naszej cudownej dzielnicy, i wszyscy oni wydawali mi się starzy, gdy patrzyłem na nich ze swojej ograniczonej perspektywy. Teraz jednak dociera do mnie, że matka i ojciec mieli po jakieś trzydzieści pięć lat, i nie sądzę, żeby Carterowie byli więcej niż o rok lub dwa lata młodszy. Najwyżej trzy. Może cztery, ale wątpię, żeby różnica wynosiła ponad pięć lat. Przeprowadzili się do sąsiedniego domu, jedyne oprócz naszego stojącego przy końcu tej spokojnej uliczki.

Czy wspominałem, jak niesamowicie piękna była moja matka?

Jakie to niegrzeczne z mojej strony, że pomiąłem taki szczegół. Paplałem tu o tak nieistotnych sprawach, a nie odmalowałem obrazu właściwie ilustrującego narrację, którą zgotowałaś się łaskawie śledzić.

Gdybyś mógł sięgnąć do tego tomu i mnie spoliczkować, zachęciłbym Cię do tego. Czasami płynę i wtedy trzeba mną mocno potrząsnąć, żebym wrócił na właściwe tory. O czym to ja...?

Matka.

Matka była piękna.

Włosy miała jedwabiste. W kolorze blond, puszyste i lśniące pozbawionym przesady zdrowym połyskiem. Sięgały jej do połowy szczupłych pleców eleganckimi falami. Och, i jej oczy! To był najjaskrawszy odcień zieleni, szmaragdy osadzone w perfekcyjnie porcelanowej skórze.

Nie wstydzę się przyznać, że jej sylwetka przyciągała wzrok. Biegała codziennie, więc ośmielię się zaryzykować stwierdzenie, że nie miała na sobie ani grama tłuszczu. Mogła ważyć co najwyżej pięćdziesiąt kilogramów i sięgała ojcu do ramienia, czyli miała z metr

sześćdziesiąt wzrostu.

Uwielbiała sukienki plażowe.

Nosiła je w najgorętsze dni i w środku zimy. Nie zważała na chłód. Pamiętam pewną zimę, w czasie której zasy sięgały parapetów. Zastałem matkę nucącą wesoło w kuchni w krótkiej białej sukience w kwiaty tańczącej wokół jej sylwetki. Pani Carter siedziała przy stole w kuchni z parującym kubkiem szczęścia w dłoniach, a matka tłumaczyła jej, że nosi takie sukienki, bo dzięki nim czuje się wolna. Lubiła krótkie, bo uważała, że nogi stanowią jej największy atut. Opowiadała też, jak bardzo ojciec uwielbiał jej sukienki. Jak się nimi bawił. Jak lubił czuć ich materiał na barkach lub zawinięty wokół...

Matka mnie spostrzegła, a ja wyszedłem.

9 Porter

Dzień pierwszy, 8.49

Porter nie znał się na golfie. Nie przemawiała do niego idea uderzania w białą piłeczkę, a następnie uganiania się za nią godzinami. Rozumiał, że może to stanowić wyzwanie, niemniej nie uważał, żeby to był sport. Siatkówka to sport. Piłka nożna też. Ale coś, co można uprawiać w wieku osiemdziesięciu lat, kiedy taszczy się na plecach butlę z tlenem i nosi pastelowe spodnie, nigdy nie będzie sportem.

Restauracja przy polu była jednak dobra. Zabrał Heather do Chicago Golf Club dwa lata temu z okazji rocznicy ślubu i zamówił najdroższy stek, jaki kiedykolwiek jadł. Heather zamówiła homara, o którym rozprawiała potem tygodniami. Pensja policjanta nie dawała wielu możliwości, ale warto było wydać pieniądze na wszystko, co uszczęśliwiało jego żonę.

Zatrzymał się przed dużym budynkiem klubu i podał kluczyki parkingowemu.

– Proszę zaparkować blisko. Będziemy tu krótko.

Wyprzedzili niepogodę. Niebo przesłaniała lekka mgiełka, ale ciemne burzowe chmury zatrzymały się nad miastem.

Hol był przestronny i dobrze wyposażony. Kilku członków zebrało się przy kominku w odległym kącie, skąd rozciągał się widok na luksusowe pole zaczynające się tuż za przeszklonymi oknami balkonowymi. Ich głosy odbijały się echem od marmurowej podłogi i mahoniowej boazerii.

Nash gwizdnął cicho.

– Jeśli będziesz robił z siebie żebraka, każę ci czekać w samochodzie.

– W miarę upływu tego dnia żałuję coraz bardziej, że nie włożyłem lepszego garnituru – przyznał Nash. – Nie obracamy się w takim świecie, Sam.

– Grasz?

– Kiedy po raz ostatni trzymałem kij golfowy, ćwiczyłem podstawowe uderzenie. To jest klub golfowy dla dużych chłopców. Mnie brakuje cierpliwości – odparł Nash.

W pobliżu środka holu siedziała za biurkiem młoda kobieta. Kiedy do niej podeszli, podniosła wzrok znad laptopa i się uśmiechnęła.

– Dzień dobry, panowie. Witamy w Chicago Golf Club. W czym mogę pomóc?

Posłała im lśniący biały uśmiech, ale Porter dostrzegł, że ich ocenia. Nie zapytała, czy mają rezerwację, i wątpił, żeby było to skutkiem przeoczenia. Wyciągnął odznakę i pokazał ją recepcjonistce.

– Szukamy Arthura Talbota. Jego żona powiedziała, że tu dzisiaj gra.

Uśmiech kobiety zbladł, kiedy strzeliła oczami w stronę odznaki Portera, a potem Nasha. Podniosła słuchawkę telefonu, wybrała numer wewnętrzny, powiedziała coś cicho i się rozłączyła.

– Proszę usiąść. Za chwilę ktoś do panów przyjdzie. – Wskazała kanapę w odległym kącie.

– Poczekamy tutaj, dziękujemy – odparł Porter.

Kolejny uśmiech. Recepcjonistka wróciła do komputera. Szczupłe zadbane palce skakały po klawiaturze.

Porter zerknął na zegarek. Zbliżała się dziewiąta.

Drzwiami po ich lewej stronie wszedł do holu mężczyzna po pięćdziesiątce. Miał schludnie zaczesane do tyłu siwiejące włosy i perfekcyjnie wyprasowany granatowy garnitur. Zbliżając się do nich, wyciągnął rękę w stronę Portera.

– Słyszałem, że przyszli panowie spotkać się z panem Talbotem? – Miał słaby uścisk dłoni. Ojciec Portera nazywał to ściskaniem zdechłej ryby. – Douglas Prescott, starszy menedżer.

Porter mignął odznaką.

– Śledczy Porter, a to jest śledczy Nash z chicagowskiej policji. Sprawa jest nadzwyczaj pilna. Wie pan, gdzie znajdziemy pana Talbota?

Blondynka im się przyglądała. Kiedy Prescott zerknął w jej stronę, wróciła do laptopa. Mężczyzna wrócił wzrokiem do Portera.

– Sądzę, że grupa pana Talbota rozpoczęła grę o siódmej trzydzieści, więc przebywa na polu. Mogą panowie na niego tutaj poczekać. W jadalni znajdą panowie wyborne śniadanie. Jeżeli lubią panowie cygara, oferujemy najlepszy wybór.

– Sprawa nie może czekać.

Prescott ściągnął brwi.

– Nie przeszkadzamy naszym gościom w czasie gry, panowie.

– Nie przeszkadzamy? – powtórzył Nash.

– Nie przeszkadzamy – upierał się Prescott.

Porter wywrócił oczami. Dlaczego wszyscy zdawali się wychodzić z siebie, żeby utrudniać mu działanie?

– Panie Prescott, brakuje nam czasu i cierpliwości na coś takiego. Według mnie ma pan dwie opcje. Może nas pan zaprowadzić do pana Talbota, albo mój partner aresztuje pana pod zarzutem utrudniania śledztwa, przykuje pana do biurka kajdankami i zacznie wołać pana Talbota tak długo, aż ten do nas podejdzie. Widziałem go już w akcji. Facet jest głośny. Wybór należy do pana, ale naprawdę uważam, że pierwsza opcja w mniejszym stopniu zakłóci działanie tej placówki.

Recepcjonistka stłumiła chichot.

Prescott posłał jej wściekłe spojrzenie, podszedł do nich i ściszył głos.

– Pan Talbot jest ważnym sponsorem i osobistym przyjacielem pańskiego szefa, burmistrza. Grali tu razem przed zaledwie dwoma tygodniami. Nie sądzę, by któryś z nich był zadowolony na wieść, że dwóch funkcjonariuszy chciało splamić honor policji chicagowskiej, grożąc cywilowi w związku z tym, że próbował wykonywać swoją pracę. Gdybym zadzwonił do niego

teraz i powiedział, że zamierzacie tu urządzić scenę, niewątpliwie odesłałby was do swojego prawnika, zanim wzięłby pod uwagę chęć poświęcenia czasu na rozmowę z wami.

Nash odpiął kajdanki od paska.

– Aresztuję tego bubka, Sam. Chcę zobaczyć, jak będzie sobie radził w pace w otoczeniu kokainistów i pijusów. Jestem pewien, że panna – zerknął na plakietkę blondynki – Piper pomoże nam z największą przyjemnością.

Prescott poczerwieniał.

– Niech pan weźmie głęboki wdech i dobrze się zastanowi, zanim pan powie coś więcej, panie Prescott – ostrzegł go Porter.

Prescott wywrócił oczami, po czym odezwał się do panny Piper: – Gdzie znajduje się w tej chwili grupa pana Talbota?

Stuknęła różowym akrylowym paznokciem w monitor.

– Podjechali właśnie do szóstego dołka.

– Macie kamery? – zainteresował się Nash.

Kobieta pokręciła głową.

– Nasze meleksy są wyposażone w urządzenia śledzące GPS. Dzięki temu zapobiegamy powstawaniu zatorów i zapewniamy wszystkim płynną grę.

– Jeżeli ktoś gra powoli, zgarniacie go z pola i kierujecie do szkółki?

– Nie podejmujemy tak drastycznych działań. Możemy wysłać tam zawodowca, który udzieli kilku rad. I pomoże przejść dalej – wyjaśniła recepcjonistka.

– Może nas tam pani zawieźć?

Kobieta zerknęła na Prescottta. Mężczyzna podniósł ręce w geście poddania się.

– Proszę jechać.

Panna Piper zabrała torebkę spod biurka i wskazała w stronę korytarza w zachodniej części budynku.

– Tędy proszę.

Po chwili siedzieli w meleksie jadącym po brukowanej ścieżce. Panna Piper prowadziła, Porter siedział obok niej, a Nash na małej ławce z tyłu. Przeklął, kiedy najechali na wybój, przez co aż podskoczył.

Porter wsunął dłonie do kieszeni. Na otwartej przestrzeni było zimno.

– Przepraszam za swojego szefa. Potrafi być... – Zamilkła, szukając odpowiedniego słowa. – Bywa czasami gburowaty.

– A co to znaczy? – zapytał Nash.

– Nie chciałbyś zaprosić kogoś takiego na swój wieczór kawalerski – odparł Porter.

Nash parsknął śmiechem.

– Raczej nie stanę niebawem przed ołtarzem. Chyba że panna Piper ma przyjaciółkę, która szuka pracownika służby cywilnej zarabiającego kiepskie pieniądze w zamian za regularne narażanie życia. Pracuję do późna i zaglądam do kieliszka częściej, niż chciałbym się przyznać przed kimś nowo poznanym.

Porter popatrzył na pannę Piper.

– Proszę się nim nie przejmować. Nie ma pani prawnego obowiązku umawiać policjantów z atrakcyjnymi przyjaciółkami.

Kobieta zerknęła we wsteczne lusterko.

– Niezła z pana partia. Skontaktuję się z koleżankami ze studiów zaraz po powrocie do biurka.

– Będzie mi bardzo miło – odpowiedział Nash.

Porter podziwiał krajobraz. Na krótkiej i soczystej trawie nie było widać choćby jednego chwastu czy niepokornego ździebełka. Po obydwu stronach ścieżki znajdowały się małe stawy. Ogromne dęby rosły przy skraju torów, a ich gałęzie chroniły graczy przed słońcem i wiatrem.

– Tam są. – Panna Piper wskazała ruchem głowy na grupkę czterech mężczyzn stojących wokół czegoś, co przypominało wysoką chudą fontannę.

– Co to jest? – zapytał Nash.

– Co takiego? – Panna Piper się uśmiechnęła.

– To jest, panowie, urządzenie do mycia piłek ¹.

Nash pomasował skronie i zamknął oczy.

– Przyszło mi do głowy tyle dowcipów, że aż mnie rozboleła.

Panna Piper zaparkowała za meleksem Talbota i zaciągnęła hamulec.

– Mam na panów poczekać?

Porter uśmiechnął się do niej.

– Byłoby miło. Dziękujemy.

Nash zeskoczył ze swojego miejsca.

– W drodze powrotnej to ja siadam obok kierowcy. Ławka z tyłu jest twoja.

Porter podszedł do czterech mężczyzn szykujących się do wybijania piłki i pokazał odznakę.

– Witam panów. Śledczy Sam Porter z chicagowskiej policji. To jest mój partner, śledczy Nash. Przepraszam, że zakłócam panom grę, ale mamy sytuację niecierpiącą zwłoki. Który z panów to Arthur Talbot?

Wysoki mężczyzna trochę po pięćdziesiątce z krótko ostrzyżonymi przyprószonymi siwizną włosami przekrzywił lekko głowę i posłał im uśmiech zwany przez Nasha uśmiechem polityka.

– To ja – powiedział.

Porter ściszył głos.

– Czy moglibyśmy przez chwilę porozmawiać na osobności?

Talbot miał na sobie brązową wiatrówkę włożoną na białą koszulkę polo, brązowy pasek i beżowe spodnie. Pokręcił głową.

– Nie ma takiej potrzeby. To są moi partnerzy biznesowi. Nie mam przed nimi tajemnic.

Starszy mężczyzna po jego lewej stronie podsunął na nosie okulary w

drucianej oprawie i przyglądał coś, co wyglądało na zaczeskę zmierzwioną przez lekki wiatr. Nie spuszczał z Portera zalęknionego spojrzenia.

– Możemy kontynuować grę, Arthurze. Dogonisz nas w dowolnym momencie.

Talbot podniósł rękę, żeby go uciszyć.

– W czym mogę panu pomóc, detektywie?

– Wygląda pan bardzo znajomo – zwrócił się Nash do mężczyzny stojącego po prawej stronie Talbota.

Porter też odniósł takie wrażenie, ale nie mógł skojarzyć człowieka. Około metra osiemdziesięciu wzrostu. Gęste ciemne włosy. Wysportowany. Po czterdziestce.

– Louis Fischman. Poznaliśmy się kilka lat temu. Prowadziliście sprawę Elle Borton. Pracowałem wówczas w biurze prokuratora okręgowego. Przeszedłem do sektora prywatnego.

Talbot ściągnął brwi.

– Elle Borton? Dlaczego kojarzę to nazwisko?

– Była jedną z ofiar Zabójcy Małpy, prawda? – Trzeci mężczyzna dołączył do rozmowy. Majstrował coś przy urządzeniu do mycia piłek.

Porter przytaknął.

– Drugą.

– No tak.

– Popieprzony drań – burknął mężczyzna w okularach. – Macie jakieś poszlaki?

– Niewykluczone, że miejski autobus załatwił go dzisiaj rano – poinformował Nash.

– Miejski autobus? Wydał go kierowca? – zapytał Fischman.

Porter pokręcił głową i wyjaśnił sytuację.

– I wierzycie, że to był Zabójca Małpy?

– Na to wygląda.

Arthur Talbot ściągnął brwi.

– Dlaczego panowie do mnie przyszli?

Porter wziął głęboki wdech. Nienawidził tej części swojej pracy.

– Mężczyzna, który zginął, najprawdopodobniej zmierzał do skrzynki pocztowej stojącej po drugiej stronie ulicy.

– Och?

– Na paczce widniał adres domowy pana Talbota.

Twarz Talbota pobladła. Jak większość mieszkańców Chicago, znał sposób działania mordercy.

Fischman położył dłoń na jego ramieniu.

– Co się znajdowało w przesyłce, detektywie?

– Ucho.

– Och nie. Carnegie...

– To nie była Carnegie, panie Talbot, ani Patricia. Obie są bezpieczne. Zanim tu przyjechaliśmy, byliśmy w pańskim domu. To pańska żona powiedziała nam, gdzie pana znajdziemy – wyrzucił z siebie jak najszybciej Porter, a potem ściszył głos, próbując tym samym uspokoić mężczyznę. – Potrzebujemy pańskiej pomocy, panie Talbot. Musi nam pan pomóc ustalić, kogo porwał.

– Muszę usiąść – powiedział Talbot. – Zaraz zwiemiotuję.

Fischman zerknął na Portera, a potem mocniej zacisnął dłoń na ramieniu Talbota.

– Arty, zaprowadzę cię do meleksa.

Odsunął się od stojaka z piłką, podprowadził mężczyznę do meleksa i posadził na siedzeniu.

Porter pokazał Nashowi, żeby został na miejscu, a sam poszedł za mężczyznami. Usiadł obok Talbota, żeby móc z nim rozmawiać po cichu.

– Wie pan, jak on działa, prawda? Zna pan schemat?

Talbot przytaknął.

– Nie czynię nic złego – szepnął.

– Zgadza się. Znajduje osobę, która zrobiła coś złego, coś, co on uważa za zły czyn, i odbiera jej kogoś bliskiego. Kogoś, na kim tej osobie zależy.

– Ja nie, ja nie... – jękał się Talbot.

Fischman wszedł w tryb prawnika.

– Arty, chyba nie powinienes mówić nic więcej, zanim nie porozmawiamy.

Talbot oddychał ciężko.

– Mój adres? Jesteście pewni?

– Dearborn Parkway piętnaście czterdzieści siedem – powiedział Porter. – Tak, jesteśmy pewni.

– Arty... – burknął pod nosem Fischman.

– Musimy się dowiedzieć, kto to jest. Kogo porwał. – Porter zawahał się przez moment, zanim dodał. – Czy ma pan kochankę, panie Talbot? – Przynsunął się bliżej. – Jeśli ma pan inną kobietę, może nam pan powiedzieć. Zachowamy dyskrecję. Ma pan moje słowo. Chcemy się tylko dowiedzieć, kogo porwał.

– To nie tak – wymamrotał Talbot.

Porter położył dłoń na jego ramieniu.

– Wie pan, kogo dopadł?

Talbot strącił jego rękę i wstał. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął telefon komórkowy, przeszedł na drugą stronę ścieżki i energicznie wystukał numer.

– Odbierz, proszę. Proszę...

Porter wstał i powoli do niego podszedł.

– Do kogo pan dzwoni, panie Talbot?

Arthur Talbot zaklął i się rozłączył.

Fischman podszedł do niego.

– Jeśli im powiesz, nie będziesz mógł tego cofnąć. Rozumiesz? Gdy to ujawnisz, prasa coś zwietrzy. Twoja żona. Udziałowcy. Masz zobowiązania. To cię przerasta. Musisz to przemyśleć. Może porozmawiaj z którymś z pozostałych prawników, jeżeli nie chcesz poruszać tego tematu ze mną.

Talbot posłał mu wściekłe spojrzenie.

– Nie będę czekał na analizę papierów wartościowych, podczas gdy jakiś psychol...

– Arty! – przerwał mu Fischman. – Przynajmniej potwierdźmy to najpierw osobiście. Upewnijmy się.

– To mi wygląda na prostą drogę do śmierci tej osoby – zauważył Porter.

Arthur Talbot machnął do niego sfrustrowany i wybrał ponownie numer w swoim telefonie. Jego twarz wyrażała coraz silniejszy lęk. Gdy się rozłączył, uderzył w wyświetlacz tak mocno, że Porter się zastanawiał, czy go nie rozbił.

Dał znak Nashowi, żeby podszedł.

– Ma pan drugą córkę, panie Talbot. Czy tak? Ze związku pozamałżeńskiego?

Kiedy Porter wypowiedział te słowa, Talbot odwrócił wzrok. Fischman jakby oklapł i wydał z siebie długie westchnienie.

Talbot zerknął na Portera, potem na Fischmana i znowu na Portera. Przesesał włosy palcami.

– Patricia i Carnegie nic o niej nie wiedzą.

Porter podszedł do niego bliżej.

– Czy ona mieszka w Chicago?

Talbot trząsł się ze zdenerwowania. Znowu skinął głową.

– Flair Tower. Ma tam apartament. Numer dwa tysiące siedemset cztery. Mieszka z opiekunką. Zadzwoń i uprzedzę, że przyjedziecie, żebyście mogli wejść.

– Gdzie jej matka?

– Nie żyje. Od dwunastu lat. Boże, ona ma tylko piętnaście lat.

Nash odwrócił się do nich plecami i zadzwonił do dyspozytorni. Ktoś może dojechać do Flair Tower w ciągu kilku minut.

Porter poszedł za Talbotem do meleksa i usiadł obok niego.

– Kto się nią opiekuje?

– Miała raka. Jej matka. Obiecałem jej, że zaopiekuję się naszą córką po jej śmierci. Guz rósł tak szybko. To trwało tylko miesiąc. – Uderzył się w bok głowy. – Znajdował się tutaj. Nie było mowy o operacji. Zapłaciłbym każde pieniądze. Próbowałem. Ale nie mogli operować. Kochałem ją najbardziej na świecie. Musiałem jednak poślubić Patricię, miałem... zobowiązania. Istniały powody, na które nie miałem wpływu. Chciałem jednak poślubić Catrinę. Czasami życie wchodzi nam w drogę, wie pan? Niekiedy trzeba zrobić coś dla większego dobra.

Porter nie wiedział. Zupełnie tego nie rozumiał. Czy to był piętnasty wiek? Małżeństwa z przymusu od dawna należały do przeszłości. Temu gościowi brakowało kręgosłupa. Jednak na głos powiedział: – Nie do nas należy ocenianie pana, panie Talbot. Jak się nazywa?

– Emory – powiedział Talbot. – Emory Connors.

– Ma pan jej zdjęcie?

Talbot się zawahał, po czym pokręcił głową.

– Nie przy sobie. Nie mogłem ryzykować, że Patricia je znajdzie.

10 Porter

Dzień pierwszy, 9.23

– Carnegie i Emory? Na Gwiazdkę sprezentuję tej rodzinie księgę imion dla dzieci – rzucił Nash. – Jakim cudem komuś udało się ukryć przed obecną żoną córkę i dziewczynę w jednym z najdroższych apartamentowców w mieście?

Porter rzucił mu kluczyki i obszedł swój samochód, żeby usiąść po stronie pasażera.

– Ty prowadź. Muszę czytać dalej ten pamiętnik. Może znajdę tu coś pomocnego.

– Leniwy drań, po prostu lubisz być wożony. Wożąc panią Porter...

– Wal się.

– Zapalam jabłuszko; musimy się dobrze bawić. – Nash wcisnął przycisk na desce rozdzielczej.

Porter nie słyszał tego powiedzonka od czasów, gdy skończył szkołę. Kiedyś mianem jabłuszka nazywano magnetyczne koguty stawiane na dachach samochodów tajniaków. We współczesnym świecie już ich nie było; zastąpiły je listwy żarówek LED umieszczone wzdłuż krawędzi okna w taki sposób, że nie było ich widać od środka.

Nash wrzucił trójkę, nie zdejmując nogi z gazu i ustawił się w stronę bramy wyjazdowej. Auto szarpnęło, a gumy pisnęły z zachwytem, gdy poczuły w sobie moc.

– Powiedziałem, że możesz prowadzić, ale nie sugerowałem, że masz się

bawić w Grand Theft Auto moim wozem. – Porter ściągnął brwi.

– Jeżdżę fordem fiestą z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego roku. Masz pojęcie, jak to jest? Znasz to upokorzenie, które muszę znosić za każdym razem, kiedy gramolę się do środka, zamykam za sobą skrzypiące drzwi i odpalam potwora z czterocylindrowym silnikiem? Brzmi jak elektryczna temperówka. Jestem mężczyzną, potrzebuję czegoś takiego od czasu do czasu. Popraw mi humor.

Porter zbył go machnięciem ręki.

– Powiedzieliśmy kapitanowi, że zadzwonimy do niego po rozmowie z Talbotem.

Nash skręcił gwałtownie kierownicę w lewo i minął minivana jadącego grzecznie z maksymalną dopuszczalną prędkością. Podjechali tak blisko, że Porter widział Angry Birds na wyświetlaczu iPada małej dziewczynki siedzącej na tylnym siedzeniu. Mała podniosła wzrok i uśmiechnęła się na widok migających świateł, po czym wróciła do gry.

– Wysłałem mu wiadomość z Wheaton. Wie, że jedziemy do Flair Tower – poinformował Nash.

Porter pomyślał o dziewczynce bawiącej się iPadem.

– Jak można we współczesnym świecie przez piętnaście lat ukrywać córkę? To nie może być łatwe, prawda? Pomijając już kwestię aktu urodzenia, jak nie pozwolić, by tajemnica wypłynęła do Internetu? Wszystkie te sieci społecznościowe. Prasa. O Talbocie ciągle się mówi w wiadomościach, zwłaszcza od czasu, gdy rozpoczął nowy projekt w dzielnicy portowej. Kamery ciągle go śledzą i czekają, aż coś spartoli. Przecież ktoś by strzelił jakieś zdjęcie albo co.

– Pieniądze pozwalają sporo ukryć – zauważył Nash i z piskiem opon skręcił w lewo, by wyjechać na autostradę.

Porter westchnął i wrócił do pamiętnika.

11 Pamiętnik

Lata w naszej malutkiej części ziemi potrafiły być upalne. W czerwcu spędzałem większość czasu na dworze. Za naszym domem znajdował się las, a w jego głębi małe jezioro. Zimą zamarzało, ale latem woda była krystalicznie błękitna i przyjemnie chłodziła.

Lubiłem chodzić nad jezioro.

Mówiłem Matce, że chodzę na ryby, ale prawdę powiedziawszy, nie pociągało mnie wędkarstwo. Pomysł nadziewania robaka na haczyk i wrzucania go do wody tylko po to, żeby czekać, aż coś do niego podpłynie i skubnie wijące się stworzenie, nie przemawiał do mnie. Czy ryby jedzą w naturze robaki? Wątpiłem w to. Jeszcze nie widziałem, żeby robak z własnej woli wchodził do jeziora. Z tego, co wiedziałem, ryby jadły mniejsze ryby, a nie robaki. Może gdyby ktoś łowił ryby z wykorzystaniem mniejszych ryb, osiągałby lepsze efekty? Nigdy jednak nie miałem dość cierpliwości, by angażować się w takie głupoty.

Lubiłem jezioro.

Podobnie jak pani Carter.

Pamiętam, kiedy zobaczyłem ją po raz pierwszy.

To było 20 czerwca. Szkoła skończyła się cudownych siedem dni wcześniej, słońce stało wysoko na niebie i uśmiechało się do naszego małego skrawka ziemi z jaskrawą żółtą miłością. Szedłem nad jezioro z wędką w dłoni i gwizdałem jakąś elegancką melodię. Zawsze byłem wesołym dzieckiem. Udanym.

Usiadłem pod swoim ulubionym drzewem, wielkim dębem o rozmiarach świadczących, że był stary. Wyobrażałem sobie, że gdybym przeciął go wpół i policzył słoje, byłoby ich wiele, może sto albo więcej. Lata przychodziły i mijały, podczas gdy dąb tam stał i przyglądał się reszcie lasu. To było wyborne drzewo.

Wraz z upływem lata wysiedziałem miejsce pod tym dębem. Zawsze kładłem wędkę na lewo od siebie, a torbę z lunchem (składającym się z kanapki z masłem orzechowym i dże-

mem winogronowym, rzecz jasna) po prawej. Potem wyciągałem najnowszą lekturę z kieszeni i ztracałem się wśród stron książki.

Tego dnia testowałem pewną teorię. Miesiąc wcześniej na zajęciach fizyki dowiedzieliśmy się, że Ziemia ma 4,5 miliarda lat. Wcześniej dowiedzieliśmy się, że rasa ludzka ma zaledwie 200 tysięcy lat. Gdy poznałem te fakty, z tyłu głowy zaświtała mi pewna myśl. Z tego to powodu wyjąłem tę konkretną książkę z biblioteczki – książkę o skamielinach.

Okazuje się, że obiekty, które utkwiają w skale, ulegają skamienieniu i trwają tak... ile? Nie wiem, ale bardzo długo. W przypadku dinozaurów są to miliony lat. A większość zwierząt nawet nie zostaje skamielinami. Jakkolwiek by było, zwierzę musi najpierw zostać uwięzione w skale, żeby mogło skamienić. Jeżeli czynniki atmosferyczne zniszczą je wcześniej, wszelki ślad po nim zaginie bezpowrotnie.

Miesiąc wcześniej zabiłem kota i zostawiłem jego sztywne ciało na brzegu jeziora. Chciałem zobaczyć, co się z nim stanie.

Spokojnie. To nie był czyjś pupil, tylko bezdomny kot. Mały pręgowany kot, który mieszkał w lesie. Przynajmniej tam go znalazłem. Jeżeli zwierzak do kogoś należał, nie miał żadnego medalionu. Jeżeli ktoś pozwolił, żeby jego pupil szwendał się po okolicy bez medalionu, wszelką winę za jego śmierć ponoszą beztroscy właściciele.

Kot nie wyglądał najlepiej. Już od pewnego czasu.

Przez pierwszych kilka dni jego szczątki cuchnęły dość paskudnie, ale to szybko minęło. Najpierw pojawiły się muchy, potem czerwie. Być może na początku skubnęło go też coś większego. Po miesiącu zostały z niego tylko kości. Wiatr i deszcz z pewnością poradzą sobie także z nimi. I kot zniknie bez śladu.

Wyobrażam sobie, że człowiek zniknie równie szybko.

W pierwszej chwili przestraszyłem się tego dźwięku. Choć od dawna przychodziłem nad jezioro, nigdy nie widziałem nad nim innego człowieka. Jednakże nic nie trwa wiecznie i oto ktoś stał niecałe trzydzieści metrów ode mnie na skraju jeziora i patrzył na wodę.

Usiadłem z boku drzewa, tak żeby nie było mnie widać.

Mimo że nie mogłem zobaczyć jej twarzy, od razu poznałem włosy, długie czekoladowe loki opadające na plecy.

Zerknęła w moją stronę, więc się schowałem. Odwróciła się w prawo i obserwowała otoczenie. Wreszcie, zadowolona z tego, że jest sama, sięgnęła do dużej torby, wyciągnęła z niej ręcznik i rozłożyła go na brzegu.

Po tym, jak jeszcze raz rozejrzała się we wszystkie strony, sięgnęła ręką do tyłu i rozwiązała sukienkę na karku. Zsunęła się z jej ciała i biały kwiecisty materiał zebrał się wokół jej stóp.

Rozdziawiłem usta.

Nie miała na sobie nic więcej.

Jeszcze nigdy nie widziałem nagiej kobiety.

Zamknęła oczy, zwróciła twarz w stronę słońca i się uśmiechnęła.

Miała takie długie nogi.

I te piersi!

O retę. Poczułem, że się rumienię. I dzieje się tak po dziś dzień.

Zobaczyłem małą kępkę włosów w tym miejscu, w tym szczególnym miejscu.

Pani Carter zbliżyła się do wody i weszła do niej, początkowo z wahaniem. Niewątpliwie była zimna.

Szła coraz dalej, powoli znikając wraz z rosnącą głębokością.

Kiedy woda sięgała jej nad kolana, pochyliła się, nabrała wody w dłoń i ochlapała sobie klatkę piersiową. Chwilę później zanurzyła się i popłynęła w stronę środka jeziora.

Obserwowałem ją z bezpiecznej kryjówki za drzewem.

Noc przyszła i odeszła; okazała się raczej niespokojna.

Wraz z latem przyszły upały i gdy wiosna minęła, w moim pokoju zrobiło się gorąco.

Lecz to nie z powodu upału nie mogłem spać. Myślałem o pani Carter. Ośmielę się stwierdzić, że były to mocno nieczyste myśli i bardzo dla mnie nowe. Gdy zamykałem oczy, widziałem ją stojącą nad jeziorem, a jej mokre ciało połyskiwało w jaskrawym świetle. Jej długie nogi... takie długie i delikatne. Po raz pierwszy krew napłynęła gwałtownie w pewne miejsce i poczułem...

Powiedzmy tylko, że byłem młodym zadurzonym chłopakiem.

Następnego dnia obudził mnie jej głos.

W pierwszej chwili sądziłem, że to kolejny sen, i przywitałem go z radością. Chciałem, żeby raz po raz zdejmowała sukienkę i wchodziła do jeziora w teatrze mojego umysłu. Jej głos przeszedł w szept, po którym usłyszałem chichot matki. Otworzyłem gwałtownie oczy.

– To było perwersyjne. Jeszcze nigdy mnie nie związał.

– Nigdy? – zapytała matka.

Pani Carter się zaśmiała.

– Czy wydaję się przez to świętoszkowata?

– Raczej niedoświadczona. Z czasem zdziwisz się, co może wymyślić twój mąż, żeby

się podniecić.

– Naprawdę?

– O tak. W zeszłym tygodniu... – Matka mówiła dalej szeptem.

Usiadłem na łóżku. Głosy ledwie do mnie docierały z jakiejś innej części domu.

Ubrałem się pospiesznie i przycisnąłem ucho do drzwi, ale nadal nie słyszałem słów.

Delikatnie nacisnąłem na klamkę i otworzyłem drzwi. Ruszyłem korytarzem, a dzięki skarpetkom stawiałem bezdźwięczne kroki.

Korytarz prowadził do salonu, z którego można było wejść do kuchni. Poczułem, że coś się piecze: wyrazisty aromat jabłek i ciasta. Może szarlotka? Uwielbiam dobrą szarlotkę.

Matka i pani Carter równocześnie wybuchnęły śmiechem.

Przykucnąłem pod ścianą przy końcu korytarza. Nadal kiepsko słyszałem, ale nie ośmieliłem się wejść do salonu. Musiałem się zadowolić tą pozycją.

– Mój Simon aż tak bardzo nie eksperymentuje – powiedziała pani Carter. – Obawiam się, że jego worek ze sztuczkami jest raczej lekki. To raczej mała torba, nie worek. Albo jeden z tych papierowych woreczków na lunch.

Drzwi lodówki otworzyły się, pobrzękując butelkami.

– Z moim mężem jest inaczej – odparła matka. – Czasami muszę grać, żeby odciągnąć jego myśli od sypialni. Albo pralni. Albo kuchennego stołu.

– Nie! – krzyknęła ze śmiechem pani Carter.

– Ależ tak – ciągnęła matka. – Ten człowiek jest jak zwierzę w rui. Czasami nie sposób go powstrzymać.

– Przecież macie dziecko.

– Och, ten chłopak ciągle jest czymś zajęty. A gdy nic nie robi, chrapie w łóżku jak niedźwiedź w czasie snu zimowego. Ziemia mogłaby się pod nim rozstąpić, a on by prześpał masakrę.

Bezdźwięcznie wyjrzałem z za rogu i natychmiast się cofnąłem, żeby mnie nie zobaczyły.

Matka mieszała coś na blacie. Pani Carter siedziała na kuchennym stole z kubkiem kawy w dłoni.

– Może powinniście czegoś spróbować, żeby podnieść temperaturę – podsunęła matka. – Pozycja na misjonarza jest dla misjonarzy. Zawsze to powtarzam. Sięgnijcie po jakąś zabawkę albo weźcie do sypialni jedzenie. Wszyscy mężczyźni uwielbiają bitą śmietanę.

Ja nie mogłem brać jedzenia do swojego pokoju. Od czasu kiedy matka znalazła niedo-

jedzone pudełko ciasteczek pod łóżkiem.

Pani Carter znowu zachichotała.

– Nie mogłabym.

– Powinnaś.

– A co, jeśli mu się to nie spodoba albo pomyśli, że jestem zboczona? Nie spalę się ze wstydu?

– Spodoba mu się. Zawsze im się podoba.

– Tak myślisz?

– Ja to wiem.

Kobiety zamilkły na chwilę. Ciszę przerwała pani Carter:

– Czy twój mąż kiedykolwiek, no wiesz, nie mógł... No wiesz...

– Mój mąż? – Matka aż pisnęła z rozbawienia. – Mój Boże, nie. Jego maszyneria jest w najlepszym porządku.

– Nawet po alkoholu?

– Zwłaszcza wtedy.

Jedno z naszych drewnianych krzeseł zazgrzytało o podłogę.

Wyrzałem na sekundę zza rogu. Matka siedziała obok pani Carter i trzymała dłoń na jej ramieniu.

– Często się to zdarza?

– Tylko kiedy pije.

– A często pije?

Pani Carter milczała, szukając właściwych słów.

– Nie co wieczór.

Matka ścisnęła jej ramię.

– No cóż, mężczyźni to mężczyźni. Musi jeszcze dorosnąć.

– Tak myślisz?

– Jasne. Gdy wkraczamy w dorosłe życie, na barkach mężczyzny ląduje spory ciężar. Na barkach was obojga, ale na jego zwłaszcza. Kupił wam ten uroczy dom. Domyślam się, że rozmawialiście o dzieciach?

Pani Carter przytaknęła.

– To wszystko jest jak wielkie ciężary, które lądują na jego ramionach. Kolejne kilogramy nakładają się, aż ledwie chodzi, ledwie stoi. Pije, żeby sobie z tym poradzić, to

wszystko. Nie dostrzegam niczego złego w odrobinie trunku, żeby ukoić nerwy. Nie denerwuj się. Gdy sytuacja się poprawi i nacisk zmaleje, będzie lepiej. Poczekaj, a zobaczysz.

– To nie jest moja wina? – zapytała pani Carter niemal dziecinnym głosem.

– Kogoś tak ślicznego? Oczywiście, że nie – stwierdziła matka.

– Uważasz, że jestem ładna?

Matka prychnęła.

– Nie mogę uwierzyć, że o to pytasz. Jesteś cudowna. Jesteś jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie widziałam.

– Jakie to urocze, że tak mówisz.

– Taka jest prawda. Każdy mężczyzna byłby szczęśliwy, będąc z tobą – zapewniła ją matka.

Kobiety znowu zamilkły, a ja zająłem do nich raz jeszcze, wychylając się zza rogu cichutko jak mysz.

Matka i pani Carter całowały się.

12 Emory

Dzień pierwszy, 9.29

Ciemność.

Wirowała wokół niej jak prąd w najgłębszym morzu. Zimna i milcząca, wiała się po jej ciele jak dotyk nieznanego.

– Em – szepnęła jej matka. – Musisz wstać. Spóźnisz się do szkoły.

– Nie – jęknęła. – Jeszcze kilka minut...

– Wstawaj, dziecko. Nie będę tego powtarzać.

– Bardzo mnie boli głowa. Mogę zostać w domu? – Głos miała cichy i odległy, przesycony jeszcze snem.

– Nie będę wymyślała kolejnego wytłumaczenia dla dyrektora. Dlaczego codziennie musimy przez to przechodzić?

Coś było nie tak. Matka zmarła dawno temu, kiedy Emory miała trzy lata. Nie towarzyszyła jej pierwszego dnia w szkole. Nigdy nie wyprawiała jej do szkoły. Przez większą część życia Emory uczyła się w domu.

– Mama? – zapytała łagodnie.

Cisza.

Tak bardzo bolała ją głowa.

Próbowała otworzyć powieki, ale ją pokonały.

Głowa ją bolała, pulsowała. Słyszała bicie własnego serca, rytm szybki i silny.

– Mamo, jesteś tu?

Zerknęła przez ciemność w lewo w poszukiwaniu czerwonych cyfr na wyświetlaczu budzika. Budzika nie było; pokój spowijał mrok.

Światła miasta zazwyczaj oświetlały sufit, ale i on był ciemny.

Nic nie widziała.

„To nie jest twój pokój”.

Ta myśl przemknęła jej przez głowę wypowiedziana przez obcy głos.

„Gdzie?”

Emory Connors spróbowała usiąść, ale z lewej strony głowy poczuła potworny pulsujący ból, przez który musiała się z powrotem położyć. Przysunęła dłoń do ucha i natknęła się na gruby bandaż. I wilgoć.

„Krew?”

Przypomniała sobie o zastrzyku.

Zrobił jej zastrzyk.

„Kto to był?”

Emory nie wiedziała. Nie mogła sobie przypomnieć. Ale pamiętała zastrzyk. Oplótł ją ramieniem od tyłu i wbił igłę w szyję. Zimny płyn rozszedł się pod skórą.

Próbowała się odwrócić.

Chciała mu zrobić krzywdę. Tak ją nauczono w czasie tych wszystkich zajęć samoobrony, do których nakłaniał ją ojciec. „Ukarz go i okalecz. Walnij go w jaja, kochanie. Bardzo dobrze”.

Chciała się odwrócić i wykonać dobrze wymierzone kopnięcie oraz cios w nos albo tchawicę, a może oczy. Chciała go skrzywdzić, zanim on zdążyłby skrzywdzić ją, chciała...

Nie odwróciła się.

Zamiast tego spłynęła na nią ciemność i pochłonął ją sen.

„Zgwałci mnie i zabije”, pomyślała, gdy traciła przytomność. „Pomóż mi,

mamusi”, dodała w myślach, kiedy otoczyła ją czerń.

Jej matki nie było. Nie żyła. A teraz ona do niej dołączy.

Ale jej nie zabił. „Czy zabił?”

Nie. Umarli nie czują bólu, a ją bolało ucho.

Zmusiła się do tego, żeby usiąść.

Krew odpłynęła jej z głowy i znowu prawie zemdląca. Przez chwilę pokój wirował jej przed oczami.

Co on jej zaaplikował?

Słyszała, że na imprezach i w klubach podawano dziewczynom narkotyki, po których budziły się w dziwnych miejscach, ubrane byle jak i nie pamiętając, co się wydarzyło. Tylko że nie była na imprezie. Biegała w parku. A jemu zginął pies. Wydawał się taki smutny, kiedy tak stał ze smyczą w rękach i wołał psa po imieniu.

„Bella? Stella? Jak się ta suka wabiła?”

Nie mogła sobie przypomnieć. W głowie miała zamęt, jej myśli kryły się za duszącym je smogiem.

– W którą stronę pobiegła? – zapytała go.

Ściągnął brwi, bliski łez.

– Zobaczyła wiewiórkę i pobiegła za nią tam. – Wskazał na wschód. – Nigdy wcześniej mi nie uciekła. Nie rozumiem tego.

Emory odwróciła się, podążając za jego wzrokiem.

Poczuła rękę na szyi.

Zastrzyk.

– Prześpisz się, piękna – szepnął jej do ucha.

Nie było żadnego psa. Jak mogła być aż tak głupia?

Było jej zimno.

Coś blokowało jej prawy nadgarstek. Szarpnęła ręką i usłyszała uderzenie metalu o metal. Lewą ręką wymacała gładką stal na nadgarstku, cienki łańcu-

szek.

Kajdanki.

Przymocowane do tego czegoś, na czym leżała.

Prawą rękę miała przypiętą do czegoś, lewa była wolna.

Wzięła głęboki wdech. Powietrze było stęchłe, wilgotne.

„Nie panikuj, Em. Nie pozwól, żeby ogarnęła cię panika”.

Wzrok usiłował przyzwyczać się do mroku, ale panowała tu wręcz absolutna ciemność. Musnęła palcami powierzchnię łóżka.

„Nie, to nie łóżko. To coś innego”.

Stal.

„Nosze na kółkach”.

Emory nie miała pojęcia, skąd to wiedziała, ale wiedziała.

O Boże, gdzie się znajdowała?

Zadrzała, bo po raz pierwszy dotarło do niej, że była naga.

Wahała się przez moment, po czym sięgnęła w dół i dotknęła się między nogami. Nie była obolała.

Gdyby ją zgwałcił, zorientowałaby się, prawda?

Nie miała pewności.

Uprawiała seks tylko raz i bolało ją. Chociaż nie, to nie był ból, tylko dyskomfort i tylko na początku. Jej chłopak Tyler dał jej słowo, że będzie delikatny, i był. Szybko doszedł, bo to był też jego pierwszy raz. Działo się to zaledwie kilka tygodni temu. Ojciec puścił ją na bal z okazji pierwszego meczu szkolnej drużyny z Whatney Vale High. Tyler wynajął pokój i nawet zdołał skołować skądś butelkę szampana.

Boże, jej głowa.

Podniosła rękę i lękliwie dotknęła bandaża. Miała dokładnie zabandażowane ucho. Opatrunek przyklejono jakąś taśmą. Delikatnie odwinęła bandaż.

– Kurwa!

Zimne powietrze smagnęło ją jak ostrze noża.

Mimo to ciągnęła za bandaż, aż wreszcie udało się jej wsunąć pod spód dłoni.

Do oczu napłynęły jej łzy, gdy muskała palcami to, co zostało z jej ucha – w najlepszym razie poszarpana rana, zaszyta i tkliwa.

– Nie... Nie... Nie! – krzyknęła.

Jej głos odbił się echem od ścian, drwiąc z niej.

13 Porter

Dzień pierwszy, 10.04

Nash zaparkował chargeera przed Flair Tower na miejscu dla niepełnosprawnych i wyłączył silnik.

– Naprawdę zamierzasz go tutaj zostawić? – Porter ściągnął brwi.

Nash wzruszył ramionami.

– Przecież jesteśmy gliniarzami. Możemy tak robić.

– Kiedy to wszystko się skończy, przypomnij mi, żebym poprosił o nowego partnera.

– Świetny plan. Może wtedy obarczą mnie jakąś seksowną laską prosto po akademii. – Nash wyszczerzył się w uśmiechu.

– Może mógłbyś zgłosić zapotrzebowanie na taką, co lubi tatuśków.

– Nie pamiętam takiego pytania na formularzu, ale niewykluczone, że coś przeoczyłem.

Odźwierny otworzył przed nimi duże przeszklone drzwi. Minęli go i podeszli do recepcji. Porter błysnął odznaką.

– Apartament dwadzieścia siedem?

Młoda kobieta z krótko ostrzyżonymi brązowymi włosami i niebieskimi oczami uśmiechnęła się do niego.

– Pańscy koledzy przyjechali jakieś dwadzieścia pięć minut temu. Proszę wsiąść do windy numer sześć i pojechać na dwudzieste siódme piętro. Apartament znajduje się na prawo od wyjścia z windy. – Podała mu kartę magne-

tyczną. – Będzie to panu potrzebne.

Wsiedli do windy numer sześć. Drzwi zamknęły się za nimi z krótkim podmuchem powietrza. Porter wcisnął guzik przy numerze dwadzieścia siedem, ale nic się nie wydarzyło.

– Musisz przeciągnąć kartę przez to coś – poinstruował go Nash.

– To coś? Jak ty zostałeś detektywem, do cholery?

– Wybacz, że nie zajrzałem dzisiaj rano do słownika – odburknął Nash. – Chodziło mi o czytnik kart. Przypomina ten z terminali płatniczych.

– Kumam, Einsteinie.

Porter przeciągnął plastikową kartę przez czytnik i ponownie wcisnął guzik. Tym razem panel się rozświecił na niebiesko i ruszyli w górę.

Drzwi windy otworzyły się, ukazując korytarz biegnący w dwie strony. Przez duże zabezpieczone balustradą otwory w murze było widać ogromne atrium piętro niżej. Drzwi znajdujące się przy końcu korytarza po prawej stronie były otwarte i stał w nich umundurowany policjant na straży.

Porter i Nash podeszli do niego, pokazali odznaki i weszli do środka.

Widok zapierał dech w piersiach.

Apartament zajmował całą północno-wschodnią część budynku. Zewnętrzne ściany składały się z okien sięgających od podłogi do sufitu, za którymi znajdował się balkon. Mogli podziwiać miasto i jezioro Michigan w oddali.

– Kiedy miałem piętnaście lat – odezwał się Porter – mój pokój tak nie wyglądał.

– W tym salonie zmieściłoby się całe moje mieszkanie – stwierdził Nash.

– Może powinienem zrezygnować z odznaki i zostać potentatem na rynku nieruchomości.

– Chyba nie dałoby się tak po prostu przeskoczyć na taki poziom – zauważył Porter. – Wcześniej musiałbyś zrobić jakiś kurs internetowy.

Nash wyciągnął z kieszeni dwie pary lateksowych rękawiczek. Jedną podał Porterowi, a drugą włożył na dłoń.

W środku pracowało już kilku techników kryminalistycznych. Zauważył ich Paul Watson stojący przy znajdującej się w głębi pokoju biblioteczce, która sięgała od podłogi do sufitu, i ruszył w ich stronę.

– Jeżeli doszło do szamotaniny, nie ma żadnych śladów. To najczystsze mieszkanie, jakie w życiu widziałem. Lodówka jest pełna. W śmietniku znalazłem paragon sprzed dwóch dni. Sprawdzamy wykaz odbytych rozmów telefonicznych, ale tam też raczej nic nie znajdziemy. Przejrzałem dziesięć ostatnich połączeń przychodzących. Wszystkie były od jej ojca.

– Ma telefon stacjonarny? Serio?

Watson wzruszył ramionami.

– Może stanowił wyposażenie apartamentu.

– Pewnie tatuś go założył. Jak masz telefon stacjonarny, nie możesz się zasłaniać gadką, że nie było zasięgu – zauważył Nash.

– A połączenia wychodzące? – zainteresował się Porter.

– Trzy numery. Właśnie je sprawdzamy – odparł Watson.

Porter zaczął się przechadzać po mieszkaniu. Jego buty piszczwały na drewnianej podłodze.

W kuchni znajdowały się szafki z wiśniowego drewna z blatami z ciemnego granitu. Wszystkie urządzenia były ze stali nierdzewnej – kuchenka firmy Viking i lodówka Sub-Zero. W salonie stała duża, beżowa, skórzana kanapa. Wydawała się tak wygodna, że Porter zmęczył się od samego zerkania na pękate poduchy. Telewizor miał co najmniej osiemdziesiąt cali.

– To 4K – poinformował go Watson.

– Cztery ka?

– Ma cztery razy więcej pikseli od standardowego telewizora HD.

Porter tylko skinął głową. Nadal miał dziewiętnastocalowy kineskopowy telewizor. Nie godził się na zastąpienie przedpotopowego modelu płaskim ekranem, skoro cholerstwo nadal działało i nie chciało się zepsuć.

Zobaczył pokój z dużym dębowym biurkiem. Technik kopiował pliki z iMaca z dwudziestosiedmiocalowym ekranem.

– Coś sensownego? – zapytał.

Technik pokręcił głową.

– Nic się nie wyróżnia. Zanalizujemy jej pliki i aktywność w sieciach społecznościowych już na komisariacie.

Porter przeszedł do sypialni. Łóżko było schludnie pościelone. Na ścianach nie wisały żadne plakaty, tylko kilka obrazów.

– Coś mi tu nie pasuje.

Nash wyciągnął kilka szuflad. W każdej leżały perfekcyjnie poskładane ubrania.

– Ta. To mi wygląda na modelowy dom, prawie zainscenizowany. Jeżeli mieszka tu piętnastolatka, to jest to najporządniejsza dziewczyna, jaką w życiu spotkałem – zgodził się z nim Nash.

Na szafce nocnej stało jedno tylko zdjęcie w ramach przedstawiające kobietę przed trzydziestką.

– Jej matka? – rzucił pytanie niezaadresowane do kogoś konkretnego.

– Tak myślę – odparł Watson.

– Talbot powiedział, że zmarła na raka, kiedy Emory miała zaledwie trzy lata – powiedział Porter, przyglądając się zdjęciu. – Na raka mózgu.

– Mogę to sprawdzić, jeśli pan chce – zaproponował gorliwie Watson.

Porter skinął głową i odstawił fotografię na miejsce.

– Przydałoby się.

– Narzuta naciągnięta jak struna – zauważył Nash. – Według mnie łóżka nie pościelił dzieciak.

– Nadal nie mogę uwierzyć, że mieszka tu nastolatka.

Łazienka przy głównej sypialni była imponująca, urządzona w granicie i porcelanie. Dwie umywalki. Można by tu zrobić imprezę. Porter naliczył ni mniej, ni więcej, tylko sześć słuchawek prysznicowych i wbudowane w ścianę dodatkowe natryski.

Podszedł do umywalki i dotknął główki szczoteczki do zębów.

– Nadal wilgotna – stwierdził.

– Poproszę, żeby ktoś ją zabezpieczył – powiedział Watson. – W razie gdybyśmy potrzebowali DNA. Proszę mi też podać szczotkę do włosów.

Do sypialni przylegał pokój dzienny. Ściany były zastawione regałami, na których roilo się od książek; było ich kilkaset. Porter zobaczył dzieła Karola Dickensa i J. K. Rowling. Na dużym miękkim fotelu z podnóżkiem na środku pokoju leżała rozłożona powieść Thada McAlistera.

– Może ona naprawdę tu mieszka – stwierdził Porter i podniósł książkę. – Wydano to kilka tygodni temu.

– A skąd wiesz? – zainteresował się Nash.

– Heather też to kupiła. Jest wielką fanką tego gościa.

– Aha.

– Spójrzcie – odezwał się Watson. Trzymał w dłoni podręcznik do angielskiego. – Na biurku widziałem podręcznik do matematyki. Ten konkretny, Worthington Studies, jest popularny w edukacji domowej. Czy pan Talbot mówił, do której szkoły ona chodzi?

Porter i Nash popatrzyli po sobie.

– Nie zapytaliśmy o to.

Watson kartkował książkę.

– Jeżeli chodzi do jakiejś szkoły, możemy wytropić jej przyjaciół. – Zaczerwienił się. – Przepraszam, sir. Może pan wytropić jej przyjaciół. Jeśli uzna pan, że to będzie przydatne.

Talbot dał Porterowi wizytówkę ze swoim numerem komórkowym. Porter poklepał się po kieszeni, żeby sprawdzić, czy nadal ją tam ma.

– Skontaktuję się z ojcem, gdy tutaj skończymy.

Wyszli z sypialni do przedpokoju.

– Ile tu jest sypialni?

– Trzy – odpowiedział Watson. – Proszę obejrzyć tę. – Wskazał na pokój na prawo od nich.

Porter wszedł do środka. Na ogromnym łóżku stał kosz z praniem. Nad wezgłowiec wisiał duży katolicki krzyż. Na toaletce stały oprawione w ramki zdjęcia, w dwóch rzędach.

Nash podniósł jedno z nich.

– To ona? Emory?

– Pewnie tak.

Fotografie przedstawiały tę samą osobę od wczesnego dzieciństwa aż do czasu, gdy wyrosła na piękną dziewczynę z długimi, pofalowanymi ciemnymi włosami, stojącą w granatowej sukni obok chłopaka w wieku około szesnastu lat. W rogu znajdował się sporządzony drobną czcionką napis: impreza z okazji pierwszego meczu drużyny whatney vale high, 2014.

– Chodzi do tego liceum? – zainteresował się Porter.

– Dowiem się. – Watson wskazał na młodego człowieka stojącego obok dziewczyny. – Myślicie, że to jej chłopak?

– Możliwe.

– Mogę spojrzeć? – zapytał Watson.

Porter podał mu zdjęcie.

Watson obrócił je, odgiął małe wąsy i wyjął spod ramki. Ostrożnie wyciągnął zdjęcie.

– Em i Ty. – Pokazał im tył fotografii. Imiona wypisano małymi drukowanymi literami przy dolnej krawędzi.

– To elementarne, drogi Watsonie – powiedział Porter.

– Whatney Vale to liceum.

Nash zachichotał.

– Podoba mi się ten gość. Możemy go zatrzymać?

– Kapitan mnie zabije, jeśli sprowadzę do domu kolejną przybłędę –

oznajmił Porter.

– Nie żartuję, Sam. Przydadzą nam się ludzie. Mamy dwa, może trzy dni, żeby znaleźć tę dziewczynę. A on ma łeb na karku – stwierdził Nash. – Jeżeli nie skompletujesz zespołu, zrobi to kapitan. Lepiej, żebyś to był ty, bo w przeciwnym razie dostaniemy kogoś takiego jak Murray. – Skinął głową w stronę stojącego w przedpokoju detektywa, który gapił się na czubek swojego cienkopisu. – Myślę, że moglibyśmy ściągnąć chłopaka w charakterze łącznika z zespołem kryminalistycznym.

Porter pomyślał chwilę, po czym odwrócił się do Watsona.

– Byłbyś zainteresowany pracą przy tej sprawie?

– Jestem prywatnym kontraktorem pracującym dla zespołu kryminalistycznego. Nie wiem, czy mogę pracować dla policji.

– Pod warunkiem że nie będziesz do nikogo strzelał – poinformował go Nash.

– Nie noszę broni – odparł chłopak. – Nigdy nie czułem potrzeby zdania egzaminu. Jestem typem mola książkowego.

– Policja Chicago ma podpisaną umowę z biurem kryminalistycznym. Oficjalnie będziesz wypożyczonym konsultantem – wyjaśnił Porter. – Możesz to ustalić ze swoim przełożonym?

Watson odstawił zdjęcie na toaletkę i wyciągnął telefon komórkowy.

– Dajcie mi chwilę. Zadzwońię do niego. – Przeszedł w głąb pokoju i wybrał numer.

– Bystry dzieciak – stwierdził Nash.

– Przyda nam się świeże spojrzenie – zgodził się z nim Porter. – Bóg mi świadkiem, że nie jesteś zbyt pomocny.

– Też się pierdol, stary. – Nash włożył zdjęcie do woreczka na dowody. – Zabiorę to do pokoju narad.

Porter przeczesał włosy palcami i rozejrzał się po pokoju.

– Wiesz, czego jeszcze nie widziałem?

– Czego?

– Ani jednego zdjęcia ojca – odparł. – Nie ma tu ani jednej cholernej rzeczy, która by sugerowała, że są spokrewnieni. Idę o zakład, że gdybyśmy sprawdzili księgi, nie znaleźlibyśmy nic, co pozwoliłoby go skojarzyć z tym miejscem. Właścicielem mieszkania jest pewnie firma należąca do firmy należącej do jakiejś będącej przykrywką firmy na wyspie tak odległej, że na jej plaży pochowano zapewne kości Gilligana.

Nash wzruszył ramionami.

– Dziwi cię to? Przecież ma rodzinę, żonę. To jest gość, który pewnie myśli o karierze politycznej. Dziecko z nieprawego łoża raczej nie pomaga w kampanii, chyba że chodzi o dziecko przeciwnika. To samo dotyczy kochanek. Spójrzmy prawdzie w oczy. Chociaż mówił, że zależało mu na tej kobiecie, była dla niego tylko kochanką. W przeciwnym razie odszedłby od żony i poślubił ją, zamiast ukrywać ją w tym apartamentowcu. Z dzieckiem czy bez.

Watson podszedł do nich, chowając komórkę do kieszeni.

– Powiedział, że jeśli nie zaniedbam swoich dotychczasowych obowiązków, nie ma nic przeciwko temu.

– Będzie z tym jakiś problem?

Chłopak pokręcił głową.

– Dam radę. Szczerze mówiąc, przyda mi się zmiana tempa. Miło będzie wyrwać się na trochę z laboratorium.

– W porządku. W takim razie witaj w zespole badającym sprawę Zabójcy Czwartej Małpy. Zajmiemy się papierami na komisariacie.

– To nie było zbyt ceremonialne, Sam. Będziesz musiał nad tym popracować – zauważył Nash.

Watson wskazał na zdjęcie.

– Mam spróbować znaleźć tego Tya?

– Tak – odparł Porter. – Zobacz, do czego się dokopiesz.

Wsunął fotografię do woreczka.

Nash otworzył górną lewą szufladę komody. Damska bielizna. Rozciągnął majtki na dłoniach i gwizdnął.

– Spore.

– Myślę, że to jest pokój jakiejś niańki lub pokojówki – stwierdził Porter.
– Emory ma zaledwie piętnaście lat. Na pewno nie mieszka tu sama.

– To gdzie ona teraz jest? Dlaczego nie zgłosiła zaginięcia dziewczyny?
– zapytał Nash. – Minął co najmniej dzień. Może więcej.

– Niczego nie zgłosiła na policji. Może jednak zadzwoniła do kogoś innego – podsunął Porter.

– To znaczy do Talbota? – Nash pokręcił głową. – Nie sędzę. Wydawał się szczerze zaskoczony i zdenerwowany, kiedy mu powiedziałeś.

– Jeżeli pracuje nielegalnie, nie zwróciłaby się do policji – zauważył Watson. – Raczej skontaktowałaby się z nim.

– Albo z kimś, kto dla niego pracuje.

– Jeżeli tak jest, dlaczego Talbot miałby udawać, że nic nie wie? Nie chciałby jej odnaleźć?

Porter wzruszył ramionami.

– Jego prawnik dość stanowczo obstawał przy tym, żeby utrzymać wszystko w tajemnicy. Może takie jest właśnie stanowisko Talbota? Przez piętnaście lat ukrywali tę dziewczynę. Dlaczego mieliby to teraz zmienić? Talbot dysponuje odpowiednimi środkami. Pewnie szukają jej już jego ludzie. Po co mu my?

– Dlaczego zatem nam o niej powiedział? Jeżeli jego głównym celem było ukrywanie jej przed światem, nie naprowadziłby nas na inny trop?

Porter podszedł do kosza z praniem i dotknął ręcznika leżącego w środku.

– Jeszcze ciepły.

Nash powoli pokiwał głową.

– Ktoś do niej zadzwonił i powiedział jej, że tu jedziemy...

– Tak myślę. Prawdopodobnie zmyła się zaraz po telefonie.

– To nie sugeruje wielkiej konspiracji. Może pracować nielegalnie, jak sugerował doktor Watson, i Talbot nie chciał, żeby ją deportowano – powiedział Nash.

– Nie jestem...

Nash zbył chłopaka machnięciem ręki.

– Pewnie jest jeszcze blisko. Powinniśmy wyznaczyć kogoś, żeby obserwował to miejsce.

Zadzwonił telefon Nasha. Mężczyzna zerknął na wyświetlacz.

– To Easley. – Odebrał. – Mówi Nash.

Porter skorzystał z okazji, żeby zadzwonić do żony. Kiedy usłyszał pocztę głosową, rozłączył się, nie zostawiwszy wiadomości.

Nash zakończył rozmowę i wsunął telefon do przedniej kieszeni spodni.

– Prosi, żebyśmy przyjechali do kostnicy.

– Co znalazł?

– Powiedział, że musimy to zobaczyć na własne oczy.

14 Pamiętnik

– Chciałbyś więcej miodu do owsianki, kochanie?

Matka robiła wyborną owsiankę. Nie korzystała ze sklepowej mieszanki. Kupowała surowe płatki i gotowała je, aż robiły się czarodziejsko pyszne. Podawała je z tostem i sokiem w kąciку śniadaniowym w naszej kuchni.

– Tak, matko – odpowiedziałem. – Dostanę też więcej soku?

Było krótko po ósmej w słoneczny letni czwartkowy poranek.

Usłyszałem ciche pukanie w siatkę przeciw owadom w drzwiach. Spojrzeliśmy oboje w tamtą stronę i zobaczyliśmy panią Carter stojącą na werandzie.

Matka się uśmiechnęła.

– Cześć. Wejdz.

Pani Carter też się uśmiechnęła i otworzyła drzwi. Dzięki jaskrawemu światłu zobaczyłem zarys jej nóg pod sukienką, kiedy przekroczyła próg. Ścisnęła mnie za ramię i uśmiechnęła się do mnie, po czym podeszła do matki i pocałowała ją lekko w policzek.

Muszę przyznać, że w porównaniu z poprzednim dniem był to raczej nijaki pocałunek, ale udało mi się dostrzec spojrzenie, które wymieniły.

Matka pogładziła panią Carter po włosach.

– Twoje włosy wyglądają dzisiaj przepięknie. Mogłabym zabić dla takich włosów. Piję kawę po irlandzku. Masz ochotę?

– Co to jest kawa po irlandzku?

– Ojej, ty naprawdę nie wiesz nic o świecie, co? To jest kawa z dodatkiem whisky Jameson. Doskonale pobudza w upalny letni poranek – poinformowała ją matka.

– Whisky o poranku? Szatański pomysł! Poproszę.

Matka nalala parującą kawę do filiżanki, następnie wyjęła zieloną butelkę z żółtą etykietą z szafki, do której nie mogłem zaglądać. Odkręciła nakrętkę i uzupełniła filiżankę przed podaniem jej pani Carter. Zwróciłem uwagę na to, że przytrzymały się za ręce dłużej, niż było to konieczne.

Pani Carter pociągnęła łyk i się uśmiechnęła.

– Zabójcza. Na pewno działa cuda zimą.

Matka spojrzała na kobietę i przekrzywiła głowę.

– Czy to nie ta sama sukienka co wczoraj?

Pani Carter się zarumieniła.

– Obawiam się, że tak. Muszę koniecznie zrobić dzisiaj pranie.

– Nie mogę pozwolić, żebyś chodziła we wczorajszym ubraniu. Chodź ze mną. – Wstała i ruszyła w stronę sypialni, zabierając ze sobą butelkę. – Mam kilka sukienek, których już nie noszę. Myślę, że będą pasowały na ciebie jak ulał.

Pani Carter uśmiechnęła się do mnie i pospieszyła za matką, z kawą po irlandzku w dłoni. Patrzyłem, jak znikają w przedpokoju. Matka zamknęła za nimi drzwi.

Przez krótką chwilę myślałem, że zostanę przy stole i dokończę śniadanie. Bądź co bądź to najważniejszy posiłek dnia. Dorastałem i rozumiałem, jak ważne jest właściwe odżywianie. Jednak tego nie zrobiłem. Przebiegłem na paluszkach przedpokój i przycisnąłem ucho do drzwi.

Po drugiej stronie panowała cisza.

Wyszedłem z domu i okrążyłem go.

Okno pokoju matki znajdowało się po wschodniej stronie, nad dużym krzewem róż rosnącym w cieniu topoli. Dbając o to, żeby nie było mnie widać od ulicy, stanąłem przy drzewie i odwróciłem się w stronę okna. Niestety, byłem dość niski i chudziutki, więc widziałem z tej perspektywy wyłącznie sufit w pokoju.

Szybko pobiegłem na tył domu i wróciłem z plastikowym wiadrem. Ustawiłem je do góry dnem przy drzewie, stanąłem na nim i znowu spojrzałem w stronę okna.

Pani Carter była zwrócona do mnie plecami i przyglądała się, jak matka szpera w szafie z żarliwością psa wykopującego w ziemi dziurę na ukochaną kość. Wyłoniła się z szafy z trzema sukienkami. Padły jakieś słowa, ale nie mogłem ich usłyszeć, bo okno było zamknięte. Matka nigdy nie otwierała okna, nawet w najgorętsze dni.

Pani Carter sięgnęła za siebie i rozwiązała kokardę mocującą jej sukienkę. Oddech uwiązał mi w gardle, gdy cienki materiał opadł na podłogę. Kobieta miała na sobie tylko cienkie, białe bawełniane majtki. Matka podała jej jedną z sukienek i przyjrzała się przyjaciółce. Sięgnęła po zieloną butelkę z żółtą etykietą i napiła się prosto z gwinta. Zadrzała, uśmiechnęła się i podała butelkę pani Carter, która zawahała się na krótką chwilę, ale też

przysunęła butelkę do ust i pociągnęła łyk.

Wiedziałem, czym jest alkohol, ale nie pamiętałem, bym kiedykolwiek widział pijącą matkę. Ojciec często nalewał sobie drinka po długim dniu pracy, ale matka nigdy. To było coś nowego. Innego.

Sąsiadka oddała butelkę matce, która znowu się napiła i przekazała butelkę z powrotem. Kobiety śmiały się bezgłośnie za szybą.

Matka podniosła kolejną sukienkę, a pani Carter potaknęła z entuzjazmem. Rozebrała się i podeszła do dużego lustra, przykładając sukienkę do siebie.

Serce zaczęło mi bić żwawiej.

Matka stanęła za nią i odgarnęła jej włosy na bok, odsłaniając krzywiznę szyi. Gapiłem się, jak matka całuje delikatnie miejsce styku szyi z ramieniem. Pani Carter zamknęła oczy i delikatnie odchyliła się do tyłu, napierając na matkę. Upuściła sukienkę na podłogę. Obserwowałem w lustrze, jak dłoń matki wędruje w górę brzucha kobiety i znajduje jej prawą pierś.

Matka miała otwarte oczy. Wiem to, bo je widziałem. Widziałem, jak patrzą w lustrze w moją stronę, gdy jej ręce zsunęły się po ciele pani Carter i zniknęły pod jej majtkami.

15 Porter

Dzień pierwszy, 10.31

Biuro koronera hrabstwa Cook znajdowało się przy West Harrison Street w centrum Chicago. Porter i Nash w dobrym czasie dojechali tam z Flair Tower i zaparkowali na jednym z miejsc zarezerwowanych dla samochodów policji. Easley polecił im przyjść do kostnicy.

Porter nigdy nie przepadał za kostnicą. Pachniało tam formaldehydem i wybielaczem pełniącymi funkcję tamtejszego odświeżacza powietrza, ale nie dało się ukryć faktu, że w kostnicy unosiła się woń stóp, zepsutego sera i tanich perfum. Za każdym razem, kiedy przestępował próg tego miejsca, przypominała mu się ta nieszczęsna świnia, którą pan Scarletto kazał mu pokroić w liceum. Chciał stamtąd wyjść tak szybko, jak tylko było to możliwe. Ściany pomalowano na wesoły niebieski kolor, co niestety nie pomagało zapomnieć, że wokół leżeli martwi ludzie. Wszyscy pracownicy zdawali się mieć taki sam nonszalancki wyraz twarzy, przez co Porter zastanawiał się, co by znalazł w ich domowych lodówkach, gdyby do nich zajrzał. Nash dla odmiany sprawiał wrażenie, że go to nie wzrusza. Zatrzymał się w połowie korytarza i wpatrywał w automat ze słodczami.

– Jakim cudem skończyły się im snickersy? Kto dba o to ustrojstwo? – burczał, nie zwracając się do żadnej konkretnej osoby. – Hej, Sam, pożyczysz mi ćwierć dolara?

Porter go zignorował i przecisnął się przez podwójne wahadłowe drzwi ze stali nierdzewnej naprzeciwko zielonej skórzanej kanapy, która nowa była chyba w czasach Johna Kennedy’ego.

– Daj spokój. Jestem głodny! – krzyknął za nim Nash.

Tom Eisley siedział przy metalowym biurku w dalekim kącie pomieszczenia i gorączkowo stukał w klawiaturę. Podniósł wzrok i ściągnął brwi.

– Szliście tutaj, czy jak?

Porter chciał mu powiedzieć, że jechali, i to dość szybko, z zapalonym kogutem, ale się rozmyślił.

– Byliśmy we Flair Tower. W mieszkaniu ofiary.

Większość ludzi zapytałaby, co tam znaleźli, ale nie Eisley; on zaczynał interesować się ludźmi, gdy zatrzymywał się ich puls.

Nash wszedł przez wahadłowe drzwi z resztą kitkاتا w dłoni.

– Lepiej ci? – zapytał go Porter.

– Oduść sobie. Jadę na oparach.

Eisley wstał od biurka.

– Włóżcie rękawiczki. Obaj. I chodźcie ze mną.

Minęli biurko i pokonali kolejne wahadłowe drzwi prowadzące do dużego pokoju badań. Temperatura spadła chyba o dwadzieścia stopni i była na tyle niska, że Porter widział swój oddech. Na rękach miał gęsią skórę.

Duży okrągły reflektor z uchwytnymi po dwóch stronach oświetlał stół pośrodku pokoju. Na stole leżało nagie ciało mężczyzny. Twarz była przykryta białym materiałem. Klatka piersiowa została otwarta cięciem w kształcie litery Y zaczynającym się przy pępku i rozchodzącym się na wysokości mięśni piersiowych.

Powinien przyjść tu z gumą. Guma pomaga znieść ten zapach.

– To nasz chłopak? – zapytał Nash.

– Tak – potwierdził Eisley.

Z ciała zmyto brud, ale nie udało się usunąć otarć, które pokrywały skórę plamami. Porter przyjrzał się uważniej.

– Nie widziałem tego dzisiaj rano.

Eisley wskazał na duże fioletowo-czarne siniaki na prawej ręce i nodze.

– Autobus uderzył w niego tutaj. Widzicie linie? Odcisnęła je kratka chłodnicy. Na podstawie pomiarów dokonanych na miejscu wypadku wiemy, że uderzenie odrzuciło go na ponad sześć metrów. Potem przejechał po chodniku jakieś trzy i pół metra. Znalazłem rozległe obrażenia wewnętrzne. Pękła mu ponad połowa żeber. Cztery przebiły prawe płuco, dwa lewe. Pękła śledziona. Podobnie jak jedna nerka. Przyczyną śmierci wydaje się uszkodzenie głowy, aczkolwiek każde z tych obrażeń mogłoby być śmiertelne. Zmarł niemal natychmiast. Nic nie dałoby się zrobić.

– I to są te ważne wieści? – zachnął się Nash. – Myślałem, że coś znalazłeś.

Eisley ściągnął brwi.

– Mam coś.

– Nie przepadam za budowaniem napięcia, Tom. Co znalazłeś? – ponaglił go Porter.

Eisley podszedł do stolika ze stali nierdzewnej i wskazał na coś, co wyglądało jak brązowa torebka zapinana na strunę wypełniona...

– To jego żołądek? – zapytał Nash.

Eisley przytaknął.

– Widzicie coś dziwnego?

– Ta. Już nie znajduje się w nim – odparł Porter.

– Coś jeszcze?

– Nie mamy na to czasu, doktorku.

Eisley westchnął.

– Widzicie te plamy? Tutaj i tu?

Porter pochylił się lekko.

– Co to jest?

– Rak żołądka – poinformował go Eisley.

– Umierał? Wiedział o tym?

– Choroba była w zaawansowanym stadium. Nie da się jej leczyć, gdy jest na tym etapie. Na pewno czuł wielki ból. I wiedział dlaczego. Znalazłem kilka ciekawostek w wynikach badania toksykologicznego. Przyjmował wysoką dawkę oktreotydu, który pomaga panować nad nudnościami i biegunką. Było też spore stężenie trastuzumabu. To ciekawa substancja. Początkowo wykorzystywano ją do leczenia raka piersi, ale potem odkryto, że pomaga też w innych typach nowotworów.

– Myślisz, że można go wytropić na podstawie zażywanych leków?

Eisley przytaknął powoli.

– Prawdopodobnie. Trastuzumab podaje się dożylnie przez godzinę, nie mniej niż raz w tygodniu, być może nawet częściej na tym etapie. Nie słyszałem, żeby ktokolwiek oferował ten konkretny lek w prywatnej placówce, co znaczy, że odwiedzał szpital lub ekskluzywny ośrodek leczenia nowotworów. Mamy do wyboru zaledwie kilka ośrodków w mieście. Lek może zaburzać pracę serca, więc pacjenci są uważnie monitorowani.

Nash odwrócił się do Portera.

– Skoro umierał, myślisz, że celowo wszedł pod ten autobus?

– Wątpię. Po co miałby porywać kolejną dziewczynę? Chciał chyba doprowadzić sprawę do końca. – Porter popatrzył na Eisleya. – Jak myślisz, ile czasu mu dawano?

Eisley wzruszył ramionami.

– Trudno powiedzieć. Niewiele. Może kilka tygodni? Miesiąc poza szpitalem.

– Przyjmował coś przeciwbólowego? – zapytał Porter.

– Znalazłem w żołądku częściowo strawioną tabletkę oksykodonu. Badamy włosy pod kątem obecności wcześniej przyjmowanych leków, substancji, które już wydalil z organizmu. Podejrzewam, że znajdziemy morfinę – poinformował Eisley.

Porter zerknął na ciemne włosy mężczyzny. Włosy pozwalają dowiedzieć się czegoś o zażywanych lekach i diecie. #4MK strzygł się krótko; jego włosy miały co najwyżej dwa i pół centymetra długości. Włosy przeciętnego

człowieka rosna około centymetra na miesiąc, co znaczyło, że będą mogli poznać jego historię z ponad dwóch miesięcy. Badanie włosa pod kątem zawartości substancji narkotycznych jest pięć razy dokładniejsze od badania próbki moczu. Porter przez lata był świadkiem tego, jak podejrzani starali się pozbyć narkotyków z organizmu z użyciem wszystkiego, od soku z żurawiny po picie własnego moczu. Z włosów nie dało się jednak niczego pozbyć. To dlatego wielu narkomanów mających nadzór kuratora goliło głowy.

– Ma włosy – powiedział cicho Porter.

Eisley marszczył przez chwilę brwi i nagle dotarło do niego, do czego zmierza Porter.

– Nie znalazłem śladów chemioterapii, ani jednego cyklu. Możliwe, że wykryto raka zbyt późno, żeby korzystać z tradycyjnej terapii. – Eisley przeszedł do drugiego stołu, na którym znajdowały się równo ułożone przedmioty osobiste mężczyzny. – Ten mały pojemnik – wskazał na srebrne pudełeczko – zawiera lorazepam.

– Pomaga radzić sobie z lękiem, prawda?

Nash krzywo się uśmiechnął.

– Bycie seryjnym zabójcą to dziwne hobby, jeśli ktoś ma lęki.

– W przypadku pacjentów z rakiem żołądka lekarze przepisują go czasami, żeby panować nad wydzielaniem kwasu. Lęk prowadzi do zwiększonego wydzielania, a lorazepam je ogranicza – poinformował Eisley. – Prawdopodobnie był spokojniejszy od każdego z nas.

Porter zerknął na zegarek kieszonkowy, oznakowany i zamknięty szczelnie w foliowym woreczku. Wierzch koperty był misternie grawerowany, na spodzie było widać odciski palców.

– Udało się wam zdjąć odciski?

Eisley przytaknął.

– Miał kilka otarć na dłoniach, ale czubki palców były nietknięte. Wziąłem odciski ze wszystkich palców i odesłałem do laboratorium. Jeszcze się nie odezwali.

Wzrok Portera spoczął na butach. Eisley spojrział w tę samą stronę.

– Och, prawie o tym zapomniałem. Spójrzcie tylko. Bardzo mnie to dziwi. – Wziął but, podszedł do ciała i przyłożył podeszwę do stopy mężczyzny. – Są o prawie dwa rozmiary za duże. Wypchał czubki papierem.

– Kto nosi buty o dwa rozmiary za duże? – zdziwił się Nash. – Nie mówię przypadkiem, że kosztują półtora tysiąca?

– Może nie należą do niego – zastanawiał się Porter. – Trzeba by sprawdzić odciski palców.

Nash zerknął na Eisleya i rozejrzał się po pokoju.

– Czy masz...? Nieważne. Już wiem. – Podbiegł do szafki i wrócił z zestawem do zdejmowania odcisków palców. Ze znanstwem pokrył buty proszkiem. – Bingo.

– Prześlij je do laboratorium. Daj im wyraźnie do zrozumienia, że sprawa jest pilna – polecił Porter.

– Tak jest.

Porter wrócił do Eisleya.

– Coś jeszcze?

Eisley ściągnął brwi.

– Słucham? Badania toksykologiczne nie są wystarczającym dowodem?

– To nie jest...

– Jest jeszcze coś.

Zaprowadził Portera do drugiego boku ofiary i ujął jej prawą rękę. Porter starał się nie patrzeć na dziurę w klatce piersiowej.

– Znalazłem mały tatuaż – poinformował go Eisley. Wskazał na czarną plamkę po wewnętrznej stronie nadgarstka. – To chyba cyfra osiem.

Porter się pochylił.

– Albo symbol nieskończoności. – Wyciągnął telefon i zrobił zdjęcie.

– Jest świeży. Widzisz zaczerwienienie? Zrobił go niecały tydzień temu.

Porter usiłował to wszystko zrozumieć.

– To może mieć związek z religią. Umierał.

– Rozgrzyzenie tego zostawię wam, detektywom – odparł Eisley.

Porter uniósł krawędź materiału zakrywającego głowę. Oderwał się z dźwiękiem podobnym do dźwięku odrywanego rzepa.

– Postaram się zrekonstruować twarz.

– Tak? Myślisz, że ci się uda? – zainteresował się Porter.

– Nie mnie – wyznał Eisley. – Znam kogoś, kto pracuje w Muzeum Nauki i Przemysłu. Specjalizuje się w czymś takim, w starych szczątkach i tak dalej. Od sześciu lat zajmuje się szczątkami członków plemienia Illiniwek odkrytymi w pobliżu hrabstwa McHenry. Zazwyczaj pracuje z czaszkami i fragmentami kości, a nie z tak... świeżym materiałem. Ale myślę, że sobie poradzi. Zadzwoń do niej.

– Do niej? – wypalił Nash. – Znalazłeś sobie przyjaciółkę? – Skończył zajmować się butami i spakował zestaw do zdejmowania odcisków palców. – Mam sześć fragmentów i trzy pełne kciuki. To znaczy, trzy pełne odciski kciuka. Nie mówię, że nasz podejrzany miał trzy kciuki, choć to by znacznie ułatwiło identyfikację. Zaniosę to do laboratorium. Chcesz zwołać zebranie w pokoju narad? Za godzinę? Zajrzę też do kapitana.

Porter pomyślał o pamiętniku, który miał w kieszeni. Godzina bardzo mu się przyda.

16 Pamiętnik

Matka mnie zobaczyła, ale nie uciekłem. Wiedziałem, że powinienem. Wiedziałem, że to była prywatna chwila, coś nieprzeznaczonego dla moich oczu, ale mimo to patrzyłem dalej. Chyba nie potrafiłbym się oderwać, nawet gdybym chciał. Stałem przy drzewie tak długo, aż matka i pani Carter zniknęły z widoku. A konkretniej, osunęły się, albo na łóżko, albo na podłogę. Tego nie byłem pewien.

Wiadro pode mną się zachwiało. Ja się zachwiałem. Miałem nogi jak z galarety. Serce mi waliło jak opętane. Powiem tylko, że było to co najmniej porywające!

To zajęcie tak mnie pochłonęło, że nie słyszałem, jak samochód pana Cartera minął nasz dom. Dopiero zgrzyt żwiru na sąsiednim podjeździe zwrócił moją uwagę. Pewnie pani Carter również usłyszała auto. Wystawiła głowę nad parapet jak świstak ostatniego dnia zimy nad ziemię; piersi jej podskakiwały, usta rozwarły się w okrzyku. Zauważyła mnie w tym samym momencie, co ja ją. Nie mogłem nic zrobić. Zamarłem w bezruchu i gapiłem się na nią. Odwróciła się, krzyknęła coś. W oknie pojawiła się matka. Nie patrzyła na mnie.

Obie zniknęły z pola widzenia.

Trzasnęły drzwi samochodu pana Cartera. Nigdy nie przyjeżdżał do domu o tej godzinie. Zwykle wracał z pracy po siedemnastej, mniej więcej o tej samej porze co ojciec. Widział, że stoję przy drzewie, na wiadrze, i przyjrzał mi się zdziwiony. Pomachałem mu. Nie odmachnął. Dopadł do drzwi wejściowych swojego domu i zniknął w środku.

Chwilę później pani Carter wyszła energicznym krokiem z naszego domu i przeszła przez trawnik. Po drodze wygładziła sukienkę rękami. Zerknęła na mnie przelotnie. Pozdrowiłem ją, ale nie odpowiedziała. Ostrożnie weszła do domu i cichutko zamknęła za sobą drzwi.

Zeskoczyłem z wiadra i poszedłem za nią.

Nie nazwałbym siebie wścibskim dzieckiem. Byłem po prostu ciekawski, to wszystko.

Dlatego bez namysłu przeciąłem trawnik Carterów. Byłem w połowie podjazdu, kiedy usłyszałem dźwięk towarzyszący uderzeniu.

Ten dźwięk rozpoznałbym wszędzie. Ojciec głęboko wierzył w dyscyplinę i dawał mi w tyłek nie raz. Bez wdawania się w szczegóły przyznaję, że zasłużyłem na klapsa w każdym przypadku, i nie żywię do niego urazy z tego powodu. W każdym razie dobrze znałem ten dźwięk i z racji doświadczenia rozpoznałem też krótki krzyk, który wyrwał się z człowieka wskutek tego bólu.

Kiedy pani Carter krzyknęła zaraz po odgłosie klepnięcia, dotarło do mnie, że pan Carter ją uderzył. Usłyszałem kolejne klepnięcie i kolejny ostry krzyk.

Dotarłem do samochodu pana Cartera. Silnik nadal pracował miarowo. Ciepłe powietrze drgało nad dachem, a z rury wydechowej wydostawały się spaliny.

Pan Carter wypadł z domu, gdy stałem obok jego auta.

– Co ty tu, kurwa, robisz? – ryknął, po czym minął mnie i ruszył przez trawnik w stronę naszego domu.

Pani Carter pojawiła się w drzwiach, ale zatrzymała się w progu. Przykładała mokry ręcznik do policzka. Prawe oko miała zapuchnięte, różowe, załzawione. Kiedy mnie zauważyła, usta jej zadrżały.

– Nie pozwól, żeby skrzywdził twoją matkę – szepnęła.

Pan Carter doszedł do drzwi kuchennych i walił pięścią w futrynę. Zdziwiło mnie, że były zamknięte. Prawie każdego letniego dnia drzwi były otwarte od rana aż do późnego wieczora. Tylko drzwi z siatką były zamknięte, żeby nie wpuścić do domu różnych stworzeń matki natury. Matka pewnie...

Dostrzegłem ją w okienku przy drzwiach. Patrzyła gniewnie na pana Cartera stojącego na werandzie.

– Otwieraj drzwi, pieprzona cipo! – krzyknął. – Otwieraj te cholerne drzwi!

Matka obserwowała go, ale ani drgnęła.

Ruszyłem biegiem w stronę domu, ale matka podniosła rękę, każąc mi zostać na miejscu. Zatrzymałem się, niepewny, co powinienem zrobić. Z perspektywy czasu wiem, że byłem naiwny, sądząc, że mogłem zrobić cokolwiek. Pan Carter był postawnym mężczyzną, może nawet większym od ojca. Gdybym próbował mu przeszkodzić, odrzuciłby mnie niczym irytującą muchę bzyzczącą mu przy głowie.

– Myślisz, że możesz się zabawiać z moją żoną? – Walił w drzwi. – Wiedziałem, kurwa! Wiedziałem, ty nienasycona cipo! Wiedziałem, że coś się święci. Ciągłe u ciebie siedziała. Śmierdziała tobą. Czuję na niej twój smak, wiesz? Wierz mi. Cuchniez paskudnie. Jesteś mi coś winna. Jak Kuba Bogu. A może jak Kuba piździe? Zrozumiesz

mnie, jeśli ujmę to tak dosłownie? Musisz ponieść konsekwencje, ty zdiro. Zapłacisz za to. Nic na tym świecie nie jest za darmo!

Matka zniknęła z okna.

Pani Carter zaczęła za mną szlochać.

Pan Carter odwrócił się i pogroził jej wściekle palcem.

– Zamknij się! – Twarz miał czerwoną. Pot lśnił mu na skroniach. – Nie myśl, że z tobą skończyłem. Jak załatwię sprawę z nią, pogadamy sobie długo i dobitnie. Wierz mi. Kiedy wezmę, co mi się należy, od tej ulicznicy, przyjdzie kolej na ciebie. Myślisz, że to bolało? Poczekaj, aż wrócę do domu na deser!

I wtedy otworzyły się tylne drzwi. Matka wyszła na zewnątrz i zaprosiła go do środka.

Pan Carter stał przez chwilę i patrzył gniewnie na matkę. Twarz miał czerwoną jak znak stopu, brwi ściągnięte i mokre od potu. Dłonie zacisnął w pięści. W pierwszej chwili pomyślałem, że ją uderzy, ale nie zrobił tego.

Matka zerknęła mu przez ramię i przez chwilę nie spuszczała ze mnie wzroku. Potem odezwała się do niego:

– Nie zaproponuję tego drugi raz. Albo teraz, albo nigdy. – Nawinęła blond włosy na palec i przesunęła nim wzdłuż szyi, a na jej ustach igrał uśmiech.

– Żartujesz?

Matka weszła do kuchni i skinęła.

– Wejdz.

Patrzył, jak matka znika wewnątrz domu. Odwrócił się do żony.

– Potraktuj to jako część pierwszej lekcji. Kiedy tu skończę, wrócę do domu i dam ci drugą część. – Parsknął, jakby opowiedział najlepszy dowcip pod słońcem, wszedł do nas i zatrzasnął za sobą drzwi.

Pani Carter łkała.

Byłem tylko chłopcem i nie miałem pojęcia, jak pocieszyć płaczącą kobietę. Nawet nie czułem takiej potrzeby. Zamiast tego obiegłem dom, stanąłem pod oknem matki i wskoczyłem na wiadro. Pokój był pusty.

Gdzieś z wnętrza domu dobiegł mnie potworny krzyk. Nie wydała go matka.

17 Emory

Dzień pierwszy, 9.31

Emory chciało się wymiotować.

Treść żołądka podeszła jej do gardła, gęsta i obrzydliwa. Przełknęła ją, wzdrygając się, gdy poczuła ohydny posmak.

Wzięła głęboki wdech, który się rwał z powodu szlochu.

Odciał jej ucho! Co jest, kurwa? Dlaczego...

Odpowiedź przyszła do niej natychmiast. Znowu wciągnęła powietrze tak gwałtownie i szybko, że gwizdnęła, zanim wydostał się z niej szloch. Łzy popłynęły jej z oczu na kolana. Próbowwała je zetrzeć z policzków, ale pojawiały się nowe, słone i gorące.

Czkała pomiędzy urywanymi oddechami.

Jej ciałem wstrząsał gwałtowny dreszcz. Z nosa pociekły gile, które zmieszały się ze łzami. Kiedy myślała, że już ma to za sobą, mieszanina strachu, bólu i wściekłości na nowo ogarniała jej umysł i sytuacja się powtarzała, a każdy kolejny atak był tylko trochę słabszy od poprzedniego.

Gdy napady wreszcie ustały, kiedy mogła wciągnąć powietrze w płuca i je tam utrzymać, stwierdziła, że siedzi w zupełnej ciszy. Umysł miała nieprzyjemnie pusty i spokojny, ciało obolałe, twarz zapuchniętą i czerwoną. Musnęła palcami kajdanki, szukając jakiegoś przycisku. Miała nadzieję, że to nie są prawdziwe kajdanki, tylko takie, które kupuje się w sex-shopie lub sklepie z zabawkami. Jej przyjaciółka Laurie opowiadała jej o nich i o tym, jak chciał je wykorzystać jej chłopak, a ona mu kategorycznie odmówiła.

Nie było żadnego przycisku, a bransoletka ciasno opinała nadgarstek. Nie zdejmie ich bez kluczyka. Mogłaby próbować otworzyć je wytrychem, ale musiałyby znaleźć coś, co mogłoby posłużyć za wytrych, a to oznaczało konieczność szukania.

Kogo ona okłamywała? Nie miała pojęcia, jak otworzyć zamek wytrychem.

Kajdanki miały wyjątkowo długi łańcuszek, co najmniej półmetrowy, jak na filmach o więźniach, w których przestępca ma skute ręce i nogi i jest zmuszony iść ciemnym korytarzem. Dawały pewną swobodę ruchu, ale nie za dużą.

Wiedziała o Zabójcy Czwartej Małpy. Wszyscy w Chicago o nim słyszeli, a pewnie i cały świat. Nie tylko o tym, że był seryjnym zabójcą, ale i o tym, jak torturował ofiary przed zabiciem ich, jak wysyłał rodzinom części ich ciał. Najpierw ucho, potem...

Wolna ręka Emory powędrowała do oczu. W pomieszczeniu było ciemno, ale nadal widziała słabe kontury. Nie tknął jej oczu.

„Jeszcze nie. Może znajdzie na to czas, gdy wróci”.

Serce waliło jej w piersi.

„Ile masz czasu, zanim...”

Nie mogła o tym myśleć. Po prostu nie mogła.

Sama myśl, że ktoś mógłby wyłupić jej oczy, wyjąć je, kiedy żyła.

„Język też, moja droga. Nie zapominaj o języku. Usuwa go jako trzeci i wysyła ten mały kawałeczek ciała mamusi i tatusiowi. Tuż przed tym, jak...”

Głos w jej głowie wydawał się dziwnie znajomy.

„Nie pamiętasz mnie, kochanie?”

Zrozumiała to, tak po prostu, i aż zagotowała się ze złości.

– Nie jesteś moją matką – powiedziała gniewnie. – Moja matka nie żyje.

Chryste. Wariowała. Rozmawiała ze sobą. To przez ten zastrzyk? Co on jej dał? Jakiś halucynogen? Może to wszystko było tylko okropnym snem,

kiepskim odlotem. Może...

„Może zastanowisz się nad tym później, moja droga. Kiedy będziesz miała więcej czasu? Na razie powinnaś się skupić na znalezieniu wyjścia. Zanim on wróci. Zgodzisz się ze mną?”

Emory przyłapała się na tym, że przytaknęła.

„Chcę tylko tego, co dla ciebie najlepsze”.

– Przestań.

„Gdy będziesz bezpieczna. Do tego czasu... To jest trudna sytuacja, Em. Nie mogę napisać ci usprawiedliwienia i wybawić cię z opresji. Nie będzie tak łatwo jak z dyrektorem”.

– Cicho!

Cisza.

Słyszała wyłącznie własny oddech i szum krwi w uchu, cieplej i pulsującej.

„W miejscu, w którym kiedyś miałaś ucho, kochanie”.

– Proszę, przestań. Zamilknij...

„Lepiej, żebyś się z tym pogodziła. Zaakceptuj to i idź dalej”.

Emory spuściła nogi z prowizorycznego łóżka. Koła pisnęły, kiedy nosze przesunęły się kilka centymetrów, zanim otarły się o ścianę i zatrzymały. Gdy dotknęła stopami zimnego betonu, prawie je cofnęła. Bała się tego, co może się znajdować na podłodze, ale trwanie w bezruchu i czekanie na powrót oprawcy nie wchodziło w grę. Musiała znaleźć wyjście.

Oczy walczyły z ciemnością, próbowały się dostosować do choćby najmniejszej ilości światła, ale było go za mało. Ustawiła dłoń przed twarzą i ledwie ją widziała, kiedy praktycznie dotknęła nią czubka nosa.

Zmusiła się do wstania i zignorowała fakt, że kręciło jej się w głowie i czuła ból w miejscu ucha. Wciągnęła gwałtownie powietrze i przytrzymała się noszy dla złapania równowagi, tuż pod miejscem, do którego przyczepiono kajdanki. Stała do czasu, aż nudności ustały.

Było tak ciemno. Za ciemno.

„Co będzie, jeśli upadniesz, kochana? Jeśli spróbujesz iść, potkniesz się o coś i upadniesz? Jesteś pewna, że to rozropne? Może byś usiadła i to prze-myślała. To jak będzie?”

Emory zignorowała głos i niepewnie wyciągnęła lewą rękę w mrok, poruszając palcami. Gdy niczego nie znalazła, postąpiła krok w stronę wezgłowania noszy i ściany, o którą się oparły. Prawą ręką opierała się o nosze, lewą wyciągała przed siebie. Jeden krok, drugi, a potem...

Palce napotkały ścianę i Emory prawie od niej odskoczyła. Szorstka powierzchnia była zimna i oślizgła. Ostrożnie przesunęła dłoń po ścianie, znalazła rowek i powiodła wzdłuż niego czubkiem palca. Biegł poziomo do miejsca, w którym wyczuła kolejny rowek, tym razem pionowy. Ciągnął się przez jakieś trzydzieści centymetrów w dół. Prostokąty.

Pustaki.

„Wiesz, tam gdzie jest jedna ściana, najczęściej jest też druga. Czasami zdarzają się drzwi lub okno. Może warto by było przejść się wzdłuż ściany? Spróbować określić, w jakich się znalazłaś opałach? Jesteś przykuta do tych przeklętych noszy, z którymi dość kiepsko się chodzi”.

Emory ciągnęła za nosze tak długo, aż drgnęły i przesunęły się kawałeczki na piszczących kółkach. Ścisnęła barierkę. Sam fakt, że trzymała metalową ramę, cokolwiek, dawał jej poczucie bezpieczeństwa. Wiedziała, że to głupie, ale...

„Masz się na czym oprzeć. Tak się mówi?”

– Pierdol się – burknęła.

Lewą ręką dotykała ściany, a prawą ciągnęła nosze i tak przesuwała się po kawałeczku, powłócząc nogami. Liczyła kroki, próbując zobaczyć to miejsce oczami wyobraźni. Po dwunastu krokach natknęła się na pierwszy kąt. Oszacowała, że pierwsza ściana miała około trzech metrów długości.

Szła wzdłuż drugiej ściany. Kolejne pustaki. Wodziła dłoń po ścianie w poszukiwaniu włącznika światła, drzwi, czegokolwiek, ale niczego nie znajdowała. Tylko kolejne pustaki.

Emory zatrzymała się na chwilę i uniosła głowę. Nie mogła przestać się zastanawiać nad tym, jak wysokie było to pomieszczenie. Czy miało sufit?

„Oczywiście, że ma sufit, kochana. Seryjni zabójcy są mądrzy. Nie ty pierwsza uczestniczysz w tym rodeo. Ile dziewczyn już zabił? Pięć? Sześć. Prawdopodobnie doprowadził rutynę do perfekcji. Jestem pewna, że to pomieszczenie jest superszczelne. Ale powinnaś badać je dalej. Podoba mi się to. Twoje zachowanie jest ciekawsze od siedzenia i czekania na jego powrót. Tak robią głupcy. Ty masz cel. Wykazujesz się inicjatywą”.

Szła dalej. Nosze znowu sprawiły jej kłopot, gdy doszła do rogu, więc pociągnęła gniewnie ramę.

„Hej. Właśnie coś mi przyszło do głowy. A jeśli on cię obserwuje? Jeśli ma kamery?”

– Jest za ciemno.

„Kamery na podczerwień widzą w ciemnościach jak za dnia. Pewnie siedzi gdzieś z nogami na biurku i ogląda *Emory TV* z szerokim uśmiechem na twarzy. Naga dziewczyna w pudle. Naga dziewczyna próbująca wydostać się z pudła. Poprzednia potrzebowała trzydziestu minut, żeby dotrzeć tak daleko. Ta jest naprawdę szybka. Dotarła tu po dwudziestu minutach. Ekscytujące. Co za rozrywka”.

Emory zatrzymała się i popatrzyła w mrok.

– Jesteś tam? Obserwujesz mnie?

Cisza.

– Halo?

„Może jest nieśmiały?”

– Zamknij się.

„Idę o zakład, że spuścił portki do kolan, wyciągnął kutasa i zawiesił na drzwiach plakietkę, żeby mu nie przeszkadzać. Właśnie trwa *Emory TV po zmroku* i impreza dopiero się zaczyna. To jest dobre. Widzieliście, jak wysoko podskoczyła?”

– Teraz wiem na pewno, że nie jesteś moją matką. Nigdy by czegoś

takiego nie powiedziała – stwierdziła Emory.

„Myślę, że cię obserwuje. No bo po co by cię rozebrał? Faceci to zbożnicy, moja droga. Wszyscy. Im wcześniej to zrozumiesz, tym lepiej”.

Emory obróciła się powoli, wpatrując się w ciemność. Przechyliła głowę.

– Nie ma tu żadnej kamery. Zobaczyłabym czerwone światełko.

„Jasne. Bo wszystkie kamery mają czerwone światełka. Takie migające światełka, które widać na kilometr. Gdybym była producentem kamer, nigdy bym nie pomyślała o stworzeniu takiej bez czerwonego światełka. Na pewno jest komisja dbająca o to, żeby każda...”

– Zamkniesz się wreszcie, do cholery? – krzyknęła Emory.

A potem się spłoniła. Kłóciła się sama ze sobą.

„Twierdzą tylko, że nie wszystkie kamery mają czerwone światełka. I tyle. Nie musisz się tak pieklić”.

Emory wydała pełne frustracji westchnienie i dotknęła ściany. Wyobrażała sobie, że pomieszczenie ma kwadratowy przekrój. Sprawdziła dwie ściany i nie znalazła drzwi. Zostały jej jeszcze dwie.

Zacząła iść wzdłuż trzeciej ściany, ciągnąc za sobą nosze i muskając palcami znany już wzór pustaków, na których rysowała ścieżkę wśród gęstego kurzu. Żadnych drzwi.

Jeszcze jedna ściana.

Pociągnęła za nosze, bardziej zła niż przestraszona, i liczyła kroki. Kiedy doszła do dwunastego i jej palce dotarły do rogu, zatrzymała się. Gdzie były drzwi? Przegapiła je? Cztery rogi, cztery skręty w lewo. Wiedziała, że zrobiła pełne okrążenie. Bo przecież zrobiła pełne okrążenie, prawda?

Czy to możliwe, że w pomieszczeniu nie było drzwi?

„Wygląda mi to na kiepski projekt. Kto buduje pokój bez drzwi? Na pewno przegapiłaś otwór”.

– Niczego nie przegapiłam. Tu nie ma drzwi.

„No to jak on tu wszedł?”

Wysoko nad głową usłyszała pstryknięcie. Muzyka uderzyła w nią tak głęboko, że poczuła się, jakby ktoś wbijał jej noże w uszy. Przycisnęła dłoń do uszu i przeszył ją ostry ból, kiedy lewa dłoń nacisnęła na delikatną tkankę w miejscu, w którym było kiedyś ucho. Kajdanki werżnęły się w nadgarstek drugiej ręki. Dziewczyna pochyliła się do przodu i krzyknęła z bólu. Nie mogła zablokować muzyki. Słyszała już tę piosenkę. Mick Jagger zawodził o diable.

18 Porter

Dzień pierwszy, 11.30

Chociaż minęły zaledwie dwa tygodnie od czasu, kiedy Porter wszedł po raz ostatni do pokoju piętnaście dwadzieścia trzy w głębi piwnic kwatery głównej chicagowskiej policji przy Michigan Avenue, miejsce wydawało się uśpione, pozbawione życia.

Drzemiące.

Oczekujące.

Nacisnął na włącznik światła i wsłuchiwał się, jak żarówki fluorescencyjne budzą się do życia, ładując zatęchłe powietrze. Podeszedł do biurka i przejrzał przeróżne dokumenty i teczki walające się na blacie. Wszystko wyglądało tak jak w chwili, gdy stąd wyszedł.

Żona przyglądała mu się ze srebrnej ramki. Nie potrafił powstrzymać uśmiechu na jej widok.

Siedząc na skraju biurka, wyciągnął telefon i wybrał jej numer komórkowy. Trzy sygnały, a potem znany już tekst z poczty głosowej: – Dodzwoniłeś się do Heather Porter. Skoro słyszysz skrzynkę głosową, prawdopodobnie sprawdziłam, kto dzwoni, i uznałam, że ponad wszelką wątpliwość nie chcę z tobą rozmawiać. Jeżeli chcesz złożyć mi dar w postaci ciasta czekoladowego lub jakiejś innej pyszności, przyślij mi wiadomość ze szczegółami, a ja przemyślę twoją pozycję na drabinie towarzyskiej i pewnie...

Porter się rozłączył i przekartkował segregator opatrzony etykietą Zabójca Czwartej Małpy. Wszystko, co o nim wiedzieli, mieściło się w tym jednym segregatorze, przynajmniej do dzisiaj.

Uganiał się za Zabójcą Czwartej Małpy od pięciu lat. Siedem zabitych dziewcząt.

„Dwadzieścia jeden pudełek. Nie zapominaj o pudełkach”.

Nigdy o nich nie zapomni. Nawiedzały go za każdym razem, kiedy zamknął oczy.

Pomieszczenie nie było bardzo duże, miało z dziewięć na siedem i pół metra powierzchni. Oprócz biurka Portera stało tam jeszcze pięć metalowych, starszych od większości pracowników policji chicagowskiej biurek rozmieszczonych zupełnie przypadkowo. W kącie w głębi stał stary drewniany stół konferencyjny, który Porter znalazł w magazynie przy końcu korytarza. Powierzchnię miał podrapaną i wyszczerbioną; matowy klonowy fornir pokrywały krążki zostawione przez setki szklanek, kubków i puszek, które stawiano na nim przez lata. Była też wielka brązowa plama, która według Nasha wyglądała jak Jezus (a według Portera była po prostu plamą z kawy). Dawno już zarzucili próby usunięcia przebarwień.

Za stołem konferencyjnym stały trzy białe tablice. Na dwóch znajdowały się zdjęcia ofiar #4MK i różne miejsca zbrodni; trzecia była pusta. Zespół wykorzystywał ją głównie w czasie burzy mózgów.

Nash wszedł do pokoju i podał mu kubek kawy.

– Watson zajrzał do Starbucks. Powiedziałem, żeby tu przyszedł, gdy już się zamelduje porucznikowi na górze. Reszta też jest w drodze. Co ci chodzi po głowie? Czuję zapach dymu.

– Pięć lat, Nash. Już zacząłem myśleć, że to się nigdy nie skończy.

– Mamy jeszcze co najmniej jedną zagadkę do rozwiązania. Musimy znaleźć tę dziewczynę.

Porter przytaknął.

– Tak, wiem. I znajdziemy ją. Sprowadzimy do domu.

To samo powiedział o Jodi Blumington sześć miesięcy wcześniej i nie znaleźli jej na czas. Nie da rady stanąć przed kolejną rodziną, nie znowu. Już nigdy.

– Tu jesteście! – zagrzmiała Clair Norton od progu.

Porter i Nash odwrócili się od tablic.

– Bez ciebie, Sammy, to miejsce przypominało kostnicę. Dajcie trochę cukru! – Przeszła przez pokój i objęła Portera. – Jeśli ci czegoś potrzeba, zadzwoń, dobrze? Masz mi to obiecać – szepnęła mu do ucha. – Jestem do twojej dyspozycji codziennie przez całą dobę.

Porter denerwował się w obliczu wszelkich oznak czułości. Poklepał kobietę po plecach i odsunął od siebie. Pomyślał, że zachowuje się pewnie równie niezręcznie jak ksiądz odwzajemniający uścisk ministranta na oczach zgromadzenia wiernych.

– Doceniam to, Clair. Dzięki, że sprawowałaś nad wszystkim pieczę.

Clair Norton pełniła służbę od blisko piętnastu lat. Została najmłodszą czarnoskórą panią detektyw w chicagowskiej policji po zaledwie trzech latach patrolowania ulic, gdy pomogła rozpracować jedną z największych grup narkotykowych w historii miasta – żadna osoba z tej grupy nie miała ukończonych osiemnastu lat. Było to w sumie dwudziestu czterech uczniów, głównie z Cooley High, aczkolwiek działalność przestępczą prowadzono na terenie sześciu liceów. Wszystko odbywało się w szkołach, co utrudniało sprawę i wymagało, żeby wyglądająca młodzieńczo Clair występowała w roli uczennicy.

Wskutek tamtych wydarzeń nadano jej przydomek Jump Street, od starego programu nadawanego przez Fox TV, ale nikt z zespołu nie ośmielił się zwracać tak do niej wprost.

Clair pokręciła głową.

– Powinieneś mi podziękować za to, że niańczyłam twojego partnera. Jest głupi jak but. Idę o zakład, że gdyby zamknąć go w pokoju, po godzinie znalazłoby się go martwego na podłodze z językiem przytkniętym do gniazdka elektrycznego.

– Ja tu stoję – zauważył Nash. – Słyszę cię.

– Wiem. – Odwróciła się i wyjęła mu kubek z kawą z ręki. – Dziękuję, laleczko.

Edwin Kłozowski, dla większości „Kłoz”, wszedł do pokoju za nią. Trzy-

mał pękającą w szwach aktówkę w jednej ręce i końcówkę czekoladowej babeczki w drugiej.

– Wreszcie zbieramy drużynę? Najwyższa pora. Gdybym miał choć minutę dłużej ślęczyć nad twardym dyskiem kolejnego kochanka porno, który okazał się draniem, zastanowiłbym się, czy nie wrócić do projektowania gier wideo. Jak się masz, Sammy? – Klepnął Portera w ramię.

– Cześć, Kloz.

– Miło znowu cię widzieć. – Rzucił aktówkę na jedno z pustych biurków i wpakował resztę babeczki do ust.

Porter wypatrzył Watsona stojącego w drzwiach i dał mu znak, żeby wszedł do środka.

– Kloz, Clair, to jest Paul Watson. Wypożyczyliśmy go od kryminalistycznych. Będzie nam pomagał. Czy ktoś widział Hosmana?

Clair przytaknęła.

– Rozmawiałam z nim jakieś dwadzieścia minut temu. Przygląda się finansom Talbota, ale nie znalazł jeszcze niczego. Powiedział, że się z tobą skontaktuje, jak tylko do czegoś się dokopie.

Porter kiwnął głową.

– W porządku. W takim razie zaczynamy.

Przeszli przez pokój i usiedli przy stole konferencyjnym. Ofiary Zabójcy Czwartej Małpy patrzyły na nich z tablic.

– Nash, gdzie jest zdjęcie Emory?

Nash wyciągnął fotografię z kieszeni i podał ją Porterowi, który przyczepił ją taśmą w prawym górnym rogu tablicy.

– Omówię temat od początku. Większość z was to wszystko wie, ale Watson tego wcześniej nie słyszał i może dostrzeże coś świeżym okiem. – Wskazał na zdjęcie w górnym lewym rogu. – Calli Tremell. Dwadzieścia lat, zabita piętnastego marca dwa tysiące dziewiątego roku. Pierwsza ofiara...

– O której wiemy – wtrąciła Clair.

– Pierwsza ofiara w schemacie #4MK, ale dowody sugerują, że jest raczej wyrobiony i najprawdopodobniej zabijał już wcześniej – powiedział Klozowski. – Nikt nie zabija tak jak on od początku. Oni zbierają doświadczenia i z czasem tworzą metody i techniki.

– Rodzicie zgłosili jej zaginięcie we wtorek, a ucho otrzymali pocztą w czwartek. Oczy dotarły do nich w sobotę, a język we wtorek. Wszystko było zapakowane w małe białe pudełeczka przewiązane czarnymi sznurkami. Adresy wypisano ręcznie. Nie było odcisków palców. Zawsze był ostrożny.

– Co sugeruje, że tak naprawdę nie była pierwszą ofiarą – powtórzył Klozowski.

– Trzy dni po przyjsciu ostatniej przesyłki biegacz znalazł jej ciało w Almond Park. Siedziała na ławce z przyklejoną do dłoni karteczką z napisem: „Nie czynię nic złego”. Rozgryźliśmy schemat jego działania, kiedy przyszły oczy, ale karteczka potwierdziła naszą teorię.

Watson podniósł rękę.

Nash wywrócił oczami.

– To nie jest trzecia klasa, doktoru. Możesz się odzywać, kiedy chcesz.

– Doktoru? – powtórzył za nim Klozowski. – A, rozumiem.

– Czy nie czytałem gdzieś, że właśnie tak wybierał swoje ofiary? „Nie czynię nic złego”? – zapytał Watson.

Porter przytaknął.

– Zorientowaliśmy się, że tak jest, przy drugiej ofierze, Elle Borton. Początkowo sądziliśmy, że to ofiary zrobiły coś, co #4MK uważał za złe, i dlatego je wybierał, ale przypadek Elle pozwolił nam dostrzec, że nie skupiał się na ofiarach, tylko na ich rodzinach. Elle Borton zaginęła drugiego kwietnia dwa tysiące dziesiątego roku, blisko rok po pierwszej ofierze. Miała dwadzieścia trzy lata. Dostaliśmy tę sprawę, gdy jej rodzice otrzymali pocztą ucho dwa dni później. Kiedy po ponad tygodniu znaleziono jej ciało, trzymała w dłoni zwrot podatku za dwa tysiące ósmy rok wystawiony na nazwisko jej babki. Trochę poszperaliśmy i odkryliśmy, że babka zmarła w dwa tysiące piątym roku. Ojciec dziewczyny przez trzy lata fałszował dokumenty.

W tym momencie ściągnęliśmy Matta Hosmana z wydziału przestępstw gospodarczych, a on odkrył, że afera sięgała znacznie głębiej. Ojciec Elle wyłudzał zwroty podatków, posługując się danymi ponad tuzina osób, z których wszystkie nie żyły. Byli to mieszkańcy zarządzanego przez niego domu opieki.

– Skąd #4MK mógł to wiedzieć? – zainteresował się Watson.

Porter wzruszył ramionami.

– Nie mamy pewności. Ale nowe dowody skłoniły nas do przyjrzenia się rodzinie Calli Tremell.

– Pierwszej ofiary.

– Okazało się, że jej matka prała pieniądze wdefraudowane z banku, w którym pracowała. Uzbierało się tego trzy miliony dolarów w ciągu dziesięciu lat – poinformował Porter.

Watson ściągnął brwi.

– No ale skąd #4MK mógł wiedzieć, co ona robiła? Może to jest trop. Wystarczy odkryć, kto ma dostęp do tej informacji, i znajdziemy tożsamość #4MK.

Klozowski prychnął.

– Ta, bo to jest takie proste. – Wstał i podszedł do tablic. – Melissa Lumax, ofiara numer trzy. Jej ojciec sprzedawał pornografię dziecięcą. Ojciec Susan Devoro podkładał sztuczne brylanty w miejsce prawdziwych w swoim zakładzie jubilerskim. Siostra Barbary McInley potrafiła ze skutkiem śmiertelnym pieszego na chodniku sześć lat przed zaginięciem Barbary. Nikt nie skojarzył jej siostry z tamtym przestępstwem. Zrobił to dopiero #4MK. Brat Allison Crammer prowadził firmę wyzyskującą nielegalnych pracowników na Florydzie. Wreszcie Jodi Blumington, jego najświeższa ofiara...

– Poprzedzająca Emory Connors – wtrącił Nash.

– Przepraszam, ofiara przed panną Connors. Jej ojciec sprowadzał kokainę dla kartelu Carlito. – Popukał palcem w każde zdjęcie. – Wszystkie te dziewczyny są spokrewnione z kimś, kto zrobił coś złego, ale nic nie łączy tych przestępstw. Są zróżnicowane, nie ma wspólnego wątku.

– Jest jak jakiś samozwańczy stróż prawa – mruknął Watson.

– Ta. Tylko że ma lepsze informacje od policji. Nie wykryliśmy żadnego z tych przestępstw. Odkryliśmy je dopiero, gdy zajmowaliśmy się zabójstwami – poinformował go Porter. – Gdyby nie #4MK, ci ludzie nadal byłiby na wolności.

Watson wstał i podszedł do tablicy. Przyglądał się fotografiom, mrużąc oczy.

– Co jest, doktoru? – zapytał Kloz, po czym wybuchnął śmiechem.

Wszyscy popatrzyli na niego.

Kloz ściągnął brwi.

– To jest zabawne, gdy mówi tak Nash, ale nie informatyk, tak? Już wiem, jak się sprawy mają w tej piwnicy.

Watson popukał w tablicę.

– Eskaluje. Popatrzcie na daty.

– Eskalował – poprawił go Nash. – Czasy zabijania ma już za sobą.

– Słusznie, eskalował. Po jednej rocznie aż do piątej ofiary, Barbary McNley. Potem zabijał co sześć lub siedem miesięcy. I jest jeszcze to. – Wskazał na zdjęcie Barbary McNley. – Tylko ona jest blondynką. Wszystkie pozostałe to brunetki. Czy to ma jakieś znaczenie?

Porter przeczesał włosy palcami.

– Nie sądzę. On naprawdę karał rodziny za popełnione przestępstwa. Według mnie nigdy nie chodziło o ofiary.

– Wszystkie dziewczyny wyglądają podobnie. Ładne, mają długie brązowe włosy, są w zbliżonym wieku. Jak na kogoś, kto nie ma swojego typu, zdaje się mieć typ. Wszystkie, z wyjątkiem Barbary, jedynej blondynki. Ona jest anomalią. – Watson zamilkł na chwilę, po czym zapytał: – Czy którakolwiek z nich została wykorzystana seksualnie?

Clair pokręciła głową.

– Żadna.

– Czy któraś miała brata?

– Melissa Lumax, Susan Devoro i Calli Tremell miały po jednym bracie. Allison Crammer miała dwóch – odparła Clair. – Rozmawiałam z nimi w czasie przesłuchiwania rodzin.

Watson przytaknął; trybiki w jego mózgu pracowały pełną parą.

– Jeżeli przyjmiemy, że w połowie z tych rodzin byli synowie, a on wybierał ofiary losowo, powinniśmy mieć jedną lub dwie ofiary płci męskiej. Nie mamy, więc z jakiegoś powodu wolał córki od synów... Tylko nie wiemy dlaczego.

Porter odchrząknął.

– Nie wydaje mi się, żeby to miało jeszcze znaczenie. Nie musimy się martwić o jego przyszłe ofiary. Jak wspomniał Nash, zabijanie ma już za sobą. Musimy się skupić na najnowszym przypadku.

Watson wrócił na miejsce.

– Przepraszam. Czasami mój umysł wędruje różnymi ścieżkami i się dekoncentruję.

– Nie przepraszaj. Właśnie dlatego cię zaprosiłem. Oferujesz nam świeże spojrzenie na stare dowody i informacje.

– Rzeczywiście – przyznał Watson.

Porter wziął niebieski pisak i u góry trzeciej tablicy napisał wielkimi literami: EMORY CONNORS.

– No dobra, co wiemy o naszej ofierze?

– Według recepcjonistki z jej budynku wczoraj krótko po osiemnastej wyszła pobiegać – powiedziała Clair. – Podobno było to normą w jej przypadku. Dziewczyna biegała niemal codziennie, zazwyczaj wieczorami. Nikt nie widział, żeby wróciła.

– Czy ktoś wie, gdzie lubiła biegać? – zapytał Nash.

Clair pokręciła głową.

– Widzieli tylko, jak wychodziła i wracała.

– Być może uda mi się odpowiedzieć na to pytanie – odezwał się Kloz. Stukał w swojego macbooka air. – Miała Fitbit Surge.

– Co takiego?

– To zegarek monitorujący częstotliwość akcji serca, spalanie kalorii, pokonany dystans. Ma też wbudowany GPS. Znalazłem na jej komputerze program, który zapisywał wszystkie dane. Właśnie przeglądam te informacje.

– Jest szansa na to, że GPS jest nadal aktywny?

Kloz pokręcił głową.

– To nie działa w ten sposób. Zegarek zapisuje dane, gdy masz go na sobie, a potem przesyła je do chmury za pośrednictwem aplikacji na telefon lub oprogramowania na komputerze. Ona skojarzyła go z telefonem. Też nie działa. Ale chyba wiem, dokąd się udała. – Obrócił ekran tak, żeby inni mogli go widzieć. Widniała na nim mapa. Zaznaczono na niej wykropkowaną niebieską linię zaczynającą się przy Flair Tower i biegnącą wzdłuż West Erie Street w kierunku rzeki. Tam linia okrężała dużą zieloną przestrzeń. – Znalazłem prawie taką samą trasę codziennie. – Kloz popukał w ekran. – To jest A. Montgomery Ward Park.

Porter się pochylił. Miał coraz gorszy wzrok.

– Clair, zechcesz to sprawdzić, kiedy tu skończymy?

– Tak jest, szefie.

Porter wrócił do Kloza.

– Znalazłeś na jej komputerze coś więcej?

Kloz obrócił maca z powrotem do siebie i stukał w klawiaturę.

– Daliście mi możliwość zgodnego z prawem szperania na dysku twardej seksownej nastolatki. Nie muszę chyba mówić, że byłem skrupulatny.

Claire zmarszczyła nos.

– Cholerny świr.

Kloz posłał jej uśmiezek.

– Jestem dumny ze swojej świrowatości, moja droga. Pewnego dnia mi

podziękujecie. – Przez chwilę patrzył na ekran. – Chłopak Emory to Tyler Mathers. Jest juniorem w Whatney Vale High. I – wszystkie telefony w pokoju zadzwoniły równocześnie – wysłałem wam jego najnowsze zdjęcie, numer telefonu oraz adres domowy – poinformowałem ich Kloz. – Są ze sobą od około miesiąca. Ona myśli, że na wyłączność.

– A tak nie jest? – zapytał Porter.

Kloz uśmiechnął się chytrze.

– Być może zerknąłem na jego prywatne wiadomości na Facebooku. Nasz chłopak nieźle sobie pogrywa.

Zebrani przyjrzeni mu się.

– Dajcie spokój! Jeżeli ktoś ustawia jako hasło imię żony lub dziewczyny, sam się prosi, żeby włamać się na jego konto.

Porter zapisał w pamięci, że powinien zmienić hasło do poczty elektronicznej.

– Następnym razem poczekaj na nakaz. Nie potrzebujemy, żebyś schrzanił sprawę.

Kloz zasalutował.

– Tak jest, kapitanie.

Porter napisał na tablicy TYLER MATHERS i poprowadził strzałkę w stronę chłopaka na zdjęciu z Emory.

– Odwiedzimy z Nashem Tylera dzisiaj po południu. Znalazłeś coś jeszcze na jej pececie?

– Emory ma maca i to bardzo dobrego. Proszę, nie obrażaj tak doskonałego dzieła mianem peceta. Stać cię na więcej – obruszył się Kloz.

– Proszę o wybaczenie. Znalazłeś coś jeszcze na jej macu?

Kloz pokręcił głową.

– Nic, sir.

– A te trzy numery wychodzące z telefonu stacjonarnego?

Kloz uniósł rękę i wyprostował trzy palce.

– Pizzeria, bar z chińszczyzną i włoskie jedzenie na wynos. Ta dziewczyna wie, co jeść.

Clair odchrząknęła.

– Na liście stałych gości widnieje T. Mathers. Inną osobą znajdującą się na liście jest A. Talbot.

Porter napisał ARTHUR TALBOT na tablicy, a tuż pod nazwiskiem dopisał FINANSE?

– Jestem naprawdę ciekaw, co Hosman znajdzie na tego faceta. #4MK porwał tę dziewczynę z jakiegoś powodu. Jestem gotów się założyć, że gość jest nieuczciwy.

– Dlaczego go tu nie sprowadzimy? – zapytała Clair.

– Jeśli to zrobimy, przyjdzie z prawnikiem i niczego się od niego nie dowiemy. Jeżeli będziemy musieli znowu z nim porozmawiać, lepiej będzie zorganizować nieformalne spotkanie i dopaść go niespodziewanie gdzieś, gdzie czuje się swobodnie. Z dużym prawdopodobieństwem nam się wymknie – poinformował ją Porter. – Jest ważną szychą w mieście, kumpluje się z burmistrzem i kto wie, z kim jeszcze. Jeżeli sprowadzimy go tu za wcześnie, niekoniecznie coś nam to da, a jeśli będziemy chcieli ściągnąć go ponownie, może zadzwonić do któregoś z kumpli, żeby nam przeszkodzili. Lepiej będzie poczekać do czasu, aż znajdziemy jakieś konkrety.

– A to ciekawe – powiedział Kloz. Wpatrywał się znowu w macbooka. – Te sprytne windy w budynku zapisują wszystkie użycia kart.

Porter jęknął.

– Działasz w ramach tego samego nakazu, który pozwolił ci się włamać na konto chłopaka? Bo jeśli tak...

Kloz uniósł obie ręce.

– Daj spokój, czy ja wyglądam na recydywistę?

– Owszem – burknęła pod nosem Clair.

– Też się pieprz, panno Norton.

Uśmiechnęła się i pokazała mu język.

– Menedżer budynku był uprzejmy dać nam hasło dostępu – poinformował Kloz.

– I co widzisz? – zapytał Porter.

Mężczyzna zasznurował wargi i zmrużył oczy, gdy przeglądał plik.

– Emory zjechała wczoraj o osiemnastej trzy. Nie wróciła. Potem cisza aż do dwudziestej pierwszej dwadzieścia trzy. Wtedy to N. Burrow wjechała na górę. Zjechała dzisiaj o dziewiętej sześć.

– Tylko kilka minut przed przyjazdem policji – zauważyła Clair.

– Mogę się założyć, że to nasza zaginiona gosposia – stwierdził Porter. – Możesz to sprawdzić w recepcji we Flair Tower? Zapytaj, czy mogą podać imię i nazwisko.

– Da się zrobić – odparł Kloz i zanotował to.

Porter wciągnął powietrze.

– Dochodzimy do głównej postaci, naszej ofiary porannego wypadku. – Opowiedział grupie o tym, czego się dowiedzieli od Eisleya.

– Cholera, to on umierał? – zapytał Kloz.

– Został mu niecały miesiąc.

– Myślicie, że wszedł pod autobus celowo?

– Chyba powinniśmy brać taką ewentualność pod uwagę – odparł Porter.

Napisał na tablicy #4MK oraz listę:

Kwit z pralni

Drogie buty – o dwa rozmiary za duże

Tani garnitur

Fedora

75 centów drobnymi (dwie ćwierćdolarówki, dwie dziesięciocentówki i

jedna piątka) Zegarek kieszonkowy

Umierał na raka

– Nie do wiary, że skurwiel umierał – burknął Kloz, zdejmując z ręki jakiś paproszek.

Porter postukał w tablicę.

– Co nam mówią przedmioty osobiste?

– Kwit z pralni możemy wywalić – powiedziała Clair. – Oprócz numeru nie ma tam żadnych danych pozwalających na identyfikację. Nie ma nawet nazwy ani adresu pralni. To jest kwit wyrwany z bloczka, który można zamówić w setkach sklepów internetowych. Korzysta z nich połowa pralni w mieście.

– Kloz, zajmiesz się tym. Stwórz listę wszystkich pralni w promieniu ośmiu kilometrów od miejsca wypadku i skontaktuj się z nimi. Dowiedz się, czy korzystają z takich kwitów. Jeśli tak, zapytaj, czy numer 54 873 czeka na odbiór. #4MK nie odbierze ubrania. Nawet jeśli znajdziesz więcej niż jedno takie miejsce, będziemy mogli zawęzić listę, gdy ludzie odbiorą pozostałe ubrania. Jeśli niczego nie znajdziesz, poszerz zakres poszukiwań. Ale szedł, więc sądzę, że ta pralnia znajduje się gdzieś blisko.

Kloz machnął do niego.

– Przyjmuję wyzwanie.

Nash przyjrzał się tablicy.

– Co robimy z garniturem i butami?

– Kloz może sprawdzić sklepy obuwnicze, gdy będzie biegał po pralniach – podsunęła Clair.

Kloz wyprostował środkowy palec i pokazał jej język.

Porter przez chwilę przyglądał się tablicy.

– Wolałbym, żeby Kloz skupił się na pralniach. Ten źle dobrany rozmiar też mnie interesuje, ale na razie to jest tylko szum. Zachowamy tę informację

na tablicy, na wypadek gdyby później okazała się istotna.

– Monety też nam niewiele powiedzą – zauważył Nash. – Prawdopodobnie każdy z nas ma w kieszeni jakieś drobne.

Porter zastanowił się, czy nie zetrzeć tych siedemdziesięciu pięciu centów, ale się rozmyślił.

– Zostawimy to. Wiemy coś o zegarku? – zwrócił się do Watsona.

– Pójdę do sklepu wuja, kiedy tu skończymy – odparł chłopak.

Porter wrócił do tablicy.

– Myślę, że wytropimy go po tym – powiedział, podkreśliwszy UMIE-RAŁ NA RAKA. – Eisley znalazł u niego oktreotyld, trastuzumab, oksykodon i lorazepam. Trastuzumab może podawać tylko kilka ośrodków w mieście. Musimy skontaktować się z każdym z nich, opisać #4MK i wytropić pacjentów, którzy zniknęli.

– Zajmę się tym – zaproponowała Clair. – Jak wielu może być chorych na raka żołądka noszących fedorę, tanie garnitury i drogie buty? Jego ubranie bardzo nam się przyda. Na pewno zwracał na siebie uwagę, gdy wchodził do ośrodka tak ubrany.

– Słuszna uwaga – zgodził się z nią Porter. – Eisley znalazł też mały tatuaż po wewnętrznej stronie prawego nadgarstka. – Otworzył zdjęcie w swoim telefonie i puścił go w obieg. – Jest świeży. Według Eisleya najprawdopodobniej zrobiono go w ciągu minionego tygodnia.

Kloz przyjrzał się zdjęciu uważnie.

– Czy to jest symbol nieskończoności? Co za ironia w przypadku faceta, który zbliża się właśnie do końca.

– Ewidentnie miało to dla niego znaczenie – zauważyła Clair i pochyliła się nad jego ramieniem, żeby lepiej widzieć. – Jeżeli ktoś zamierza na trwałe oznakować swoje ciało, najpierw dobrze to sobie przemyśli.

Kloz uśmiechnął się szeroko.

– Wiesz to z doświadczenia? Czy jest coś, co chciałabyś pokazać grupie?

Puściła do niego oko.

– Pobożne życzenia, geeku.

Porter sięgnął do kieszeni, wyjął pamiętnik i rzucił na stół.

– No i jest jeszcze to.

Wszyscy zamilkli na chwilę i wpatrywali się w notatnik.

– Cholera, myślałem, że Nash to wymyślił – powiedział Kloz. – Popierdoleniec naprawdę miał przy sobie pamiętnik? Wprowadziliście go do dowodów? Nie ma o nim słowa w wykazie dowodów rzeczowych.

Porter pokręcił głową.

– Nie chcę, żeby prasa się o tym dowiedziała. Jeszcze nie.

Kloz gwizdnął.

– Manifest #4MK? To jest warte fortunę.

– To nie jest manifest. Raczej autobiografia sięgająca czasów dzieciństwa.

Kloz rozparł się wygodnie na krześle.

– Coś w rodzaju: „Dzisiaj Becky Smith przyszła do szkoły w czerwonej sukience, która mi się podoba. Ucieszyłem się. Postanowiłem pójść za nią do domu i zapytać ją, czy będzie ze mną chodziła. Kiedy mi odmówiła, wypatroszyłem ją w jej salonie. Jutro na stołówce będą dawali pizzę. Lubię pizzę. Ale nie tak bardzo, jak hamburgery. Hamburgery z serem są...”.

Clair cisnęła w niego długopisem.

– Auć!

Nash wskazał na pamiętnik.

– No dobra, zapytam o sprawę oczywistą. Zajrzałeś na koniec? Co się znajduje na ostatniej stronie?

Porter pochylił się do przodu i pchnął pamiętnik. Zeszyt przesunął się po blacie i zatrzymał przed jego partnerem.

– Proszę, sam zajrzyj.

Nash zmrużył oczy, gdy sięgał po pamiętnik. W pomieszczeniu zapano-

wała cisza. Mężczyzna otworzył notatnik na ostatniej stronie i przeczytał na głos:

– „Mój Drogi, czy matka nigdy ci nie mówiła, że zagłądanie na ostatnią stronę, zanim masz do tego prawo, jest śmiertelnym grzechem? Pisarze na całej planecie przewracają się w grobach, wywracają oczami z oburzenia albo wręcz złorzeczą Tobie i Tobie podobnym. Chciałbym powiedzieć, że jestem Tobą szczerze rozczarowany, ale skłamałbym. Gdybym znalazł się na Twojej komfortowej pozycji, niewątpliwie zrobiłbym to samo. Ale odpowiedzi, których szukasz, nie znajdują się na końcu tego pamiętnika. Proponuję, żebyś zaparzył sobie porządny kubek kawy, posadził cztery litery na swoim ulubionym fotelu i wrócił do początku. Przecież to od niego powinienes zacząć, nie sądzisz? Jak mógłbyś zrozumieć zakończenie historii, nie znając jej początku? Jeśli chcesz mnie poznać, musisz poznać powody, które mną kierowały. A mam swoje powody. Musisz się tylko zorientować, gdzie zajrzeć. Nauczyć się czytać między głupimi wierszami. To tylko połowa zabawy, czyż nie? Nauczyć się, jak grać. Powodzenia, przyjacielu. Trzymam za Ciebie kciuki. Naprawdę. To jest świetna zabawa, nie sądzisz?” – Nash przekartkował jeszcze kilka stron, po czym rzucił pamiętnik na stół.

– Pojeb.

Porter wzruszył ramionami.

– Przecież mówiłem. – Podniósł notatnik. – Czytam to cholerstwo i nadal nie wiem, co o tym sądzić. To jest autobiograficzny zapis życia #4MK, ale na razie nie natknąłem się na nic, co pomogłoby nam znaleźć Emory. Są tu tylko wynurzenia bardzo zaburzonego człowieka.

– Skurwiel nie żyje, a nadal nas nęka.

– Może powinienes zrobić kopie. Jeśli wszyscy będziemy czytali, szybciej przez to przebrniemy – podsunęła Clair.

Porter pokręcił głową.

– Nie mamy czasu przekształcać tego w klub książki. Chciałbym, żeby każdy skupił się na swoim zadaniu. Nie powierzę tego nikomu spoza tego pokoju, więc wypada na mnie. Szybko czytam. Jeśli coś znajdę, dam wam znać.

– Co z nagraniem z miejsca wypadku? – zapytał Watson. – Czy ktoś już je widział?

– Złożyłem zamówienie, ale jeszcze go nie dostałem – poinformował Kłoz. – Popędzę ich.

– Nagranie da nam przynajmniej odpowiedź, czy rzucił się celowo pod ten autobus, czy też to naprawdę był wypadek – stwierdził Porter. – Jeśli się nam poszczęści, zobaczymy wyraźne ujęcie jego twarzy.

Nash wzruszył ramionami.

– Obstawiam samobójstwo. Po co miałyby przy sobie pamiętnik? Wiedział, że ktoś go niebawem przeczyta. W przeciwnym razie nie napisałby ostatniej strony. Wolał skończyć ze sobą na własnych warunkach, niż pozwolić, żeby zrobił to rak. Jestem gotów się założyć, że ten pamiętnik jest jego ostatnim sposobem na wydymanie nas.

– Jeżeli planował się zabić, dlaczego zrobił to przed wysłaniem ucha? – zapytał Watson. – Czy nie miałyby sensu wykończyć najpierw ostatnią ofiarę?

– Seryjni zabójcy nie są najbardziej racjonalnymi przedstawicielami naszego gatunku – poinformował go Nash. – Być może trzymał ucho, bo wiedział, że pomoże nam go zidentyfikować. – Popatrzył na Portera. – Nie zapomnij powiedzieć im o dziewczynie Eisleya.

Porter skinął głową.

– Prawie zapomniałem. Eisley ma przyjaciółkę z muzeum, która być może zdoła zrekonstruować jego twarz na podstawie czaszki. Przyjaciółkę. Jeśli to wypali, możemy otrzymać przydatne zdjęcie.

– Eisley ma dziewczynę? Kto chodzi z facetem pracującym w kostnicy? – zastanawiał się na głos Kłoz.

– Zdaje się, że się zgłosiła na ochotnika. Nie będę odtrącał pomocy – powiedział Porter.

Watson znowu przyglądał się zdjęciu tatuażu.

– Wiecie co, to może być jego spuścizna.

– Co przez to rozumiesz?

Odłożył telefon.

– Umierał, więc napisał pamiętnik, porwał ostatnią ofiarę i rzucił się pod autobus, bo wiedział, że go zidentyfikujemy jako #4MK z powodu ucha w pudełku. Wytatuowany znak nieskończoności może oznaczać właśnie to: zaplanował sobie żyć wiecznie.

– Efektowne zakończenie życia seryjnego zabójcy – rzucił cicho Porter.

– Ci naprawdę sprytni, którym udaje się tak długo wymykać policji, w końcu chcą, żeby ludzie ich poznali. Pragną uznania dla swoich dokonań. Gdybyś był #4MK, chciałbyś umrzeć ze świadomością, że świat nie wie, kim byłeś? – Watson pokręcił głową. – Jasne, że nie. I jeśli nie dawałeś się złapać tak długo, chciałbyś wykrzyknąć swoje imię z dachu. Nic mu nie możemy zrobić, a on zapisze się na kartach historii.

Porter wiedział, że dzieciak się nie mylił.

– Co to oznacza dla Emory?

W pokoju zapadła cisza. Nikt nie znał odpowiedzi.

Tablica z listą dowodów

Ofiary

1. Calli Tremell, 20 l., 15 marca 2009 r.
2. Elle Borton, 23 l., 2 kwietnia 2010 r.
3. Missy Lumax, 18 l., 24 czerwca 2011 r.
4. Susan Devoro, 26 l., 3 maja 2012 r.
5. Barbara McInley, 17 l., 18 kwietnia 2013 r. (jedyna blondynka)
6. Allison Crammer, 19 l., 9 listopada 2013 r.
7. Jodi Blumington, 22 l., 13 maja 2014 r.

Emory Connors, 15 l., 3 listopada 2014 r.

Wyszła biegać wczoraj o 18.03

TYLER MATHERS

Chłopak Emory

ARTHUR TALBOT

Finanse?

N. BURROW

Gospośia? Opiekunka?

PRZEDMIOTY ZNALEZIONE PRZY #4MK

Drogie buty – John Lobb / 1500 \$ za parę – rozmiar 11 (rozmiar stopy PODEJRZANEGO to 9)

Tani garnitur

Fedora

75 centów drobnymi (dwie ćwierćdolarówki, dwie dziesiątki i jedna piątka)

Zegarek kieszonkowy

Kwit z pralni (nr 54 873) – Kłoz znajdzie pralnie, które wystawiły kwity z tym numerem

Rak żołądka – leki: oktreotył, trastuzumab, oksykodon, lorazepam
Tatuaż po wewnętrznej stronie prawego nadgarstka, świeży – cyfra osiem, znak nieskończoności?

Brakujące informacje:

- Czy Emory chodziła do szkoły? Jeśli tak, do której?
- Związek Emory i Tylera
- Rekonstrukcja twarzy

Zadania

- Clair: A. Montgomery Ward Park, sprawdzić ośrodki leczenia nowotworów
 - Nash i Porter spotkają się z Tylerem
 - Kłoz: zweryfikować kwit z pralni, zdobyć zdjęcia z kamery przemysłowej – czy widać twarz?
 - Watson: odwiedzić wuja w sprawie zegarka, dowiedzieć się czegoś o matce Emory
-

19 Pamiętnik

Ojciec wrócił z pracy o 17.43. Jego czarne porsche skradało się podjazdem jak dziki kot polujący wieczorem na ofiarę; silnik mrucał z ekscytacji. Ojciec wyskoczył zza kierownicy i rzucił aktówkę na dach.

– Co porabiasz, mistrzu?

Dach musiał być w pewnym momencie opuszczony, bo ojciec miał zmierzwione włosy. A jego zadbana fryzura nigdy nie była w nieładzie. Przeczesał włosami gęstą czuprynę i znowu wyglądał, jak należy.

Zerknąłem nerwowo w stronę naszego domu. Minęły godziny, a pan Carter z niego nie wyszedł. Pani Carter też zniknęła, ale z tego akurat się cieszyłem. Kiedy kobieta buczy na werandzie, przestaje być damą, nawet jeśli jest tak śliczna jak pani Carter.

– Jestem głodny – oznajmił ojciec. – A ty? Matka na pewno przygotowała dla nas ucztę. Co byś powiedział na to, żebyśmy weszli i coś zjedli? Co ty na to?

Zmierzwiał mi włosy swoją masywną dłonią. Próbowałem go odtrącić, ale znowu to zrobił, tym razem z chichotem.

– Chodź, mistrzu.

Jedną ręką trzymał aktówkę, a drugą chwycił mnie za bark i poprowadził w stronę domu.

Ścisnęło mnie w żołądku i pomyślałem, że zaraz zwymiotuję, ale to uczucie przemignęło. Próbowałem iść powoli, żeby jego spowolnić, jednak mój wysiłek na nic się nie zdał. Ojciec mnie ciągnął.

Weszliśmy tylnymi schodami, precyzyjnie się przez drzwi i znaleźliśmy się w kuchni. Poczulem czyjeś spojrzenie na plecach. Odwróciłem się i zobaczyłem panią Carter stojącą w oknie. Obserwowała nas. Przykładała coś do twarzy. Chyba woreczek z zamrożonym groszkiem.

Matka stała przy zlewie i wycierała naczynia. Gdy weszliśmy, uśmiechnęła się ciepło i cmoknęła ojca w policzek.

– Jak ci minął dzień, kochanie?

Ojciec odwzajemnił pocałunek i postawił aktówkę na blacie.

– Jak zawsze... Coś tu pachnie wybornie. Co to? – Zaciągnął się głęboko i podszedł do dużego garnka stojącego na kuchence.

Matka go objęła.

– Zrobiłam gulasz wołowy. Twój ulubiony! Cóż by to mogło być innego?

Rozglądałem się jak oszalały. Najpierw po kuchni, potem w salonie i w przedpokoju. Drzwi do obydwu pokojów i łazienki były otwarte. Nigdzie nie było śladu po panu Carterze. A wiedziałem, że nie wyszedł. Byłem tego pewien. Musiałby mnie minąć. Musiałby...

– Zapach jest obłądny – zachwycił się ojciec. – Może byś nakrył do stołu, mistrzu? Należę sobie czegoś dobrego do szklaneczki z lodem.

Matka uśmiechnęła się do mnie.

– Głębokie i płytkie talerze, kochanie. Może te ładne czerwone?

Domyślam się, że oczy miałem wielkie jak spodki, ale matka zdawała się tego nie zauważać. Zaczęła pogwizdywać, włożyła rękawice i przeniosła garnek z gulaszem na stół.

Przez chwilę stałem bez ruchu i przyglądałem się jej, a potem podszedłem do szuflady ze srebrami i wyciągnąłem trzy łyżki. Mimo że w ciągu roku bardzo urosłem, nadal nie sięgałem do szafki z talerzami. Dlatego trzymaliśmy w kuchni stopień. Wspiąłem się na niego, wyciągnąłem trzy talerze i dalej nakrywałem do stołu.

Ojciec wrócił ze swoim drinkiem i zajął miejsce. Wsunął serwetkę za kołnierz koszuli.

– Co dzisiaj porabiałeś? – zapytał mnie.

Pana Cartera nie było w kuchni, sypialniach ani salonie. Ojciec by go zobaczył. I nie wyszedł. Wiedziałem, że nie wyszedł.

– Tak sobie chodziłem. Nic specjalnego – odpowiedziałem.

Matka postawiła na stole chleb i usiadła. Nabrała łyżkę gulaszu i napełniła mi talerz po brzegi.

– Każdy może wziąć dużą dokładkę.

Promieniała.

Gapiałem się na gulasz.

Ojciec uśmiechnął się do matki.

– A co u ciebie? Jak tobie minął dzień?

Matka nałożyła mu porcję równie dużą jak mnie.

– Niewiele się tu działo. Nie ma o czym mówić.

Gapiałem się na gulasz.

Pana Cartera nigdzie nie było.

Chyba by... Nie mogłaby... Prawda?

Kiedy sięgnąłem po łyżkę, żołądek podszedł mi do gardła. Poczulem, że puszcze pawia nad pawiami. Staralem się nie wdychać wołowego aromatu unoszącego się znad talerza, woni przypraw. Gulasz pachniał naprawdę wybornie i kiedy o tym pomyślałem, paw przesunął się jeszcze bliżej wyjścia.

Patrzyłem, jak ojciec nabiera pełną łyżkę i wsuwa ją sobie do ust, a potem przeżuwa jedzenie z zachwytem. Matka przyglądała się nam obu i również zjadła łyżkę gulaszu, ale z mniejszym zapalem od ojca. Obserwowałem, jak się uśmiecha i ociera kąciki ust serwetką.

– Smakuje wam? – zapytała. – Wypróbowałam nowy przepis.

Byłem przerażony.

Ojciec wesoło pokiwał głową.

– To chyba najlepszy gulasz, jaki zrobiłaś. Jesteś kulinarną czarodziejką, moja droga.

– Mogę odejść od stołu? – zapytałem. Żołądek wywracał mi się na drugą stronę.

Matka i ojciec popatrzyli na mnie, żując biednego pana...

Z piwnicy dotarł do nas głośny jęk.

Ojciec i ja popatrzyliśmy tam, skąd dobiegał dźwięk. Matka nie. Jadła dalej, nie odrywając wzroku od talerza.

– Co to...

Znowu to usłyszeliśmy. Nie było tym razem wątpliwości – na dole jęczał mężczyzna.

Ojciec wstał.

– Ktoś jęczy w piwnicy.

– Powinieneś dokończyć obiad, kochanie – powiedziała matka.

Ojciec podszedł powoli do drzwi wiodących na dół.

– Co się dzieje? Kto to jest?

– Gulasz ci wystygnie. Nikt nie lubi zimnego gulaszu.

Wstałem i stanąłem za ojcem, kiedy sięgnął do klamki i nacisnął na stary mosiądz.

Nie lubiłem chodzić do piwnicy. Schody były strome i skrzypiały przy najlżejszym nacisku. Ściany były wilgotne i brudne. Na suficie czaiło się więcej pajaków niż w całym lesie za domem. Było tam tylko jedno źródło światła: goła żarówka wisząca pośrodku sufitu. Zawsze się bałem, że zgaśnie, kiedy jestem na dole. A gdyby tak się stało, nie

byłoby możliwości ucieczki. Utknąłbym tam na zawsze, a pająki opuszczałyby się na mnie jeden po drugim.

W piwnicy mieszkały pająki.

Ojciec otworzył drzwi i przekręcił włącznik światła. Żarówka zajaśniała żółtawym blaskiem na dole długich schodów.

Kolejny jęk. Tym razem głośniejszy, bardziej naglący.

– Zostań tu, mistrzu.

Objąłem go i pokręciłem głową.

– Nie schodź tam, ojczy.

Oderwał mnie od siebie.

– Zostań tu z matką.

Matka nadal siedziała przy stole i nuciła po cichu jakąś melodię. To była chyba piosenka Ritchiego Valensa.

Ojciec patrzył w dół schodów. Był w ich połowie, kiedy postanowiłem pójść za nim.

20 Clair

Dzień pierwszy, 13.17

Clair stała przy dużej stalowej rzeźbie w A. Montgomery Ward Park. Plakietka głosiła, że był to KRAĞ PAMIĄTKOWY. Widziała go już kilka razy z daleka, gdy jechała ulicą Erie, ale teraz, gdy stała blisko, musiała przyznać, że nie ma pojęcia, co ta sterta metalu miała reprezentować. Według niej przypominało to kupę Godzilli, którą potwór zrobił na środku nieskazitelnego parku po tym, jak pożarł zawartość magazynu sklepu ze stalowymi urządzeniami kuchennymi.

Clair osłoniła oczy przed słońcem i przyglądała się otoczeniu.

Park nie był duży, ale Clair rozumiała, że mógł się podobać, zwłaszcza biegaczom takim jak Emory. Ścieżka wiodła wzdłuż obrzeży parku, po zachodniej stronie wzdłuż rzeki. Zauważyła plac zabaw po lewej stronie i duży ogrodzony teren po prawej. Wewnątrz co najmniej dziesięć psów biegało z właścicielami i ganiało za piłkami, dyskami frisbee i od czasu do czasu za małym dzieckiem.

Naliczyła dwanaście osób z psami. W drugim końcu parku sześcioro dorosłych stało wokół placu zabaw i pilnowało dzieci z różnym nasileniem. Clair rzuciła w wyobraźni monetą, uznała, że wypadł orzeł, i ruszyła w stronę huśtawek.

Kiedy się do nich zbliżała, matki i dwóch ojców patrzyło na nią czujnie.

– Dzień dobry! – powiedziała swoim najbardziej rozbajającym tonem.

Nie dość rozbajającym, jak się okazało – mężczyźni zmusili się do uśmiechu, patrząc nerwowo na resztę grupy. Trzy matki chwyciły dzieci za

ręce. Jedna nawet ustawiła córkę za sobą. Trzeba było mieć dziecko, żeby zostać przyjętym przez tę grupę – dziwni dorośli wałęsający się samotnie po parku nie byli tu mile widziani. Clair zaczęła się wahać co do swojej decyzji. Ci ludzie wyglądali tak, jakby mogli gryźć znacznie dotkliwiej od psów znajdujących się po drugiej stronie parku. Pokazała swój identyfikator.

– Detektyw Norton z policji Chicago. Proszę państwa o współpracę.

Za jej plecami zatrzymały się z piskiem opon trzy radiowozy i furgonetka techników kryminalistycznych, wszystkie z włączonymi kogutami, ale bez syren. Z radiowozów wysiadł z tuzin funkcjonariuszy. Otworzyły się drzwi furgonetki i do grupy dołączyło trzech techników.

Kobieta w czarnych spodniach i szarym swetrze zdjęła córkę z huśtawki i podeszła do Clair.

– Co się dzieje?

Clair wiedziała, że jeśli wspomni o #4MK, ci ludzie zgarną swoje dzieci i znikną na ruchliwych ulicach, zanim zdoła zadać im choćby jedno pytanie. „Jeśli będę mówić ogólnikowo, nie skłamię”, pomyślała sobie. „Mogę mówić ogólnikowo”.

– Według nas wczoraj zaginęła w tym parku dziewczyna. Jeśli poświęcą nam państwo kilka minut, chcielibyśmy zadać parę pytań.

Minęła sekunda, po której wszyscy zaczęli mówić równocześnie – najpierw między sobą, a potem do niej. Nie potrafiła wyodrębnić ani jednego słowa. Trójka dzieci zaczęła płakać bez powodu, chyba tylko po to, żeby przekrzyczeć dorosłych. Clair uniosła ręce nad głowę.

– Proszę wszystkich o ciszę!

Czwarty dzieciak zaczął wrzeszczeć. W drugim końcu parku szczeknął pies, potem drugi i kolejne dwa. Przyłączyły się do jazgotu, od którego pękały bębenki w uszach.

– Dość tego! – wrzasnęła Clair tonem zarezerwowanym dla chłopaków tuż przed tym, jak z nimi zrywała i kazała im iść własną drogą.

Dorośli zamilkli. Dzieci szybko poszły ich śladem. Wszystkie z wyjątkiem pulchnego chłopczyka stojącego obok poziomej huśtawki. Nadal zano-

sił się płaczem, buzię miał czerwoną i umazaną gilami i łzami.

Kobieta w szarym swetrze wzięła córkę na ręce i zaczęła ją delikatnie podrzucać.

– Ktoś zabrał ją stąd? Robimy, co możemy, żeby pilnować dzieci. To jest miła okolica, ale teraz już nigdy nie wiadomo, z kim ma się do czynienia. Wokół chodzi tylu świrów. – Zamilkła na chwilę i nagle otworzyła szeroko usta. – O Boże, czy ktoś porwał córeczkę Andersonów? Nie widziałam Julie i jej matki przez cały dzień. To takie urocze dziecko. Mam nadzieję, że nic...

Clair podniosła rękę.

– To nie jest dziecko.

Tłumek wydał ściszony pomruk ulgi. Szary Sweter posłała reszcie spojrzenie mówiące „zajmę się tym” i zwróciła się do Clair: – Zatem kto?

Najwyraźniej była tu królową matką, bo grupa się jej słuchała. Nawet płacz dzieci cichł.

Clair wyświetliła w telefonie zdjęcie, które dostała od Kloza, i podsunęła kobiecie pod nos.

– Nazywa się Emory Connors. Ma piętnaście lat. Według nas przyszła do parku pobiegać wczoraj około osiemnastej i została tu porwana. Rozpoznaje ją pani?

Kobieta wyciągnęła rękę.

– Mogę?

Clair przytaknęła i podała jej telefon.

Szary Sweter przyglądała się wyświetlaczowi ze zmarszczonym czołem. Zmrużyła oczy i odwróciła się w stronę grupki.

– Martin?

Dwaj mężczyźni stali z tyłu tłumku. Ten po prawej stronie, ubrany w beżowe spodnie i błękitną koszulę, poprawił grube okulary na nosie i podszedł do nich. Kobieta podsunęła mu telefon.

– To ona, prawda?

Przekrzywił głowę.

– Boże, mówiłem wam, że coś jest nie tak. Trzeba było zadzwonić na policję.

Clair odebrała swój telefon i przypięła go do paska, następnie wyciągnęła mały notatnik i długopis z tylnej kieszeni.

– Martin? Jak brzmi pańskie nazwisko?

– Ortner. Martin R. Ortner. – Zaczął literować nazwisko, ale zbyła go machnięciem ręki.

– A pani? – zapytała, patrząc znowu na kobietę.

– Tina Delaine. Większość z nas przychodzi tu kilka razy w tygodniu. Ale o tej porze roku staram się przychodzić codziennie. Gdy jest jeszcze ciepło. Lepiej, żeby dzieciaki spalały energię tutaj, a nie w domu.

Clair policzyła dzieciaki. Te, które nie trzymały się kurczowo rodziców, bawiły się przy wiszących huśtawkach. Wszystkie z wyjątkiem chłopca przy poziomej huśtawce, który zajął się wycieraniem nosa w sweterek. Gdzie byli jego rodzice? Wróciła do Tiny Delaine.

– Co państwo widzieli?

Tina znowu grała pierwsze skrzypce.

– Biega tutaj prawie codziennie. Wczoraj, kiedy dobiegła do tamtego rogu, straciłam ją z oczu za drzewami. Zwykle po kilku sekundach pojawia się po drugiej stronie, ale nie tym razem. Powiedziałam o tym Martinowi i postanowiliśmy to sprawdzić. Pokonaliśmy połowę dystansu, a wtedy pomiędzy drzew wyszedł ten mężczyzna. Niósł ją na rękach. Powiedział, że widział, jak skręciła kostkę i upadła. Uderzyła głową o ziemię. Powiedział, że ją zna i że zabierze ją do szpitala, bo tak będzie szybciej, niż wzywać karetkę. Zanim któreś z nas zdążyło zareagować, szybko się oddalił, posadził ją na miejscu pasażera w swoim samochodzie i odjechał.

– I nie zadzwonili państwo na policję? – zapytała Clair. Ściągnęła brwi.

– Powiedział, że ją zna – odparł Martin cichym głosem.

– Jaki samochód prowadził?

Tina zacisnęła usta.

– Białą toyotę.

Martin pokręcił głową.

– Jego auto nie było białe. Było beżowe.

– Ależ nie. Miał białą toyotę. Jestem tego pewna.

– Samochód na pewno nie był biały. Beżowy albo srebrny. I to nie była toyota. Według mnie to był ford. Focus albo fiesta.

– Gdzie go zaparkował?

Martin wskazał w stronę krótkiego rzędu miejsc parkingowych przy końcu ulicy Erie.

– Tam. Pod latarnią.

Clair rzuciła tam okiem; nie zobaczyła żadnych kamer.

– W porządku. Proszę, żeby państwo tu przez chwilę zostali. Przyślę kilku funkcjonariuszy, żeby spisali państwa oświadczenia.

– Czy będziemy uczestniczyli w spotkaniu z rysownikiem? – zapytała Tina. – Zawsze o tym marzyłam!

– Zorganizujecie konfrontację? – wypalił Martin.

– Proszę tu poczekać – powtórzyła Clair. Odwróciła się i ruszyła w stronę grupy policjantów.

Porucznik Belkin ją rozpoznał i pomachał do niej.

– Moi ludzie chodzą po Erie i Kingsbury. A co się dzieje tutaj?

Clair wskazała ruchem głowy brygadę matek.

– Tych dwoje stojących z przodu twierdzi, że widzieli ją, jak biegała regularnie w parku. Wczoraj wbiegła za te drzewa i zniknęła za nimi na zbyt długo. Wyniósł ją stamtąd jakiś facet. Możliwe, że była nieprzytomna. Powiedział im, że upadła i uderzyła się w głowę. Rzekomo chciał ją zawieźć do szpitala. Twierdził, że ją zna.

Belkin ściągnął czapkę i przeczesał palcami rzednące blond włosy.

– Chryste, więc porwał ją tak po prostu? Przyjrzeni mu się?

– Widzieli, jak ją wsadzał do białej, beżowej albo srebrnej toyoty. Lub forda. Skoro nie mogą sobie przypomnieć samochodu, życzę szczęścia przy sporządzaniu opisu wyglądu. Rozmawiałam tylko z tą dwójką z przodu. Musimy też porozmawiać z ludźmi z wybiegu dla psów. Skierujcie tam kogoś, żeby nikt nie próbował się wymknąć.

Porucznik wezwał dwóch policjantów stojących przed furgonetką i wydał im polecenie.

Clair podziękowała mu skinieniem głowy i odwróciła się, żeby zadzwonić do Portera i złożyć mu meldunek. Nie miała mu wiele do powiedzenia, ale jednak.

21 Pamiętnik

Ojciec był już prawie na dole, kiedy zdobyłem się na odwagę, by za nim pójść. Ściągnął brwi. Jego oczy kazały mi wracać do kuchni, ale potem wywrócił nimi, gdy dotarło do niego, że tego nie zrobię.

Kiedy ojciec dotarł do dołu schodów, usłyszeliśmy kolejny jęk – jeszcze bardziej natrzczywy od wcześniejszych. Ojciec zamarł w bezruchu i przyglądał się czemuś w odległym kącie piwnicy.

– O rety. Matko, coś ty zrobiła?

Matka na górze już śpiewała, nie nuciała i pobrzękiwała naczyniami. Czy nakładała sobie dokładkę gulaszu? Nie odpowiedziała ojcu, chociaż jestem pewien, że słyszała go równie wyraźnie jak ja.

Zszedłem na sam dół i powiodłem spojrzeniem za wzrokiem ojca. Zobaczyłem mężczyznę skulonego w kącie. Był przykuty kajdankami do grubej rury doprowadzającej wodę. Z kącików ust wystawała mu szmata przymocowana dwoma długimi kawałkami szarej taśmy przyklejonej dookoła głowy.

„Kiedy ją zerwą, to razem z włosami”, pomyślałem. „Włosy mu wyjdą z cebulkami”.

Oczy pana Cartera patrzyły błagalnie. Koszulę miał rozerwaną, guziki z pewnością zaginęły gdzieś pośród kłębów kurzu i brudu na podłodze. Klatkę piersiową miał poznaconą długimi nacięciami; niektóre zaczynały się na wysokości barku i ciągnęły aż do pępka. Jedno wydawało się sięgać znacznie niżej i starałem się o nim nie myśleć. Bo na samą myśl czułem ból.

Porwana koszula i spodnie były ciemne od krwi. Zbierała się pod nim w gęstej kałuży, a w powietrzu unosiła się słodka woń miedzi. Oboje oczu miał podbite, z prawie czarnymi sińcami, i niewątpliwie złamany nos.

Ojciec patrzył na niego.

– Nie traktujemy tak sąsiadów. Wydaje się, że znalazł się w tarapatach.

Próbowałem odpowiedzieć, ale z mojego zaschniętego gardła wydobył się tylko słaby pomruk.

Pan Carter gapił się na nas obu i jęczał słabo zza knebla. Łzy zmoczyły mu policzki i kołnierzyk koszuli.

Matka zeszała głośno po schodach i spojrzała na pana Cartera z pogardą i krytycyzmem, które podniosły temperaturę w pomieszczeniu.

– Ten, ten... mężczyzna, a używam tego określenia jak najbardziej niezobowiązująco, pobił dzisiaj swoją piękną żonę, a potem uznał za stosowne przyjść tutaj i wymachiwać swoją męskością, mówiąc mi równocześnie, że da mi to, czego jego zdaniem się spodziewałam. Cóż, raczej niczego się nie spodziewałam i nie zamierzałam poddać się traktowaniu, jakie zapodał biednej Lisie. Bóg jej świadkiem, że nigdy by nikogo nie skrzywdziła, nawet tej żalostnej kreatury.

Ojciec przemyślał jej słowa.

– A więc pobiłaś go i przykułaś do rury w naszej piwnicy?

– Nie pobiłam go. Zepchnęłam go ze schodów, przykułam kajdankami do rury, a potem zabrałam się do pracy i usiłowałam wygonić z niego diabła. To była ciężka praca i myślę, że pomimo poświęcenia mu trzech godzin, tylko lekko go musnęłam. Nabrałam jednak takiego apetytu, że zamierzam kontynuować po tym, jak zjemy obiad, obiad, który stygnie, kiedy tu rozmawiamy.

Ojciec powoli skinął głową. Potem podszedł do pana Cartera i przykląkł przy nim.

– Czy to prawda, Simonie? Pobiłeś swoją żonę? I przyszedłeś tutaj, do mojego domu, by grozić kobiecie, którą kocham? Matce tego pięknego chłopca? Czy zrobiłeś te rzeczy, Simonie?

Pan Carter gwałtownie pokręcił głową, a jego oczy przeskakiwały z ojca na matkę i z powrotem.

Matka wyciągnęła długi nóż zza pleców i rzuciła się na tego mężczyznę.

– Kłamca! – krzyknęła.

Wbiła nóż w jego tłusty brzuch, a on krzyknął zza knebla. Jego twarz najpierw poczerwieniała, a potem zbladła, gdy matka wyciągnęła nóż.

O dziwo, z rany popłynęło niedużo krwi. A mnie zafascynował widok żółtego tłuszczu pod bladą skórą i kryjących się głębiej ciemnych mięśni. Rana otwierała się i zamykała przy każdym oddechu, jakby sama łapała powietrze. Postąpiłem krok do przodu, żeby mieć lepszy widok.

Matka znowu podniosła nóż.

Jeśli ojciec chciałby ją powstrzymać, z pewnością by mu się to udało. Jednak tego nie

zrobił. Przyglądał się wszystkiemu spokojnie z miejsca, w którym klęczał przy panu Carterze.

Matka wbiła nóż w udo mężczyzny z taką siłą, że przebił nogę i uderzył o betonową podłogę. Mężczyzna wydał z siebie kolejny krzyk i znowu zapłakał. Wydało mi się to nawet zabawne. Dorośli mężczyźni nie powinni płakać. Ojciec tak powiedział.

Matka obróciła nóż prawie o trzysta sześćdziesiąt stopni i wyciągnęła ostrze. Tym razem pojawiła się krew. Mnóstwo krwi. Świeża kałuża zaczęła się tworzyć pod dygoczącą nogą.

Nie potrafiłem powstrzymać uśmiechu. Nie lubiłem pana Cartera. Ani trochę. A po tym, co zrobił pani Carter? Miło było patrzeć, jak dostawał to, na co zasługiwał. Kobiety należy szanować i podziwiać, zawsze. Dostał nauczkę.

22 Porter

Dzień pierwszy, 13.38

Liceum Whatney Vale znajdowało się w trzypiętrowym budynku ze szkła i stali stojącym na północ od Uniwersytetu Illinois w Chicago. Zazwyczaj plasująca się w pierwszej piątce liceów stanu Illinois szkoła była najbardziej wziętą w mieście. Szkolny ochroniarz przeprowadził Portera i Nasha korytarzami do biura i poprosił, żeby tu poczekali, a sam poszedł szukać dyrektora. Nie minęła minuta, kiedy do pokoju wszedł niski łysy mężczyzna. Majstrował coś przy iPadzie.

– Dzień dobry, panowie. Dyrektor Kolby. W czym mogę panom pomóc?

Porter uściskał dłoń mężczyzny i pokazał odznakę.

– Musimy porozmawiać z jednym z pańskich uczniów, Tylerem Mathersem. Czy jest teraz na zajęciach?

Kolby zerknął nerwowo w stronę dwóch kobiet stojących w recepcji. Przyglądały się im uważnie. Trzy zaciekawione studentki siedziały na krzesłach ustawionych pod ścianą.

– Może wejdziemy do mojego gabinetu? – Uśmiechnął się i wskazał w stronę małego pomieszczenia po lewej stronie. Kiedy znaleźli się w środku i usiadł za biurkiem, zapytał: – Czy Tyler wpakował się w jakieś tarapaty?

Porter i Nash usiedli na dwóch krzesłach stojących naprzeciwko dyrektora. Były małe i niskie, niewygodne. Porter natychmiast poczuł się tak, jakby sam znalazł się w opałach i cofnął do czasów młodości. Spociły mu się dłonie. Mimo że dyrektor Kolby był o co najmniej dziesięć centymetrów niższy od niego, patrzył na niego z góry ze swojego skórzanego fotela. Spojrze-

nie miał tak autorytatywne, że Porter poczuł się, jakby miał za chwilę zostać zawieszony. Zignorował to wrażenie i pochylił się do przodu.

– Bynajmniej. Musimy z nim porozmawiać o jego dziewczynie.

Kolby ściągnął brwi.

– O dziewczynie? Nie wiedziałem, że ma jakąś.

Nash otworzył zdjęcie w swojej komórce i podsunął dyrektorowi na biurku.

– Nazywa się Emory Connors. Czy uczy się tutaj?

Kolby wziął telefon do ręki i przyglądał się przez chwilę fotografii, następnie wystukał imię na klawiaturze komputera i przeczytał rezultat.

– Nie jest naszą uczennicą. – Oddał telefon Nashowi i wcisnął guzik na biurku. – Panna Caldwell? Może pani znaleźć Tylera Mathersa i poprosić, żeby przyszedł do mojego gabinetu?

– Tak jest, sir – powiedział dochodzący znikąd głos.

Porter zerknął na Nasha. Jego partner nigdy nie był taki spokojny. Ręce miał złożone grzecznie na kolanach i nie nawiązywał kontaktu wzrokowego z dyrektorem. Porter mógł się tylko domyślać, jakie problemy Nash stwarzał w czasach, gdy był uczniem; pewnie często się musiał meldować w gabinecie dyrektora. Kolby też to dostrzegł, ale zamiast coś powiedzieć, tylko się uśmiechnął z wyższością i klikał coś na iPadzie.

– Zdaje się, że jest na lekcji matematyki na trzecim piętrze. Powinien tu być za kilka minut. Napiją się panowie czegoś?

Porter pokręcił głową.

– Nie, proszę pana – odpowiedział Nash. – Bardzo dziękuję.

Pięć minut później rozległo się pukanie do drzwi i do gabinetu wszedł mniej więcej szesnastoletni chłopak. Zmierzył wzrokiem detektywów, następnie uklonił się lekko dyrektorowi.

– Wzywał mnie pan?

Kolby wstał.

– Wejdz, Tylerze. Zamknij za sobą drzwi. Ci panowie są z policji. Chce-
liby z tobą przez chwilę porozmawiać.

Chłopak otworzył szeroko oczy. Niewątpliwie szukał w myślach, pośród
wszystkiego, co ostatnio nawywijał, czegoś, co mogłoby zainteresować poli-
cję.

Porter posłał mu uspokajający uśmiech.

– Spokojnie, synu. Nic nie zrobiłeś. Musimy z tobą porozmawiać o
Emory.

Wydawał się zdziwiony.

– O Em? Nic jej się nie stało?

Porter spojrzał na Kolby'ego.

– Byłby pan tak miły i dał nam kilka minut na rozmowę z panem Mather-
sem?

Kolby pokręcił przecząco głową.

– Przykro mi, ale jest nieletni. Obawiam się, że pod nieobecność rodzi-
ców będę musiał zostać w gabinecie.

– Słusznie – zauważył Porter.

Wstał z niskiego krzesła i usiadł na krawędzi biurka, blokując Kolby'emu
widok na ucznia. Nash zrobił to samo. Kolby chrząknął za ich plecami, ale
nic nie powiedział.

– Kiedy widziałeś Emory po raz ostatni?

Chłopak przestąpił z nogi na nogę.

– Chyba w sobotę. Poszliśmy do kina, a potem na obiad w centrum. Nic
jej nie jest? Zaczynam się denerwować.

Porter zerknął na Nasha.

– Sądzymy, że została porwana.

Chłopak zbladł.

– Kto by... Dlaczego?

– Najprawdopodobniej stało się to wczoraj w A. Montgomery Ward Park, kiedy biegała. To jest około półtora kilometra...

Tyler skinął głową.

– Wiem, gdzie to jest. Ciągle tam biega. Boże, powtarzałem jej, żeby nie biegała sama, ale nigdy mnie nie słucha. – Do oczu napłynęły mu łzy. Otarł je rękawem. – Jest taką śliczną dziewczyną i nosi te obcisłe stroje do biegania. Ciągle jej mówię, że to nie jest bezpieczne. W tym mieście roi się od świrów. Boże. Ciągle wysyłałem do niej SMS-y i nie odpisywała. To do niej niepodobne. Najczęściej odzywa się po minucie lub dwóch. A milczy od wczoraj. Planowałem iść do niej zaraz po skończeniu lekcji.

– Gdzie ona się uczy?

– Nigdzie. To znaczy w domu. Nie chodzi do szkoły. Ma prywatnych nauczycieli.

– I właśnie ktoś taki z nią mieszka? Nauczycielka?

Tyler przytaknął.

– Pani Burrow.

– Jak ma na imię?

– Przykro mi, ale nie wiem. Kiedy tam chodzę, siedzi najczęściej w swoim pokoju. Prawie z nią nie rozmawiam.

– Masz pomysł, gdzie moglibyśmy ją znaleźć?

Tyler znowu pokręcił głową.

– Myślicie, że nic się jej nie stało? To znaczy, Emory. Nie mogę uwierzyć, że ktoś to zrobił.

Kolby się poruszył. Porter prawie zapomniał o jego obecności.

– Czy mogę w jakiś sposób pomóc? – zapytał Tyler.

Porter wyciągnął wizytówkę z tylnej kieszeni i podał chłopakowi.

– Zadzwoń, jeśli czegoś się dowiesz.

– Próbowaliście namierzyć jej telefon? Chyba możecie to zrobić?

– Jej telefon zniknął z sieci wczoraj – poinformował go Nash. – Najprawdopodobniej został wyłączony.

– Obydwa?

23 Pamiętnik

Świeżo po prysznicu, z mokrymi włosami i pachnący zasypką dla niemowląt, przeszedłem ze swojego pokoju do kuchni. Mocno zgłodniałem, a gulasz wołowy pachniał po prostu wspaniale. Usiadłem na swoim krześle przy stole i zgarniałem kolejne porcje do ust, przypominając sobie, że powinienem gryźć. Piosenka Ritchiego Valensa, którą matka wcześniej śpiewała, na dobre zakorzeniła się w mojej głowie i zauważyłem, że nucę przy jedzeniu. Zawsze miałem doskonale wycucie rytmu, nawet w tak młodym wieku.

Matka i ojciec nadal byli w piwnicy. Ich śmiech docierał na górę schodów i odbijał się echem od drzwi. Świetnie się bawili. Straciłem zainteresowanie, kiedy pan Carter odleciał po raz trzeci i ostatni. Zdaje się, że jego serce nie wytrzymało. Stracił mnóstwo krwi, to pewne, ale nie tyle, żeby go to zabiło. Ludzkie ciało może stracić do czterdziestu procent, zanim umrze. Ktoś rozmiarów pana Cartera nosi w sobie ze cztery i pół do pięciu litrów. Wątpię, żeby stracił w sumie więcej niż półtora litra. Trudno to czasem stwierdzić, ale kiedy krew się zbiera na betonie, jak w tym wypadku, łatwo to określić.

Nie, to nie utrata krwi go załatwiła. To był strach.

Patrzyłem ze schodów, jak ojciec wyjął oczy pana Cartera. Nie sądzę, żeby ten się zorientował w pierwszej chwili, co się stało, lecz gdy ojciec włożył je w dłoń pana Cartera, żeby je przytrzymał, pan Carter ścisnął je za mocno. Ojca to rozbawiło. A matka dalej go cięła. Na początku robiła niewielkie nacięcia i tylko kilka głębokich. Droczyła się z nim. Nacinała skórę na ramieniu na długości dwóch centymetrów, żeby zwrócić na to jego uwagę, a potem wbijała nóż głęboko w udo i obracała (uwielbiała to). Nie miał oczu, więc nie wiedział, gdzie i kiedy poczuje kolejny cios. Domyślałam się, że taka niepewność wprawiała stare serce w niezłe tempo. Kiedy pan Carter zaczął wpadać w szok, ojciec posłał mnie na górę, żebym przyniósł sole trzeźwiące. Nikt z nas nie chciał, żeby stracił przytomność, gdy mieliśmy tak doskonały ubaw. No bo co by to była za zabawa? Po jakimś czasie niewiele już mogliśmy zrobić, żeby nie odleciał. Szok psuje imprezę.

W końcu wziął głęboki wdech. Jego ciało drgnęło, zeszywniało i opadło bezwładnie na

beton. Chyba znowu narobił pod siebie, ale wokół panował taki rozgardiasz, że trudno to było stwierdzić na pewno. Matka to wszystko zaczęła, więc wiedziałem, że ojciec każe jej później posprzątać. Taka była zasada. Ojciec uwielbiał swoje zasady.

Kolejna salwa śmiechu dobiegająca z dołu. Co oni tam jeszcze wyprawiali?

Sięgałem po kolejną dokładkę gulaszu, gdy usłyszałem pukanie w ramę siatki w drzwiach od kuchni. Po drugiej stronie stała pani Carter. Oboje jej oczu miało okropny fioleto-letowy odcień. Na lewym policzku widniał duży siniak. Trzymała się za lewy nadgarstek.

– Czy mój mąż tu jest? – zapytała cicho.

Sięgnąłem po serwetkę i otarłem kąciki ust. Naprawdę nie miałem powodu, bo nigdy nie jadłem niechlujnie, ale potrzebowałem chwili do namysłu.

– Nie wrócił do domu. Minęło wiele godzin.

Głos miała niski, zachrypnięty. Przepląkała sporo czasu. Zastanawiałem się, dlaczego chciała jego powrotu. Wywinał jej niezły numer. Naprawdę chciała, żeby wrócił do niej tanecznym krokiem, jakby się nic nie stało?

Wstałem od stołu i podszedłem do drzwi. Widziałem zamek – nie był przekreślony. Nie zamierzałem zapraszać jej do środka, ale to nie znaczyło, że nie mogła wejść do środka. Nie była obcą osobą. Zazwyczaj stuknęła kilka razy we framugę i wchodziła. Czemu nie? Tym razem jednak tego nie zrobiła. Stała na werandzie i się chwiała. Przyglądała mi się podbitymi oczami, które przypominały szparki i najchętniej by się zamknęły.

– Zapytam matkę. Da mi pani chwilę? – zwróciłem się do niej swoim dorosłym rzeczowym tonem, który sugerował całkowitą swobodę i pewność siebie i mówił: „Może mi pani zaufać. Pomogę pani jak najpełniej”.

Skinęła głową. Musiało ją to zabołec, bo twarz się jej lekko skrzywiła przy tym ruchu.

Posłałem jej uśmiech i zszedłem po schodach do piwnicy.

24 Porter

Dzień pierwszy, 15.03

Znaleźli Kloza pochylonego nad biurkiem w kącie w głębi pokoju informatyków. Na biurku panował bałagan składający się z podręczników obsługi, luźnych kartek, opakowań po fast foodach i sporej kolekcji zabawek związanych z Batmanem. Nash wyciągnął rękę w stronę batmobilu, ale oberwał linijką, zanim zdążył go podnieść.

– Kiedy przychodzę do twojego domu, nie bawię się twoimi lalkami Barbie. Nie dotykaj moich rzeczy – burknął Kloz.

– Co znalazłeś? – zapytał go Porter.

– Drugi numer milczy, ale spójrzcie na to. – Wskazał na środkowy ekran z pięciu stojących na biurku.

Autobus miejski trwał w bezruchu w prawym górnym rogu. Po lewej stronie w rogu stała grupka ludzi oczekujących na możliwość przejścia przez jezdnię.

Porter się pochylił.

– Widzicie go? – Kloz wskazał na miejsce między postawnym mężczyzną w ciemnym garniturze a kobietą pchającą wózek. – Widzicie to? To jest góra jego fedory.

Nash zmrużył oczy.

– Nie widzę wyraźnie.

– Przewinę do przodu. – Kloz nacisnął kilka przycisków i film przewinął się do przodu. Kobieta pochyliła się i szepnęła coś do dziecka w wózku. Sto-

jący za nią mężczyzna był widoczny przez ułamek sekundy. Fedorę miał opuszczoną pod lekkim kątem, tak że zasłaniała jego twarz przed kamerą, ale to był zdecydowanie on.

– Możesz dać zbliżenie? – poprosił Porter.

Kloz przekręcił pokrętko obok myszki i obraz się powiększył.

– Jeżeli zbliżę za bardzo, robi się pikseloza. Ale to i tak bez znaczenia, bo przeszkadza nam kapelusz. Spójrzcie.

Wcisnął przycisk „Play”. Scena rozgrywała się w zwolnionym tempie. Porter patrzył, jak autobus wlecze się po ekranie z ułamkiem zwykłej prędkości pojazdu i zbliża się do skrzyżowania. Światło w górnym prawym rogu ekranu świeciło na zielono.

– Kierowca nie kłamał. Światło było zielone, gdy wjeżdżał na skrzyżowanie.

Kloz popukał w ekran długopisem.

– Mieście tego gościa na oku.

Kiedy autobus się zbliżył, mężczyzna w fedorze wystąpił przed ludzi. Twarz zasłaniał mu kapelusz, kiedy zerknął na ulicę, a potem spojrzał na chodnik. Jednym szybkim ruchem odbił się od krawężnika i rzucił na ulicę. Jego stopy nie dotknęły już ziemi – bark zetknął się z kratką chłodnicy autobusu, a siła zderzenia odrzuciła mężczyznę. Wszystko działo się bardzo szybko, nawet w zwolnionym tempie. Jego ciało zdawało się stapać z czołem autobusu. A potem oderwało się od niego i poszybowało w powietrzu, znikając z ekranu.

– Cholera – mruknął Nash.

Autobus pojechał dalej, zostawiwszy za sobą ludzi patrzących z niedowierzaniem na rozgrywającą się scenę.

– Mundurowi rozmawiali ze wszystkimi tymi ludźmi i nikt gościa nie pamięta – poinformował ich Kloz. – Większość siedziała z nosami w komórkach i działała na autopilocie. Nikt nie potrafił go opisać. A można by pomyśleć, że facet w fedorze czymś się wyróżnia.

– Ewidentnie skoczył przed maskę. To pewne – stwierdził Nash. – Nie

planował dotrzeć do skrzynki na listy. Samobójstwo pod kołami pojazdu masowego transportu.

– Oglądałem ten materiał ze sto razy, z różną prędkością i w powiększeniach. Nie ma wyraźnego ujęcia jego twarzy – powiedział Kloz. – Moim zdaniem grał przed kamerą. Nietypowy strój sprawia, że się wyróżnia, ale ustawił kapelusz pod takim kątem, żeby nie dało się zobaczyć twarzy. Wiedział dokładnie, co robi, i według mnie chciał, żebyśmy go widzieli, ale nie jego twarz. Stąd ten strój.

– #4MK wiedział, że umiera, lecz zamiast pozwolić naturze robić swoje, porwał ostatnią ofiarę, włożył najlepszy garnitur i urządził przedstawienie, żeby sobie zagwarantować, że zostanie zapamiętany? – zastanawiał się na głos Porter. – Oczekiwał, że znajdziemy ucho i skojarzymy fakty. Zostawił pamiętnik, bo przedstawia w nim swoją historię z własnej perspektywy, opowiada o swoim pochodzeniu. Zależało mu na tym, żeby nie było przekłamań w podręcznikach historii. Zawsze był drobiazgowy. Dlaczego miałby zostawić coś tak ważnego dziennikarzom i szaleńcom z Internetu? Nic nie jest tu tak przypadkowe, jak się wydawało z początku. Według mnie pozostałe przedmioty, które przy nim znaleźliśmy, zegarek, kwit z pralni, może nawet te drobne, mają jakieś znaczenie.

Nash ściągnął brwi.

– Chyba przesadzasz, Sam.

– Tani garnitur, Fedora, buty w złym rozmiarze... Niczego nie pozostawił przypadkowi. Nadal się nami bawi, uprawia jakąś grę, opowiada historię. I wszystko do siebie pasuje. Jakimś cudem ma znaczenie.

– Albo mógł mieć te rzeczy przy sobie zupełnie przypadkowo, gdy pocałował się z autobusem.

Porter westchnął.

– Chcę tylko powiedzieć, że nie wszystko jest spiskiem – dodał Nash.

– Ten facet działał od lat, nie zostawiając najmniejszej poszlaki. A teraz to wszystko? To coś znaczy.

Zadzwoił telefon Portera. Detektyw wyciągnął go z kieszeni i odebrał.

Przytakiwał, kiedy dzwoniący do niego mówił. Gdy się rozłączył, zabrał swoje kluczyki z biurka Kloza.

– To był Murray. Dzwonił z Flair Tower. Dopadli Burrow, kiedy jechała na górę windą gospodarczą.

25 Pamiętnik

Znalazłem matkę i ojca tarzających się po skrwawionej podłodze w swoich objęciach. Darli się przy tym jak dzieciaki w szczytowym momencie wakacji. Przyłożyłem palec do ust i uciszyłem ich.

– Co jest, mistrzu? – zapytał ojciec, który zatrzymał się na dość długą chwilę, by odgarnąć niesforny kosmyk długich włosów matki z jej twarzy, z widoczną na niej szkarłatną smugą, być może z odrobiną tłuszczu. Trudno było powiedzieć, bo matka była cała brudna.

– Pani Carter jest na górze. Weszła tylnymi drzwiami – powiedziałem cicho. – Szuka pana Cartera. Widziała, jak wchodził tu wcześniej. Jak wchodził do domu z matką. Obserwowałem ją z podwórka.

Trudno było odgadnąć myśli ojca. Zawsze było to trudne. Odwrócił się do matki.

– To prawda? Widziała?

Matka wzruszyła ramionami.

– Przypuszczam, że to możliwe. Zachowywał się zupełnie nieprzewidywalnie, wręcz brutalnie. Po prostu się broniłam. Lisa zrozumie. Jest bardzo wyrozumiałą kobietą.

Ojciec szybko omiół wzrokiem piwnicę i ocenił scenę. Pan Carter spływał krwią, nadal był przykuty do rury, a jego ciało prezentowało się znacznie gorzej niż wtedy, gdy się znudziłem i poszedłem na górę. Po jego śmierci kontynuowali cięcie go. To, co z niego zostało, nie przypominało człowieka, tylko górę mięsa, zabawkę porzuconą przez drapieżnika.

– Jest na górze – powtórzyłem. – Teraz.

Matka westchnęła.

– Nie nadajemy się do przyjmowania gości.

Ojciec zachichotał na te słowa.

– Może powinniśmy poprosić, żeby zajrzała do nas później?

– Wydaje mi się, że drzwi nie były zamknięte. Może tu wejść – zauważyłem. – Może już być w środku.

Ojciec wyplątał się z matki i wstał.

– To by było niewskazane.

Musiałem się z nim zgodzić.

– Myślisz, że potrafiłbyś ją odprawić? – zapytał ojciec.

– Nie... nie wiem – wyjąkałem.

– Jesteś już dużym chłopcem, mistrzu, praktycznie panem domu. Jesteś od niej mądrzejszy, nie mam co do tego wątpliwości. Zastanów się i znajdź jakiś sposób.

Nie mogła zobaczyć matki i ojca. Nie w takim stanie. A oni nie zdołają się przemknąć tak, żeby ich nie zauważyła. Drzwi od kuchni znajdowały się dokładnie naprzeciwko wejścia do piwnicy.

Po części miałem nadzieję, że weszła, że stała już na schodach i nas słuchała. Pomyślałem o niej nad jeziorem; i o tym, jak by to było, gdyby została przykuta łańcuchami w piwnicy.

– Jak sądzisz, mistrzu? Poradzisz sobie z nią?

Przytaknąłem.

– Tak.

26 Emory

Dzień pierwszy, 15.34

Emory skuliła się w rogu pod noszami; jedną dłoń przyciskała do ucha, drugą do ściany. Jednakże nie mogła zablokować tej muzyki. Była zbyt głośna. Jeszcze nigdy nie słyszała tak głośnego sprzętu. Była wiosną na koncercie Imagine Dragons w Allstate Arena z Kirstie Donaldson i stały niecały metr od sceny naprzeciwko największych głośników, jakie widziała. Były tak potężne, że dźwięk odrzucał im włosy na plecy, dzięki czemu zrobiły sobie fantastyczne selfie.

Ten dźwięk był jednak głośniejszy. Nie tylko głośniejszy; muzyka odbijała się od ścian. Rozbrzmiewała echem. Rytm wprawiał w drżenie jej kości.

Gdy zaczęła grać – zdaje się, że wiele godzin temu – Emory krzyknęła co sił w płucach, ale muzyka ją zagłuszyła. Jej głos gubił się za Pink Floydami, Janis Joplin i kilkoma innymi zespołami, które rozpoznawała, ale których nie potrafiła nazwać. Mimo to krzyczała dalej, wyrzucała z siebie wściekłość, nienawiść i strach gotujące się w niej i potrzebujące ujścia. Krzyczała tak długo, aż rozboleła ją gardło i poczuła pewność, że straciła głos, bez względu na to, czy go słyszała, czy nie. Krzyczała tak długo, aż jej język zamienił się w papier ścierny i migrena napierała jej na tył oczu.

Próbowała schować głowę między kolana i to na chwilę pomogło, ale teraz bolało ją prawe ramię z powodu niewygodnego ułożenia. Sfrustrowana szarpnęła kajdanki, lecz tylko wbiły się mocniej w nadgarstek. Miała ochotę się rozplakać, tylko że wyplakała już wszystkie łzy kilka godzin wcześniej.

Było jej zimno.

Nagie ciało stykało się z każdej strony z wilgotnymi i zimnymi powierzchniami.

– Mamo? – Mimo że wypowiedziała to słowo na głos, nie słyszała go. Zniknęło zagłuszone piosenką zespołu The Who będącą motywem przewodnim serialu *CSI: Kryminalne zagadki Las Vegas*. A może to był zespół The What... – Jesteś tu nadal, mamo?

Wyciągnęła głowę pomiędzy kolan i spojrzała do góry. Muzyka dobiegała gdzieś z góry. Po upływie wielu godzin wzrok Emory przyzwyczał się trochę do ciemności. Mimo że była niemal absolutna, dało się dostrzec niewyraźne kształty. Emory widziała nogi noszy, przynajmniej te znajdujące się najbliżej niej. Widziała rękę przykutą do barierki, a nawet kawałek samej barierki. Spróbowała przesunąć kajdanki z jednego końca na drugi, bo miała nadzieję, że się zsuną, ale zamiast tego minęły tylko narożnik i uderzyły o kolejną rurkę, krzyżującą się z poprzednią, i utknęły w miejscu. A potem...

Coś przebiegło jej po nodze. Emory krzyknęła i podciągnęła nogi pod siebie.

Co to było? Karaluch?

Nie. To było zbyt duże. Może mysz albo...

Oby to nie był szczur. Nienawidziła szczurów. Widywała je czasami, jak wystawiały łebki ze studzienek kanalizacyjnych. Miały oczy jak paciorki i ostre żółte zęby, którymi szczękały z głodu, gdy biegły ciemnymi uliczkami do kontenerów ze śmieciami, żeby poszukać czegoś do jedzenia. Jedzą wszystko. Słyszała, że czasami atakują bezdomnych całymi stadami, tylko że w ich przypadku nie mówi się chyba o stadach. Znała właściwe słowo. Pytano o nie w teście z przyrody, który zdawała kilka lat temu. Gromada. Właśnie! Grupę szczurów nazywa się gromadą. Określenie to wydawało się jej głupie i nadal tak o nim myślała, ale znała je. I jedyną rzeczą gorszą od jednego szczura było więcej szczurów. Gromada.

– Mamo?

Coś otarło się o jej udo. Podskoczyła, aż uderzyła głową o nosze. Proszę, tylko nie szczury. Prawdopodobnie bardzo dobrze widzą w ciemności. Wyobraziła sobie włochate stworzenie stojące w rogu i przyglądające się jej,

z pyskiem ociekającym śliną, w której roi się od chorób.

„Nie chcę być fatalistką, ale muszę o coś zapytać. Co jada szczur tkwiący w betonowym bunkrze razem z nagą dziewczyną?”

Emory jęknęła i nawet słyszała się przez sekundę. Potem zaczęła się solówka gitarowa, która wypaliła doszczętnie jakiekolwiek inne dźwięki. Dziewczyna wdrapała się na nosze.

„Wiem, że szczury nie są wybredne. Cieszą się z każdego pożywienia, jakie się im podsunie. Myślę sobie, że ładna młoda dziewczyna stanowiłaby łakomy kąsek, nie sądzisz? Można by cię nazwać wołowiną z Kobe w porównaniu z zasuszonym bezdomnym”.

Emory wpatrywała się w ciemność wokół siebie. Czowała, że zwierzę ją obserwuje, ale nie widziała go.

„Ciekawe, czy potrafią się wspinać”.

Nosze pisnęły, kiedy przesunęła się na pupie na ich środek.

„Idę o zakład, że jeśli jest ich kilka, mogą ustawić się w piramidę i sięgnąć na górę. To pomysłowe stworzenia. Słyszałam, że czasami gryzą ofiarę w policzek, żeby otworzyła oczy, bo wtedy mogą wyciągnąć gałkę oczną z oczodołu. Zarzucają przynętę i biorą, co chcą. Są sprytne”.

– To nie jest szczur – powiedziała Emory do siebie. – No bo jak by się tu dostał?

„No właśnie. Tylko że on jakoś cię tutaj umieścił. Może wrzucił tu też jednego, dwa lub trzy szczury? Przecież ten człowiek odcina ludziom części ciała i wysyła ich rodzinom. Facet ma raczej wątpliwe upodobania w kwestii rozrywki. Może nie grać w otwarte karty”.

Serce Emory waliło. Czowała rytmiczne łup, łup, łup w miejscu odciętego ucha.

Kiedy szczur przebiegł obok niej tym razem, widziała go na pewno, chociaż tylko przez chwilę. Potem pulchny gryzoń zniknął w mroku.

27 Pamiętnik

Wchodziłem po schodach w ślimaczym tempie, a mózg aż mi parował, gdy usiłowałem wymyślić przekonującą historię. Jak mam ją powstrzymać przed wejściem do domu albo, co gorsza, zejściem do piwnicy?

Zastałem ją siedzącą przy kuchennym stole. Znowu płakała. Otarła oczy mokrą serwetką i skubała kromkę chleba.

Kiedy dotarłem na górę, zamknąłem za sobą drzwi. Framuga puchła w letnie miesiące i musiałem mocno pociągnąć za klamkę, żeby zamknąć je, jak należy.

Przeszedłem przez kuchnię i usiadłem przy stole. Nie odrywałem wzroku od zimnego gulaszu.

– Mamy problem z bojlerem. Matka jest na dole i pomaga ojcu go naprawić.

Mówiłem łagodnym głosem, tak cicho, że sam ledwie się słyszałem. To nie było najbardziej pomysłowe kłamstwo, ale musiało wystarczyć. Spojrzałem na nią, na jej znękaną twarz.

Pani Carter odwzajemniła spojrzenie. Siniaki ściemniały jeszcze bardziej w ciągu minionych kilku minut, opuchlizna nasiliła się. Jak mężczyzna mógł zrobić coś takiego kobiecie, którą kochał? Noga podskakiwała jej pod stołem. Gdy się odezwała, głos miała słaby i nieobecny.

– On nie żyje, prawda?

To było raczej stwierdzenie niż pytanie, wypowiedziane beznamiętnie, bez cienia emocji.

– Rodzice naprawiają bojler. Trudno naprawić tę starą bestię.

Pokręciła głową i westchnęła.

– Możesz mi powiedzieć prawdę.

Ojciec kazał mi się nią zająć. Chciał, żebym rozwiązał ten problem. Czy jeśli jej powiem, ją również zabiją? Czy jeśli będzie musiała umrzeć, to przeze mnie?

Musiała jednak się dowiedzieć. Miała do tego prawo. Co by zrobiła, gdybym jej nie powiedział? Poszłaby do domu i zadzwoniła na policję? Powiedziałyby im, że pan Carter do nas przyszedł i nie wrócił do domu? Musiałem jej powiedzieć.

– Próbował zrobić krzywdę matce. Broniła się. Nikt nie będzie jej obwiniał.

Znowu westchnęła. Zacisnęła dłoń na pomiętej serwetce.

– Przypuszczam, że nie.

– Zaprowadzę panią do domu – zaproponowałem.

Pani Carter otarła nos wierzchem dłoni.

– A co z... Co zrobili z... O Boże, on naprawdę nie żyje?

Z jej oczu znowu popłynęły łzy. Wiele lat później będzie to dla mnie zagwozdką. Kobiety zdawały się mieć bezkresne zasoby łez. Zalewały się łzami z taką łatwością, pod wpływem najsłabszej emocji. Z mężczyznami tak nie było. Rzadko płakali, przynajmniej z powodu emocji. W ich wypadku wyzwalaczem był ból; to on odkręcał kurek do końca. Kobiety doskonale radziły sobie z bólem, ale nie z emocjami. Mężczyźni radzili sobie z emocjami, ale nie z bólem. Różnice były niekiedy subtelne, niemniej istniały.

Ja nigdy nie płakałem. Wątpię, bym kiedykolwiek płakał.

Wstałem z krzesła i podałem pani Carter rękę.

– Chodźmy. Zaprowadzę panią do domu.

28 Porter

Dzień pierwszy, 16.17

Funkcjonariusz Thomas Murray spotkał się z Porterem i Nashem przy drzwiach wejściowych do apartamentu Emory. W jednej ręce trzymał kubek z kawą, a w drugiej kanapkę. W kąciку ust miał majonez; druga porcja majonezu spływała powoli z przodu koszuli mundurowej. Porter chciał mu powiedzieć o sosie, który wyciekł, ale postanowił tego nie robić. Zastanawiał się, po jakim czasie majonez pokona drogę i spadnie na podłogę. Nash też to widział i nie odezwał się ani słowem. Wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– Widzę, że się rozgościłeś? – zagaił Porter, wchodząc do środka.

Murray ugryzł kęs kanapki i otarł usta rękawem.

– To jest lepsze od tkwienia przez osiem godzin w radiowozie – burknął w czasie przeżuwania. Skinął głową w stronę salonu. – Ta kanapa ma wbudowane magiczne paluszki albo coś w tym stylu. Kiedy na niej siadasz, masuje cię. Telewizor też wie jakimś cudem, kiedy jesteś w pokoju. Wystarczy, że wejdiesz, a się włącza. To nie znaczy, że ociągają się z robotą, a na pewno nie dłużej niż przez minutę lub dwie. A na dole mają restaurację i delikatesy. To tam kupiłem kanapkę. Chyba najlepsza, jaką w życiu jadłem. – Wziął kolejny kęs. Spomiędzy pieczywa wypadł kawałek szynki, który wylądował na bucie.

– Gdzie ona jest, Tom? – zapytał Porter, coraz bardziej zniecierpliwiony.

Murray machnął ręką w stronę przedpokoju i prawie wylał kawę z kubka.

– Jest w swoim pokoju, drzwi po lewej stronie, nie po prawej. Ma na imię

Nancy. Nancy Burrow. Jest naprawdę wygadana.

Porter przepchnął się obok mężczyzny i ruszył w stronę pokoju. Nash rzucił po drodze:

– Też chcę coś takiego.

Murray ściągnął brwi.

– Kanapkę i kawę?

– Kanapkę – odparł Nash.

– Aha. Ja też. – Murray wziął kolejny kęs kanapki i zaklął, kiedy majonez zakończył swoją wędrówkę i wylądował na drewnianej podłodze z wyraźnym chlapnięciem.

Drzwi pokoju były zamknięte. Porter zapukał delikatnie.

– Panno Burrow? Detektyw Sam Porter z policji Chicago. Czy mogę wejść?

– Drzwi są otwarte, detektywie – odparł głos z drugiej strony. Kobieta miała nieznaczący australijski akcent, przez co skojarzyła mu się z Nicole Kidman.

Porter nacisnął na klamkę i otworzył drzwi.

No dobra, z postawną Nicole Kidman. Wazącą ze sto trzydzieści albo i więcej kilogramów.

Nancy Burrow siedziała przy biurku w kącie pokoju z książką na pulchnych kolanach. Ściągnęła brwi, kiedy Porter wszedł do pokoju.

– Ten neandertalczyk zamknął mnie w pokoju i plądrował kuchnię, a Bóg wie, co jeszcze. Proszę mi wierzyć, że zamierzam się poskarżyć pańskiemu przełożonemu, że już nie wspomnę o panu Talbocie. Nie będzie tolerował czegoś takiego, to pewne. Ktoś nawet miał czelność szperać w moich ubraniach, przedmiotach osobistych. Co wam daje prawo robić takie rzeczy?

Porter posłał jej swój uśmiech pod tytułem „przychodzimy w pokojowych zamiarach”.

– Najmocniej przepraszam, panno Burrow. Staramy się z całych sił zna-

leżć Emory. Pan Talbot dał nam pozwolenie na wejście do mieszkania. Nikogo nie było, a my szukaliśmy czegokolwiek, co pomogłoby nam znaleźć jego córkę. Jeśli ktoś przejrzał pani rzeczy osobiste, to z jak najlepszymi intencjami.

Zmrużyła oczy.

– Spodziewaliście się znaleźć jakąś wskazówkę w szufladzie z moją bielizną?

Porter nie potrafił na to odpowiedzieć. Zerknął na Nasha, który tylko wzruszył ramionami. Postanowił zignorować pytanie.

– Mogłaby nam pani powiedzieć, dokąd poszła wcześniej?

– Byłam na zakupach.

– Miała przy sobie zakupy, gdy wróciła – potwierdził Murray stojący w progu. – Ale nie rozumiem, jak ktoś może spędzić siedem godzin w supermarkecie.

Kobieta westchnęła głęboko.

– Skoro już muszą panowie wiedzieć, dzisiaj mam wolne. Byłam u fryzjera i zajmowałam się paroma innymi sprawami. Od kiedy to wyjście z domu jest przestępstwem?

Porter przeniósł ciężar ciała na drugą nogę.

– Kiedy widziała pani Emory po raz ostatni, pani Burrow?

– Wyszła pobiegać wczoraj wieczorem około osiemnastej. Najdalej kwadrans po – odparła. – Zanosilo się na deszcz, ale chciała wyjść mimo wszystko.

– Nie zmartwiła się pani, że nie wróciła?

Burrow pokręciła głową.

– Pomyślałam, że poszła do domu swojego chłopaka. Ostatnio spędzali ze sobą sporo czasu.

– Kiedy się pani zorientowała, że coś jest nie tak?

Kobieta popatrzyła na książkę na kolanach.

– Chyba się nie zorientowałam. Jak już mówiłam, czasami odwiedzała swojego chłopaka.

– Ma piętnaście lat – zauważył Nash. – Ma wracać do domu o dwudziestej? Dwudziestej pierwszej? Dwudziestej drugiej? Mam córkę w jej wieku. Nie pozwoliłbym jej biegać po mieście po zmroku, zwłaszcza z chłopakiem.

– Nie jestem jej matką, detektywie.

Porter wskazał na zdjęcia na toaletce.

– Odegrała pani ważną rolę w wychowaniu jej. Najwyraźniej jest jej pani bliska.

Burrow przyjrzała się zdjęciom, a potem popatrzyła na policjantów.

– Staralam się zawsze jej służyć i będę pierwszą osobą, która przyzna, że z biegiem lat bardzo się zbliżyłyśmy, ale jej ojciec wyraźnie dał mi do zrozumienia, że jestem tylko jego pracownikiem, nikiem więcej, i jeśli przekroczę pewną granicę, z łatwością zastąpi mnie kimś innym. Abstrahując od uczuć, którymi darzę Emory, lubię tę pracę i nie mam ochoty tracić zatrudnienia.

– Na czym polegają pani obowiązki, pani Burrow? – zapytał Nash.

– Przede wszystkim jestem nauczycielką Emory. Towarzyszę jej od czasu śmierci jej matki. Nadzoruję jej naukę, a także zajmuję się domem.

– Jak pani Doubtfire?

Ściągnęła brwi.

– Kto?

Porter pchnął Nasha.

– Nieważne. Emory nie chodzi do szkoły? – dopytywał Porter.

Kobieta znowu westchnęła.

– System edukacji w naszym kraju pozostawia wiele do życzenia, detektywie. Pan Talbot pragnął, żeby Emory zdobyła jak najlepsze wykształcenie. A taki poziom można osiągnąć wyłącznie w nauczaniu indywidualnym. Skończyłam Oxford z wyróżnieniem. Mam dwa doktoraty, jeden z psychologii, a drugi z literatury. Spędziłam też trzy lata w Ośrodku Badań Rodziny w

Cambridge. Stworzyłam warunki, w których intelekt Emory może rozkwitać, zamiast być ograniczany przez niekompetencję nauczycieli i rówieśników z lokalnej szkoły. W wieku sześciu lat czytała na poziomie dziecka z piątej klasy. Wiedzę matematyczną prześcignęła poziom liceum, gdy miała dwanaście lat. Będzie gotowa podjąć studia w przyszłym roku, dwa lata wcześniej od przeciętnego ucznia w naszym kraju.

Porter zwrócił uwagę na to, że kobieta recytowała te fakty, jakby czytała własny życiorys. Prawdopodobnie już nieraz broniła edukacji domowej.

– Kto zajmuje się jej wychowaniem? Kto jej mówi, żeby nie piła? Kto ocenia jej chłopaków? Jak to możliwe, że ma chłopaka w wieku piętnastu lat?
– dociekał Nash.

Pani Burrow wywróciła oczami.

– Jeżeli wpoi się dziecku odpowiednie zasady na wczesnym etapie, takie dziecko okazuje się dojrzałe od innych. I zasługuje na zaufanie.

– Czyli jeśli zachce się jej biegać po mieście w środku nocy, można na to przymknąć oko? – ryknął Nash.

– Nash, dość tego – powiedział Porter.

– Przepraszam, ale wydaje mi się, że gdyby ta dziewczyna miała w życiu kogoś, kto odgrywa rolę rodzica, nie biegałaby tuż przed zmrokiem. Dlaczego nikt nie pilnował jej bardziej?

Burrow ściągnęła brwi.

– Emory jest wyjątkową dziewczyną. Jest inteligentna i pomysłowa. O wiele bardziej ode mnie, gdy byłam w jej wieku. Prześciga pod tym względem większość ludzi. Tak długo, jak nadaża z nauką, nie ma powodu, by ją denerwować.

Nash poczerwieniał.

– Denerwować? Kto tu jest szefem, do diaska?

Burrow miała dość.

– Detektywie Nash, pracuję dla pana Talbota. Moje obowiązki mają związek z ocenami tej dziewczyny. Jeżeli pan Talbot życzyłby sobie, żebym grała

w jej życiu rolę rodzica, robiłabym to z największą przyjemnością, ale on tego nie chciał, kiedy mnie zatrudnił, i nadal nie chce. Jeśli ma pan pytania lub coś pana niepokoi w wychowaniu Emory i środowisku, w którym się obraca, proponowałabym wyrazić swoje wątpliwości w rozmowie z panem Talbotem. Proszę nie oczekiwać, że będę tu siedziała i przyjmowała cięgi w związku z okolicznościami, na które nie mam wpływu. Rozmawiam z panami dobrowolnie, a pan nie daje mi powodów, żebym chciała kontynuować.

Nash był gotów otworzyć usta i wygłosić ripostę, ale Porter ścisnął go za ramię.

– Może byś się przeszedł i spuścił trochę pary? Zajmę się tym.

Nash posłał im sfrustrowane spojrzenie i wypadł z pokoju.

– Przepraszam, pani Burrow. To było nieprofesjonalne i niedopuszczalne zachowanie.

Potarła brodę.

– Rozumiem jego wątpliwości, ale gdy nie zna się pana Talbota lub Emory...

Porter podniósł rękę.

– Nie musi się pani tłumaczyć.

– Troszczę się o nią, naprawdę. Cierpię na myśl, że może być w opałach.

– Kiedy się pani dowiedziała, że ją porwano? – zapytał Porter.

– Pan Talbot zadzwonił do mnie jakąś godzinę temu – odpowiedziała. – Był zdenerwowany, prawie w hysterii. Powiedział, że grał w golfa ze swoim prawnikiem. Znalazło go dwóch policjantów i przekazało wiadomość. – Zamilkła. – Mam wolny dzień, więc miałam wyłączony telefon. W przeciwnym razie na pewno dowiedziałabym się o wszystkim wcześniej. Od razu wróciłam do domu. – Wzięła głęboki wdech. – Gdybym się dowiedziała wcześniej...

Porter położył dłoń na jej ramieniu.

– Już dobrze, pani Burrow. Jest już pani tutaj.

Przytaknęła i zmusiła się do uśmiechu.

– Jak wyglądają jej relacje z ojcem?

Kobieta westchnęła.

– Aż do dzisiejszego poranka jedyną emocją okazywaną przez tego człowieka była złość. Zwykle zachowuje rezerwę i jest powściągliwy, zwłaszcza w stosunku do Emory. Rzadko ją odwiedza. Mam obowiązek składać mu co tydzień raport z postępów w jej nauce. W ten sposób ją kontroluje, na odległość. Rozumiem, że musi zachowywać dyskrecję, ale jest przecież jej ojcem. Można by się spodziewać, że chciałby być bardziej zaangażowany w jej życie.

– Ale chyba rozmawiają przez telefon?

Wzruszyła ramionami.

– Owszem, ale te rozmowy nie przypominają rozmów ojca z córką. Dziewczyna ma sponsora, to wszystko, i świetnie zdaje sobie z tego sprawę. Boi się go i chce go zadowolić, ale nie ma w tym miłości. To dlatego jego reakcja tak bardzo mnie zszokowała. – Pochyliła się i ściszyła głos. – Gdyby zadał mi pan to pytanie tydzień temu, powiedziałabym, że ten człowiek prędzej by się uśmiechnął na wieść o jej porwaniu, niż uronił łzę. Od lat ma na głowie córkę z nieślubnego łoża i pieniądze nie są rozwiązaniem tego problemu. Zżera go to. Nie lubi nie mieć nad czymś kontroli. Potrafi być bardzo, bardzo zimny.

– Myśli pani, że mógł być w to zaangażowany?

Zastanawiała się przez chwilę, a potem usiadła prosto.

– Nie. To jest drań bez serca, ale nie sądzę, żeby chciał skrzywdzić swoje dziecko. Ani kogoś innego, jeśli chodzi o ścisłość. Gdyby chciał ją usunąć ze swojego życia, zrobiłby to lata temu. Tej dziewczynie niczego nie brakuje. Ojciec zapewnia jej wszystko, co najlepsze.

– W zamian za milczenie? – podsunął Porter.

– W zamian za współpracę – odparła pani Burrow. – Nigdy nie słyszałam, żeby prosił, aby trzymała ich związek w tajemnicy. Po prostu się rozumieją.

Stojący w progu Murray ugryzł chipsa ziemniaczanego. Porter zgromił go wzrokiem. Policjant uniósł ręce w geście poddania się i wyszedł z pokoju. Porter popatrzył na panią Burrow.

– Zaobserwowała pani coś dziwnego w dniach lub tygodniach poprzedzających wczorajsze porwanie? Wspominała o czymś? Ktoś ją śledził? Odbierała jakieś dziwne telefony? Działo się coś nietypowego?

Burrow pokręciła głową.

– Nie przypominam sobie niczego takiego.

– A powiedziałaaby pani o tym?

– W przeciwieństwie do tego, co myśli pański partner, Emory i ja byliśmy, to znaczy jesteśmy żyte. Zwierzała mi się w innych kwestiach. Gdyby coś ją niepokoiło, raczej by o tym wspomniała.

– W innych kwestiach?

Kobieta poczerwieniała.

– To babskie sprawy, detektywie. Nie warto o tym mówić.

– Istnieje duże prawdopodobieństwo, że mężczyzna, który ją porwał, mógł ją od pewnego czasu obserwować. Czy w jej życiu pojawił się ktoś nowy? Widziała pani niedawno w budynku kogoś, kogo pani nie znała? A może widziała pani kogoś tutaj, a potem gdzie indziej, na przykład w sklepie?

– Myśli pan, że ją śledził?

Porter wzruszył ramionami.

– Nie wiemy tego. Mogę tylko powiedzieć, że on jest bardzo ostrożny. Niczego nie pozostawia przypadkowi. Nie sądzę, żeby porwanie jej z parku było efektem decyzji podjętej pod wpływem chwili. Najprawdopodobniej obserwował ją, poznał jej rutynę, analizował, gdzie i kiedy ją spotka. Panią też pewnie śledził.

Spuściła wzrok na swoje dłonie i pokręciła głową.

– Nie przypominam sobie nikogo takiego. Ten budynek jest bardzo dobrze zabezpieczony. Myśli pan, że mógł się dostać do środka?

– W przeszłości wchodził do znacznie lepiej strzeżonych budynków. Jeśli miałby powód, żeby tu wejść, znalazłby na to sposób.

Pani Burrow zacisnęła usta.

– Książka.

Porter ściągnął brwi.

– Jaka książka?

Burrow wstała, minęła go w drzwiach i prawie wbiegła na Murraya w przedpokoju. Kiedy Porter ruszył szybko za nią, nie mógł się nadziwić jej szybkości. Była przecież dość postawną kobietą. Znalazł ją stojącą obok biurka. Trzymała w dłoni podręcznik matematyki, który widzieli już wcześniej.

– Zobaczyłam go trzy dni temu i zapytałam o niego Emory. Zrealizowała program z matematyki dwa lata temu. Zdziwiło mnie, że kupiła książkę poświęconą temu przedmiotowi, zwłaszcza tak banalną. Jej wiedza znacznie wykraczała poza to, co ten podręcznik ma do zaoferowania. Powiedziała mi, że nie kupiła tej książki i nie wie, skąd się tu wzięła.

Porter przyjrzał się książce nieufnie.

– Proszę to odłożyć, pani Burrow.

29 Pamiętnik

Drzwi z siatką z tyłu domu Carterów były otwarte. Targał nimi wiatr, który uderzał nimi o łuszczącą się białą framugę. Złapałem za klamkę i przytrzymałem drzwi, żeby pani Carter mogła wejść do środka. Weszła do ciemnej kuchni. Przez całą drogę nie odezwała się ani słowem. Oboje milczeliśmy. Gdyby nie pociągała nosem, nie wiedziałbym, że szła za mną.

Zatrzasnąłem drzwi i przekręciłem zamek. Wiatr na zewnątrz zawył na znak protestu.

Pani Carter oparła się oburącz o blat i pochyliła głowę, zwrócona twarzą do zlewu. Oczy jej lśniły, zatopione w zadumie. Wypatrzyłem butelkę burbona na stole obok szklanki z wizerunkiem Snoopy'ego i Woodstocka, wyblakłym po latach częstego mycia. Podszedłem do stołu i nalałem do szklanki jakieś dwa centymetry trunku. Na dwa palce, jak mawiał ojciec.

– Nie jesteś na to trochę za młody? – zapytała pani Carter. Odwróciła się i patrzyła na mnie.

Podąłem jej szklankę.

– To dla pani.

– Och, nie mogłabym.

– Chyba pani powinna.

Ojciec nigdy nie stronił od drinka po długim dniu w pracy. Wiedziałem, że koktajl pomagał mu się rozluźnić. Pani Carter potrzebowała rozluźnienia ponad wszelką wątpliwość.

Zawahała się, przyglądając się brązowemu trunkowi, a potem przyjęła szklankę i przysunęła ją do zapuchniętych ust. Połknęła burbona jednym haustem i odstawiła szklankę na blat zdecydowanym gestem. Zadrżała i lekko westchnęła.

– O rety.

Nie potrafiłem powstrzymać uśmiechu. Przeżywaliśmy wspólnie dość dorosłą chwilę. Jak para kumpi, którzy wychylił kilka szklaneczek w kuchni. Też miałem ochotę spróbować, ale powiedziałem sobie, że to zły moment. Musiałem zachować trzeźwość umysłu. Ten wieczór się jeszcze nie skończył.

– Chce pani jeszcze? – zapytałem.

Gdy przytaknęła, nalałem jej kolejną porcję, tym razem o palec więcej.

Wypiła trunek jeszcze szybciej niż poprzednio, bez wzdrygnięcia się i z cieniem uśmiechu, następnie usiadła przy stole.

– Simon był dobrym człowiekiem, najczęściej. Nie chciał mnie tak naprawdę skrzywdzić. To było... przez tę presję. Nie zasługiwał, żeby...

Usiadłem obok niej.

W szkole potrzebowałem godziny, aby zdobyć się na odwagę i zapytać dziewczynę, czy mógłbym pożyczyć od niej ołówek. Pani Carter miała jednak w sobie coś, przez co czułem się swobodnie. Nie czułem typowego ucisku w żołądku, ani gęsiej skórki na karku. Wyciągnąłem rękę i dotknąłem siniaków na jej policzku. Znacznie ściemniały w ciągu minionych dwudziestu minut.

– Skrzywdziłby panią bardziej, może nawet zabił.

Pokręciła głową.

– Nie mój Simon. On taki nie był.

– Ależ był. Niech pani spojrzy, co pani zrobił.

– Zasłużyłam na to.

Wizja pani Carter z matką stanęła mi przed oczami. Wiedziała, że je widziałem?

– Nie mogła pani zrobić niczego, czym zasłużyłaby sobie na takie cięgi. Mężczyzna nie powinien podnosić ręki na kobietę. Nie, jeśli jest prawdziwym mężczyzną.

Uśmiechnęła się.

– Ojciec cię tego nauczył.

Przytaknąłem.

– Kobiety należy szanować, radować się nimi. Są dla nas darem. – Powiedział mi też, że są słabe i nie potrafią się bronić przed fizyczną lub werbalną przemocą, ale tę część pominąłem.

– Twój ojciec jest uroczym człowiekiem.

– Tak.

Pani Carter sięgnęła po burbona i napełniła sobie szklanekę, po czym przysunęła butelkę

do mnie.

– Może chcesz spróbować? Czy piłeś już kiedyś alkohol?

Pokręciłem głową. Skłamałem. Ojciec zrobił mi martini na urodziny. Matka naląła sobie kieliszek swojego ulubionego czerwonego wina i wznieśliśmy toast. Większą część drinka wypłułem na stół, a reszta tak mnie paliła w przełyku, że nie odważyłem się wypić trunku do końca. Matka się zaśmiała, a ojciec poklepał mnie po plecach.

– Zamiłowania do tego nabiera się z czasem, mistrzu. Pewnego dnia to pokochasz. Obawiam się jednak, że to nie jest ten dzień! – I też się zaśmiała. – Może jesteś typem, który będzie wolał piwo – zażartował.

Pani Carter jeszcze raz pchnęła butelkę.

– Śmiało, nie bój się. Nie ugryzie cię. Chyba nie chcesz, żebym piła sama, co? Byłoby to niegrzeczne. – Jej głos nie był już taki zachrypnięty. Jeszcze nie bełkotała, ale nawet chłopak z tak ograniczonym doświadczeniem jak ja potrafił stwierdzić, że nieźle się już wstawiała.

„Załatw to jakoś, mistrzu”.

Chwyciłem butelkę i zdjąłem nakrętkę. Na etykiecie widniał napis: Evan Williams Kentucky Bourbon. W świetle wiszącej nad stołem lampy trunek lśnił jak cukierek w płynie. Podniosłem butelkę do ust i pociągnąłem mały łyk. Poczułem pieczenie, ale nie tak silne jak w wypadku martini. Może tym razem byłem na to przygotowany, albo nabyłem tolerancji. Ten alkohol nie był... zły. Może nie był moim ulubionym, ale nie nazwałbym go złym. Trochę mnie rozgrzał; poczułem ciepło w brzuchu. Pociągnąłem kolejny łyk, nieco większy od poprzedniego.

Pani Carter się zaśmiała.

– Patrzcie tylko! Zachowujesz się jak stary wyga. Gdybym dała ci cygaro i czapkę gazeciarza, mógłbyś zagrać z chłopakami w pokera.

Uśmiechnąłem się i podsunąłem jej butelkę.

– Chce pani jeszcze?

– Dlaczego planujesz mnie upić?

– Ależ skąd. Pomyślałem tylko...

– Daj mi to – rzuciła, sięgając po butelkę.

Tym razem nie zawracała sobie głowy szklanką. Pociągnęła łyk prosto z butelki, jak ja. Kiedy odstawiała ją na stół, znowu się wzdrygnęła.

– Kawa się nadawa, lecz gorzała lepiej działa – powiedziałem.

Zaśmiała się.

– Gdzieś ty to słyszał?

– Ojciec tak kiedyś powiedział. Ostro się wstawił tamtego wieczoru.

– Ten twój ojciec wydaje się bardzo interesującym człowiekiem.

Zastanawiałem się, czy się jeszcze nie napić. Po pierwszym razie poczułem ciepło, spokój. Miło jest być spokojnym. Skinąłem w stronę butelki i pani Carter mi ją podsunęła. Na jej twarzy pojawił się uśmiech i wybuchnęła śmiechem.

– Co się stało? Co takiego zrobiłem?

Zbyła mnie machnięciem ręki i zaśmiała się jeszcze głośniej. Czułem uśmiech na ustach i nie potrafiłem powstrzymać śmiechu, mimo że nie rozumiałem, co ją tak rozbawiło.

– Proszę mi powiedzieć! – poprosiłem. – Musi mi pani powiedzieć!

Pani Carter położyła obie dłonie na stole i przestała się śmiać. Zaciśnęła usta. A potem powiedziała:

– Pomyślałam sobie, że jeśli pošlę cię do domu pijanego, twoi rodzice mogą chcieć mnie zabić.

Przyglądałem się jej przez chwilę, nie spuszczać z niej oka. A potem zanieśliśmy się gardłowym, prowadzącym do łez śmiechem, przez który boli brzuch.

Sięgnęła po butelkę i pociągnęła łyk.

– To był ulubiony alkohol Simona. Burbon sprawiał, że robił się zły. Na ciebie tak nie działa, prawda?

Pokręciłem głową.

– Na mnie też nie. Więc dlaczego on był po nim taki zły? Dlaczego się wściekał i krzywdził mnie za każdym razem, gdy dotykał tej butelki? Dlaczego nie mogło być jak z nami teraz? Wesoło. O Boże, on naprawdę nie żyje. Mojego Simona naprawdę nie ma. Oni go naprawdę zabili, prawda?

Może ponowne sięgnięcie po butelkę było jednak kiepskim pomysłem. Naprzeciwko mnie siedziały dwie panie Carter. Jeśli patrzyłem na nie przymrużonymi oczami, zlewały się w jedną, ale potem znowu były dwie. Zasłoniłem jedno oko, potem drugie, potem znowu pierwsze.

Pani Carter zamilkła. Wtem odezwała się cicho: – Wiem, że mnie wtedy widziałeś. Nad jeziorem.

Poczułem przyływ adrenaliny i dwie panie Carter stały się jedną. I tak trwały.

– Pani... pani wie?

Przytaknęła powoli.

– Aha.

Twarz mi płonęła. Spuściłem wzrok i patrzyłem na stół, na burbona. Sięgnąłem po

butelkę, ale zanim zdążyłem ją chwycić, pani Carter wzięła mnie za rękę. Trzęsła się.

– Chyba chciałam, żebyś mnie zobaczył. Widziałam, jak chodziłeś tam z wędką. Wiedziałam, że tam będziesz.

– Dlaczego...

– Czasami kobieta chce, żeby ktoś jej pragnął. To wszystko. – Pociągnęła kolejny łyk.
– Myślisz, że jestem ładna?

Przytaknąłem. Była jedną z piękniejszych kobiet, jakie kiedykolwiek widziałem. No i była kobietą. Nie dziewczynką ze szkoły, której dopiero zaczynały rosnąć piersi i która wyrosła z zabawy w księżniczkę, i która podawała liściki i kochała się w najpopularniejszym zespole pop. Była kobietą i rozmawiała ze mną o tym. Owo uczucie na dole powróciło, ów przyływ krwi. Wiedziałem, że nie widzi, co się dzieje pod stołem, ale mimo to byłem zażenowany. Wyrwałem dłoń z jej ręki i przysunąłem butelkę do ust. Tym razem nic mnie nie piekło. Trunek okazał się przepyszny.

Podąłem jej butelkę, a ona nie oponowała. Wypiła prawie jedną czwartą, zanim próbowała odstawić ją na stół. Nie wcelowała. Butelka spadła na podłogę i rozbiła się z hukiem. Szkło i burbon wylądowały u naszych stóp.

– O rety... – rzuciła. – Ale nabałagałam.

– Nic się nie stało. Posprzątam to. – Wstałem i rozglądałem się za ścierką.

Pokój wokół mnie zawirował. Przytrzymałem się oparcia krzesła i powoli oddychałem głęboko, aż kuchnia stanęła w miejscu. Pani Carter obserwowała mnie ze swojego krzesła z żółtego winylu i metalu, a potem oparła głowę na stole na przedramionach.

Stałem w zupełnej ciszy. Nie ruszałem się do chwili, gdy jej oddech zrobił się rytmicznie senny. A potem wyszedłem w coraz zimniejszą noc.

Musiałem iść po matkę i ojca. Potrzebowałem pomocy, żeby ją związać.

30 Porter

Dzień pierwszy, 16.49

– Jest stara. Już nie ma dodruków. – Watson czytał informacje na małym wyświetlaczu swojego iPhone’a, gdy razem z Porterem i Nashem wisiał nad książką leżącą na biurku Emory. – *Matematyka w czasach współczesnych*, Winston Gilbert, Thomas Brothington i Carmel Thorton. Po raz pierwszy wydana w tysiąc dziewięćset dwudziestym trzecim roku. Po raz ostatni w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym siódmym.

Watson pochylił się nad czarną walizeczką leżącą z boku i wyjął z niej mały pędzelek oraz proszek do zdejmowania odcisków palców. Zanurzył pędzelek w proszku i zaczął muskać włosiem wierzch podręcznika, zakreślając dłonią koliste ruchy, żeby pokryć powierzchnię równą warstwą.

– Powodzenia przy zwrocie książki do biblioteki – burknął Nash.

Watson go zignorował. Sięgnął do walizeczki i wyciągnął dużą latarkę, włączył ją i pochylił się nad książką.

– To jest standardowe wyposażenie? – zainteresował się Porter.

Watson pokręcił głową.

– Fenix siedemset pięćdziesiąt. Diody LED o łącznej mocy dwóch tysięcy dziewięćset lumenów. Mniej więcej dwukrotnie wyższa od mocy latarek, które dostajemy z zaopatrzenia. Ma też funkcję podczerwieni i tryb stroboskopowy.

Nash gwizdnął.

– Zmyślna latareczka. Wygląda na to, że my, gliniarze, prosimy Świętego

Mikołaja o nową spluwę, a wy o latarki. To ma sens.

– Widzisz coś? – zapytał Porter.

Watson pochylił się jeszcze bardziej.

– Tylko jeden komplet odcisków, najprawdopodobniej Burrow. Będę musiał wziąć od niej próbkę, żeby to potwierdzić. Spójrzcie na grzbiet. Ani jednego zagniecenia. Uważam, że nigdy nie korzystano z tego podręcznika. Jest w wyjątkowo dobrym stanie.

– Nie chcę być posądzony o spiskową teorię dziejów, ale czy ktoś mógł przy nim majstrować? – zapytał Nash.

Porter ściągnął brwi.

– Majstrować?

– No tak. Umieścić w nim bombę albo go wydrążyć?

Watson zaczął unosić okładkę.

– Nie rób tego! – krzyknął Nash i cofnął się pod ścianę.

Okładka upadła na biurko z miękkim łupnięciem. Nash zacisnął oczy.

Porter przeczytał pierwszą stronę.

– To tylko książka. Nie było bum.

– Pójdę po wodę – oznajmił Nash i ruszył przez przedpokój do kuchni.

Porter przekartkował podręcznik. Watson miał rację – jak na książkę wydrukowaną w 1987 roku wyglądała na nową. Błyszczące strony były jeszcze posklejane. Nadal emanowała wonią nowej książki, przez co przypomniały mu się zajęcia angielskiego w trzeciej klasie – tylko wtedy dostał nowy podręcznik.

– Jeżeli przyniósł ją tu #4MK, co to może, twoim zdaniem, oznaczać?

Watson westchnął.

– Nie wiem. Czy kiedykolwiek zostawił jakąś poszlakę?

– Nigdy.

– Ewidentnie próbuje coś przekazać. Bo po co zadawałby sobie tyle

trudu?

– Gdzie mógł ją zdobyć?

Watson przekartkował książkę.

– Mamy w mieście sporo antykwariatów, ale nie znam żadnego sprzedającego podręczniki.

– Komu by zależało na starym podręczniku do matmy?

– Nauczycielowi matematyki?

– Myślisz, że wyniósł ją ze szkoły?

Watson zastanawiał się przez chwilę, po czym pokręcił głową.

– Gdyby ta książka krążyła w systemie szkolnym, nie byłaby w takim stanie. Podręczniki nie leżą w kącie. Są używane i niszczone.

– Co z dostawcą?

Watson przyjrzał się pierwszym stronom. Powiódł wzrokiem po tekście na drugiej stronie, puknął weń palcem i obrócił książkę tak, żeby Porter mógł czytać.

– Wyprodukowano ją tutaj, w Chicago. Ten adres znajduje się niecałe pięć kilometrów stąd, w Fulton.

Porter ściągnął brwi.

– Zagiąłeś ten róg?

– Nie, sir.

Ktoś to zrobił. Rózek strony był delikatnie zagięty, prawie niedostrzegalnie, ale jednak. #4MK chciał, żeby to dostrzegli.

Porter wyciągnął telefon, wybrał numer Kloza i podał mu adres. Po chwili się rozłączył.

– Znajduje się tam stary magazyn przeznaczony do rozbiórki. Ma ona nastąpić pojutrze.

Porter i Nash zrozumieli. Zabójca Czwartej Małpy zostawił ciało swojej trzeciej ofiary, Missy Lumax, pod brezentem w środku porzuconego maga-

zynu. Tamten budynek również był przeznaczony do rozbiórki. I także znajdował się w dzielnicy Fulton River.

31 Pamiętnik

Nie pamiętam, kiedy zasnąłem, ale musiałem w pewnym momencie odlecieć, bo obudziłem się w łóżku w piżamie, z bólem głowy, który rozsadzał mi skronie. Poranne słońce wdzierało się przez żaluzje i dziobało mi oczy tak zaciekle, że bałem się, iż oślepnę.

Poprzedniego wieczoru ojciec złajał mnie za picie, a ja próbowałem mu wytłumaczyć, dlaczego to zrobiłem, ale nie chciał słuchać. A może słuchał? Pamiętałem wszystko jak przez mgłę.

Odrzuciłem koc i spuściłem stopy na podłogę.

Mimo że poruszałem się jak najdelikatniej, wstrząs rozszedł się po moim ciele i dotarł prosto do obolałej głowy. Pomyślałem, że wrócę pod ciepłą pościel i prześpię kolejny rok, ale wiedziałem, że jeśli niebawem nie wstanę, rodzice przyjdą mnie szukać. Jeżeli ktoś w naszym domu nie przychodził na śniadanie do dziewiątej, nie mógł liczyć na posiłek i stawał przed lodówką z pustym talerzem i burczącym brzuchem. Matka ją zamykała. Punktualnie o dziewiątej zatrzaśkiwała drzwi lodówki i zamykała błyszczącą nową kłódkę Stanleya. Lodówka była zamknięta do pory lunchu, a potem do kolacji. Mogłem spokojnie głodować do południa, ale coś mi podpowiadało, że wrzucenie czegoś do brzucha pomoże mi osłabić efekty popijawy i być może przygotuje mnie do reszty dnia.

Wczorajsze ubranie leżało na podłodze. Chciałem je włożyć, ale poczułem na koszulce zapach wymiocin. Nie pamiętam, żebym wymiotował, ale nie miałem powodu podejrzewać, że to nie ja zabrudziłem koszulkę. Dlaczego ktoś inny miałby wymiotować w moim pokoju? Niedorzeczny pomysł. Najprawdopodobniej zrobiło mi się niedobrze. Jakaś część burbona poczuła potrzebę wydostania się na zewnątrz.

Zostawiłem ubranie na podłodze, zapisaawszy sobie w pamięci, by je spalić przy pierwszej nadarzającej się okazji, i wyciągnąłem z komody czystą koszulę oraz dżinsy. I zszedłem do kuchni.

– Jest mój chłopak! – Ojciec się rozpromienił za kopiastym talerzem jaj i kiełbasy. –

Siadaj, synu. Trochę tłustego jedzenia pomoże uspokoić twój wkurzony żołądek. Jesteś trochę za młody na kaca, to pewne, ale to właśnie kac cię nęka, jeżeli rzeczywiście wypiełeś tyle alkoholu, ile się wczoraj chwaliłeś.

Dotarłem do swojego krzesła i bardzo się starałem zatrzymać zawartość rozedrganego żołądka. Bourbon był napitkiem mężczyzn i wypiełem go co do kropli jak mężczyzna. Nie zamierzałem okazywać słabości pod byстрыm spojrzeniem ojca.

Ojciec wyciągnął rękę i chwycił karafkę z sokiem pomarańczowym. Nalał mi szklankę. Następnie wyciągnął spod serwetki kieliszek do wódki z fanfarami, jak magik, który wyciąga królika z czarnego kapelusza. – Przygotowałem to dla ciebie. Najlepsza wódka Kentucky i być może najszybszy sposób na pozbycie się kaca w cywilizowanym świecie. – Podsunął mi kieliszek z uśmiechem kota z Cheshire.

Gapiełem się na kieliszek niewątpliwie zaczerwienionymi oczami i z bladymi policzkami. Czekałem na jakąś puentę dowcipu, ale bez skutku. Ojciec podsunął kieliszek jeszcze bliżej.

– Wypij to, mistrzu. Daję słowo, że klin dobrze ci zrobi.

– Serio?

Przytaknął.

Sięgnąłem po kieliszek i delikatnie przysunąłem go do ust. Głowa mi pękała. Woń gorącego karmelu i prażonej wanilii łaskotała mnie w nos.

– Szybko. Prawdziwi mężczyźni wypijają kieliszek jednym tchem, nie roniąc ani kropli.

Wziąłem głęboki wdech, przelałem zawartość do ust i zmusiłem się, żeby ją połknąć. Skrzywiłem się, kiedy poczułem pieczenie rozchodzące się aż do żołądka. Zdziwiło mnie, że czułem je na całej drodze. Nigdy wcześniej nie myślałem o tym, jaką drogę pokonują jedzenie i picie. Alkohol był naprawdę dziwny.

– A teraz rąbnij kieliszkiem w stół – polecił wesoło ojciec.

Zrobiłem, co mi kazał, i wałnąłem kieliszkiem o drewno tak mocno, że byłem pewien, iż szkło rozpadnie mi się w dłoni.

Ojciec klasnął z radości.

– Mój chłopak!

Otarłem usta rękawem i poczułem odór burbona w swoim oddechu. Kojarzył mi się z przypalonymi tostami i melasą.

Ojciec podniósł kieliszek i nalał kolejną porcję. Wypił ją sam i równie zdecydowanie odstawił kieliszek. Mruknął, wzdrygnął się z głośnym westchnieniem i popatrzył na mnie; nagle spowaźniał.

– Chcę, żebyś zapamiętał tę chwilę jako pierwszą, gdy piłeś alkohol. Możesz to zrobić,

mistrzu? Gdy się zestarzejesz i będziesz wspominał swoje życie, chcę, żeby to ta chwila kojarzyła ci się z posmakowaniem zakazanego owocu, wspólne picie wódki z ojcem. To jest prawdziwie doniosły moment. Zapomnij poprzedni wieczór. Zapomnij o picciu z naszą uroczą sąsiadeczką. Zapomnij o powodzie, dla którego piłeś. Gdy dorośniesz, nie chcę, żebyś myślał o tym, jak się upiłeś z panią Carter. Nie chcę, żebyś w ogóle o niej myślał. Pragnę, żebyś zapamiętał to. Jak myślisz, mistrzu? Potrafisz to zrobić?

Przemyślałem jego słowa i przytaknąłem.

– Jasne, ojciec – zapewniłem go z uśmiechem. – Da się zrobić.

– Dajesz słowo?

Spletliśmy małe palce naszych dłoni i złożyłem obietnicę.

– To dobrze, bo tak powinno ci się kojarzyć picie po raz pierwszy. Z towarzystwem ojca, a nie ululaniem się z tą szurniętą suką z sąsiedztwa.

Jeszcze nigdy nie słyszałem takich słów z jego ust. Z matki też nie. Nigdy nie przeklinali. Aczkolwiek znałem to słowo; słyszałem je już wielokrotnie w szkole i od innych dorosłych, ale nigdy od ojca. Nie kojarzyło mi się z jego głosem.

– Przepraszam, mistrzu. Pewnie nie powinienem używać takich określeń w twoim towarzystwie. Nie powinieneś nikogo tak nazywać, zwłaszcza kobiety. Daję ci okropny przykład. Jak już często mówiłem, kobietami należy się radować i trzeba im okazywać najwyższy szacunek.

Rozejrzałem się po pokoju. Nie widziałem tego ranka matki.

– Jest na dole z naszym gościem – poinformował mnie ojciec.

Czasami odnosiłem wrażenie, że czyta mi w myślach.

Zastanawiałem się, czy pani Carter jeszcze żyła. Prawdę powiedziawszy, wiadomość, że tak, zaskoczyła mnie. Chociaż matka i ojciec nie byli wczoraj w najlepszej kondycji, zwykle zachowywali ostrożność w kwestii swoich wybryków. Doprowadzali sprawę do końca.

– Czy pani Carter spędzi z nami jakiś czas?

Ojciec się zastanowił.

– Tak, mistrzu. Tak mi się wydaje. Widzisz, synu, nie możemy winić pani Carter za występki jej męża, ale pewnie zrobiła coś, co go tak zdenerwowało. Gdyby się tak nie stało, nie przyszedłby tutaj i nie groził twojej matce, a ona nie znalazłaby się w takiej kłopotliwej sytuacji. Nie musiałyby robić mu krzywdy. Pan Carter siedziałby pewnie na swojej werandzie, ciesząc się letnim wietrzykiem w towarzystwie uroczej żony, a matka nie spędzałaby poranka na kolanach, szorując zapaskudzoną podłogę w piwnicy. – Pokręcił głową i się zaśmiał. – Ale ten facet krwawił, co nie?

Musiałem się z nim zgodzić. Uśmiechnąłem się.

Ojciec przeczesał włosy palcami.

– Pozostaje pytanie, czym pani Carter tak bardzo zdenerwowała męża. Czy on coś zobaczył? Widziałeś coś, mistrzu?

Wypowiedział te słowa tak szybko, że mnie zaskoczył.

Oddech uwiązał mi w gardle i kiedy próbowałem coś powiedzieć, nie udawało mi się to. Pokręciłem głową i w końcu wykrztusiłem:

– Raczej nie, ojcze.

Zmrużył oczy.

– Raczej nie?

Nic na to nie odpowiedziałem. Miałem wrażenie, że język mi spuchł i zablokował słowa, które chciały się wydostać. Ojciec przyglądał mi się uważnie. W jego spojrzeniu nie było złości, ale próbował rozszyfrować każde moje mrugnięcie i pociągnięcie nosem. Nie odwróciłem wzroku, bo wówczas odebrałby to jako zapowiedź kłamstwa.

– Chodziło mi o to, że on raczej niczego nie widział, ojcze. Bo ja na pewno nie widziałem.

Przekrzywił głowę i patrzył na mnie przez chwilę. Wreszcie uśmiechnął się i poklepał mnie po dłoni.

– Prawda i tak wyjdzie niebawem na jaw. Zawsze tak jest. A wtedy co żywo zajmę się sprawą. Na razie jednak słońko świeci, powietrze jest rześkie i nie zamierzam marnować takiego wspaniałego letniego dnia.

Sięgnąłem przez stół po tosta. Nie był już ciepły, ale dobrze by było wrzucić coś do żołądka.

– Jak twoja głowa?

Dotarło do mnie, że ból prawie całkowicie się wycofał i czułem tylko tępe pulsowanie za lewym okiem. Nudności też minęły.

– Czuję się o wiele lepiej!

Ojciec zmierzwił mi włosy.

– No proszę. Jedz. A kiedy skończysz, chciałbym, żebyś zaniósł talerz naszemu gościowi. Może też szklankę soku. Myślę, że mogła zgłodnieć. Przejdę się do domu Carterów i trochę rozruszam. Spakuję jej torbę. Lepiej, żeby się wydawało, że wybrali się w drogę, gdyby ktoś chciał sprawdzić, co u nich słychać.

– Może powinien tata przestawić ich samochód? – podsunąłem, skubiąc tosta.

Znowu zmierzwił mi włosy.

– Naprawdę wydorostałeś, co?

Uśmiechnąłem się szeroko.

32 Emory

Dzień pierwszy, 17.00

Muzyka ucichła.

Tak po prostu.

W jednej chwili *Sweet Home Alabama* waliła ją w głowę z gwałtownością okiennicy w czasie huraganu, a potem umilkła.

Aczkolwiek w pomieszczeniu nie panowała cisza. Miejsce muzyki zajął głośny dzwonek i chociaż Emory wiedziała, że istniał tylko w jej głowie, równie dobrze mógłby ryczeć z najpotężniejszych głośników. Dźwięk nie nasilał się ani nie słabł; był stały.

Dzwoniło jej w uszach.

Pani Burrow opowiedziała jej o zagrożeniach głośnych dźwięków na trzy lata przed tym, jak pozwoliła jej iść na pierwszy koncert; to byli Jack's Mannequin w Metro. Chciała ją nastraszyć. Z perspektywy czasu Emory widziała, że było to oczywiste. Pani Burrow opowiedziała jej o tym, jak przedłużająca się ekspozycja na głośną muzykę może prowadzić do trwałych problemów, zwłaszcza jeśli słucha się jej w zamkniętym pomieszczeniu. Mówiła coś o małych włoskach w uchu, które ulegają uszkodzeniu jak przetarty kabel, przez co mózg słyszy nieistniejące dźwięki. Najczęściej był to stan przejściowy.

Najczęściej.

Kiedy pani Burrow dała jej zatyczki do uszu, chętnie je przyjęła przed wyjściem z domu. Nie skorzystała z nich, rzecz jasna. Nie chciała, żeby jej przyjaciele widzieli ją z tymi głupimi różowymi zatyczkami w uszach. Zosta-

wiła je w kieszeni i w rezultacie przez resztę wieczoru dzwoniło jej w uszach jak teraz.

„Wtedy było zupełnie inaczej. Nie pamiętasz? Ledwie słyszałaś to dzwonienie i trwało tylko przez chwilę. Koncert wcale nie był taki głośny i nie trwał długo. W przeciwieństwie do tego jazgotu, na który cię teraz narażono. Przez ile godzin ryczała ta muzyka? Pięć? Dziesięć? No i nie masz jednego ucha. To z pewnością nie pomaga”.

– Zamknij się! – chciała krzyknąć Emory. Zamiast tego wydobył się z niej stłumiony bełkot; jej wyschnięte usta protestowały przy każdej sylabie.

„Twierdzę tylko, że zatyczka do ucha mogłaby ci się przydać. Jedną stronę masz szczelnie zabandażowaną. Jeśli ta okropna muzyka się powtórzy, powinnaś wcisnąć kawałek bandaża do kanału słuchowego. Lepiej się zabezpieczyć, niż potem żałować, prawda? Jeśli wyjdiesz z tego żywa, będziesz jednouchą Jane. Dobrze by było, żeby drugie ucho było w jak najlepszej formie, nie sądzisz? Wiesz, co jest gorsze od dziewczyny z jednym uchem? Wiesz?”

– Bądź cicho, proszę.

„Wiesz, co jest gorsze?”

Emory zamknęła oczy i miejsce mroku zajął jeszcze większy mrok. Zaczęła śpiewać *It's My Party* Jessie J.

„Gorsze od dziewczyny z jednym uchem jest dziewczyna z jednym uchem i bez oczu. To może być kolejny przystanek w naszej wędrówce, moja kochana, bo jeśli muzyka ucichła, to dlatego, że ktoś ją wyłączył”.

Oddech uwiązał Emory w gardle, a jej głowa odwracała się szybko z prawej strony w lewo i z powrotem, gdy wpatrywała się w mur ciemności.

Oczy próbowały przystosować się do tej czerni, ale przegrywały. Emory siedziała skulona na noszach z kolanami przyciągniętymi do klatki piersiowej i nie widziała nawet własnych stóp. Błyszczące srebrne nosze były ledwie dostrzegalnym zarysem. To jednak nie znaczyło, że nic się nie ruszało. Mrok wirował falami i pływał w powietrzu tak gęsty, że prawie mogła go posmakować.

On mógł znajdować się w tym pomieszczeniu, a ona by o tym nie wiedziała. Mógłby stać oddalony o krok z nożem w rękę, gotów wbić go w jej oczy i wyłupić je jednym ruchem. Nie miałyby czasu na to, by zareagować lub walczyć z nim wcześniej niż w chwili, w której zaczęłyby pozbawiać ją wzroku.

Emory śpiewała dalej, ale zgubiła rytm.

– Tańczę sama, tańczę – śpiewała cicho. – Będę tańczyć, aż powiem „stop”. – Wyciągnęła wolną rękę przed siebie i powoli przesuwała w tę i z powrotem, macając ciemność. – Czy... czy jesteś tu?

Zobaczyła go oczami wyobraźni. Wysoki i szczupły opierał się o ścianę z nożem w jednej ręce i łyżką w drugiej. Jego palce zagięły się na trzonku noża, kiedy przeciągnął ostrzem po krawędzi łyżki. Na obydwu widniały ślady zaschniętej krwi, pozostałości po tych, które były przed nią. Wiedziała, że widział ją pomimo ciemności. Widział ją doskonale. Białe pudełko leżało u jego stóp, czarny sznurek spoczywał obok. Palce wskazujący i środkowy prawej dłoni ustawił w literę V, wymierzył je w swoje oczy, a potem w jej stronę; uśmiech błąkał się na jego ustach – spierzchniętych i wysuszonych. Przejechał po nich językiem, powoli i z premedytacją.

– Nie zostało nic wartego oglądania – powiedział do niej niskim głosem. – Twoje młode oczy zostały zbrukane przez zło tego świata i trzeba je wyjąć. Tylko w ten sposób można odwrócić proces, oczyścić cię.

Emory się cofnęła i przysunęła bliżej ściany.

– Nie jesteś prawdziwy – rzuciła do siebie. – Jestem tu sama.

Pragnęła, żeby muzyka wróciła.

Jeżeli on tu był, jeżeli naprawdę stał w tym pomieszczeniu z zamiarem skrzywdzenia jej, nie chciała słyszeć, jak będzie się do niej zbliżał. Tak by było lepiej.

Dzwonienie w uszach osłabło i zmuszała się do ignorowania dudnienia serca w okaleczonym uchu; zmuszała się do wsłuchiwania się w odgłosy wokół siebie.

Czy usłyszałaby jego oddech?

– Jeżeli zamierzasz mnie skrzywdzić, zrób to wreszcie, ty chory draniu!
– krzyknęła. Tylko że to nie był krzyk. Gardło jej wyschło i wydobył się z niej chrapliwy pisk.

Usłyszała dźwięk.

Czy był tu wcześniej?

Równomierne kap, kap, kap, mniej więcej w sekundowych odstępach.

Skąd dobiegał?

Gdy się ocknęła, obeszła pomieszczenie. Obmacała każdą ścianę. Była boso – gdyby był tu jakiś wyciek, stojąca woda, znalazłaby ją, czyż nie?

Gardło ją zabolalo na myśl o wodzie.

„Być może słyszysz kapanie wody, bo jesteś tak spragniona, kochanie. Umysł płata takie figle. Gdyby chciał ci dać wodę, zrobiłby to”.

Emory zamknęła oczy i próbowała nasłuchiwać jeszcze uważniej. Wiedziała, że to głupie. Przecież nic nie widziała, niemniej zamknięcie oczu okazało się pomocne. Dźwięk stał się trochę głośniejszy, wyraźniejszy.

Kap... kap... kap.

Przechyliła głowę, nadstawiając zdrowe ucho, i lekko się obracała po każdym kapnięciu, aż dźwięk stał się najgłośniejszy. Kiedy zaczął znowu słabnąć, wróciła do poprzedniej pozycji.

Dobiegał z lewej strony.

Zsunęła się z noszy i stanęła na lodowatym betonie. Dostała gęziej skórki na całym ciele i objęła się lewą ręką, próbując się jakoś ogrzać. Prawą pociągnęła nosze.

„Pamiętaj o szczurach, kochanie. Te maluchy pewnie gromadzą się wokół ciebie. Wodę niewątpliwie znalazły już dawno. Teraz chętnie by coś zjadły, najlepiej kawałek młodego mięska. Gdybym była szczurem, najprawdopodobniej urządziłabym sobie bazę w pobliżu wody. I broniłabym jej. Broniłabym na śmierć i życie”.

Emory zrobiła krok do przodu, potem kolejny, ciągnąc za sobą nosze.

Nie chciała oddalać się od ściany. Ściana dawała jej pokrzepienie, jak duży koc, ale w końcu oderwała się od niej. Zostawiła ją za sobą i zrobiła kolejny krok, malutki, szurając nogami. Nie wiedziała, co ma przed sobą, więc nie mogła sobie pozwolić na więcej.

„Myślisz, że mógł tu rozsypać potłuczone szkło? Albo zardzewiałe gwoździe? A jeśli w podłodze jest dziura? Gdybyś upadła i złamała nogę, byłabyś w tarapatach, znacznie gorszych od swojej obecnej sytuacji, to pewne. A tak przy okazji, nie chcę być utrapieniem, ale uważam, że warto o tym wspomnieć. Wpadłaś już na to, kto wyłączył muzykę? Bo jeśli on jest w pobliżu, to zdobycie wody nie powinno być dla ciebie kwestią priorytetową”.

– Jeśli planuje zrobić mi krzywdę, zrobi to – odparła Emory. – Nie zamierzam siedzieć w miejscu i czekać, aż wykona ruch.

Szła z trudem dalej i traciła z każdym krokiem czucie w palcach stóp.

Czy ten beton robił się coraz zimniejszy?

– Nie pozwoli mi umrzeć, przynajmniej nie do czasu, gdy ze mną skończy. W wiadomościach mówiono, że utrzymywał dziewczyny przy życiu przez co najmniej tydzień, zanim je zabił. Spędziłam tu co najwyżej dzień. Nadal mnie potrzebuje.

„Pewnie masz rację, ale może ci zrobić tak wiele rzeczy, nieprzyjemnych rzeczy, które cię nie zabiją. Odciał ci już ucho. Wiesz, że kolejne będą oczy. Czy to będzie aż takie złe? Przecież nic teraz nie widzisz. Bardziej bym się martwiła utratą języka. Możesz chodzić na oślepa w ciemności, ale stracić możliwość mówienia? To by było okropne. Zawsze byłaś taka wygadana”.

Emory nasłuchiwała. Była blisko. Zostało jej kilka kroków.

Po palcach przebiegł jej szczur. Pisnęła i prawie się przewróciła na nosze.

Zmusiła się, by głęboko oddychać. Musiała zachować spokój. Znowu przebiegła jej po palcach para małych stóp. Kiedy tym razem krzyknęła, zrobiła to głośno; nie hamowała się, mimo że miała wyschnięte gardło. Poczuli się tak, jakby wymiotowała tłuczonym szkłem, i chciała przestać, ale krzyk wydobywał się z niej dalej – krzyk nad krzykami. Nie chodziło już tylko o szczura i o to, że została porwana i uwięziona w tym miejscu, ale o ojca i otaczających ją ludzi, o frustrację związaną z edukacją domową i ograniczoną

liczbą przyjaciół. O ból ucha, brak czucia w palcach stóp, bezbronność wynikającą z nagości w tym dziwnym miejscu. O spojrzenie nieznanego oczu. O mężczyznę, który ją porwał – mężczyznę, który mógł się znajdować wiele kilometrów stąd lub zaledwie kilka centymetrów, niewidzialny w mroku. I o matkę, która umarła i zostawiła ją, by znosiła te męki sama.

Gdy wreszcie zamilkła, gardło ją paliło, jakby połknęła płynny ołów i zdrapywała resztki zardzewiałym ostrzem, ale nie przejmowała się tym. Krzyk oczyścił jej umysł. Potrzebowała trzeźwego myślenia.

Musiała się zastanowić.

Dzwonienie w uszach ucichło.

Emory zmusiła zdrowe ucho do słuchania i ignorowania krwi szumiącej w drugim uchu.

Kap.

Z lewej strony dobiegał odgłos drapania. Paznokci o beton. Małych paznokci. Kopiających.

„Zignoruj je”, powiedziała sobie.

„Po prostu je zignoruj”.

Z wysiłkiem ruszyła do przodu, po kawałku, najpierw jeden krok, potem drugi. Potem...

Uderzyła w coś paluchem. Powierzchnia wydawała się zimniejsza od betonu. Zimna i wilgotna. Przyklękła niezdarnie, żeby jej dotknąć, zostawiwszy prawą rękę za sobą. Szarpnęła nosze, przyciągnęła je bliżej, żeby mieć więcej swobody ruchu.

Metalowa płyta? Zgadza się. Dość duża metalowa płyta. Powiodła palcami wzdłuż jej krawędzi i oszacowała, że miała około metra średnicy. Co mniej więcej dziesięć centymetrów wystawały z niej śruby mocujące ją do betonu.

Emory musnęła dłonią powierzchnię. Była zdecydowanie wilgotna.

Kap.

Tym razem kropla spadła tak blisko, że Emory poczuła na skórze drobną

mgiełkę. Powiodła palcem po metalowej płycie, po czym przysunęła go do ust. Jeszcze zanim go posmakowała, poczuła metal – rdzę lub jakiś inny osad. Mimo to polizła palec, bo mózg podpowiedział jej, że jeśli nie napije się niebawem wody, wszystko przestanie mieć jakiegokolwiek znaczenie.

Woda była ohydna, ale mokra. Emory pragnęła więcej.

Pochyliła głowę w stronę metalowej płyty i szarpnęła nosze, żeby mieć większą możliwość ruchu. Kiedy nie mogła uzyskać nic więcej, wyciągnęła szyję i wystawiła język. Może i nic nie widziała, ale woda tu była, zaledwie kilka centymetrów od niej. Wyczuwała ją, wyciągała czubek języka, sondowała powietrze, naciągała się.

Znowu usłyszała drapanie. Małe pazurki kopiące w...

„Na twoim miejscu cofnąłabym ten język. Nieważne, czy jest tu woda, czy jej nie ma. Twój język wydaje się smakowitym kąskiem dla wielkiego głodnego szczura, nie sądzisz? W najlepszym razie ułatwiasz swojemu gospodarzowi wycięcie ci go”.

Emory się cofnęła. Miała okaleczone ucho i nie mogła namierzyć źródła drapania. W jednej chwili słyszała je tuż obok siebie. A gdy przechyliła głowę, dobiegało z przeciwległego końca pomieszczenia.

Kap.

Krople wody spadły jej na dłoń i policzek.

– Pieprzyć to.

Emory pochyliła się znowu do przodu najdalej, jak mogła, ciągnąc kajdanki za sobą. Miała wrażenie, że szyja jej pęknie z napięcia. Kajdanki wrzyły się jej w nadgarstek, ale zmusiła się do ignorowania bólu, a jej myśli skupiały się na jednej jedynej rzeczy – wodzie.

Szarpnęła się.

Język musnął powierzchnię płyty, zetknął się z nią co najwyżej przez sekundę i poczuła w ustach posmak rdzy. Stało się to tak szybko, a metal był tak zimny, że nie potrafiła stwierdzić, czy rzeczywiście napiła się trochę wody, czy tylko sobie ją wyobraziła.

To nie wystarczyło, żeby ugasić jej pragnienie. Ta odrobina tylko je nasi-

liła.

Nie zamierzała płakać. Odmawiała płaczu.

Pochyliła się najdalej, jak mogła, i pociągnęła kajdanki z całej siły. Metal werznął się w nadgarstek, ale nie przejęła się tym. Napierała do przodu całym ciężarem ciała. Coś ustąpiło i upadła twarzą do przodu. Jej język znalazł wodę – lodowatą, orzeźwiającą, brudną, smakującą żelazem wodę, która zebrała się na środku płyty. Zanurzyła język w kałuży tylko na ułamek sekundy, bo nosze przechyliły się i runęły jej na plecy. Uderzyła głową o podłogę i wokół zapanowała jeszcze większa ciemność.

33 Pamiętnik

Znalazłem tacę w szafce i położyłem na niej kilka tostów, banana, postawiłem sok pomarańczowy oraz miseczkę Cheerios (coś, co najbardziej lubiłem jeść na śniadanie). Chciałem dodać mleko, ale kiedy zajrzałem do lodówki, stwierdziłem, że w kartonie została mniej więcej szklanka. Ojciec uwielbiał mleko i nawet przez myśl by mi nie przeszło, żeby go zirytować i zabrać resztkę, bo wiedziałem, że matka nie uzupełniła zapasów w czasie ostatnich zakupów.

Schody prowadzące do piwnicy wydawały mi się bardziej strome niż poprzednio. Spojrzałem na wysoką szklankę stojącą niepewnie na tacy; sok przelewał się w tę i z powrotem, docierał do krawędzi, po czym cofał się, gdy robiłem kolejny krok. Gdyby się wylał, zamoczyłby tost, a ja nie mogłem na to pozwolić. Miałem wystarczające wyrzuty sumienia w związku z tym, że przechytryłem wczoraj panią Carter. Nie zamierzałem nasilać tego odczucia, podając jej rozmiękły tost.

Matka weszła na schody, gdy dotarłem prawie na sam dół. Niosła wiadro, kilka szmat oraz wielką szczotkę do szorowania. Na rękach miała gumowe żółte rękawiczki sięgające jej prawie do łokci.

– Dzień dobry, matko.

Zerknęła na mnie i się uśmiechnęła.

– Ale z ciebie życzliwy człowiek! Nasz gość będzie szalał z radości, kiedy cię zobaczy. Burczała coś na ten temat. Mogę sobie tylko wyobrazić, jak bardzo chciałaby zjeść coś smacznego i ugasić pragnienie. – Gdy mnie mijiała, odgryzła kawałek tosta i odłożyła resztę na talerzyk. – Postaraj się, żeby zrozumiała zasady. Nie chciałabym, żeby popełniła błąd na tak wczesnym etapie pobytu.

Musiałem się z nią zgodzić.

– I nie przesadzaj z oświeceniem. Nie chcemy zdenerwować ojca wysokim rachunkiem

za prąd.

– Dobrze, matko.

Patrzyłem za nią, jak szła na górę. Mój wrażliwy nos wyczuwał unoszącą się w powietrzu woń mokrej miedzi i wybielacza.

Zobaczyłem panią Carter na chwilę przed tym, jak ona dostrzegła mnie. Matka (a być może ojciec) przykuli jej lewą rękę do tej samej rury, przy której jeszcze kilka godzin temu leżał jej mąż. Nie siedziała na podłodze, tylko leżała na starym łóżku polowym ojca. Prawą rękę też miała przykutą z drugiej strony. Ojciec powiedział mi kiedyś, że przywiózł to łóżko z wojny. Wyglądało na to, że starość widział niejedną walkę w odległej przeszłości. Stare płótno było przetarte i zniszczone; w wyblakłym zielonym materiale znajdowało się kilka dziur. Metalowe nogi, niewątpliwie błyszczące w czasach nowości, teraz zmatowiały i pokrywała je rdza. Rama trzeszczała, gdy pani Carter przesunęła się lekko w lewo.

Leżała, albo dla wygody, albo z konieczności; tego nie wiedziałem. Światło było skąpe. Matka wyłączyła wszystkie żarówki z wyjątkiem jednej, która wisiała goła pośrodku sufitu. Mimo że powietrze było nieruchome, żarówka bujała się lekko i rzucała ciemne roztańczone cienie na ścianach i podłodze.

Matka (lub ojciec) przezornie umieścili panią Carter po prawej stronie rury, zostawiając przestrzeń po lewej stronie, którą zajmował wcześniej pan Carter, wolną. Miejsce jaskrawoczerwonej krwi, która tak swobodnie z niego wczoraj płynęła, zajęła ciemna plama na betonie. Domyślam się, że matka sprzątała tu z takim samym zapałem, jakim wykazywała się, gdy robiła ten bałagan, ale krew była uparta i nie wypuszczała z objęć swoich starych szponów niczego, co przypadło jej do gustu. Zanotowałem w pamięci, by zasugerować matce użycie żwirku dla kotów. Nie dość, że jest chłonny, to pomaga także maskować zapach.

Zastanawiałem się, czy pani Carter rozpoznała woń krwi i potu swojego męża.

Prawie upuściłem tacę, kiedy usiadła i popatrzyła na mnie wielkimi oczami nabiegłymi krwią. Krzyczała coś zza knebla, ale nie rozumiałem co.

– Dzień dobry, pani Carter. Ma pani ochotę na śniadanie?

Z trudem łapała powietrze przez knebel. Nos miała niewątpliwie zapchany przez to, że tyle płakała, ale starałem się o tym nie myśleć. Mimo że z pewnością miała za sobą nie najlepszą noc, nadal była piękna. Widziałem to, chociaż była posiniaczona i prawe oko miała podbite. Lewe wydawało się w lepszym stanie; jeszcze nie wyglądało normalnie, ale nie było tak opuchnięte jak jeszcze kilka godzin wcześniej.

Postawiłem tacę na brzegu łóżka i pomyślałem o bólu głowy, który powitał mnie tego ranka. Ona prawdopodobnie czuła się dużo gorzej. Pomijając już pobicie, wypła więcej ode mnie i chociaż wydawała się doświadczone, wątpiłem, żeby udało jej się uciec przed

kacem.

– Co by pani powiedziała na klingę?

Popatrzyła na mnie zdumiona i zrozumiałem swój błąd.

– Przepraszam. Na klina?

Nadal patrzyła na mnie zdezorientowana i lekko przechyliła głowę w lewo. Przynajmniej przestała krzyczeć.

– Na ból głowy. Ojciec ma na górze burbona. Niewielki łyk podziałał na mnie cudownie. Wiem, że jest wczesna godzina, ale nie ma sensu spędzać dnia w bólu.

Pani Carter powoli pokręciła głową, nie spuszczać ze mnie wzroku.

Wskazałem ruchem głowy na tacę.

– Pozostawieni sami sobie ojciec i ja nie jesteśmy najlepszymi kucharzami. Może jutro matka coś przyrządzi. I jestem pewien, że będzie to coś wybornego. Ale czy zechce pani coś zjeść?

Przytaknęła i usiłowała usiąść wygodniej. Kajdanki przytrzymały jej lewą rękę. Rzuciła mi wściekłe spojrzenie i zabelkotała coś za kneblem. Przysunąłem się.

– Czy jeżeli wyjmę knebel, obiecuje pani nie krzyczeć? Nie miałbym pani tego za złe. Też bym krzyczał, ale na nic by się to nie zdało. Na górze nie słyhać tych krzyków. Nikt na zewnątrz pani nie usłyszy.

Wsunąłem palce pod knebel i pociągnąłem. Jej skóra coś w sobie miała. Nawet tak krótki dotyk sprawił, że poczułem mrowienie na całym ciele. Nie boję się przyznać, że być może zaróżowiły mi się policzki i serce zabiło mi żwawiej.

Kiedy knebel opadł jej na szyję, pani Carter wciągnęła głęboko powietrze, wypuściła je i zrobiła kolejny wdech, i następny. Bałem się, że skończy się to hiperwentylacją, i pomyślałem, że pobiegnę na górę po papierową torebkę, ale się odezwała, głosem zduszonym i chrapliwym; niewątpliwie miała wysuszone gardło.

– Krzyki?

Przekrzywiłem głowę.

– Powiedziałeś, że na górze nie słyhać tych krzyków. Czy twoi rodzice robili już kiedyś coś takiego?

– Ale co?

– To. – Pociągnęła za kajdanki, które uderzyły dźwięcznie o rurę.

– Och. – Spuściłem wzrok na tacę z jedzeniem. – Nie wiem.

Ściągnęła brwi.

– Nie wiesz, czy twoi rodzice skuli kiedykolwiek kobietę w swojej piwnicy?

Sięgnąłem po sok pomarańczowy.

– Na pewno umiera pani z pragnienia. Ten sok jest przepyszny. Smakuje jak słońce.

– Nie chcę żadnego soku. Chcę, żebyś mnie wypuścił. Proszę, uwolnij mnie.

– A co by pani powiedziała na banana? Chyba sam chętnie zjem jednego. Kupiliśmy je dwa dni temu i są teraz w tym stadium między zielonym a żółtym kolorem, kiedy mają jeszcze leciutki posmak niedojrzałości, na tyle wyraźny, że wykrzywia usta.

– Wypuść mnie! – ryknęła pani Carter, a słowa drapały ją w wyschnięte gardło. – Wypuść mnie! Wypuść mnie! Wypuść!

Westchnąłem.

– Będę musiał założyć knebel z powrotem na czas, kiedy będę wyjaśniał zasady. Przykro mi, pani Carter.

Próbowała się odsunąć, ale byłem na to przygotowany. Chwyciłem ją za włosy z tyłu głowy i gwałtownie szarpnąłem. Nie chciałem zadawać jej bólu, ale nie zostawiła mi wyboru. Miałem mały nóż, składany, który mieścił mi się w dłoni. Wyciągnąłem go w jednej chwili i otworzyłem błyskawicznie. Dziobnąłem ją w szyję w okamgnieniu i podsunąłem zakrwawiony czubek przed jej oczy, żeby dobrze go widziała. Nie zrobiłem głębokiej rany. Chciałem tylko upuścić trochę krwi i pomóc jej zrozumieć, że gdybym chciał, mógłbym jej zrobić znacznie większą krzywdę.

Pani Carter jęknęła, nie odrywając spojrzenia od ostrza.

Wolną ręką wsunąłem knebel na miejsce i puściłem ją. Wszystko wydarzyło się szybko, ale pokazałem, o co tu chodzi. Kolejny krótki ruch nadgarstka i złożyłem ostrze; nóż zniknął z widoku, gdy wsunąłem go do kieszeni koszuli.

– Zasady są proste, pani Carter. Omówienie ich zajmie mi minutę. Potem zostawię panią ze śniadaniem. Jestem pewien, że umiera pani z głodu.

Twarz jej poczerwieniała z gniewu.

– Obiecuje pani zachowywać się grzecznie, gdy będę objaśniał zasady?

– Pierdol się! – krzyknęła zza knebla.

Zszokowała mnie. Jakie to niegrzeczne! Czy nie próbowałem jej pomóc?

– Nie tolerujemy takiego języka w naszym domu, Liso. Nawet z ust gości – zagrzmiał głos ojca za moimi plecami.

Odwróciłem się i zobaczyłem go u podnóża schodów z kubkiem parującej kawy w dłoni. Podszedł bliżej.

– Zaczyna się od języka. Potem pojawiają się opryskliwość, złość i nienawiść... Nie potrzebujemy czegoś takiego w kulturalnym społeczeństwie. Zanim się zorientujemy, będziemy biegali nago po ulicach i wymachiwali siekierami. Przecież nie możemy się na

coś takiego zgodzić, prawda? Staramy się dobrze wychować chłopaka. Bierze przykład z otaczających go dorosłych. Uczy się od nich. – Zbliżył się i zmierzwił mi włosy. – Szybko dorasta i chłonie wszystko jak gąbka. Razem z jego matką chcemy mieć pewność, że zaszczipimy w nim jak najlepsze wartości, zanim pošlemy go w ten wielki, podły, piękny świat. I tak dochodzimy do zasad.

– Zasady wywodzą się od trzech małp – powiedziałem. Nie potrafiłem się powstrzymać i klasnąłem z ekscytacji w dłonie. – Niektórzy ludzie nazywają je trzema mądrymi małpami. Jest też czwarta małpa. Nazywa się...

– Powoli, synu. Kiedy opowiadasz dowcip, nie możesz od razu przechodzić do puenty.

Pokręciłem głową.

– Oczywiście, że nie – ciągnął. – To samo dotyczy dobrej historii. Zaczynasz opowiadanie od wprowadzenia, przechodzisz do głównej historii i do sedna, i kończysz zgrabnie, elegancko. Nie wolno się spieszyć. Opowiadaniem należy się rozkoszować jak pysznym stekiem lub rożkiem z lodami w ulubionym smaku.

Ojciec miał rację, naturalnie. Jak zawsze. Miałem skłonność do bycia niecierpliwym i zamierzałem pracować nad tą wadą.

– Dlaczego ty jej o tym nie opowiesz, ojcze? Opowiadasz tę historię znacznie lepiej ode mnie.

– Niż ja, synu. Niż ja.

– Przepraszam. Niż ja.

– Jeśli twój gość obieca, że będzie grzeczny, mogę wam poświęcić kilka minut i opowiedzieć o tym. Dobrze by było, żeby pani Carter zrozumiała zasady na początku, nie sądzisz?

Przytaknąłem.

Pani Carter patrzyła na nas z kamienną twarzą. Czarne i sine pozostałości poprzedniego wieczoru przysłaniały jej czerwone policzki.

Ojciec przyciągnął stojące do góry dnem wiadro i usiadł obok mnie. Postawił kubek z kawą na betonowej podłodze. Odrobina płynu wylała się i wsiąknęła w plamę krwi.

– Mądre małpki przedstawia rzeźba umieszczona nad drzwiami sławnej świątyni Tōshō-gū w Nikkō w Japonii. Wyrzeźbił je w siedemnastym wieku Hidari Jingoro. Uważa się, że ilustrują cykl ludzkiego życia... To znaczy, wszystkie panele ilustrują cykl życia, a tylko na drugim znajdują się mądre małpy. Cykl życia opiera się na naukach Konfucjusza.

– Nie tego od ciasteczek z wróżbą, tylko prawdziwego Konfucjusza – wypaliłem. – Był chińskim nauczycielem, wydawcą, politykiem i filozofem. Żył od pięćset pięćdziesiątego pierwszego do czterysta siedemdziesiątego dziewiątego roku przed naszą erą.

– Bardzo dobrze, synu! – rzucił rozpromieniony ojciec. – Był autorem niektórych naj-

bardziej wpływowych chińskich tekstów i kodeksów, które mają zastosowanie po dziś dzień nie tylko w Chinach, ale i w dużej części współczesnego świata. To był prawdziwy mędrzec. Niektórzy ludzie twierdzą, że idea trzech małp dotarła do Japonii za sprawą buddyjskiej legendy z Sendai. Jeśli mam być szczerzy, nikt nie wie tego na pewno. Tak ważne przysłowie po prostu się utrzymuje. Nie zdziwiłbym się, gdybyśmy pewnego dnia dowiedzieli się, że zarówno Japonia, jak i Chiny zdobyły tę mądrość z jeszcze starszego źródła, które otrzymało ją z jeszcze starszego. Legenda o trzech małpach może sięgać zarania dziejów ludzkości.

Pani Carter nadal się na nas gapiała, a ojciec kontynuował:

– Rzeźba przedstawiająca cykl życia w świątyni Tōshō-gū składa się z ośmiu paneli. Małpy pojawiają się na drugim panelu. Czy ktoś potrafi wymienić ich imiona?

Ja, rzecz jasna, znałem odpowiedź i gorliwie podniosłem rękę. Jeśli pani Carter również ją знаła, postanowiła się do tego nie przyznawać.

Ojciec popatrzył na mnie, na panią Carter i znowu na mnie.

– Podniosłeś rękę jako pierwszy. Wymienisz ich imiona.

– Mizaru, Kikazaru i Iwazaru.

– Zgadza się! Dajcie chłopakowi nagrodę, na którą zasłużył. – Ojciec się uśmiechnął. – Dostaniesz dodatkowe punkty, jeśli wiesz, co te imiona znaczą.

Na pewno wiedział, że wiem, ale przepadał za grami, więc ciągnąłem zabawę.

– Mizaru znaczy „nie widzę nic złego”, Kikazaru znaczy „nie słyszę nic złego”, a Iwazaru – „nie mówię nic złego”.

Ojciec powoli przytaknął i poklepał panią Carter po kolanie.

– Pewnie je widziałaś. Pierwsza zasłania oczy, druga uszy, a trzecia przykłada włochate łapki do ust.

– Kiedy pani Carter użyła brzydkiego słowa, pogwałciła zasadę Iwazaru – zauważyłem pewnym siebie tonem.

Ojciec zaprzeczył.

– Nie, synu. Chociaż przekleństwa są złe i świadczą o niższej inteligencji, musiałyby powiedzieć coś złego na temat kogoś innego, żeby pogwałcić zasadę Iwazaru.

– Aha. – Skinąłem głową.

Pani Carter warknęła i pociągnęła za kajdanki.

– Spokojnie, Liso. Przyjdzie kolej i na ciebie, ale musisz szybciej podnosić rękę – poinformował ją ojciec.

Znowu szarpnęła kajdankami. Zastukały o rurę i łóżko. Jęknęła sfrustrowana.

– To może nogę?

– Jest też czwarta małpa, ale nikt o niej nie wie – dodałem.

Ojciec przytaknął.

– Pierwsze trzy małpy definiują zasady, według których powinniśmy żyć, ale to czwarta jest najważniejsza.

– Shizaru – wtrąciłem. – Nazywa się Shizaru.

– Symbolizuje zasadę „nie czynię nic złego” – wyjaśnił ojciec. – I w tym sęk. Jeśli ktoś zobaczy lub usłyszy coś złego, niewiele może z tym począć. Jeżeli ktoś powie coś złego, jest za to odpowiedzialny, ale kiedy zrobi coś złego... gdy dopuści się złego czynu, nie ma miejsca na przebaczenie.

– Taki człowiek jest nieczysty, prawda, ojcze?

– Zgadza się, synu. – Popatrzył na panią Carter. – Niestety, twój mąż zaliczał się do tej ostatniej kategorii i nie ma po prostu potrzeby, żeby tacy ludzie jak on stąpali po naszej planecie. Wolałbym pozbyć się takiego brudu z nieco większą dyskrecją, niż moja żona uznała za stosowne, ale co się stało, już się nie odstanie i nie ma sensu denerwować się z powodu czegoś, nad czym nie mamy kontroli. Wolałbym też, żebyś się nie dowiedziała o naszych występkach wczoraj wieczorem, ale wykazałaś się wyjątkowymi umiejętnościami detektywistycznymi. Dlatego znaleźliśmy się w takiej sytuacji. Co mamy z tobą począć?

– Czy jest czysta, ojcze?

Musiałem o to zapytać, bo nie znałem odpowiedzi. Niewątpliwie widziała i słyszała złe rzeczy, ale ojciec powiedział wcześniej, że takie występki są wybaczone. Powiedziała coś złego? Zrobiła coś złego? Tego nie wiedziałem.

Ojciec odgarnął kosmyk włosów z oka pani Carter. Przyglądał się jej długo w milczeniu, zanim się odezwał.

– Nie wiem, synu, ale planuję się tego dowiedzieć. Pan Carter był nieprzyjemnym człowiekiem, nie ma co do tego wątpliwości, ale coś go zdenerwowało. Coś przepełniło czarę goryczy i sprawiło, że się wylała. – Wyciągnął rękę i dotknął sińca pod okiem pani Carter czubkiem palca wskazującego. – Nie mogę przestać się zastanawiać, co to był za drobiazg i czy nasza droga pani Carter była w to zamieszana.

Natychmiast wróciłem myślami do matki z panią Carter. Nie mogłem powiedzieć o tym ojcu. Jeszcze nie. Jeżeli działania pani Carter przyczyniły się do tego, że pan Carter złamał zasady, czy nie byłoby logicznym wnioskiem, że i matka była po części odpowiedzialna za czyny pani Carter? Jeżeli matka złamała zasady... Nie mogłem znieść tej myśli.

Ojciec przyglądał mi się uważnie. Wiedział? Zdradziłem się? Nie zgłębiał tematu. Zamiast tego wstał i wskazał tacę ze śniadaniem.

– Obawiam się, że wystygło ci śniadanie. Będzie musiało ci to wystarczyć. Może następnym razem przyjmiesz tak pyszny posiłek z uśmiechem, a nie z tak ostrą niechęcią. – Poklepał mnie po ramieniu. – Pamiętaj synu, by nie dawać naszemu gościowi sztuców.

– Wiem, ojciec.

– Grzeczny chłopiec.

Wszedł na schody.

Odwróciłem się do pani Carter i sięgnąłem do knebla.

– Spróbujemy jeszcze raz?

Przytaknęła, nie odrywając oczu od pleców wychodzącego ojca.

34 Porter

Dzień pierwszy, 17.23

Leżąca na północny zachód od obwodnicy, granicząca z centrum Chicago dzielnica Fulton River przeżywała właśnie okres urbanistycznej odnowy – stare magazyny przekształcano w drogie lofty, a w byłych fabrykach obuwia urządzano spa i kawiarnie. Pomędzy tymi celami pielgrzymek hipsterów można było znaleźć sporadyczne budynki przeznaczone do rozbiórki. Jeżeli byłyby zdolne do myślenia, Porter przypuszczał, że obserwowałyby nerwowo swoich sąsiadów, czekałyby, kiedy przyjdzie ich kolej na poddanie się liftin-gowi, i miałyby nadzieję, że ułaskawienie przyjdzie, zanim uderzy w nie niszczyielska kula gotowa zrobić miejsce dla czegoś zupełnie nowego.

Tak było w przypadku Desplaines 1483.

Przysadzisty w porównaniu z okolicznymi konstrukcjami budynek miał tylko trzy piętra i niespełna tysiąc metrów kwadratowych powierzchni. Po uważniejszym przyjrzeniu się mu można było dostrzec elewację z czerwonej cegły tu i ówdzie wyzierającą spod warstw farby w odcieniach od zieleni przez żółć po biel. Większość okien była zabita deskami lub wybita.

Budynek w pewnym momencie z pewnością prężył się dumnie, ale histo-ria nie obesła się z nim łaskawie. Przeżył najcięższe czasy. Z trzewi polityki zrodziła się prohibicja, którą zwalczyli gangsterzy stojący niegdyś w oknach tego domu. Był świadkiem narodzin miasta i obserwował wielki pożar, który spalił do cna budowle po drugiej stronie rzeki. Porter mógłby przysiąc, że na-dal czuł woń płomieni i dymu w tej okolicy, mimo że sto zim starało się ją stąd zmyć.

Powierzchnię dachu zdobiły wypłowiałe drewniane litery tworzące napis

MULIFAX PUBLICATIONS – tylko tyle zostało z dawnej glorii.

– Nie ma na co popatrzeć – stwierdził Nash siedzący na miejscu pasażera w chargerze Portera. Zaparkowali na rogu ulicy naprzeciwko budynku. Usłyszeli sygnał wiadomości, więc Nash zerknął na wyświetlacz. – Clair będzie tu za dwie minuty. Z brygadą antyterrorystyczną.

Porter zerknął we wsteczne lusterko. Watson stukał w swój telefon. Porter jeszcze nigdy nie widział, by ktoś tak szybko poruszał palcami.

– Chryste, doktoru, to coś stanie w ogniu.

– Mulifax Publications zamknął swoje podwoje w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym roku. Od tego czasu budynek stoi pusty – powiedział Watson, nie podnosząc wzroku. – Firma macierzysta nadążała z opłacaniem rachunków do dwa tysiące trzeciego roku. Wtedy zbankrutowała i budynek przejęło miasto. Podjęto próby wynajęcia go, ale nie znalazł się żaden chętny. Miasto przeznaczyło go do rozbiórki w dwa tysiące dwunastym.

– Dlaczego nie odnowiono go jak inne budynki? – zainteresował się Nash. – Ta dzielnica zrobiła się luksusowa. Nie moglibyśmy tu zamieszkać z pensją gliniarza, to pewne.

Porter wskazał ruchem głowy na budynek.

– Czy twój magiczny telefon może nam powiedzieć, co się znajduje w środku?

– Mogę ci powiedzieć, czego tam nie ma – odpowiedział Nash. – Zabójcy Czwartej Małpy. Bo leży sobie wygodnie w kostnicy. – Wodził wzrokiem wzdłuż ulicy. – Mam pytanie za dziesięć tysięcy dolarów. Dlaczego czekamy na brygadę antyterrorystyczną? Skoro nie ma zabójcy, nie ma nikogo, kto mógłby do nas strzelać.

Porter wzruszył ramionami.

– Rozkaz kapitana.

– Czy powiedział, dlaczego chce, żeby antyterroryści weszli tam jako pierwsi?

– Uważa, że to może być pułapka. Podrzucił tę książkę... To nie w jego

stylu. Coś tu nie gra.

– A jak ty myślisz?

– Nie wiem, co mam myśleć.

– Proszę spojrzeć. – Watson podsunął Porterowi telefon. Przeglądarka internetowa była otwarta na stronie Wikipedii. – Rozprowadzano tu nielegalnie alkohol. Pod tymi budynkami ciągnie się sieć tajnych tuneli.

– Mógł je wykorzystywać, żeby przemieszczać się tutaj niepostrzeżenie.

Zaparkowała za nimi zielona honda civic. Wysiadła z niej Clair Norton, obiegła samochód Portera i podeszła do okna po stronie Nasha. Opuścił szybę.

– Widzieliście coś? – zapytała, wskazując na budynek.

– Nic. Spokojnie.

– A ten biały sedan?

Porter zauważył samochód, gdy tu podjechali. Najnowszy model buicka z dziurą na tylnym błotniku po stronie kierowcy zaklejoną siatką.

– Nie widać nikogo za kierownicą.

Watson zabrał telefon Porterowi.

– Myślicie, że korzysta z tuneli?

– Nielegalne tunele? – Clair popatrzyła na sąsiednie budynki, a potem z powrotem na samochód. – Kilka lat temu zajmowałam się sprawą przemytu w East Side. Przestępcy wykorzystali stare tunele do przemieszczania się. Słyszałam, że firma telekomunikacyjna poszerzyła je, żeby poprowadzić tamtędy kable, a nawet stworzyła sieć kolei. Można było przedostać się tamtędy od rzeki prawie do centrum miasta bez wychodzenia na powierzchnię. Niektóre tunele były na tyle głębokie, że zmieściła się tam ciężarówka – opowiadała. – W ten sposób można się przemieszczać po całym mieście, jeśli zna się drogę. Jest tam zimno jak cholera. Niektóre kina w centrum nadal wykorzystują szyby wentylacyjne, żeby ciągnąć stamtąd zimne powietrze do schładzania sal.

– Można się tu dostać z A. Montgomery Park?

– Wiem, do czego zmierzasz, Sam, ale wątpię, żeby to się tak odbyło – odezwał się Nash. – Wywiózł ją stamtąd samochodem. Gdyby próbował wejść do kanału burzowego z naszą dziewczyną, ktoś by go raczej powstrzymał.

Clair wywróciła oczami.

– Nie widziałeś tamtej ekipy.

Porter kontynuował burzę mózgów.

– No dobra. Zabrał ją do samochodu. Co dalej. A. Montgomery Ward Park leży niecałą przecznicą od północnej odnogi rzeki Chicago. Czy można tam wjechać do systemu kanałów samochodem?

Watson znowu stukał w telefon.

– Domyślam się, że tak, ale nie mogę znaleźć szczegółowych zdjęć. To ma sens, co nie? Budowniczy chcieliby mieć dostęp do każdego ważniejszego szlaku wodnego. Mógł zniknąć z nią pod ziemią i przynieść ją tutaj bez ryzyka, że ktoś go zobaczy, nawet gdyby musiał odbyć część drogi pieszo.

– Możliwe, że transportował w ten sposób wszystkie ofiary. To by wyjaśniało, dlaczego przez tak długi czas poruszał się po mieście, nie zostawiając śladów – dodał Nash.

– Ona może tu być – powiedziała cicho Clair.

– Tak – potwierdził Porter.

Ciemnoniebieski van z napisem TOMLINSON USŁUGI HYDRAULICZNE sporządzonym wściekle żółtymi literami przejechał przez skrzyżowanie i zatrzymał się na miejscu za sedanem.

– To nasi chłopcy? – zapytał Porter.

– Tak jest. Pomyśleliśmy, że lepiej będzie nie rzucać się w oczy. – Zadzwoił telefon Clair. Wyjęła go z kieszeni i odebrała. Potaknęła kilka razy. – Rozumiem. Wchodźcie. – Popatrzyła na Nasha i Portera. – Gotowi do działania? Oni idą pierwsi. Sprawdźmy budynek, a my wejdziemy na ich znak.

Nash wskazał kciukiem na tylne siedzenie.

– A co z nim?

Porter spojrział znowu we wsteczne lusterko. Zerknął na Watsona.

– Nie nosisz broni?

Watson pokręcił głową.

– Nie, sir.

– Czy przypadkiem wzięłeś ze sobą kamizelkę?

Regulamin departamentu nie pozwalał, żeby ktokolwiek wkraczał na miejsce zbrodni bez kamizelki kuloodpornej.

– Nie są standardowym wyposażeniem w moim dziale.

– W takim razie poczekasz tutaj. Przykro mi, dzieciaku.

Porter i Nash wysiedli z samochodu i przeszli na tył. Porter wyciągnął z bagażnika dwie kamizelki kuloodporne, strzelbę i latarkę. Broń i jedną kamizelkę podał Nashowi, a drugą włożył sam. Nash otworzył strzelbę i sprawdził, czy zamek zabezpieczający bębenek jest na miejscu. Porter wyjął spod zapasowego koła dziewięćmilimetrową berettę 92FS i sprawdził magazynek. Upewnił się, że jedna seria weszła do komory.

– Zapasowy? – zapytał Nash, sprawdzając własną broń, walthera PPQ.

Porter przytaknął.

– Nie widziałem jeszcze kapitana. Mój przydzielony pistolet nadal jest u niego.

– Teoretycznie jeszcze nie wróciłeś do roboty. Lepiej, żebyś nie oberwał w akcji. Z cywilem postrzelonym w akcji jest więcej papierkowej roboty niż z postrzelonym partnerem.

– Cieszę się, że mnie kryjesz.

Clair dostała wiadomość: „Wchodzimy za dziesięć sekund”. Odbezpieczyła swojego glocka.

Furgonetka hydraulików zakołysała się, po czym otworzyły się tylne drzwi i ze środka zaczęli wyskakiwać mężczyźni w pełnym rynsztunku bojowym. Pierwsi dwaj taszczyli czarny metalowy taran, pozostali karabiny automatyczne AR-15 gotowe do strzału. Sprawnie podeszli do budynku.

Nash ruszył za nimi z Porterem u boku i Clair depczącą im po piętach.

Taran szybko sobie poradził z drzwiami wejściowymi – jedno uderzenie i znaleźli się w środku. Kłódka odpadła od metalowego rygla na podłogę i przekopał ją na bok czyjś ciężki but. Mężczyźni z taranem przesunęli się, żeby przepuścić pozostałych, następnie zdjęli karabiny z pleców i weszli za grupą.

Wybuchł granat zaczepny. Dało się słyszeć stłumione okrzyki „Policja!” i „Czysto”, gdy brygada zniknęła wewnątrz. Porter mocniej ścisnął berettę, kiedy opuścił zalaną słońcem ulicę i znalazł się w czarnej czeluści budynku.

– Nic tu nie widać – narzekał Nash, wyżejając wzrok.

– Wszystkie okna zabite deskami. Tu jest jak w grobowcu – przyznała Clair.

Porter spojrział w stronę wejścia. Światło z ulicy wlewało się do środka, tworząc kwadratową plamę o boku około trzech metrów. Odnosiło się wrażenie, że ciemność napiera na nią i wygania jasność.

Zapalił latarkę i oświetlił wnętrze. Spodziewał się zobaczyć otwartą przestrzeń magazynu. Tymczasem strumień światła napotkał wąskie wejście ze spróchniałego drewna. Izolacja akustyczna na suficie kruszyła się, gipsowe ściany łuszczyły się i pękały, a na podłodze walał się gruz gromadzący się tutaj od lat.

Porter usłyszał odgłosy brygady znajdującej się w głębi budynku. Buty uderzały ciężko o podłogę, gdy ludzie przeczesywali kolejne pomieszczenia.

Wtem zapadła cisza.

– Słyszycie?

– Co?

– Antyterroryści się zatrzymali.

– Zaszli na tyle daleko, że ich nie słychać. To wszystko.

– Wcale nie. Zatrzymali się.

– Może.

– Jest za cicho – stwierdziła Clair.

– Chodźmy – rozkazał Porter. – Trzymajcie się blisko.

Szli powoli; światło latarki cięło mrok. Za wejściem znaleźli hol, a za nim wąską ścieżkę pomiędzy pudłami, skrzyniami i innymi przedmiotami ustawionymi wzdłuż ścian. Porter naliczył co najmniej pięć materacy na odcinku pierwszych piętnastu metrów; materiał powlekający materace był zbutwiałły i zniszczony, pokryty pleśnią, i pełzały po nim insekty. Betonową podłogę zaścielała warstwa brudu i gruzu, upstrzona gdzieniegdzie kałużami śmierdzącej szczynami wody. Dźwięk strzelających pod podeszwami igiełek wystarczył, żeby detektyw zapragnął być gdzie indziej. Wyobraził sobie szkieleciki gryzoni miażdżone z każdym jego krokiem.

Mniej więcej co trzy metry znajdowały się jakieś drzwi z popękkanymi drewnianymi framugami. Porter wiedział, że brygada antyterrorystyczna otworzyła każde z nich taranem wykorzystanym przy wejściu do budynku. Mimo to oświetlał mijane pomieszczenia, chociaż wiedział, że nie znajdzie w środku niczego wartego uwagi. Robił to na wszelki wypadek.

Przy trzecich drzwiach zatrzymał się i nadstawił uszu.

Słyszał regularne kapanie wody.

Oddechy Nasha i Clair idących kilka kroków za nim.

Tykanie własnego zegarka.

Lecz nie słyszał brygady antyterrorystycznej. Nie docierał tutaj żaden dźwięk.

Porter zwolnił lekko, żeby Nash i Clair mogli go dogonić.

– Coś jest nie tak. Nie podoba mi się to.

Wtem w głębi budynku rozległ się rumor, a po nim dwa wystrzały z broni.

– Naprzód! – rozkazał Porter i ruszył w stronę, skąd dobiegały odgłosy.

Clair i Nash pobiegli za nim i za podskakującym snopem światła latarki.

Porter przemieszczał się szybko. Miał wrażenie, że otaczająca go pleśń go udusi. Dotarli do zepsutej windy towarowej; na lewo od niej znajdowały się

schody. Głosy dobiegały z dołu.

Bez wahania zbiegli po schodach, pokonując po dwa stopnie na raz. Omi-
jali rupiecie i gruz i starali się nie pośliznąć.

– Co jest, kurwa? – krzyknął ktoś.

– Skąd wyłażą?

– Nie wiem!

– Cofnijcie się!

– Nie, czekaj!

Jaskrawoczerwone światło oświetliło drzwi u podstawy schodów. Ktoś
odpalił racę. Porter zmrużył oczy przed jaskrawym rozbłyskiem. Uniósł lufę
broni w stronę sufitu. Nie zamierzał ryzykować przypadkowej serii.

– Uciekają! – dobiegło z dołu.

– Odpal następną! Tutaj, w rogu!

Nash chwycił Portera za ramię i przytrzymał. Zostało im tylko kilka
stopni.

– Espinosa? Tu detektywi Nash, Norton i Porter. Stoimy na schodach.
Wstrzymajcie ogień!

– Zaczekajcie! – odkrzyknął Espinosa.

– Czysto! – zawołał ktoś inny.

– Te skurczysyny są wszędzie!

Kolejna raca zajaśniała z sykiem i wylądowała u podnóża schodów.

Co najmniej tuzin szczurów rzucił się do ucieczki, depcząc małymi łap-
kami po butach Portera i Nasha. Clair krzyknęła.

– Kurwa! – wrzasnął Nash i przyskoczył do ściany.

Porter patrzył z trwogą na kolejnych sześć gryzoni.

– No dobra, możecie schodzić. Tylko trzymajcie się światła – polecił im
Espinosa.

– Nie zamierzam... – odezwał się Nash.

Clair pchnęła go.

– Rusz się, dziecino.

Weszli do dużej piwnicy, która ciągnęła się chyba pod całym budynkiem. Oświetlane czerwonymi rozbłyskami betonowe podłogi i ceglane ściany ciągnęły się, jak okiem sięgnąć. Na podłodze wałały się śmieci: pudła, papiery, puszki po napojach, a pomiędzy nimi...

– Jeszcze nigdy nie widziałem tylu szczurów – zauważył Porter, nie odrywając wzroku od skrawka podłogi oświetlonego przez racę.

Podłoga połyskiwała i poruszała się. Wyścielał ją kobierzec szczurów. Wdrapywały się na siebie, usiłując uciec od światła, tylko że nie miały dokąd. Pazurki stukwały o beton i wbijały się w grzbiety zwierząt znajdujących się pod spodem.

– Kazałem wam czekać na zewnątrz – rzucił Espinosa, ściągając brwi. – Przynajmniej do czasu, gdy się nie zorientuję, z czym mamy do czynienia.

– To jest plaga szczurów – mruknął jeden z antyterrorystów, zanim rzucił kolejną racę w głąb pomieszczenia.

– Jeśli będziesz rzucał tam, szczury będą uciekały w tę stronę. Trzeba je zmusić do odwrotu!

– Dokąd?

– Strzelacie do szczurów? – zainteresował się Porter.

– To był Brogan, tępą idiotą.

– Hej!

– Cholerstwa są wszędzie! Jest ich tu z tysiąc – powiedział Espinosa i zrzucił jednego gryzonia z buta. Szczur poszybował w powietrzu i uderzył w ścianę, po czym się otrząsnął i pobiegł w daleki kąt piwnicy.

Nash stał nieruchomo. Był blady jak kreda, kiedy szczury w panice przebiegały u ich stóp, odsłaniając żółte zębiska.

Clair wspomniała o tunelach. Zasugerowała, że pewnie za ich pośrednic-

twem gryzonie dostały się do piwnicy.

Espinosa skinął głową i wcisnął przycisk krótkofalówki na swoim barku.

– Sprawdźcie zewnętrzne ściany. Szukamy wejścia do tunelu.

– Nie musimy szukać – stwierdził Porter. Wiódł wzrokiem za gryzoniami biegnącymi po podłodze i przeciskającymi się wśród śmieci. – Wystarczy iść za nimi. – Popatrzył daleko w róg. Zwierzęta nie biegały bezładnie, tylko zmierzały w jednym kierunku, jak rzeka chorób i brudu. – Mogę dostać racę? – zapytał.

Espinosa odpiął jedną od paska i podał detektywowi.

Porter odbezpieczył ją, odpalił i cisnął w głąb piwnicy. Zakreśliła łuk w powietrzu i upadła z głośnym łupnięciem jakieś osiemnaście metrów dalej.

– Niezły ma pan rzut! – wykrzyknął Espinosa.

Porter pobiegł w tamtą stronę.

Mimo że szczury się rozpierchły, nadal zmierzały w jednym kierunku, w stronę zamkniętych drzwi z dziurą w rogu przy dolnej krawędzi. Otwór był na tyle duży, że mogły się tamtędy przecisnąć. I to właśnie robiły. Przechodziły przez otwór po kolei, jeden za drugim.

Porter wyciągnął rękę, ale Espinosa schwycił jego dłoń.

– Proszę się odsunąć, detektywie. Musimy sprawdzić pomieszczenie. – Głos miał niski, ledwie słyszalny.

Porter przytaknął i odsunął się.

Wolną ręką Espinosa pokazał dwóm ludziom, żeby stanęli po bokach drzwi. Sam stanął w odległości trzech metrów z bronią wycelowaną w otwór i odliczył od trzech do jednego na palcach.

Gdy doszedł do zera, jeden z antyterrorystów otworzył drzwi kopnięciem i wemknął się do środka; pochylony, przebiegł szybko w lewo. Drugi funkcjonariusz wymierzył broń nad niego i powiódł nią na boki, po czym wszedł za partnerem. Do środka weszło jeszcze dwóch mężczyzn.

– Czysto! – stłumiony, odległy głos.

A potem drugi:

– Czysto!

Espinosa z bronią gotową do strzału pokonał szybko drzwi i zniknął. Po chwili w środku błysnęła czerwona raca.

– Porter. Chodźcie tu szybko! – krzyknął.

Porter popatrzył na Nasha i Clair, po czym wszedł do środka, omijając szczury wbiegające i wybiegające z pomieszczenia.

Było tu zimniej niż w piwnicy i czuć było wilgotny odór pleśni i rozkładu. Natychmiast rozpoznał tę woń, mdlący zapach gnijącego mięsa. Przynsunął dłoń do nosa, próbując odciąć się od smrodu, ale niewiele to dało.

Stało przed nim pięciu ludzi wpatrujących się nieruchomo w jedno miejsce.

– Niech wszyscy wyjdą – rozkazał zduszonym głosem Porter.

Espinosa się odwrócił, gotów się sprzeciwić, ale się zreflektował. Cofnął się przez wyważone drzwi i pokazał swoim ludziom, żeby zrobili to samo.

Porter wszedł głębiej.

Na ścianach i podłodze stały setki świec, w większości wypalonych kopczyków z wosku. Kilka nadal się tłących rzucało blade słabe światło, które niknęło w obliczu błysku racy.

Chciał je zgasić. Racę, świece.

Chciał je wszystkie zgasić i pogrążyć to miejsce w mroku.

Nie chciał tego oglądać.

Nie chciał widzieć nic z tego.

Pośrodku pomieszczenia leżały przewrócone na bok stare szpitalne nosze z pokrytymi krwistymi plamami rdzy barierkami.

A pod nimi leżało przykute do barierki nagie ciało – pożarte przez tysiące rojących się wokół wygłodniałych szczurów.

Ogryzione prawie do kości.

35 Pamiętnik

Pani Carter chyba zrozumiała zasady, bo tym razem nie krzyczała po wyjęciu knebla. Nie przeklinała. Jeżeli przelatywały jej przez głowę nienawistne myśli, zachowała je dla siebie. Zamiast tego spoglądała na mnie zmęczonymi oczami.

– Chce mi się pić – powiedziała.

Przysunąłem sok pomarańczowy do jej spierzchniętych warg i przechyliłem szklankę na tyle, żeby (ciepły już) płyn wypełnił jej usta. Pozwoliłem jej przełknąć.

– Poproszę jeszcze.

Dałem jej więcej. Kiedy wypła wszystko, postawiłem szklankę obok łóżka.

– Podać banana czy cheerios?

Wzięła głęboki wdech.

– Musisz mnie uwolnić.

– Wiem, że suche cheerios nie wyglądają zbyt apetycznie, ale zapewniam, że są pyszne. Te okrągłe chrupki są cudowne. Chyba lubię je najbardziej na świecie.

Miałem ochotę schrupać kilka, ale musiała się pokrzepić. Sprawię sobie miseczkę, gdy już wrócę na górę.

Pani Carter przysunęła się do mnie. Poczulem na policzku jej ciepły oddech.

– Twoi rodzice mnie zabijają. Rozumiesz to, prawda? Czy tego chcesz? Zawsze byłam dla ciebie miła. Pozwoliłam nawet, żebyś mnie zobaczył... no wiesz, wtedy nad jeziorem. To była nasza wyjątkowa chwila. Coś tylko dla ciebie. Jeśli mnie puścisz, obiecuję, że będzie takich chwil znacznie więcej. Dam ci wszystko, czego zapragniesz. Zrobię to, o czym żadna dziewczyna w twoim wieku nie ma pojęcia. Wystarczy, że mnie wypuścisz.

– Banan czy cheerios? – powtórzyłem.

– Proszę.

– W takim razie banan.

Obrałem banana i podsunąłem jej pod usta. Zamrugła oczami, po czym pochyliła się, żeby wziąć kęs.

– Mówiłem, że to dobre jedzenie.

– Ty jesteś dobry – zwróciła się do mnie. – Jesteś dobrym chłopcem i wiem, że nie pozwolisz, żeby spotkało mnie coś złego, prawda?

Znowu podsunąłem jej banana.

– Musi pani jeść.

Wzięła kolejny kęs, tym razem wolniej, a jej czerwone usta przesunęły się po owocu, zanim odgryzła kawałek.

36 Porter

Dzień pierwszy, 17.32

Kiedy Espinosa i jego ludzie wyszli za drzwi, Porter wszedł głębiej.

– Nash, Clair, weźcie latarki i chodźcie tutaj! – krzyknął przez ramię.

Ukląkł przy zwłokach i klasnął w dłonie z całej siły. Głośny dźwięk rozszedł się po pomieszczeniu i szczury pierzchły spod ciała. Klasnął jeszcze raz i kolejne dwa czmychnęły, żeby się skryć. Miał czerwone i obolałe dłonie, ale klasnął po raz trzeci. Uciekł jeszcze jeden szczur, któremu spomiędzy zaciśniętych zębów zwisał kawałek mięsa. Wyglądał jak kawałek ucha.

Na ścianie zatańczył snop białego światła. Porter się odwrócił i zobaczył stojącego obok Nasha zasłaniającego usta i nos rękawem kurtki.

– Chryste Panie – jęknął.

– Pokaż – powiedział Porter, wskazując na latarkę.

Nash wyciągnął się i podał mu ją, nie odrywając stóp od podłogi.

– Jasna cholera. – Clair aż zakasłała i zasłoniła usta. – Czy to Emory?

Porter się nie odwrócił.

– Clair, wracaj na górę i powiedz Watsonowi, żeby wezwał tu techników kryminalistycznych. I lekarza medycyny sądowej.

– Tak jest – odparła Clair i ruszyła tam, skąd przyszli.

– Brian, możesz stąd wyjść. Zrozumiem.

Nash pokręcił głową.

– Dojdę do siebie. Tylko... daj mi chwilę.

Porter oświetlił zwłoki.

Muchy bzyczały nad bladym ciałem tkwiącym pomiędzy noszami a betonową podłogą. Kiedy pochylił się nad głową, dostrzegł w czaszce pęknięcie centymetr poniżej linii włosów. Skóra wokół pęknięcia została wyskubana. Najprawdopodobniej rana krwawiła i zapach krwi zwabił szczury.

– Ten człowiek chyba spadł z noszy i rozbił sobie głowę. Nie sposób powiedzieć, ile czasu tu spędził.

Nash wskazał w inne miejsce.

– Prawa ręka jest przykuta kajdankami do noszy. Chyba ciągnął to ustrojstwo za sobą, a potem upadł. To nasza dziewczyna?

Porter powiódł światłem po zwłokach i znowu pochylił się nad głową.

– Nie. Ta osoba ma krótkie brązowe włosy. I wydaje się starsza. Widzę pasemka siwizny i liczne zmarszczki na tym, co zostało z podbródka. Emory jest znacznie młodsza i ma ciemniejsze włosy.

– To kobieta?

– Trudno stwierdzić. Pomóż mi obrócić ciało.

Kolejny szczur uciekł spod nogi ofiary i czmychnął w stronę drzwi.

– Skurwysyny... – Nash odskoczył.

Porter wywrócił oczami i podał mu latarkę.

– Chryste. Sam to zrobię. Potrzymaj to i mi przyświecaj.

Nash wziął latarkę i wysunął przed siebie.

– Przepraszam, przestraszyłem się. To wszystko.

– Nie miałeś nigdy chomika albo myszoscoczka, kiedy byłeś dzieckiem? Szczury nie różnią się od nich niczym oprócz rozmiarów.

– Żrą śmieci i roznoszą więcej chorób niż grzybiarka spod lasu – odparł Nash. – Jak któryś z tych skurwieli cię ugryzie, spędzisz resztę wieczoru na SOR-ze i będziesz dostawał w brzuch zastrzyki przeciw wścieklicznie. Ja

dziękuję.

– W ramię – poprawił go Porter, sięgając do kieszeni po parę zielonych lateksowych rękawic.

– Słucham?

– Tych zastrzyków nie robi się już w brzuch, tylko w ramię.

– No to jest jakiś postęp.

– I szczury wcale nie roznoszą wścieklizny. W Stanach jeszcze nigdy nie odnotowano przypadku zarażenia się wścieklizną wskutek ugryzienia przez szczura. To mit. Dzięki niemu lepiej się czujemy, kiedy je zabijamy. Wyobrażasz sobie, jakie brudne byłoby to miasto, gdyby szczury nie zjadały śmieci? Jeśli pytałbyś mnie o zdanie, prawdziwą plagą są ludzie. To oni robią takie rzeczy. – Nie odrywał wzroku od zwłok. – Musisz podnieść nosze, kiedy będę obracał ciało. Stań z drugiej strony.

– Nie sądziłem, że jesteś sympatykiem szczurów. – Nash wsunął latarkę pod pachę, wyciągnął rękawiczki i włożył je na dłonie, po czym obszedł ciało i chwycił za ramę noszy.

– Na trzy?

– Na trzy.

Odliczyli. Kiedy Nash dźwignął nosze, Porter chwycił lewą ręką za ramię ofiary, a prawą wyciągnął w stronę jej nogi, złapał i pociągnął do siebie; jego starzejące się plecy zareagowały na ten ruch przeszywającym bólem promieniującym do uda. Zwłoki oderwały się od betonu z ohydny mlaśnięciem. Buchnął od nich obłok smrodu, słodkiego i kwaśnego zarazem, zgniłego i wilgotnego. Gdy Porter przewrócił ciało na plecy, zorientował się, że nie było połowy żołądka. W miejscu jelit i wyściółki ziała wielka różowa jama, z której sączył się tłuszcz przemieszany z czerwiami.

Nash odsunął nosze, prawie uderzając nimi w głowę Portera, kiedy je upuścił, i pochylił się; na poły strawiony Kit Kat rozprysnął się na ścianie z pustaków. Nash zabrał ze sobą snop światła i Porter był mu wdzięczny za tę chwilę ciemności. Potrzebował tych kilku sekund, żeby się przygotować do ponownego spojrzenia na ofiarę.

Kiedy jego partner się wyprostował i odwrócił, usiłował przeproszać, ale Porter tylko machnął ręką.

– Daj latarkę.

Nash skinął głową, podał mu latarkę i otarł usta krawędzią rękawa kurtki.

Snop światła przesunął się powoli wzdłuż tego, co zostało z ciała, od twarzy w stronę stóp i z powrotem.

– Mężczyzna, prawdopodobnie po pięćdziesiątce.

– Chryste, skąd ty to wiesz?

Szczury rozprawiły się z genitaliami. Tkanka miękka w zasadzie zniknęła i zostały tylko kości, gruby mięsień i pusta przestrzeń, gdzie niegdyś znajdowało się ciało. Rana miała dziwny kolor – była to mieszanina ciemnej zieleni, bieli i rdzawej czerwieni. Pomiedzy warstwami wiły się czerwie, powoli trawiając to, co pozostało po uczcie szczurów.

– Załatwiły też oczy – zauważył Nash.

Porter skierował światło na głowę. Szczury wyżarły nie tylko gałki oczne. Puste oczodoły gapiły się na niego niewzruszenie. Biel nerwu ocznego i brak powiek nadawały im wygląd małej sierotki Annie ze starych komiksów.

– Ile czasu tu spędził, twoim zdaniem?

Porter westchnął i natychmiast pożałował głębokiego wdechu, gdy poczuł smród w płucach.

– Co najmniej kilka dni. Myślę, że żył przez co najmniej dwa dni.

– Dlaczego tak myślisz?

Porter wskazał na szyję mężczyzny.

– Widzisz twarde zarost? Ma co najmniej kilka dni. Facet ma krótką fryzurę, zadbaną. Nawet przycinał brwi. Tego typu człowiek goli się raz, niekiedy dwa razy dziennie. A ten nie golił się od dwóch, trzech dni. Jestem pewien, że lekarz sądowy będzie mógł określić to precyzyjniej.

– Masz pomysł, co było przyczyną śmierci?

Porter znowu poświecił na zwłoki.

– Żadnych ewidentnych urazów. Mogę się domyślać, że został dźgnięty w brzuch. To tam szczury wyrządziły największą szkodę.

– Rzuciły się na zakrwawioną ranę, jak to pęknięcie czaszki.

– Aha.

Nash podszedł bliżej i wskazał na lewą dłoń ofiary.

– A to co?

Porter powiódł za jego wzrokiem. Dłoń była zaciśnięta w pięść, zakrzepła krew sklejała palce.

– Stężenie pośmiertne?

– Dawno już minęło. Szczury skubały jego palce. Zaschnięta krew je zlepiła. Potrzyj to jeszcze raz. – Podał latarkę Nashowi.

Miał obie ręce wolne, więc zdołał otworzyć dłoń ofiary. A ta ścisnęła kawałek błyszczącego papieru. Miał około dwunastu centymetrów długości; zwinięto go jak skręta. Porter wyjął go i delikatnie rozwinął.

– To broszura.

– Dotycząca czego?

Porter podsunął ją pod światło. Nash pochylił się i przeczytał na głos: – Osiedle Moorings Lakeside, Talbot Estates Development. Tutaj jachty sąsiadują z country clubem.

– Agencja nieruchomości Talbota?

– Albo jego firma budowlana. A najprawdopodobniej jedno i drugie. – Nash wyciągnął rękę po broszurę. – Widziałem reklamę tego miejsca. Zburzyli dziesiątki magazynów i budynków przemysłowych nad jeziorem, takich jak ten, i zastąpili je pseudorezydencjami z kiepskich materiałów. Domy są wielkie, ale otacza je minimalny teren zielony. Obłąd. Jeżeli stać cię na taki dom nad jeziorem, dlaczego miałbyś chcieć mieszkać tuż przy domu sąsiada? Mam kumpla, który pracuje w porcie. Powiedział, że działki nad wodą sprzedaje się razem z dokami, ale nie pogłębiono ich w wystarczającym stopniu, więc można tam trzymać co najwyżej łódź do trollingu. Jeżeli chcesz zaku-mować większą łódź, obciążają cię niebotycznymi opłatami z tytułu pogłę-

bienia doku. No i na niewiele się to zda, jeśli sąsiedzi nie zrobią tego samego. Woda nanosi osady z powrotem. Za kilka lat będzie trzeba wszystko zaczynać od nowa.

Porter zmusił zmęczone ciało do podniesienia się; nadwerżone kolana strzelały.

– Musimy wyjść na zewnątrz i zadzwonić do Hosmana. #4MK wybrał Talbota nie bez powodu. To musi mieć jakiś związek z tym osiedlem.

– Może coś podejrzanego w księgowości?

– W przypadku tak wielkich projektów jak ten to może być wszystko. Aby pchnąć takie przedsięwzięcie, trudno nie nadebrać na odcisk wielu osobom.

– Porter?

Mężczyźni się odwrócili. W drzwiach stał Espinosa.

– Moi ludzie namierzyli tunel, o którym wspominaliście. Był zabity deskami, ale ktoś się do niego niedawno wdarł i zasłonił przejście kilkoma skrzynkami. Tunel odchodzi od niższej piwnicy i zmierza na północ. Jeśli mnie tu nie potrzebujecie, zbiorę ludzi i sprawdzimy, dokąd prowadzi.

Porter chciał się wydostać na zewnątrz. Czuł się klaustrofobicznie z powodu tego pomieszczenia, zwłok, szczurów, całego tego bałaganu.

– Nash, poczekaj tutaj na lekarza sądowego. Niech Watson obejrzy miejsce. Idę z brygadą Espinosy. Uspokoję się, kiedy się dowiemy, dokąd prowadzi tunel. – Popatrz na Espinosę. – Proszę prowadzić.

37 Pamiętnik

– Mistrzu, możesz mi w tym pomóc?

Ojciec stał w pobliżu tylnego wyjścia, z czerwonym wózkiem do zabawy wypełnionym po brzegi małymi paczkami o boku około trzydziestu centymetrów zawiniętymi w czarne torby foliowe zaklejone taśmą pakową.

Muszę przyznać, że nie korzystałem z wózka od kilku lat. Kiedy go ostatnio widziałem, był wciśnięty do szopy na narzędzia, przygnieciony środkami do pielęgnacji trawnika i starym grillem kupionym przez ojca na wyprzedaży w Sears wiele wiosen temu. Ojciec lubił ten grill, bo był gazowy. Matka go nie lubiła, bo nie był węglowy. Według mnie kotlet z grilla był kotлетem z grilla i nie miałem preferencji dotyczących sposobu jego przygotowania, o ile finalnie lądował na moim talerzu – z ociupiną keczupu, muśnięty musztardą i odrobiną majonezu.

Nie spodobało mi się to, że ojciec sięgnął po mój wózek bez pytania mnie o zdanie.

Wiedziałem, że to była głupia myśl. Przecież kupił ten wózek; tylko że należał do mnie i nie jest ładnie pożyczać czyjaś rzecz bez pytania o zgodę. Nigdy bym czegoś takiego nie zrobił i zaniepokoiło mnie to, mimo że byłem taki młody.

– Muszę cię prosić, żebyś wyświadczył mi wielką przysługę, kolego. Zawieź te paczki nad jezioro, przymocuj do nich ciężkie kamienie i wrzuć je do wody najdalej, jak zdołasz. Myślisz, że możesz to zrobić? Mogę na ciebie liczyć? – Podał mi pół rolki taśmy. – Planowałem to zrobić sam, ale wezwano mnie do biura. Obawiam się, że jeśli odłożę to zadanie do wieczora, w domu może zacząć śmierdzieć, a przecież nie chcemy czegoś takiego. Tym bardziej pod obecność gościa.

Chwyciłem rączkę wózka i pociągnąłem na próbę.

– Jest ciężki.

Ojciec posłał mi uśmiech.

– To jest około osiemdziesięciu kilogramów zepsutej wołowiny. Nasze zaprzyjaźnione rybki się ucieszą, nie sądzisz?

Ryby jedzą wołowinę? Podobno egzotyczne ryby w rodzaju piranii lubią przekąsić kawałek mięsa, ale byłem raczej pewien, że piranie nie żyją w naszym jeziorze. Zamieszkiwało je mnóstwo pstrągów i okoni, ale nie uczyłem się o ich upodobaniach dietetycznych. Mimo to nadal miałem wątpliwości co do tego, czy jadają chociażby robaki.

– Nadal masz przy sobie nóż? Mógłbyś zrobić małe otworki w paczkach przed wrzuceniem ich do wody. Niechby rybki posmakowały, jaką ucztę będą mogły znaleźć w środku. Byłoby wspaniale.

– Dobrze, ojcze.

– O jasny gwint. – Zerknął w stronę domu Carterów. – Trzeba jeszcze spakować kilka toreb i wyszykować dom.

– Mogę się tym zająć – zapewniłem go gorliwie.

Popatrzył na mnie z góry i przekrzywił głowę.

– Tak?

Przytaknąłem.

– Jak najbardziej, ojcze. Możesz na mnie liczyć!

Przymknął oczy, gdy się nad tym zastanawiał. A potem skinął głową.

– Dobrze, mistrzu. Zostawię to męskie zadanie w twoich zdolnych dłoniach. Wrzuc trochę rzeczy do ich samochodu. Pozbędę się go dzisiaj wieczorem.

– Gdzie go zamierzasz zostawić?

Wzruszył ramionami.

– Jeszcze nie wiem. Na lotnisko jest kawał drogi. Myślałem o dworcu autobusowym w Marlow. Coś wymyślę. – Ruszył w stronę frontowego wyjścia, ale się zatrzymał. – I jeszcze jedno, mistrzu. Możesz mieć oko na matkę? Wiesz, jaka ona jest...

Przytaknąłem.

Rzeczywiście wiedziałem, jaka była.

Uśmiechnął się szeroko.

– Mój chłopiec jest już prawie mężczyzną. Kto by pomyślał? Ja na pewno nie. – Odwrócił się i skręcił za rogiem. – Ja na pewno nie – powtórzył i zniknął mi z oczu.

Matkę ponosiły emocje, gdy kogoś zabiła. Potrafiła być wtedy nieprzewidywalna. Czasami zamykała się w sobie, znikła w swoim pokoju i nie wychodziła stamtąd przez kilka dni. Gdy się już z niego wyłaniała, była w doskonałej formie, ale przez te parę dni należało ją zostawić w spokoju. Kiedy indziej przepełniała ją radość, śmiała się i żartowała wesoło. Tańczyła w kuchni i skakała na ulicy. Taką matkę lubiłem najbardziej – matkę radosną,

uniesioną, rozdającą uśmiechy. Nigdy nie wiedzieliśmy, która się pojawi po zabójstwie. Pewne było tylko to, że któraś z nich i że będzie musiało minąć kilka dni, zanim matka oryginalna powróci ze swojej mentalnej wędrówki.

Chciałem zajrzeć do niej przed wyjściem nad jezioro, ale się rozmyśliłem. Jeżeli to był dzień radosnej matki, wiadomość o tym, co miałem zrobić, mogłaby zmienić jej nastrój, a nikt tego nie chciał. Lepiej zostawić ją samą do czasu wypełnienia porannych obowiązków i przeznaczyć resztę dnia na dotrzymywanie jej towarzystwa i pomoc w poradzeniu sobie z wydarzeniami poprzedniego wieczoru.

Szarpnąłem mocno i wózek ruszył za mną, kiedy wszedłem na ścieżkę wiodącą nad jezioro. Nuciłem wesołą melodię z *Eddiego i krążowników*. Na szczęście miałem z górki. Pan Carter był potężnym mężczyzną.

38 Porter

Dzień pierwszy, 18.18

Porter opuścił za Espinosą miejsce zbrodni i ruszył w stronę niższej piwnicy. Trzej ludzie tłoczyli się w dalszym kącie obok sterty skrzyń. Kiedy Porter zbliżył się do nich, zwrócił uwagę na plakietki z nazwiskami przy ich mundurach: Brogan, Thomas i Tibideaux.

Tibideaux odezwał się jako pierwszy.

– Było dokładnie tak, jak pan powiedział. Poszliśmy za szczurami. Większość z nich biegła od zwłok w stronę tego rogu. I znikła za tą górą śmieci. Pomyśleliśmy, że coś tu musi być. Znaleźliśmy ukryte za skrzyniami wejście do tunelu. – Wskazał w stronę szerokiego otworu w betonowej ścianie.

Łukowate przejście miało blisko dwa i pół metra wysokości i prawie dwa metry szerokości; jego krawędź wzmocniono kamieniami. Tuż przy brzegu znajdowały się wąskie tory, które niknęły w gardzieli tunelu.

– Dziadek mi o nich opowiadał. Na początku dwudziestego wieku przewożono tędy węgiel znad rzeki do budynków w centrum – powiedział Brogan. Poświecił w głąb i zobaczyli niewielki wagon tylko trochę większy od wózka sklepowego. Chociaż miał pewnie ze sto lat, jego koła lśniły od świeżo nałożonego oleju.

– Któryś z panów ma zestaw do zdejmowania odcisków palców? Ktoś z tego korzystał.

Thomas skinął głową.

– Zajmę się tym. – Odpiął od pasa małe zawiniątko, ukląkł przy wózku i zaczął nakładać proszek pędzelkiem. Jego palce poruszały się z wprawą

zawodowca.

Porter zastanowił się mimowolnie, jakie zadania wykonywał ten człowiek, zanim dostał się do brygady antyterrorystów.

Mieszkał w tym mieście od tylu lat, że nie chciało mu się ich nawet liczyć, lecz mimo to dopiero dziś dowiedział się o istnieniu tuneli. Wracał myślami do poprzednich ofiar #4MK, miejsc, w których je porwano i w których je znaleziono. Jeżeli tunele rzeczywiście ciągnęły się pod całym miastem, było bardzo prawdopodobne, że zabójca wykorzystywał je przez cały czas do przewożenia zwłok. To miało sens. Nigdy nie udało się ustalić, jak przemieszczał się po mieście niepostrzeżenie. Przecież podrzucał niektóre ciała w zatłoczonych miejscach, zawsze bez świadków. Susan Devoro znaleźli na ławce prawie na środku Union Station, przykrytą brudnym kocem. Szansa na to, że przebiegał tamtędy któryś z tuneli, była ogromna. Aby przenieść ciało w takie miejsce, morderca musiałby minąć ochroniarzy, z tuzin dozorców i kto wie, ilu pieszych. Panował tam spory ruch nawet w środku nocy. Ale pod ziemią? Pewnie tak to robił.

– Ślady zostały wytarte – poinformował Thomas. – Ale mam fragment odcisku przy tylnym lewym kole. To powinno wystarczyć do identyfikacji, jeśli jest w systemie.

– #4MK nigdy nie zostawiał odcisków. Ale domyślam się, że jeśli planował rzucić się pod autobus, nie musiał się już ukrywać.

Thomas zdjęł odcisk i podał zapakowaną do woreczka taśmę Porterowi.

– Proszę, sir.

Porter uniósł woreczek do światła – widać było ponad połowę odcisku czubka palca. Tyle wystarczy.

– Dobra robota, Thomas. – Wrzucił odcisk do kieszeni i odwrócił się do Espinosy. – Sierżancie, czy pańskie radio działa?

Potężny mężczyzna zerknął na odbiornik i pokręcił głową.

– Straciliśmy łączność, gdy zeszliśmy po tych schodach. Komórki też nie mają zasięgu.

– Co możemy zrobić, żeby się nie zgubić, jeśli wejdziemy do tego

tunelu?

Porter wyobraził sobie dziesiątki tuneli rozchodzących się w różne strony – podziemny labirynt. Przypuszczał, że władze miasta dysponowały mapami, ale na ile dokładnymi? Tym bardziej że część tuneli wykopano z myślą o przemyśle. Te mogą nie widnieć na mapach.

Espinosa wyciągnął puszkę farby w spreju z kieszeni plecaka.

– Czy mówiłem już, że byłem kiedyś skautem?

– W porządku. Niech pan prowadzi.

Espinosa wszedł pierwszy, za nim ruszyli Thomas, Tibideaux, potem Porter i Brogan na końcu. Przecisnęli się obok wagonika. Natychmiast poczuli wilgotne i zimne powietrze. Porter pomyślał, że panuje tu temperatura rzędu trzynastu stopni Celsjusza. Ściany tunelu były gładkie, wydrążone w wapieniu. Nawet współcześnie wydrążenie czegoś takiego stanowiłoby trudne zadanie. Jak udało się dokonać takiego wyczynu ponad sto lat temu? Jak wielu ludzi tutaj zginęło?

„Przynajmniej jedna dusza dołączyła do nich w tym tygodniu”, pomyślał Porter.

W niektórych miejscach z sufitu kapłała woda. Nie było jej tyle, by wzbudzała niepokój, ale wystarczająco, żeby podłoże było śliskie. Porter nie miał stosownego ubrania i jego czarne pantofle nie gwarantowały solidnego oparcia.

Po dwudziestu minutach dotarli do zakrętu i znajdującego się tuż za nim skrzyżowania. Pięciu ludzi zatrzymało się. Espinosa uniósł latarkę i oświetlił trzy możliwe drogi.

– Jakież sugestie?

Porter przyklęknął pośrodku.

– Może pan tutaj poświecić?

Wszyscy skierowali swoje latarki w jego stronę. Przyglądał się torom. Tylko na jednych widniały ślady świadczące o tym, że niedawno z nich korzystano – na tych odchodzących w lewo.

– Tędy.

Espinosa potrząsnął energicznie puszką farby i namalował strzałkę skierowaną w stronę, z której przyszli. Ruszyli dalej.

Porter zerknął w stronę ciemności za nimi. Atramentowa czerń. Ani odrobiny światła. Podobnie wyobrażał sobie wejście do piekła. Co by się stało, gdyby tunel za nimi runął? Było tu rozpaczliwie mało powietrza. Jak bardzo byli odcięci od świata na zewnątrz?

Zerknął na iPhone'a. Nie miał zasięgu.

Espinosa uniósł prawą pięść i zamarł w bezruchu, wskazując bronią przed siebie.

– Widzę tam światło – poinformował ich cichym głosem.

– Wpadające z zewnątrz? – zapytał Thomas.

– Nie sądzę. Jest za słabe. Chodźmy tam. Reszta niech tu chwilę poczeka.

Porter przykucnął nisko, wyciągnął berettę z kabury na ramieniu, odbezpieczył broń i skierował lufę w stronę sufitu.

Co się stanie, jeśli zaczną tu latać kule? Jeżeli któraś odbije się od tych ścian, będzie zabójcza. Miał na sobie kamizelkę, ale nie zasłaniała go na tyle, żeby kula nie mogła zrobić mu krzywdy. Zerknął szybko w oczy pozostałych mężczyzn i zorientował się, że podzielają jego obawy. Brogan wyciągnął wielki nóż z pochwy na udzie – wolał broń kontaktową od MP5 zarzuconej na plecy. Tibideaux trzymał glocka.

– Porter!

Głos Espinosy odbijał się echem od gładkiego kamienia.

Porter wstał i pobiegł szybko w stronę światła. Pozostali ruszyli za nim. Zastali Espinosę i Thomasa stojących pośrodku czegoś, co przypominało komorę. Pomieszczenie oświetlał zamocowany wysoko na ścianie reflektor podłączony jakimś cudem do miejskiej sieci elektrycznej. W rogu w głębi znajdowała się drabina przykuta do wapienia. Prowadziła w górę, do pokrywy wjazdu. Espinosa wskazywał bronią na ziemię.

– Tam.

Porter powiódł wzrokiem za jego spojrzeniem.

Trzy białe pudełeczka stały jedno obok drugiego, każde przewiązane czarnym sznurkiem. Na środkowym znajdował się sporządzony odręcznie napis. „PORTER”.

– Rękawiczki?

Tibideaux wyciągnął rękawiczki z kieszeni kurtki. Porter włożył je i ostrożnie rozwiązał sznureczek. Otworzył wieko...

Ludzkie ucho leżące na kawałku waty.

– Ohyda – rzucił Brogan i cofnął się o krok.

Porter otworzył kolejne pudełko. Ujrzeni parę oczu. Niebieskich. Kawałek nerwu wzrokowego nadal wisiał przy jednym z nich, skurczony, pomarszczony, wyschnięty; cienka strużka krwi przykleiła go do waty.

W ostatnim pudełku znajdował się język. Porter nie sprawdził, czy zwłoki miały język. Brakowało oczu i ucha, ale zakładał, że pożarły je szczury.

– Domyślam się, że te części ciała należały do ofiary z piwnicy. Trzeba będzie je dostarczyć lekarzowi sądowemu, żeby to zweryfikował.

– Nic z tego – rzucił Brogan. – Nie tknę tego.

– Ja też nie, szefie. To zły omen – przyłączył się Tibideaux.

– Pieprzone mięczaki – stwierdził Thomas. Wyciągnął trzy foliowe woreczki z plecaka i podał je Porterowi. – Zaniosę je, jeśli je pan zapakuje.

Porter pokręcił głową.

– Na razie je tutaj zostawimy. Wolałbym, żeby technicy obejrzeni całe to pomieszczenie. – Wstał i wskazał na drabinę. – Chce, żebyśmy tam poszli. Nie ma innego powodu, dla którego postawiłby drabinę tutaj. No i narysował „X”.

– Idziemy. – Espinosa zarzucił broń na ramię i zaczął wchodzić na drabinę. – Osłaniaj mnie, Brogan.

– Tak jest. – Brogan przyklęknął na dole i wymierzył lufę MP5 w stronę wjazdu.

Po dotarciu na górę Espinosa nacisnął na metalową pokrywę. Trudno było unieść grubą stal z tej pozycji. Porter wiedział z doświadczenia, że takie pokrywy ważą około pięćdziesięciu kilogramów. Mężczyzna stęknął głośno i odsunął pokrywę. Do środka wlało się światło dzienne. Porter osłonił oczy.

Espinosa wyciągnął glocka z kabury na udzie i odbezpieczył broń, następnie jednym szybkim, płynnym ruchem podciągnął się na powierzchnię i przetoczył w prawo.

Brogan stał na dole i celował z broni w niebo.

– Czysto! – rozległ się głos Espinosy.

– Proszę iść, detektywie – powiedział Brogan.

Porter wciągnął swoje zmęczone ciało na drabinę. Słoneczne ciepło wypędziło zimno z jego kości. Kiedy wystawił głowę na powierzchnię, stwierdził, że jest na środku skrzyżowania w dzielnicy mieszkalnej. Nic wtedy nie jeździło; domy znajdowały się na różnych etapach budowy.

– Domyślam się, że to jest Moorings Lakeside.

39 Pamiętnik

Kot już nie śmierdział, co stanowiło miłą niespodziankę. Podeszedłem do niego i szturchnąłem czubkiem buta futrzane resztki. Kilka much i wijących się stworzeń pierzchło z truchła. Wyglądało jak zgniłe suszone mięso upstrzone czarną i białą sierścią. Czaszka wydawała się mniejsza, jakby zredukowana przez działanie czynników zewnętrznych. To było głupie, rzecz jasna. Koty się nie kurczą, nawet pod wpływem wody. Niemniej wyglądała na mniejszą, wbrew wszelkiej logice. Coś uciekło z kocim ogonem. Po co komu koci ogon? Matka natura i jej stworzenia nigdy nie przestaną mnie zadziwiać.

Szarpnąłem wózek; pieczołowicie spiętrzone paczki prawie z niego wypadły, gdy jedno z kół podskoczyło na odsłoniętym korzeniu. Przytrzymałem paczki. Ich zawartość ustąpiła pod moim dotykiem, jak powierzchnia balonu wypełnionego wodą. Oczami wyobraźni ujrzałem, jak palec przebija się do środka, i przekląłem się w duchu za to, że nie pamiętałem o włożeniu rękawiczek. Chciałem pobiec po nie do domu, ale pomyślałem, że ojciec pewnie by wolał, żebym wykonał to zadanie gołymi rękami. Gdybym włożył rękawiczki, mógłby się na nich zebrać materiał dowodowy i powstałoby pytanie o miejsce złożenia zwłok. Nie mogłem przyjść z rękawiczkami do domu i ryzykować, że znajdzie je niepowołana osoba (nieważne, że w piwnicy wysychała wielka plama z krwi pana Cartera), nie mogłem wrzucić ich do jeziora, bo ktoś mógłby je tam znaleźć i powiązać je ze mną. Ojciec powiedział mi kiedyś, że policja potrafi zdjąć odciski palców z wnętrza rękawiczek. Lepiej z nich zrezygnować i po prostu zmyć z dłoni wszystko, co mogło się na nich zebrać.

Nad samą wodą puściłem rączkę wózka i rozejrzałem się wokół jeziora. Mogliby tu przebywać wędkarze, pływacy lub jacyś inni świadkowie, których obecność na mojej małej imprezie nie była mile widziana. Jezioro wydawało się spokojne – nie dostrzegłem nikogo na wodzie ani na brzegu.

Zadowolony z tego, że jestem sam, wyciągnąłem nóż, otworzyłem ostrze i wziąłem do ręki pierwszą paczkę. Naciąłem ją i odwróciłem głowę, kiedy odrażająca woń podrażniła

mi nozdrza.

No cóż, ojciec, nie ma nadziei na to, że rybki urządzią sobie smaczną przekąskę. Cisnąłem paczką w stronę środka jeziora z całych sił. Nie dostanę się do drużyny futbolu, niemniej pakunek poszybował na satysfakcjonującą odległość, zanim wpadł z pluskiem do wody i zniknął pod powierzchnią.

– Kurka wodna! – zakląłem. Zapomniałem przymocować kamienie.

Obserwowałem jezioro w oczekiwaniu na to, że owinięta folią paczka wypłynie na powierzchnię, ale tak się nie stało. Po kilku minutach toń pozostawała niezmacona.

Spojrzałem na wózek i naliczyłem co najmniej trzydzieści paczek. Będę potrzebował kamieni, i to wielu. Zacząłem układać je w stos obok wózka. Kiedy miałem już dosyć, przymocowałem je do paczek taśmą pakową; na wszelki wypadek okleiłem je podwójną warstwą. Potem ponacinałem je po kolei i rzucałem w stronę środka jeziora. Dodatkowy ciężar ograniczył mój zasięg, ale nadal leciały wystarczająco daleko. Pływałem tu kiedyś (ale po tym dniu byłem pewien, że już nigdy tego nie powtórzę) i wiedziałem, że dno opada gwałtownie w odległości kilku kroków od brzegu. Nie wiedziałem, jak głębokie było jezioro pośrodku, ale woda sięgała mi do brody po około trzech metrach – gdybym postawił kolejny krok, musiałbym płynąć, żeby nie utonąć. Paczki lądowały w odległości od czterech i pół do sześciu metrów i bez wątpienia szły na dno.

Wykonanie zadania zajęło mi blisko czterdzieści minut. Gdy spojrzałem na pusty wózek, ramiona i plecy miałem obolałe, a nóż połyskiwał czerwienią. Zanurzyłem ostrze w wodzie i pocierałem je pomiędzy kciukiem i palcem wskazującym tak długo, aż metal lśnił. Wsunąłem nóż do kieszeni i po raz ostatni zerknąłem na jezioro. Byłem pewien, że żadna z kolejnych paczek się nie wynurzy, ale skłamałbym, gdybym powiedział, że ta pierwsza nie napawała mnie niepokojem. Może przyjdę nad jezioro później w ciągu dnia, żeby się uspokoić.

Wrzuciłem resztę taśmy do wózka, ująłem rączkę i ruszyłem ścieżką w drogę powrotną. Czekał na mnie dom Carterów.

40 Porter

Dzień pierwszy, 21.12

Porter wyłonił się z mrocznej czeluści budynku Mulifax Publications z Nashem za plecami. Obaj mężczyźni zaczerpnęli głębokie hausty świeżego powietrza, smakowali kwaśną woń ryb płynącą od jeziora, rozkładających się śmieci w uliczce na prawo od nich i mokrego śpiwora, który gnił przed drzwiami.

To były cudowne zapachy.

Porter jeszcze nigdy nie oddychał tak wspaniałym powietrzem.

Po dotarciu do końca tunelu i wjazdu poleciał Espinosie i jego ludziom, żeby przeszukali budowę od piwnic po dachy. Wrócił do pomieszczenia ze zwłokami, gdzie Watson prowadził pilne oględziny miejsca, a lekarz sądowy oglądał ciało.

Spędził w budynku jeszcze trzy godziny i nie zamierzał tam wracać w najbliższej przyszłości.

Clair była zwrócona do niego plecami i rozmawiała przez telefon, drecząc.

– Wszystko kręci się wokół Talbota. Musimy go ściągnąć. Jest więcej niż... – Podniosła telefon nad głowę, osłaniając mikrofon dłonią i wyrzuciła z siebie szereg słów, których Porter nie spodziewałby się usłyszeć z ust robotnika portowego. – Wywróciła oczami i przysunęła telefon z powrotem do ucha. – Ale kapitanie, ja...

– Czy kapitan naprawdę się z nią o to kłóci? – zapytał Nash, nie odrywając wzroku od Clair.

Porter chciał rozmawiać z Talbotem. Nie zależało mu na pogawędce w rodzaju tej z pola golfowego, ale poważnej rozmowie z reflektorem skierowanym prosto w oczy prowadzonej w pomieszczeniu z lustrem weneckim. Facet zdecydowanie był w samym centrum tego wszystkiego. #4MK porwał jego nieślubną córkę, a ponadto połączył owo porwanie z Moorings Lakeside, inwestycją należącą do Talbota. Porter nienawidził tego zabójcy, ale wiedział, że nigdy nie działał bez planu i bez powodu. Wszystkie pozostałe ofiary porwał w ramach kary za nielegalną działalność prowadzoną przez kogoś z rodziny.

Talbot miał coś na sumieniu.

Jeśli udałoby im się określić, co konkretnie, mieliby szansę znaleźć jego córkę w porę.

Porter miał cichą nadzieję, że Espinosa znajdzie ją w jednym z budynków w Moorings Lakeside, związaną i z zawiązanymi oczami w piwnicy lub niewykończonej sypialni, ale szanse na to były znikome. #4MK nie przetrzymałby jej gdzieś, gdzie można by ją z łatwością znaleźć. Na budowie mógłby się na nią natknąć któryś z robotników. Nawet jakiś bezdomny – przecież wielu z nich pomieszkiwało tam nielegalnie.

#4MK chciał, żeby znaleźli Talbota, a nie dziewczynę.

Zaginęła ponad dobę temu. Prawdopodobnie nie miała jedzenia ani wody. Nawet nie potrafił sobie wyobrazić, jaki ból musiała znosić. Nawet jeśli #4MK zaaplikował jej coś po odcięciu ucha, lekarstwa z pewnością przestały już działać.

– Tak jest, powiem mu – rzuciła do telefonu Clair. – Tak, zadbam o to. Pan również, kapitanie. – Zakończyła rozmowę i schowała telefon do kieszeni. – Pieprzona menda bez kręgosłupa moralnego!

Nash podał jej kubek z kawą podebrany jednemu z mundurowych funkcjonariuszy.

– Niech zgadnę. Kapitan grywa w golfa z burmistrzem, a ten przyjaźni się blisko z Talbotami. Żaden z nich nie chce się podkładać.

Jeżeli czarna kobieta może się czerwienić, to, według Portera, Clair wła-

śnie to zrobiła. Przez chwilę wydawało mu się, że obleje Nasha kawą.

– Obciążający druta wszawy klaun.

– Jesteś taka seksowna, kiedy klniesz – powiedział Nash i ścisnął ją za ramię.

W końcu westchnęła.

– Skierował kolejne dwanaście radiowozów tutaj i dziesięć do Moorings Lakeside. Nasi ludzie mają przeszukać obydwie miejsca od piwnic po dachy, wszystkie budynki i tunele. Kapitan chce, żebyśmy udali się do domów, dobrze się wypali i zaczęli wypoczęci jutro od rana. Uważa, że jeśli tu zostaniemy całą noc, jutro będziemy bezużytecznymi zombi. Powiedział, że jeśli coś znajdą, poinformuje nas o tym, żebyśmy mogli tu wrócić, ale nie chce, żebyśmy tu sterczeli. Stwierdził również, że nie chce wzywać Talbota na oficjalne przesłuchanie. Jeszcze nie teraz. Uważa, że lepiej będzie poczekać, aż Hosman skończy przekopywać się przez jego finanse, a nie sprowadzać go tutaj. – Wyciągnęła ręce przed siebie, w stronę budynku. – Tak przy okazji, jest także właścicielem tego przybytku. Kupił ten budynek na aukcji trzy tygodnie temu.

– Szokujące. Jestem prawie pewien, że kupił mój dom w ciągu tych trzech minut, które tu właśnie spędziliśmy – rzucił Nash.

– Nie wracam do domu. Pieprzyć to – zbuntowała się Clair. – Kapitan jest tylko narzędziem.

– Według mnie kapitan ma rację co do Talbota. Lepiej mieć pełen obraz jego finansów, zamiast odsłaniać jakieś poszlaki. Nie mamy niczego, co pozwoliłoby nam go zatrzymać. – Porter przeczesał włosy palcami i powiódł wzrokiem po okolicy. – Przynajmniej na razie. Prawdopodobnie w jego przypadku będziemy mieli tylko jedną szansę.

– Co chcesz w takim razie zrobić? – zapytał Nash.

– Clair, jedź do Moorings i nadzoruj rewizję. Nash, ty zrobisz to samo tutaj. Ja pojadę pod dom Talbota i będę go miał na oku. Może nie uda się nam z nim porozmawiać, ale możemy go obserwować. Poza tym nie jestem w czynnej służbie. Kapitan nie będzie mi mówił, gdzie mogę parkować. Zorganizujemy zebranie w naszym pokoju bladym świtem. – Zerknął na rosnący

tłumek policjantów. – Gdzie Watson?

– Nadal jest w tunelu i przeczesuje komorę, w której znalazłeś pudełko – odparł Nash. – Powiedział, że potrzebuje jeszcze co najmniej godziny.

Porter sięgnął do kieszeni i wyciągnął woreczek z odciskiem palca.

– Możesz mu to przekazać? Albo jeszcze lepiej, niech któryś z mundurowych podrzuci cię do laboratorium, kiedy już tu skończysz. Poproś, żeby się tym zajęli. Nie ma potrzeby dorzucać kolejnej osoby do łańcucha dowodowego.

– Gdzie go zjąłeś?

– Z wagonika w niższej piwnicy.

Nash przyglądał się woreczkowi przez chwilę, po czym wsunął go do kieszeni.

– Zrobi się. – Odwrócił się w stronę samochodu Clair, zawahał się i przysunął do Portera. – Fajnie, że wróciłeś, Sam.

Porter kiwnął głową.

– Zgadzam się ze Shrekiem. Fajnie, że wróciłeś – powiedziała Clair z uśmiechem.

Porter przyglądał się, jak Nash znika w tłumie, a Clair wsiada do swojej hondy civic i odjeżdża z piskiem opon. Wtedy podszedł do swojego chargera.

41 Pamiętnik

Samochód pana Cartera nadal stał na podjeździe. Nie jestem pewien, gdzie się spodziewałem go zobaczyć – przecież czasy pana Cartera za kierownicą dobiegły końca, a pani Carter nie będzie mogła prowadzić w najbliższej przyszłości – ale na widok samochodu odniosłem wrażenie, jakby ktoś był w domu, chociaż wiedziałem, że jest pusty.

Zostawiłem wózek na naszym podjeździe i poszedłem tam.

Kiedy otworzyłem drzwi z siatką, nie mogłem pozbyć się odczucia, że ktoś jest w środku. Drzwi nie były zamknięte na klucz, więc ktoś mógł tam wejść, tylko że nie miałem powodu tak myśleć. Nasza okolica była raczej bezpieczna – tutaj nie zamykało się drzwi na klucz i przyjaciele oraz członkowie rodzin mogli wchodzić do różnych domów i wychodzić z nich bez przeszkód. Podejrzywałem, że pan Carter zostawił wczoraj kluczyki w stacyjce auta; rodzice zazwyczaj tak robili.

Coś mi tu jednak nie grało.

Drzwi z siatką lekko skrzypnęły, kiedy otworzyłem je szeroko i wszedłem do środka, na tyle głośno, by poinformować intruza o moim przybyciu.

W kuchni było cicho i nic się tu nie zmieniło do poprzedniego wieczoru. Resztki potłuczonego szkła nadal leżały na podłodze w kałuży parującego burbona. Roilo się w niej od mrówek. Czy mrówki się upijają? Myślę, że tak. Przyglądałem się, jak nerwowo biegały po lepkiej mazi, z silnym poczuciem celu. Nie wydawały się różnić od żadnej innej grupy mrówek, które można spotkać na chodniku lub pod kamieniem, chociaż opity się alkoholu. Ja się wstawiłem kilkoma szklaneczkami; pływanie w trunku z pewnością mogłoby je wysłać w podróż bez powrotu do Ochlapuslandu. A wyglądały normalnie, jakby nic się z nimi nie działo.

Zapragnąłem przyłożyć zapalną do ich grupki. Podpaliłbym je i obserwował, jak płoną. Ich małe ciała strzelałyby i pękały z podsyconą alkoholem

furią. W jednej chwili by żyły, w następnej obróciły się w proch. Zabawiłbym się w Boga.

Zanotowałem w pamięci, żeby przeprowadzić później ten eksperyment. Przyszedłem tu nie bez powodu i ojciec byłby rozczarowany, gdybym pozwolił mrówkom mnie zdekoncentrować.

Zerknąłem na stolik, przy którym pani Carter urwał się film. Nadal widziałem ją siedzącą tam ze szklistymi oczami i mówiącą bełkotliwie, że chciała, abym ją zobaczył nago nad jeziorem tamtego dnia. „Kobieta chce, żeby ktoś jej pragnął, to wszystko”, powiedziała.

Na samą myśl krew zaczęła mi szybciej krążyć w żyłach.

Musiałem się skupić.

Usłyszałem hałas dobiegający z głębi domu.

Jakiś brzęk, może stukot.

To nie był dźwięk z rodzaju tych wydawanych przez domy, żadne skrzypnięcie ani jęk osiadającego lub rozciągającego się budynku. To było coś innego.

Usłyszałem go ponownie, tym razem głośniejszy. Docierał z drugiej strony domu, zza kuchni i przedpokoju; tam znajdowały się zapewne sypialnie i łazienka. Nigdy nie byłem tak daleko w domu Carterów i nie wiedziałem dokładnie, co było za kuchnią. Mogłem się tego tylko domyślać na podstawie rozkładu naszego domu, który miał podobne rozmiary i styl.

Sięgnąłem do kieszeni i wyciągnąłem nóż. Nie ośmieliłem się otworzyć szybko ostrza, bo też wydałoby dźwięk i prawdopodobnie zdradziłoby moją pozycję temu komuś (lub czemuś). Jedną dłonią przytrzymałem ostrze, a drugą nacisnąłem przycisk i powoli otworzyłem nóż, przez cały czas wywierając równomierny nacisk na sprężynę, aż ostrze się zablokowało w pozycji. Świeżo wyczyszczone i naostrzone połyskiwało w słabym świetle sączącym się przez zasłony do wnętrza domu Carterów.

Kolejny stukot.

Ktokolwiek to był (lub cokolwiek to było), nie wiedział (nie wiedziało) o mojej obecności. Wchodząc do domu, zachowywałem się głośno, co świadczyło o nieostrożności, ale nie zaalarmowałem tego kogoś. Włamywacz na pewno przybiegłby sprawdzić, co było źródłem hałasu.

Ojciec nauczył mnie polować, gdy byłem mały. Nauczył mnie chodzić bezszelestnie na palcach i poruszać się z wdziękiem łosia przemykającego przez las. Wykorzystałem teraz tę umiejętność i bez najmniejszego dźwięku, który mógłby mnie zdradzić, przeszedłem przez kuchnię i przywarłem do framugi drzwi, żeby móc zerknąć na przedpokój.

Po prawej stronie znajdował się salon, a po lewej mała łazienka. Przy końcu przedpokoju było jeszcze dwoje drzwi, wiodących niewątpliwie do pokoi sypialnych.

Zamknąłem oczy i nasłuchiwałem.

Szelest.

Ktoś przeglądał papiery.

Otworzył szufladę.

Znowu szelest.

Dźwięki dobiegały z sypialni po prawej stronie. Nie wiedziałem, czy to pokój Cartarów, czy też pokój gościnny; nie mogłem tego stwierdzić z tej odległości.

Dłoń mi się spociła od zaciskania jej na rękojeści noża.

Wiedziałem, że należy tego unikać.

Trudno kontrolować nóż spoconą dłonią. Broń może się wysliznąć, mogę spudłować.

Wytarłem rękę w dzinsy i wziąłem głęboki wdech, bo chciałem spowolnić puls, uspokoić ciało. Poddałem się instynktowi.

Wszedłem w tryb polowania.

Ruszyłem przez przedpokój, przyciskając do klatki piersiowej dłoń z nożem z ostrzem skierowanym przed siebie. To ojciec nauczył mnie tego chwytu. W razie konieczności pchnę nóż z całej siły mięśni ręki i z precyzją broni palnej. Trudno będzie zablokować takie pchnięcie; trudniej, niż gdybym się zamachnął. Ta technika pozwoli mi również wymierzyć cios prosto w serce lub żołądek i pociągnąć w dół lub do góry. Gdybym się zamachnął od góry, mógłbym przesunąć ostrze wyłącznie w dół, a wówczas istniałoby ryzyko, że ostrze się zsunie, zamiast wejść głęboko.

Ojciec miał wielki talent.

Przywarłem do ściany, niemal stapiając się z tynkiem, i pomalutku zbliżałem się do otwartych drzwi.

Znowu szelest, potem stłumione przekleństwo.

Widziałem cień przebiegający przez pokój; mignął w porannym świetle.

Dotarłem do krawędzi framugi.

Ojciec powiedział mi kiedyś, że jeśli się do kogoś podkradasz, masz co najmniej sekundę przewagi, zanim ten ktoś zdoła zareagować. Ludzki mózg powoli przetwarza informację o takiej czynności – ofiara zamiera w bezruchu, gdy próbuje zrozumieć, że stoi obok niej, tym bardziej że wydawało jej się, że jest sama. Według ojca niektóre ofiary będą trwały w bezruchu i patrzyły na ciebie, jakby oglądały program telewizyjny. Czekają na kolejne wydarzenia. Czasami lepiej nie wiedzieć, co się wydarzy.

Usłyszałem, jak jedna szuflada się zamyka, a druga otwiera.

Wziąłem głęboki wdech, zacisnąłem mocniej dłoń na trzonku noża i wybiegłem z framugi w stronę intruza.

Matka wypadła na mnie z boku, prawą ręką uderzyła mnie w ramię, a lewą wyrwała mi nóż. Próbowałem się zatrzymać, ale za bardzo się rozpędziłem. Wpadłem na łóżko i przeto-
czyłem się przez nie, aż w końcu zatrzymałem się pod ścianą.

– Należy się zawsze skradać powoli i spokojnie – powiedziała matka. – Zwłaszcza wtedy, gdy może cię czekać niespodzianka. Gdybyś się skradał powoli i spokojnie, być może byś mnie dopadł. A tak słyszałam, jak sapiesz i dyszysz, na długo przed tym, jak rzuciłeś się na mnie galopem. Owszem, ktoś mógłby nie mieć czasu zareagować, ale nikt, kto ma choć odrobinę refleksu, nie miałby z tobą kłopotu.

Uderzyłem głową o podłogę, więc mój wcześniejszy ból powrócił z mściwą zaciekłością. Pozbierałem się, wstałem i wytarłem dłonie w dżinsy.

– Nie wiedziałem, że to ty, matko. Nie spodziewałem się tutaj nikogo.

Przechyliła głowę.

– A co konkretnie spodziewałaś się tu znaleźć? Pusty dom, który można splądrować?

– Ojciec kazał mi spakować torbę, żeby się wydawało, że Carterowie wyjechali. Mam wrzucić parę rzeczy do samochodu. Ojciec go gdzieś przestawi po powrocie do domu.

Zmrużyła oczy.

– To wszystko?

– Słowo daję.

– No to bierz się do roboty. Nie będę ci stała na drodze.

Podrapałem się w tył głowy – poczułem, że rośnie mi sporych rozmiarów śliwa.

– Mogę poprosić o nóż?

– Będziesz sobie musiał na niego zapracować. Może następnym razem nie rozstaniesz się z czymś cennym tak beztrudnie.

– Rozumiem, matko.

Na lewo ode mnie znajdowała się szafa. Otworzyłem podwójne drzwi i zobaczyłem w kącie zniszczoną walizkę.

– Doskonale!

Rzuciłem walizkę na łóżko.

Matka wróciła do komody. Uważnie przeglądała zawartość trzeciej z pięciu szuflad w masywnym meblu z ciemnego dębu. Leżały w niej swetry.

– A czego ty szukasz, matko?

Zamknęła szufladę i otworzyła czwartą.

– Nieważne. – Zerknęła na walizkę na łóżku. – Pamiętaj, żeby dorzucić buty. Kobiety zabierają je w podróż, co najmniej dwie pary, czasami więcej. W przeciwieństwie do mężczyzn zadowolonych z tej jednej pary, którą mają akurat na nogach, bez względu na jej rodzaj. Możesz też spakować kurtkę.

– Kurtkę? Przecież jest lato. Jest za ciepło na kurtkę.

Matka uśmiechnęła się szeroko.

– Na tym polega cały urok. Jeżeli znajdziesz walizkę z kurtką w środku lata, będziesz się zastanawiać, dokąd wybierał się jej właściciel, nie sądzisz? Jeśli wrzucisz tu przypadkowe rzeczy, ludzie będą zgadywać. Gdybym znalazła taką walizkę, pomyślałabym, że wybierali się w jakieś egzotyczne miejsce, na przykład na Grenlandię.

– Albo Antarktykę.

Przytaknęła.

– Albo Antarktykę.

– Powinienem dorzucić też kostium kąpielowy. To by dopiero była zagwozdka.

– Raczej głupota. Nikt, kto jedzie tam, gdzie trzeba mieć kurtkę, nie zabiera ze sobą kostiumu kąpielowego.

– A jeżeli w hotelu na Antarktyce jest kryty basen? – odparowałem.

Zastanawiała się przez chwilę.

– Chyba nie znajdziesz tam takiego hotelu. Ale może na Grenlandii?

Zacząłem wyciągać losowo ubrania z szafy i wrzucać do walizki – koszule dla pana Cartera, sukienki dla pani Carter, kilka par spodni, krawat.

– Nie zapomnij o bieliźnie. I skarpetkach. Dorzuć mnóstwo. Ludzie zawsze biorą ich za dużo.

– Która szuflada?

Ruchem głowy wskazała małą komodę obok szafy.

– Druga i trzecia.

Podszedłem do szafki i otworzyłem szuflady. Obie były pełne, jedna jego, druga jej. Wziąłem po sporej garści skarpet z każdej i wcisnąłem do walizki. Mogłem wyjść z pokoju.

– Zostaw kilka szuflad otwartych. Lekki bałagan sprawi wrażenie, że się spieszyli – podsunęła matka.

– Rzeczy z łazienki?

Przytaknęła i otworzyła kolejną szufladę.

– Szczoteczki do zębów, żyletki, dezodorant...

Znalazłem w szafie małą torbę podróżną i poszedłem do łazienki. Pani Carter dbała o czystość. Na umywalce nie było nawet plamki z pasty do zębów, lustro też było nieskazitelne. Wszystko było schludnie ustawione.

Złapałem dwie szczoteczki do zębów i pastę z zielonego ceramicznego kubeczka i wrzuciłem do torby. Dołączyłem do nich elektryczną golarkę, opakowanie dezodorantu Righ Guard, różowy dezodorant w kulce pachnący delikatnie bzem, pojemnik z żelom do mycia twarzy, nić dentystyczną i damską maszynkę do golenia, którą znalazłem na krawędzi wanny. Wyciągnąłem z szafki aspirynę, dwie buteleczki z witaminami i trzy flakoniki z lekami na receptę – lizynopryl, lek zawierający sumatryptan oraz blister pigułek antykoncepcyjnych.

Nie zamknąłem drzwiczek od szafki z lekami i zaniósłem małą torbę do sypialni. Położyłem ją obok walizki.

– Mogę ci pomóc szukać, matko. Musisz mi tylko powiedzieć, co usiłujesz znaleźć.

Zniecierpliwiona tylko machnęła ręką i dalej szperała między ubraniami poukładanymi porządnie na cedrowych półkach.

Na szafce nocnej leżał egzemplarz *A Caller's Game* Thada McAlistera.

Ludzie czytają na wakacjach, prawda? Byłem tego pewien.

Wrzuciłem książkę do walizki i zauważyłem zdjęcie, które wysunęło się spomiędzy stron.

Przedstawiało panią Carter i matkę. Obie były nagie, obejmowały się i całowały namiętnie. Leżały na łóżku Carterów, na tej samej narzucie, która i teraz zakrywała łóżko.

Gapilem się na zdjęcie z niedowierzaniem i wróciłem myślami do tego, co widziałem wczoraj. Myślałem, że coś takiego wydarzyło się między nimi po raz pierwszy. Najwyraźniej się myliłem.

Kiedy zrobiono to zdjęcie? Nie mogłem znaleźć na nim żadnej podpowiedzi. Jednakże to musiało być jakoś niedawno. Wtem umysł podsunął mi inne pytanie.

Nieważne, kiedy je zrobiono. Bardziej interesujące było to, kto je zrobił.

Nie usłyszałem, że matka do mnie podchodzi. Dopóki nie wyrwała mi zdjęcia z ręki, nie wiedziałem, że stała za mną.

– To chyba nie należy do ciebie – zauważyła i wsunęła zdjęcie do kieszeni. Wskazała na bagaże na łóżku. – Zanieś to do samochodu.

Otworzyłem szeroko usta. Co ojciec by o tym pomyślał?

– Nawet nie próbuj mówić o tym ojcu – wydyszała.

42 Porter

Dzień drugi, 4.58

Porter znalazł miejsce parkingowe trzy przecznice od domu i ruszył w stronę swojego budynku. Przesiedział pod domem Talbota większą część nocy; nic się tam nie działo, tylko Carnegie weszła do środka chwiejnym krokiem parę minut po drugiej. Nie zobaczył Talbota.

Clair i Nash się z nim kontaktowali. Nie udało się znaleźć Emory ani w budynku Milifaksu, ani na budowie.

Ślepe uliczki.

Kiedy obserwował dom Talbota, czytał dalej pamiętnik – w nim też niczego nie znalazł, oprócz paplaniny o dzieciństwie. Zaczął myśleć, że to fikcja stworzona wyłącznie po to, żeby zmarnował czas.

Kolejna ślepa uliczka.

Emory gdzieś tam była, a oni nic nie mieli.

Porter dotarł do swojego „strzeżonego” budynku i zastał otwarte drzwi poruszane przez wiatr. U podnóża schodów znajdowała się dość duża kupka świeżych psich odchodów – niewątpliwie zostawił ją tu pitbull spod 2C. Nie miał pretensji do psa, ale bez skrupulów umazałby tymi odchodami nalaną twarz właściciela, gdyby znalazł go samego na zewnątrz. Wszyscy w budynku wiedzieli, że facet pozwala psu załatwiać się w tym miejscu i że nigdy po nim nie sprząta.

Carmine Luppo.

Pięćdziesięcioletni były sprzedawca wanien całymi dniami grał w gry

wideo i wychodził z domu tylko po to, żeby zrealizować czek z rentą inwalidzką, uzupełnić zapas suszonej wołowiny i namówić psisko, żeby zrobiło kupę przed schodami.

W ubiegłym miesiącu sześcioro sąsiadów na zmiany czuwało, żeby przyłapać gościa na gorącym uczynku, a mimo to udało mu się jakoś przemknąć chyłkiem. Wyglądał, jakby ważył z dwieście kilo – taki człowiek nie mógł raczej przemieszczać się niepostrzeżenie, a mimo to psia kupa pojawiła się tu jakimś magicznym sposobem.

Ktoś wpadł na pomysł zainstalowania kamery.

Porter zasugerował, żeby wykupili domenę www.psiakupatv.com i publikowali nagrany materiał, a może nawet pobierali opłaty za reklamy.

Wsunął kluczyk do zamka skrzynki na listy, wyciągnął stos kopert i szybko je przejrzał. Trzy rachunki, ulotka reklamująca pralnię oraz program telewizyjny.

Wyrzucił wszystko z wyjątkiem programu. Uwielbiał go. Nie oglądał telewizji, bo nie musiał – wszystko, co było mu potrzebne, znajdował w tej gazecie. Według niego telewizja straciła swój urok wraz z wycofaniem serialu *The Incredible Hulk* w maju 1982 roku. Okazało się, że pokonanie trzech kondygnacji schodów w górę było trudniejsze niż schodzenie po nich i kiedy dotarł wreszcie na swoje piętro, brakowało mu tchu. Heather była weganką i przysięgała, że jeśli zmieni dietę, zrzuci kilka kilogramów i przybędzie mu energii. Pomyślał, że pewnie ma rację, ale kiedy patrzył, jak jadła kotleta z fasoli i kielków, podczas gdy on zajadał się staromodnym czerwonym mięsem, wiedział, że nie wejdzie na ścieżkę weganizmu w najbliższej przyszłości. Woli już dźwigać rosnące brzuszysko, niż zrezygnować z krowiego mięsa. Pogodził się ze swoją decyzją i zaakceptował jej konsekwencje. Dlatego dzierżył w dłoni torebkę z dwoma zimnymi BigMacami i dużą porcją frytek.

Wspinając się na wyżyny sprawności manualnej, otworzył drzwi mieszkania i zdołał wejść do środka, nie upuszczając niczego. Odłożył torebkę z McDonalda na blat, zdjął płaszcz i wszedł do sypialni.

Liścik od Heather leżał na skraju łóżka, gdzie zostawił go poprzedniego ranka.

„Poszłam po mleko”.

Porter położył się obok, wziął głęboki wdech, wyciągnął telefon i wybrał numer Heather. Usłyszał powitanie poczty głosowej, a potem sygnał.

– Cześć, Guziczku – odezwał się głosem znacznie słabszym, niżby chciał. Czuł nasilający się ucisk w gardle. – To był szalony dzień. Wątpię, żeby udało mi się pospać, ale mimo wszystko spróbuję. Pewna dziewczyna, Emory Connors, czeka na to, żebym ją znalazł. Ma zaledwie piętnaście lat, Guziczku. Porwał ją Zabójca Czwartej Małpy. Pieprzony drań. To dlatego Nash dzwonił dzisiaj rano. I dlatego wyszedłem tak... – Nie mógł oddychać. Do oczu napłynęły mu łzy. Otarł je rękawem koszuli.

Usiłował zdławić pierwszy szloch, ale następny był bardziej nieustępliwy. Dorośli mężczyźni nie powinni płakać. Chciał przestać, ale emocje zawładnęły jego zmęczonym ciałem. Żołądek mu się wywrócił, a z oczu popłynęły łzy; zapłakał najpierw cicho, potem coraz głośniejsze, aż wreszcie się poddał i zakrył twarz rękami. Telefon upadł obok.

43 Pamiętnik

Ojciec był zadowolony z moich umiejętności pakowacza.

Kiedy przyjechał do domu mniej więcej godzinę przed czasem, czekałem na niego na dworze z piłką do koszykówki w dłoniach.

Nie przepadałem za koszykówką; nie przepadałem za sportem jako takim, ale ojciec uczył mnie, jak ważne są pozory, a ja zamierzałem je podtrzymywać. Matka wysłała mnie na obserwację, więc nie mogłem tak stać i gapić się w ziemię, prawda? Wybrałem koszykówkę. Podrzucałem piłkę i łapałem ją raz lewą, raz prawą ręką – jak stary wyga, który się świetnie bawi.

Bardzo się starałem nie myśleć o zdjęciu. Lecz widziałem ten obraz przed oczami za każdym razem, gdy je zamykałem. Matka i pani Carter, nagie i splątane w uścisku. Podrzuciłem piłkę i zacząłem liczyć każdą złapaną – potrzebowałem czegoś, co odwróciłoby moją uwagę od tamtego widoku, owego słonia w pokoju (lub kieszeni mamy, chyba że znalazła lepszą kryjówkę).

Podjechał ojciec, kiwnął z aprobatą głową i wyciągnął rękę. Rzuciłem piłkę w jego stronę. Przechwycił piłkę z wprawą pierwszoligowego gracza, obrócił ją w palcach i podszedł do mnie.

– Miałeś pracowity dzień?

Często używał szyfru. To była kolejna sztuczka, którą ćwiczyliśmy. Mogliśmy prowadzić rozmowę na jeden temat, chociaż wiedzieliśmy, że rozmawiamy o czymś zupełnie innym.

– Robiłem to i owo – odparłem i starałem się okiełznać uśmiech.

Pomiędzy jednym a drugim mrugnięciem powiekami zerknąłem w stronę samochodu Carterów na tyle szybko, że prawie niedostrzegalnie, ale ojciec to

zauważył. Zorientowałem się po lekkim uśmiezku tańczącym na jego ustach.

Popatrzył w niebo. Słońce chyliło się ku zachodowi i szykowało się do snu.

– Chyba czeka nas udany wieczór, mistrzu. Zaproszę twoją matkę na małą przejażdżkę. Udamy się na randkę do dużego miasta. Możesz popilnować domu, kiedy nas nie będzie?

Słowa kryjące się za jego wypowiedzią były oczywiste. Ojciec zamierzał pojechać gdzieś samochodem Carterów i go porzucić. Potrzebował, żeby matka pojechała za nim, inaczej nie miałby jak wrócić do domu. Mnie powierzał na ten czas pilnowanie pani Carter.

– Jasne, ojcze! Możesz na mnie liczyć.

Odrzucił do mnie piłkę i zmierzwił mi włosy.

– Rzeczywiście mogę.

Patrzyłem za nim, jak znika w domu; po dziesięciu minutach pojawił się z matką w butach na wysokim obcasie. Posłała mi zatroskane spojrzenie, kiedy mnie mijała. Wsiadła do auta Carterów. Drzwi zamknęły się z piskiem. Poprawiła wsteczne lustro i znowu mi się przyjrzała. Ojciec stał przy porsche i obracał kluczyk w palcach.

– Powinniśmy niedługo wrócić, mistrzu. Najdalej za kilka godzin. Obawiam się, że przechwyćmy matkę, zanim zdążyła zrobić kolację. Zdołasz upichcić coś sam?

Przytaknąłem. Matka upiekła wcześniej placek z brzoskwiniami i postawiła go na parapecie, żeby wystygł. Mieliśmy też masło orzechowe i marmoladę w szafce. To wystarczy.

– Bawcie się dobrze! – rzuciłem swoim najdoroślejszym tonem.

Ojciec się uśmiechnął, założył ulubiony kapelusz i usiadł za kierownicą. Silnik ryknął, ojciec zjechał z podjazdu na ulicę i zniknął za wzgórzem na Baker Street. Matka nie ruszyła od razu za nim. Odwróciłem się w stronę domu Carterów i zauważyłem, że nawet nie uruchomiła silnika. Siedziała na miejscu kierowcy, nie odrywając ode mnie wzroku. Patrzyła na mnie raczej gniewnie. To mnie bolało. Nie kłamię; miałem wrażenie, że z jej oczu wychodzą laserowe wiązki, które parzą mi skórę. Starłem się utrzymać z nią kontakt wzrokowy. Ojciec zawsze mi powtarzał, że należy to robić, bez względu na to, jak kłopotliwa wydaje się sytuacja; jednakże nie potrafiłem, musiałem się odwrócić. Wtedy uruchomiła samochód Carterów, wrzuciła ze zgrzytem pierwszy bieg i popędziła ulicą za ojcem.

Chmura pyłu unosiła się nad podjazdem Carterów. Połyskiwała nad zwierem, bo oświetlało ją zachodzące słońce.

Rzuciłem piłkę i wszedłem do domu.

Usłyszałem walenie, zanim przestąpiłem próg kuchennego wejścia, głośne uderzenia metalu o metal dobiegające z piwnicy.

Ująłem klamkę. Po części spodziewałem się, że drzwi będą zamknięte, ale nie były. Mosiężna klamka obróciła się i drzwi się otworzyły. Równomierne łup, łup, łup odbijało się echem od schodów.

Zszedłem na dół.

Pani Carter stała obok plamy krwi na podłodze. Udało się jej jakimś cudem objąć metalową ramę łóżka i teraz uderzała nim w rurę. Każdemu zamachowi towarzyszyło stęknienie. Opuściła łóżko, machnęła nim za siebie, a potem przed siebie, wykorzystując cały ciężar ciała, żeby je napędzić. Zważywszy na fakt, że jedną rękę miała przykutą do rury, a drugą do łóżka, tylko cudem się nie połamała.

Kiedy łóżko uderzało o rurę, widziałem, że wstrząs rozchodził się falą po ciele pani Carter. Już same te wibracje na pewno były źródłem bólu.

Jeżeli mnie zobaczyła, nie dała tego po sobie poznać. Włosy miała w nieładzie, pot spływał jej po czole.

– Zaleje pani piwnicę – stwierdziłem. – Jeżeli udałoby się pani uszkodzić taką grubą rurę, woda wypełniłaby to pomieszczenie pewnie w ciągu godziny, a wówczas pani, przykuta do rury i łóżka, zniknęłaby pod powierzchnią.

Wzięła głęboki wdech i poprawiła chwyt, szykując się do kolejnego zamachu.

– Jeżeli rura pęknie, będę mogła zsunąć z niej kajdanki i pójść na górę.

– Rura raczej pęknie tylko częściowo, a wówczas woda poleci z niej gwałtownym strumieniem. Już teraz dość ciężko jest machać tym łóżkiem. Wyobraża sobie pani, o ile będzie trudniej, jeśli będą panią zalewały litry lodowatej wody? Nie twierdzę, że wymyśliła pani kiepski plan. Uważam jednak, że ma swoje wady. Może warto by było przemyśleć go gruntowniej, zanim będzie pani kontynuowała? Zdaje się, że przydałaby się pani przerwa.

Opuściła łóżko z hukiem. Kajdanki pociągnęły ją za nadgarstek i prawie ją przewróciły, ale stała twardo dalej.

– Nie będziesz próbował mnie powstrzymać?

Wzruszyłem ramionami.

– Jestem ciekaw, co się wydarzy.

Popatrzyła na mnie gniewnie, oczy miała czerwone i błyszczące od łez. Oddychała ciężko. Zastanawiałem się, ile czasu pracowała nad realizacją tego projektu. Matka pewnie ją ignorowała. Mogłem się założyć, że waliła w tę rurę od kilku godzin.

– Nie przejmujesz się tym, że tu zginę?

Milczałem.

– Nie ma dla ciebie znaczenia, że utonę lub zabiją mnie twoi rodzice? Co takiego robiłam, żeby sobie na to zasłużyć? Nikogo nie skrzywdziłam. Pobił mnie mąż, pamiętasz?

Opadła na krawędź łóżka, naburmuszona.

Zabawne. Mimo że była starsza ode mnie, czasami dostrzegałem w jej minach i ruchach znacznie młodszą dziewczynę. Niekiedy widziałem w niej dziewczynę młodszą ode mnie, przestraszoną i niepewną, która oczekiwała, że ktoś dorosły (lub chłopak) uratuje ją z opresji.

Kiedy wracam do tamtej chwili teraz, jako dorosły, dociera do mnie, że nie potrafię zliczyć, ile razy widziałem ten wyraz twarzy. Kiedy ktoś jest w opałach, spodziewa się, że ktoś mający władzę mu pomoże. I czeka na to. Prawdopodobnie bierze się to stąd, że tak się dzieje w filmach i telewizji. W ostatniej chwili zawsze pojawia się bohater, udaremnia popełnienie przestępstwa i ratuje ofiary od pewnej śmierci, gdy wszystkie inne opcje się wyczerpały. Potem pojawiają się łzy, być może uścisk, następnie przerwa na reklamy i program się kończy.

W rzeczywistości to tak nie wygląda. Widziałem kres życia tylu ludzi, że nie potrafię już policzyć, i wszyscy wydawali się żywić ową nadzieję aż do końca – ich oczy strzelały w stronę drzwi w oczekiwaniu na wybawcę. On jednakże nie przybywał. W realnym życiu tylko ty możesz ocalić samego siebie.

Pani Carter zdołała tylko wykruszyć farbę z rury. Nie zrobiła nawet wgłębienia. Jednakże próbowała i to właśnie wydawało mi się ważne. Zabawa robi się nudna, kiedy się w końcu poddają.

Ona też się podda. W końcu. Wszyscy się poddają.

– Jeżeli mnie puścisz, nic nie powiem – zapewniła mnie. – Daję słowo. Simon był złym człowiekiem i sam o to prosił. Twój rodzice wyświadczyli mi przysługę. Uwolnili mnie. Jestem ich dłużniczką. Nie muszą się martwić z mojego powodu. Obiecuję. Każdy z nas może pójść własną drogą.

– Złamała pani zasady – przypomniałem jej łagodnie. – Niestety, musi pani ponieść konsekwencje.

– A co niby zrobiłam? Pozwoliłam, żeby mąż mnie pobił?

– Lepiej się zastanowić, dlaczego mąż to zrobił, nie sądzi pani?

Z jej oka popłynęła kolejna łza i spłynęła po policzku. Próbowała ją wytrzeć, ale kajdanki przytrzymały jej obydwie dłonie. Nie mogła dosięgnąć do twarzy.

Siedziałem na krawędzi łóżka. Wyciągnąłem chusteczkę z tylnej kieszeni spodni i osuszyłem jej twarz. Patrzyła na mnie, ale milczała.

– Znalazłem zdjęcie.

– Jakie zdjęcie?

– Wydaje mi się, że pani wie.

Na te słowa pobladła.

– Musisz je schować.

– Matka była ze mną. To ona je ma. Nie wiem, co z nim zrobiła.

– Ojciec go nie widział?

– Jeszcze nie – odparłem. – Ale to nie znaczy, że nie zobaczy.

– Nic mu nie powiesz, prawda?

Nie odpowiedziałem i, jak sędzę, wiedziała, co to oznaczało.

– Jeżeli zobaczy to zdjęcie, zrobi mi krzywdę, a ponadto zajmie się twoją matką. Czy tego chcesz?

Znowu się nie odezwałem.

44 Porter

Dzień drugi, 6.53

Gdy Porter dotarł do pokoju narad, Nash, Clair i Watson stali przy jednym z biurk i wpatrywali się w ekran laptopa. Nash podniósł wzrok i przywołał go gestem.

– Wypałeś się?

– Nie. A wy?

Patrząc na czerwone zapuchnięte oczy, domyślił się, że też się nie wypali. Rzucił płaszcz na biurko i podszedł do nich.

– Mamy coś?

– A jakże. Mamy kilka cosiów. Zacznijmy od tego, że odezwała się dziewczyna Eisleya. Spójrz. – Nash ustawił laptopa tak, żeby Porter mógł widzieć ekran.

– Czy to jest głowa z Muzeum Figur Woskowych Madame Tussaud?

Watson wskazał na obraz.

– Wygotowała czaszkę, w dwudziestu jeden miejscach zamontowała rozpórki imitujące mięśnie i tkanki, następnie wypełniła przestrzeń gliną. Słyszałem, że antropolodzy sądowi potrafią zrekonstruować w ten sposób twarz, ale nigdy czegoś takiego nie widziałem. Imponujące. No i ona zrobiła to tak szybko... Eisley powiedział, że zaczęła dopiero wczoraj wieczorem.

Porter ściągnął brwi.

– Chwileczkę. To jest #4MK?

Watson ciągnął, nie zważając na niego.

– Miała jego włosy. Nie uległy zniszczeniu w takim samym stopniu jak twarz. Zęby też przetrwały. Kolor oczu znaliśmy... Według mnie to może być to. Zajrzałem na jej stronę internetową. Zwykle zajmuje się czaszkami rdzennych mieszkańców Ameryki znajduwanymi w wykopaliskach. Tam napotyka więcej niewiadomych, musi się wielu rzeczy domyślać. W tym wypadku mogła trafić w dziesiątkę.

– Coś mi się zdaje, że Watson leci na dziewczynę Eisleya – mruknął Nash.

Watson zerknął na niego spod oka.

– Twierdzą tylko, że według mnie jest to dokładne odzwierciedlenie twarzy Zabójcy Czwartej Małpy stworzone w rekordowo krótkim czasie. To wszystko. Artyzm i talent robią wrażenie. Nie da się uzyskać takiej szczegółowości podczas komputerowej rekonstrukcji. Do tego trzeba mieć rękę.

– Ciary mnie przechodzą – oznajmił Nash. – Sprawia wrażenie, jakby się nam przyglądał. Jak jeden z tych obrazów, na których oczy patrzą na ciebie, gdziekolwiek stoisz. Okropność.

– Clair, zrób z tego wydruki i pójdz z nimi do ośrodków leczenia raka, o których rozmawialiśmy wczoraj. Może dzięki wiedzy o zażywanych przez niego lekarstwach i temu wizerunkowi uda nam się go zidentyfikować – powiedział Porter.

– Mamy coś więcej, chłopie – poinformowała go Clair. – Kiedy ty spałeś, my tu pracowaliśmy.

Porter zerknął na zegarek.

– Nie ma jeszcze siódmej.

– Zmarnowałeś prawie połowę dnia.

Wywrócił oczami.

– Czego jeszcze się dowiedzieliście?

– Nasza ofiara z budynku Mulifaksu to niejaki Gunther Herbert, dyrektor finansowy Talbot Enterprises, firmy, której podlegają Talbot Estates Deve-

lopment, Moorings Lakeside i z tuzin innych przedsięwzięć. Żona zgłosiła jego zaginięcie pięć dni temu. Wyszedł do pracy i nie wrócił. Easley zidentyfikował go około godziny temu. Czas śmierci też oszacował na pięć dni temu, więc faceta pewnie porwano w drodze do biura.

– Poinformowaliście już kapitana?

– Jest coś więcej, Sam – wtrącił Nash. – Powiedz mu, Clairmisiu.

Clair się rozpromieniła.

– Pamiętasz buty, które miał na stopach zabity numer jeden w chwili bliskiego spotkania z autobusem? Dostaliśmy z laboratorium informację na temat odcisków palców, które Nash z nich zjął.

– Czyje są?

Nash zabębnił palcami w krawędź biurka.

– Arthura Talbota.

– Nazwałeś mnie Clairmisiem?

Porter uciszył Nasha, zanim ten zdołał odpowiedzieć.

– Buty należą do Talbota?

– Ten gość może sobie kupować buty za tysiąc pięćset dolarów, nie sądzisz?

– Dlaczego #4MK włożył buty Talbota?

– Z tego samego powodu, dla którego porwał jego córkę. Facet zrobił coś złego i #4MK chce, żebyśmy się o tym dowiedzieli. To jest jego ostatni wyczyn, łabędzi śpiew. Nie chce, żeby cokolwiek nam umknęło, więc podsuwa nam wszystko pod nos – stwierdził Nash. – Udało mu się jakoś zwędzić buty Talbota, wypchał je gazetą, żeby pasowały na jego małe stópki i włożył je przed rzuceniem się pod autobus.

– Clair, spróbuj się połączyć z Hosmanem. Dowiedz się, na jakim jest etapie, jeśli chodzi o finanse. Musimy przyspieszyć – polecił Porter.

Clair wzięła telefon z biurka i poszła w róg pokoju, żeby zadzwonić.

– Co wiemy w sprawie zegarka? – zwrócił się do Watsona Porter.

Watson pokręcił głową.

– Przesłałem wujowi zdjęcie, ale powiedział, że musi zobaczyć oryginał, żeby móc nam naprawdę pomóc. Próbowałem wypożyczyć zegarek, ale powiedzieli mi, że wydadzą go tylko panu lub Nashowi.

Porter wywrócił oczami. Naprawdę nie potrzebował tego, żeby regulamin go teraz spowalniał.

– Pójdę tam z tobą, gdy tylko tutaj skończymy.

– I jeszcze jedno – odezwał się Nash. – Federalni chcą się włączyć do sprawy. Lokalne biuro wydzwaniało do nas przez całą noc. Emory ma ponad dwanaście lat i nie ma dowodów sugerujących wywiezienie jej poza stan, więc decyzja należy do nas.

– Dowiedzmy się, na jakim etapie jest Hosman. Mogą nam pomóc przy księgach Talbota. Czy na budowie lub w Mulifaksie znaleźliście coś więcej po tym, jak się rozstaliśmy?

Nash pokręcił głową.

– Przetrasnęli każdy dom, znaleźli ślady świadczące o kilku nielegalnych mieszkańcach, ale nic poza tym. Jeżeli #4MK ją tam trzymał, to już jej tam nie ma. Nadal przeczesują tunele, ale ciągną się na dystansie wielu kilometrów, pod całym miastem. Nie znajdziemy jej tam, jeśli będziemy szukali na oślep. Potrzebujemy jakiejś wskazówki. W budynku Mulifaksu znaleźliśmy zwłoki, ale to wszystko.

– Skierował nas tam #4MK. Miał powód. Prawdopodobnie chodzi o...

– Finanse. Zrozumiałem – przerwał mu Nash. – Federalni, Hosman, finanse. Kapuję.

– Porter? Możemy chwilę porozmawiać? – W drzwiach stał kapitan Henry Dalton. Nikt nie zauważył, jak wszedł. Zaczesał rzadkie, wciąż mokre po prysznicu włosy do tyłu, miał czysty, wyprasowany garnitur.

Porter zerknął na Nasha i Watsona.

– Przepraszam.

Kapitan położył mu rękę na ramieniu i wyprowadził go na korytarz.

Rozejrzał się na wszystkie strony i kiedy stwierdził, że są sami, powiedział cicho:

– Posłuchaj, goście z pięćdziesiątego pierwszego aresztowali w nocy chłopaka w związku z próbą rozboju. Próbował szantażować pracowników 7-Eleven przy East Side. Miał trzydziestkę ósemkę. W sklepie znalazł się przypadkiem mundurowy po godzinach służby i obezwładnił go bez jednego strzału. Broń pasuje do tej, z której... zabito Heather.

Porter poczuł w żołądku ból tak silny, że prawie zgiał się wpół. Wciągnął głęboko powietrze i próbował z nim walczyć. Poczuł ciężar własnej broni na ramieniu, tej, której nie powinien mieć teraz przy sobie. Nadal był na zwolnieniu. Nie pozwolą mu na noszenie broni do czasu zakończenia oceny jego stanu psychicznego podpisanej przez psychologa, czyli do chwili, kiedy uznają, że jest gotowy. Gdyby nie sprawa #4MK, nadal tkwiłby w domu, czekał na wieści, cokolwiek, co pomogłoby mu przetrwać kolejny dzień. Tylko że pojawiła się ta sprawa i go wezwali. Ucieszył się z tego, bo wszystko było lepsze od tego całego czekania i samotności.

Wsunął dłoń do kieszeni i ujął w palce telefon komórkowy. Chciał do niej zadzwonić. Usłyszeć jej głos.

„Dodzwoniłeś się na numer Heather Porter. Skoro słyszysz skrzynkę głosową, prawdopodobnie sprawdziłam, kto dzwoni, i uznałam, że ponad wszelką wątpliwość nie chcę...”

– Muszę tam jechać – powiedział. Miał głos małego chłopca. Jak wtedy, kiedy był dzieckiem, gdy nie istniało nic złego, miał przed sobą całe życie i tylko to, co dobre.

– Wiem – odparł kapitan. – Powiedziałem im już, żeby się ciebie spodziewali.

Porter poczuł łzę w oku. Szybko ją otarł, po czym wsunął drżącą dłoń z powrotem do kieszeni.

Dalton to zauważył i uśmiechnął się zatroskany.

– Może ktoś powinien cię tam zawieźć?

Porter otworzył usta, żeby się sprzeciwić, ale się rozmyślił. Nie chciał

odciągać Nasha ani Clair od sprawy. Nie teraz.

– Poproszę Watsona, żeby mnie zawiózł.

Kapitan Dalton zajął do pokoju i skinął głową.

– Złapali go na gorącym uczynku, ale nikt nie powiedział sprawcy o broni pasującej do wcześniejszego przestępstwa. Wyjaśniłem twoją sytuację i zgodzili się wstrzymać do czasu, aż przyjedziesz wszystko obserwować. Obiecałem im, że ograniczysz się do obserwacji. Masz stać po właściwej stronie lustra i pozwolić im pracować. Wyciągną z dzieciaka przyznanie się do winy.

– Tak jest.

Dalton położył mu dłoń na ramieniu.

– Przykro mi, że musisz przez to wszystko przechodzić. Naprawdę.

– Dziękuję.

Dalton zrobił wdech, skinął głową i ruszył w stronę drzwi prowadzących do pokoju narad.

– Nash! Gdzie jest najświeższy raport, do cholery?! Przed moim gabinetem koczują z tuzin dziennikarzy. Muszę rzucić tym psom jakieś ochłapy!

Nash wzruszył ramionami.

– Kazał nam pan jechać do domów i odpocząć. Nie było czasu na papierologię. Może pan z nami zostać, gdy będziemy przydzielali sobie zadania.

Dalton zatrzymał się w drzwiach i odwrócił.

– Porter?

– Tak?

– Zostaw broń w samochodzie. Nie chcę, żeby ją przy tobie znaleźli. Będą chcieli ją zatrzymać.

Porter skinął głową.

– Tak jest.

Clair zakończyła rozmowę i podeszła do nich.

– Niewykluczone, że Hosman coś znalazł. Chce, żebyśmy przyszli do

niego na górę.

– Idź z Nashem. Muszę się zająć czymś w pięćdziesiątym pierwszym. Zabieram ze sobą Watsona.

– Zamierzasz mnie zostawić z tym neandertalczykiem?

Oczy Portera zwilgotniały. Odwrócił się. Clair zerknęła na kapitana.

– Och – powiedziała cicho. – W porządku. Zadzwoń, gdybyś czegoś potrzebował.

Porter zmusił się do uśmiechu i skinął głową.

– Dzięki, Clairmisiu.

Dała mu kuksańca w ramię.

– Nawet nie próbuj. Dupki z was.

Porter puścił do niej oko i wsunął głowę z powrotem do pokoju.

– Watson? Chodźmy po ten zegarek.

Tablica z listą dowodów

Ofiary

1. Calli Tremell, 20 l., 15 marca 2009 r.
2. Elle Borton, 23 l., 2 kwietnia 2010 r.
3. Missy Lumax, 18 l., 24 czerwca 2011 r.
4. Susan Devoro, 26 l., 3 maja 2012 r.
5. Barbara McInley, 17 l., 18 kwietnia 2013 r. (jedyna blondynka)
6. Allison Crammer, 19 l., 9 listopada 2013 r.
7. Jodi Blumington, 22 l., 13 maja 2014 r.

Emory Connors, 15 l., 3 listopada 2014 r.

Wyszła biegać wczoraj o 18.03

TYLER MATHERS

Chłopak Emory

ARTHUR TALBOT

Finanse?

Zwłoki znalezione w budynku Mulifax Publications (który jest własnością Talbota) to Gunther Herbert, dyrektor finansowy Talbot Enterprises Coś śmierdzi w sprawie Moorings Development (które należy do Talbota)

N. BURROW

Prywatna nauczycielka

PRZEDMIOTY ZNALEZIONE PRZY #4MK

Drogie buty – John Lobb / 1500 \$ za parę – rozmiar 11 (rozmiar stopy PODEJRZANEGO to 9) – są na nich odciski palców Talbota Tani garnitur

Fedora

75 centów drobnymi (dwie ćwierćdolarówki, dwie dziesiątki i jedna piątka)

Zegarek kieszonkowy

Kwit z pralni (nr 54 873) – Kloz zawęza liczbę pralni Rak żołądka – leki: oktreotydy, trastuzumab, oksykodon, lorazepam Tatuaz po wewnętrznej stronie prawego nadgarstka, świeży – cyfra osiem, znak nieskończoności?

Podręcznik do matematyki – podrzucony przez #4MK – prowadzi do...

MAGAZYNU MULIFAX PUBLICATIONS

Fragment odcisku palca znaleziony na wagoniku w tunelu. Prawdopodobnie wagonik wykorzystano do przewiezienia zwłok.

Ucho, oczy i język w pudełkach (Gunther Herbert) – ulotka przy zwłokach i pudełka prowadzą do...

OSIEDLA MOORINGS LAKESIDE

Gruntowna rewizja niczego nie wykazała Nagranie z kamery przemysłowej – #4MK popełnił samobójstwo, nie ma wyraźnego ujęcia twarzy

Brakujące informacje:

- Informacje o matce Emory
- Rekonstrukcja twarzy – zrobiona

Zadania

- Nash i Clair spotkają się z Hosmanem ■ Clair: odwiedzić ośrodki leczenia nowotworów ze zdjęciem PODEJRZANEGO
 - Kloz: zweryfikować kwit z pralni ■ Watson: odwiedzić z Porterem wuja w sprawie zegarka
-

45 Pamiętnik

Spałem już, kiedy matka i ojciec wrócili. Prawdę powiedziawszy, udawałem, że śpię, bo w przeciwnym razie bym ich nie usłyszał.

Najpierw dotarły do mnie krzyki, ale nie mogłem zrozumieć słów. Rodzice nigdy się nie kłócili i nie wyobrażałem sobie, żeby sprzeczali się na zewnątrz, gdzie mogli ich słyszeć sąsiedzi, jednakże to właśnie robili – wrzeszczeli do siebie na podjeździe.

Nie mogłem przestać myśleć o panu Carterze krzyżącym wczoraj na panią Carter i matkę.

Chyba skoczyli sobie do gardeł, bo nagle zrobiło się cicho. Drzwi się otworzyły i zamknęły, ktoś z wściekłością przeszedł przez salon. Chyba ojciec cisnął kluczykami od samochodu. Uderzyły o stół i spadły na podłogę. Matka powiedziała po prostu: „Rób, co chcesz. Nie chcę brać w tym udziału”, po czym wypadła do przedpokoju, udała się do ich pokoju i trzasnęła za sobą drzwiami.

Cisza.

Najgłośniejsza, jaką w życiu słyszałem.

Wyobraziłem sobie ojca stojącego w kuchni. Twarz mu płonęła. Zacisnął mocno pięści, rozluźnił je i znowu zacisnął.

Odgarnąłem pościel i wygramoliłem się z łóżka. Na paluszkach podszedłem do drzwi i przycisnąłem do nich ucho.

– Mistrzu? – ryknął z drugiej strony głos ojca.

Prawie się potknąłem o własne nogi, gdy odskoczyłem od drzwi. Serce mi waliło, a ja zastanawiałem się, czy nie wrócić do łóżka pod bezpieczną kołdrę.

Nie zdążyłbym.

– Mistrzu? Nie śpisz?

Ująłem klamkę, nacisnąłem na nią i otworzyłem drzwi, szybkim i pewnym ruchem. Sylwetka ojca wypełniała przejście. Jego twarz kryła się w cieniu, bo oświetlało go od tyłu światło padające z kuchni. Rękę nadal trzymał tam, gdzie jeszcze przed chwilą znajdowała się klamka. W drugiej dzierżył coś, co chował za plecami.

– Jesteś nocnym markiem?

Albo pozbył się złości, którą słyszałem, kiedy kłócił się z matką, albo skutecznie ją ukrył, bo teraz nie został po niej najmniejszy ślad. Uśmiechał się i błyszczały mu oczy.

Ojciec powiedział mi kiedyś, jak ważna jest projekcja emocji. Pouczył mnie, żebym zawsze oceniał, jakiej emocji oczekuje się ode mnie z uwagi na okoliczności, i żebym właśnie ją uzewnętrzniał, bez względu na to, co naprawdę czuję. Ćwiczyliśmy wiele razy. Pewnego razu, kiedy nasza suka Ridley urodziła szczeniaki, ojciec złamał kark jednemu z nich i kazał mi się śmiać. Nie potrafiłem wypełnić jego polecenia, więc sięgnął po kolejne szczenię. Woląłem się roześmiać, niż patrzeć na jego śmierć. To jednak nie wystarczyło. Ojciec stwierdził, że nie brzmiało to przekonująco. Przy czwartym szczeniaku nauczyłem się nad sobą panować. Umiałem przechodzić od radości do smutku, od złości do ponurości, od powagi do wesołości na pstryknięcie palców. Ridley odeszła od nas krótko potem. Nie wiem dokąd. Miałem wtedy zaledwie pięć lat i pamiętam tamte czasy jak przez mgłę.

Ojciec szczerzył się w uśmiechu jak kot z Cheshire, a ja nie potrafiłem odgadnąć, co naprawdę czuje; nawet tego nie chciałem. Gdyby podejrzewał, że kwestionuję jego wesołość, wieczór nie byłby udany ani dla matki, ani dla mnie.

– Nie chciałem zasypiać przed waszym powrotem. Na wypadek gdybyście potrzebowali pomocy.

Zmierzył mi włosy.

– Jesteś moim żołnierzykiem, co?

Przytaknąłem.

– Rzeczywiście przydałaby mi się twoja pomoc przy czymś, jeżeli czujesz się na siłach. Masz ochotę się zabawić?

Znowu przytaknąłem.

– Idź do kuchni po dużą plastikową miskę do sałaty i spotkaj się ze mną w piwnicy. Mam niespodziankę dla naszego gościa. – Wyciągnął zza pleców papierową torebkę i lekko nią potrząsnął. Coś w niej zachrobotało. – Będzie świetnie! – Uśmiechnął się.

Tym razem wiedziałem, że naprawdę się cieszy.

46 Clair

Dzień drugi, 7.18

– Powiedział, dlaczego musi tam jechać? – zapytał Nash, wpatrując się w panel windy.

Clair wywróciła oczami.

– Mówiłam ci to już trzy razy. Powiedział, że ma sprawę do załatwienia w pięćdziesiątym pierwszym. To wszystko. Żadnego znaczącego uścisku dłoni, przekazania liściku, nic.

– To ma pewnie związek z Heather, nie sądzisz?

– Gdyby chciał, żebyśmy wiedzieli, powiedziałyby nam.

Drzwi windy otworzyły się na piątym piętrze. Weszli pomiędzy zagracone boksy z rozpadającymi się metalowymi biurkami i wiekowymi komputerami, które miały jeszcze wejścia na dyskietki.

Nash rozejrzał się szybko, zanim ruszył wąską ścieżką pośród pudeł z aktami i stert segregatorów.

– I dlaczego wziął ze sobą Watsona? Dlaczego nie któreś z nas?

– Nawet nie wiemy, czy sprawa dotyczy Heather.

– Na pewno chodzi o nią.

Clair wiedziała, że ma rację. Kapitan nigdy nie schodził do piwnicy.

– Pewnie tak.

– Więc dlaczego Watson?

– Pozwalają ci chodzić z pewnym kawałkiem metalu, który sugeruje, że jesteś detektywem. Jak myślisz, dlaczego nie chciał zabrać żadnego z nas?

– Jestem jego najlepszym przyjacielem.

Chryste, czy ten facet zamierzał się rozplakać?

– Może chciał być w towarzystwie kogoś, kto nic nie wie. Mniejsza presja. Nie poruszam tego tematu, ale on wie, że my wiemy, a to rodzi różnego rodzaju napięcie. Pewnie jest mu trudno wrócić do pracy, do tego otoczenia, ze świadomością, że nic nie może zrobić. Radzi sobie najlepiej, jak umie. Na pewno o niebo lepiej, niż ja bym sobie radziła na jego miejscu. Byłabym w cholernej rozsypce.

Znaleźli pokój Hosmana. Wiodły do niego przedostatnie drzwi po lewej stronie. Były otwarte. Pomachał do nich.

– Kto jest gotów pobawić się trochę liczeniem?

Clair wskazała na Nasha.

– To jest właściwy człowiek. Nash przez trzy lata z rzędu zajmował pierwsze miejsce w olimpiadzie stanowej w liceum.

Hosman popatrzył na niego z uniesionymi brwiami.

– Serio?

– Jasne. Zaraz po tym, jak zdobyłem złoto w skoku o tyczce – odparł Nash, kiwając głową. – Piekę też zabójczy placek z wiśniami. Powinieneś zobaczyć wszystkie nagrody, które zdobyłem.

– To znaczy, że nie ma tu miłośników matematyki?

– Nie.

– Wiecie, co to jest schemat Ponziego?

Clair podniosła rękę.

– Polega on na tym, że osoba lub firma wypłaca inwestorom środki pochodzące z kapitału zebranego od nowych inwestorów, a nie z wypracowanego zysku.

Nash gwizdnął.

– Jesteś seksy, kiedy coś wiesz.

Clair szturchnęła go w ramię.

Hosman postukał palcem w stos dokumentów leżących na biurku.

– Moim zdaniem właśnie z tym mamy do czynienia. Nie tylko w przypadku Moorings, ale i wszystkich holdingów Talbota.

Clair ściągnęła brwi.

– Jak to możliwe? Jest jednym z najbogatszych ludzi w mieście, być może nawet w kraju.

– Jest bogaty na papierze. Obłędnie bogaty, ale ma poważne problemy. Sytuacja zaczęła się komplikować w Moorings mniej więcej dwa lata temu. Wykupił ten teren, ale na tydzień przed tym, jak jego firma miała zacząć burzyć tamtejsze budynki, konserwator zabytków Wydziału Planowania Przestrzennego Chicago zdobył zakaz sądowy i zablokował projekt. Według urzędników okolice należało objąć ochroną. W szczytowym okresie prohibicji wyrosło tam co najmniej tuzin nielegalnych barów. Według Wydziału Planowania Przestrzennego miasto skorzystałoby bardziej, gdyby odnowiło tę okolice, nic w niej nie zmieniając, i urządziło nad wodą turystyczną mekkę. Do jednego z owych barów zaglądał sam Al Capone. Gangsterzy zawsze przyciągają uwagę.

Clair przekrzywiła głowę.

– Na pewno to przewidział, prawda? Nieważne, że to były meliny. Wydział Planowania Przestrzennego obejmuje ochroną takie miejsca w całym mieście. Wyobrażam sobie, że sprytny deweloper uwzględni w swoim budżecie i harmonogramie takie przepychanki.

Hosman popukał palcem w jeden z arkuszy kalkulacyjnych.

– Masz rację. Odłożył dwadzieścia milionów w depozycie na walkę z tymi gośćmi. Przewidział ją, a ponadto w dniu wydania zakazu jego prawnicy czekali już w sądzie z własnym pozwem.

– Zamierzał pozwać Wydział Planowania Przestrzennego? – zdziwił się Nash.

Hosman uśmiechnął się szeroko.

– A nawet więcej. Pozwał miasto. Jego prawnicy utrzymywali, że tamte bary zbudowano bez pozwolenia, więc obejmowanie ich ochroną jest nielegalne. Miasto powinno albo je uprawomocnić, albo zburzyć.

Clair gwizdnęła z podziwu.

– Rety. Jak to przyjęto w ratuszu?

– Z niezadowoleniem. Hrabstwo przypuściło kontratak. Następnego dnia wstrzymano budowę dwóch wysokościowców, które Talbot wznosił w centrum. Jeden z przeznaczeniem na biura, drugi na mieszkania. Znalazł się jakiś kapuś, który stwierdził, że firma stosowała niskiej jakości beton. I kiedy zrobiono test, okazało się to prawdą. Dodawano za dużo piachu, czy jakoś tak. Nadal usiłuję poznać szczegóły. Biurowiec ma mieć czterdzieści trzy piętra. Koszt jego budowy szacuje się na sześćset osiemdziesiąt osiem milionów dolarów. Budynek mieszkalny ma mieć sześćdziesiąt cztery piętra i koszt jego budowy przekracza miliard dolarów.

– Co to oznacza? Musi zacząć wszystko od nowa? – zapytał Nash.

Clair wpatrywała się w zdjęcie biurowca wydrukowane przez Hosmana.

– Myślisz, że miasto przez cały czas wiedziało o kiepskim betonie i wstrzymało budowy tylko po to, żeby się zemścić?

Hosman wznosił obie ręce.

– Nie znam odpowiedzi na wasze pytania.

– Widzieliśmy domy nad jeziorem, więc pewnie wypracowano jakieś rozwiązanie, prawda? – zauważył Nash. – Budynek zburzono, na ich miejsce wyrosły luksusowe domy jednorodzinne, więc ktoś przymknął oko.

Hosman wskazywał na kolejny arkusz.

– To jest nasza zagadka. Odkryłem, że w maju z jego konta zeszły blisko cztery miliony dolarów. Nie udało mi się wytropić odbiorcy. Krótco potem wznowiono budowę nad jeziorem. Miasto zgodziło się też na kontynuację prac w wypadku wysokościowców i zatwierdziło bardzo kosztowną modernizację wzmacniającą konstrukcję.

– Przekupił miejskiego urzędnika?

– Na to wygląda. Wycofano też pozwy sądowe.

Nash ściągnął brwi.

– Nie jestem analitykiem finansowym, ale nic z tego nie kojarzy mi się ze schematem Ponziego. Wygląda mi na to, że bogaty facet wykorzystał swoje środki, żeby się wzbogacić jeszcze bardziej.

– Niezupełnie wzbogacić – odparł Hosman, przeglądając dokumenty. Kiedy znalazł to, czego szukał, podsunął to Nashowi.

Detektyw zerknął na kartkę i oddał ją Hosmanowi.

– Nie jestem analitykiem finansowym, pamiętasz?

Hosman wywrócił oczami.

– Talbot realizuje obecnie szesnaście inwestycji zakrojonych na szeroką skalę, od osiedli mieszkalnych po powierzchnie handlowe, apartamenty i luksusowe pomieszczenia biurowe. Wszystkie mają się zakończyć za wiele miesięcy i generują koszty, w szczególności wieżowce z problemami natury konstrukcyjnej. Kiedy jego poplecznicy zwietrzyli problem, zaczęli się wycofywać. W ciągu ostatniego miesiąca zwrócił im ponad trzysta milionów dolarów. Kolejnych sto osiemdziesiąt milionów musi wypłacić w ciągu najbliższych dwóch tygodni, a z tego, co wiem, nie ma tych pieniędzy. Wygląda na to, że wykorzystywał pieniądze napływające od nowych inwestorów, żeby spłacić starych, i równocześnie starał się zdobyć pożyczki na pokrycie kosztów budów.

– No dobra, schemat Ponziego – zgodził się Nash.

– To nie jest schemat Ponziego – zaproponował Hosman.

– W takim razie co jest...?

Clair przyłożyła dłoń do ust Nasha.

– Żeby można było mówić o schemacie Ponziego, musiałby zbierać fundusze na fikcyjny projekt i wykorzystać pozyskane środki na spłacenie inwestorów pozostałych projektów.

– I to prowadzi nas z powrotem do Moorings Lakeside. – Hosman wyciągnął kopię ulotki znalezionej przy ciele Gunthera Herberta, dyrektora finan-

sowego Talbota. – To miejsce to przekręt.

– Przecież on tam buduje – zauważył Nash.

– Widziałeś domy w pierwszej fazie budowy, w sumie sześć, z których żadnego jeszcze nie sprzedano. Prawdziwy problem tkwi w fazie drugiej. Sprzedawał działki, przyszłe domy, nawet udziały w elitarnym klubie golfowym i country clubie. Podawał przy tym szacowany czas zakończenia inwestycji. Miała to być jesień przyszłego roku. Zadzwoiłem do Terry'ego Henshawa z FBI i powiedział mi, że obserwują Talbota już od kilku miesięcy. Przerzucił pieniądze z fazy drugiej na kilka zamorskich kont, a potem ściągał ponownie pod parasolem Talbot Enterprises, żeby spłacić inwestorów innych projektów.

Clair pomachała palcem.

– To nadal nie jest schemat Ponziego. Działa nieetycznie, owszem, ale jeśli jego korporacja jest właścicielem wszystkich tych projektów i są one zgodne z prawem, najprawdopodobniej ma dupokrytkę w postaci jakichś zapisów drobnym drukiem.

Hosman wprowadził swój obrotowy fotel w powolny ruch, a na jego ustach igrał uśmieszek.

– Masz rację. Znalazłem jednak coś jeszcze.

– Co takiego?

– Ziemia, na której planują realizować fazę drugą, nie należy do niego. Sprzedaje nieruchomości zlokalizowane na cudzej ziemi.

– Kto jest właścicielem, jeżeli nie on?

Na twarzy Hosmana zakwitł szeroki uśmiech. Wodził wzrokiem od jednego do drugiego detektywa.

– Powoli...

Nash aż poczerwieniał.

– Wyrzuć to z siebie, matematyku!

– Emory Connors. – Hosman uderzył otwartą dłonią w biurko. – Matka zostawiła jej tę ziemię w testamencie. Nasza dziewczynka jest warta kon-

kretnie pieniądze. Z uwagi na to, że ziemia należy do niej, a nie do Talbota, mamy do czynienia z czymś gorszym od schematu Ponziiego. Jest coś jeszcze. Popatrzcie. – Wskazał na podkreślony paragraf w dokumencie prawnym.

Nash przeczytał go i gwizdnął.

– Myślicie, że kapitan pozwoli nam go teraz sprowadzić?

47 Pamiętnik

Schody skrzypiały pod moimi stopami, kiedy szedłem na dół z dużą miską na sałatę w jednej ręce i szklanką wody w drugiej. Matka przyglądała mi się uważnie, gdy gromadziłem te rzeczy, a w pewnym momencie nawet powiedziała bezgłośnie: „Nie pozwól mu tego zrobić”. Naturalnie nie zważałem na nią, bo nie „pozwoliłem” ojcu na zrobienie czegokolwiek i nie zamierzałem psuć jego dobrego nastroju taką wiadomością od matki. Poprosił, żebym przyniósł mu miskę, a ja wiedziałem, że pani Carter od wielu godzin nic nie piła, dlatego wziąłem również wodę. Jeżeli matka nie chciała, żeby do czegoś doszło, mogła wyrazić swoje stanowisko. Ojciec był już na dole i klęczał obok łóżka. Gdy podszedłem bliżej, zrozumiałem, że przywiązywał nogi pani Carter do ramy za pomocą nylonowego sznurka. Wcześniej zdążył już przywiązać jej wolną rękę. Szarpała za więzy, ale bezskutecznie. Ojciec potrafił zawiązać mocny węzeł.

Kobieta miała wciśniętą w usta szmatę przymocowaną za pomocą kawałka koszuli pana Cartera – widniały na niej kropeczki krwi.

Ojciec zacisnął ostatni węzeł i poklepał panią Carter po nodze.

– Doskonale. – Odwrócił się do mnie, a oczy mu błyszczały jak dziecku w Boże Narodzenie. – Masz przy sobie nóż?

Nóż nadal był w posiadaniu matki. Przeszukałem dom wzdłuż i wszerz, ale go nie znalazłem. Pokręciłem głową.

Ojciec ściągnął brwi.

– Powinieneś zawsze nosić go przy sobie. – Sięgnął do tylnej kieszeni spodni, wyciągnął swój nóż i mi podał.

– Załatwimy ją?

– Powinieneś zapytać, czy ją zabijemy, a nie załatwimy. Elegancyści chłopcy nie używają takiego języka.

– Przepraszam ojcze.

– Możesz posługiwać się takim słownictwem tylko wtedy, kiedy zależy ci, by ludzie z otoczenia brali cię za mniej inteligentnego, niż jesteś w rzeczywistości. Czasami lepiej być najbystrzejszym w grupie. Niektórzy ludzie boją się bystrych osób. Jeżeli znizysz się do ich poziomu, zaakceptują cię. Życie jest łatwiejsze, kiedy wtapiasz się w tłum. Nie trzeba jednak zachowywać takich pozorów w towarzystwie swojego staruszka lub uroczej sąsiadki. Co to za życie, jeżeli nie możesz być sobą w obecności przyjaciół i rodziny?

Musiałem się z nim zgodzić.

– Zabijemy ją, ojcze?

Ojciec odebrał ode mnie nóż i przysunął ostrze do światła.

– Świetne pytanie, mistrzu, ale nie czas na nie odpowiadać. Widzisz, pani Carter trzyma wszystkie karty w tym rozdaniu i nie chce ich odsłonić. Osobiście wolałbym jej nie zabijać. Chciałbym ją tu jeszcze trochę potrzymać. Słyszałem, że lubi się zabawić, a jeszcze nie miałem okazji poznać jej od tej strony. – Znowu poklepał ją po nodze. – Zgadza się, Liso? Lubisz oddawać się przyjemnościom?

Nie odrywała wzroku od ostrza. Ładnie połyskiwało w świetle sześćdziesięciowatowej żarówki wiszącej pod sufitem.

Papierowa torebka leżała na podłodze obok ojca i delikatnie szurała o beton. Ojciec oddał mi nóż.

– Jesteś dużym chłopcem. Może zechcesz czynić honory?

Pani Carter zaczęła się wić, wierzgała nogami i wybałuszała oczy. Krzyczała coś zza knebla, ale nie sposób było jej zrozumieć. Nie byłem pewien, dlaczego ojciec ją zakneblował. Czy zabawa nie polegała między innymi na tym, żeby słyszeć reakcje?

Ojciec wyciągnął jej białą bluzkę z džinsów.

– Chcę, żebyś ją rozciął. Szkoda niszczyć tak dziewiczy strój, ale nie sposób zrobić tego inaczej, skoro jest przywiązana do łóżka. Szkoda, że nie włożyła bluzki zapinanej na guziki.

Pani Carter z wściekłością kręciła głową, ale ojciec nie przejmował się jej zdaniem. Posłałem jej uspokajający uśmiech, następnie przysunąłem ostrze do cienkiego materiału i pociągnąłem. Ciężko bawełnę bez najmniejszego problemu. Kiedy musnąłem kostkami palców gładką skórę jej brzucha, poczułem, że się rumienię. Nie mogłem spojrzeć ani na ojca, ani na panią Carter z obawy, że zdradziłbym się z emocjami, które we mnie szalały. Na pewno zrobiłem się gorący – temperatura rosła mi z każdą minutą. Gdy dotknąłem wierzchem dłoni jej bielizny, wydawało mi się, że eksploduję. Przesunąłem

nóż dalej, aż do górnej krawędzi bluzki – rozpadła się na dwie części, a pani Carter płakała.

– Rozetnij też rękawy. Pozbądźmy się tej uprzykrzonej rzeczy – polecił ojciec.

Zrobiłem, co mi kazał, i niebawem pocięta bluzka leżała obok mnie. Pani Carter była coraz bardziej zaniepokojona, oddychała z trudem z powodu knebla. Jej klatka piersiowa unosiła się i opadała gwałtownie. Czy ona zaraz zemdleje?

– Może powinniśmy wyjąć knebel?

Ojciec przyglądał się pani Carter przez ułamek sekundy, po czym pokręcił głową.

– Osoba krzycząca ze strachu to jedno. Ale ktoś krzyczący z bólu to zupełnie inne zwierzę. A to będzie bolało. Jestem tego pewien. – Odciął kolejny kawałek sznurka i zawiązał wokół jej tułowia tuż pod biustem, a potem wokół łóżka i zacisnął węzeł. Powtórzył tę czynność jeszcze czterokrotnie, aż sznurek się skończył.

To nie uspokoiło pani Carter. Wierzgała nogami i wiała się z nową energią. Ojciec przyłożył dużą dłoń do jej kolan i przycisnął je do łóżka, by je również móc związać. Kiedy skończył, pani Carter nie mogła się ruszyć.

– Lepiej przystąpmy do rzeczy. Możesz mi podać tę torebkę i miskę?

Przytaknąłem i sięgnąłem po torebkę. Była ciężka. To coś, co znajdowało się w środku, ważyło co najmniej ćwierć kilograma. Czuję, jak się poruszało w środku. I się zsikało. Dół torebki był mokry i cuchnął ciepłym amoniakiem.

Ojciec przejął torebkę i położył ją na brzuchu pani Carter. Kobieta wciągnęła głęboko powietrze i próbowała usiąść, gdy mokra torebka dotknęła jej skóry, ale sznurek mocno ją przytrzymał. Uniosła głowę na tyle, żeby zobaczyć torebkę, lecz pozycja była na tyle niewygodna, że głowa szybko jej opadła.

Ojciec otworzył torebkę i wpuścił do niej trochę powietrza, po czym szybko położył nad nią miskę. Torebka uwięzła między miską a brzuchem pani Carter.

Ojciec wyciągnął taśmę pakową, oderwał kilka kawałków i przymocował nimi miskę do ciała. Miska była z przezroczystego plastiku, więc widzieliśmy, co się działo w środku.

Postukał w dno miski.

– To jest typowy szczur wędrowny. Złowiłem go z łatwością na kawałek sera naszpikowanego chloroformem. Specyfik przestaje jednak działać. Kiedy zwierzak się ocknie, będzie bardzo zły i będzie go potwornie bolała głowa. Szczury nie przepadają za ograniczoną przestrzenią, więc jestem pewien, że będzie się chciał wydostać z tej miski. Być może spróbuje drapać plastik, ale odkryje, że jego pazury nie poradzą sobie z gładką powierzchnią. Kiedy już z tego zrezygnuje, zainteresuje się tym, co się znajduje niżej, i wtedy zacznie się prawdziwa zabawa. W przeciwieństwie do plastiku, twój miękki tułów z

łatwością ulegnie ostrym pazurkom, a gdy szczur wykorzysta też szczęki i zacznie gryźć...
– Ojciec uśmiechnął się szeroko. – Powiem tylko, że te zęby są stworzone do rozgryzania znacznie twardszych substancji.

Pani Carter znowu się wierciła i oddychała z wielkim trudem. Próbowwała wciągać powietrze przez nos, ale było go za mało. Po policzkach spływały jej łzy. Oczy miała czerwone i zapuchnięte.

Pochyliłem się niżej. Szczur leżał zwinięty w torebce i ledwie się ruszał, ale wyraźnie widziałem, że chloroform przestaje działać. Kiedy małe zwierzątko wystawiło główkę z torebki, prawie wyskoczyłem z szortów.

Ojciec wybuchnął śmiechem.

– Spokojnie, mistrzu. Nie rzuci się na ciebie. Jeżeli się stąd wydostanie, będzie miał pełny brzuchy i nie będzie myślał o kolejnym posiłku.

– Ona zaraz zemdleje.

Jestem pewien, że ojciec wziął tę ewentualność pod uwagę, ale wyraz jego twarzy świadczył o czymś zupełnie przeciwnym. Wydawał się początkowo zdumiony, potem sfrustrowany.

– Możesz mieć rację, mistrzu. Być może to jest zbyt intensywne. Ale prawie skończyliśmy. – Przesesał palcami włosy pani Carter. – Wytrzymasz jeszcze kilka minut, Liso, prawda? Jesteś dość twarda, by to zrobić?

Poruszyła głową, jednakże nie potrafiłem stwierdzić, czy to było przytaknięcie, czy też energiczne zaprzeczenie.

Szczur wygramolił się z torebki i przewrócił na bok, po czym stanął niepewnie na różowych stopach. Tracił równowagę i był ospały, ale powoli wracał do żywych. Najpierw powąchał torebkę, potem miskę, a na końcu pępek pani Carter – jego łebek zniknął na chwilę, by zaraz się pojawić z powrotem.

– Tu jest nasz mały przyjaciel. – Szczur truchtał wzdłuż krawędzi miski. – Mój syn może mieć rację. Knebel utrudnia oddychanie, więc go wyjmę i dam ci szansę odetchnąć. Chciałbym też, żebyś odpowiedziała mi na proste pytanie. Jeżeli będziesz ze mną szczerą, położysz kres temu wszystkiemu. Chciałabyś to zakończyć?

Tym razem pani Carter zdecydowanie przytaknęła.

Ojciec przemyślał to i pochylił się, przyciskając usta do jej ucha.

– Czy twój mąż sypiał z moją żoną? – Słowa te wypowiedział szeptem ledwie słyszalnym z miejsca, w którym stałem.

Pani Carter otworzyła szeroko oczy i patrzyła na niego. Ojciec sięgnął w stronę knebla i odciągnął materiał od jej ust. Wypluła zmiętą szmatę i łapała powietrze jak ktoś, kto od kilku godzin znajdował się pod wodą.

– Zdejmij to ze mnie! – krzyknęła.

Znowu się naprężyła, ale na niewiele się to zdało. Jej tułów nie przesunął się nawet o cal, tak szybko więzy wbiły się w jej ciało. Wyciągnęła szyję, ale nie mogła podnieść głowy na tyle, żeby zobaczyć, co się działo.

A ja widziałem. I to bardzo dobrze.

Szczur szybko dochodził do siebie, pozbywał się senności i stał na chwiejnych łapkach. Jeżeli szczury mogły wpadać w panikę, byłem pewien, że ten futrzany cud wpadnie w nią niebawem. Krążył wzdłuż krawędzi miski, przyciskając ruchliwy nos do linii styku miski ze skórą pani Carter i przystając co kilka kroków, by podrapać plastik, a po chwili powrócić do węszenia wzdłuż krawędzi. Zrobił jedno okrążenie, potem drugie i kolejne, za każdym razem bardziej gorączkowe.

– O rety, chyba ma klaustrofobię. Jak myślisz, mistrzu?

Przytaknąłem.

– Na pewno, tato. Spójrz na niego! Zaczyna się wściekać!

– Żadne boże stworzenie nie lubi być w niewoli. Nie ma znaczenia, czy jest to robak, gryzoń, czy najsilniejszy z ludzi. Nawet jeśli zamkniesz żywą istotę w klatce pełnej jej ulubionego pożywienia i dasz jej wygodne miejsce do odpoczynku, będzie chciała się uwolnić. Ten mały skubaniec przekopie się przez naszą kochaną sąsiadkę, żeby wyjść na wolność. Wyobrażasz to sobie? Wykopie w niej tunel. Idę o zakład, że jej to nie zabije, przynajmniej nie od razu. Swego czasu widziałem człowieka, który przeżył trzy dni po tym, jak przestrelono mu trzewia. Przysięgam, że gdyby światło padało pod odpowiednim kątem, byłoby widać, co się znajdowało po drugiej stronie. Ta dziura będzie, rzecz jasna, znacznie większa, więc nie spodziewam się, żeby przeżyła kilka dni, ale na pewno wytrzyma ze dwadzieścia lub trzydzieści minut. – Wzdrygnął się. – Wyobrażasz sobie, jakie to będzie bolesne? Tunel szeroki jak pięść? – Uniósł pięść i przytrzymał ją nad panią Carter.

Szarpnęła za więzy i kopnęła nogami na tyle, na ile pozwalał jej sznurek, a to tylko rozłościło szczura jeszcze bardziej.

– Proszę! Zdejmij go ze mnie! Proszę! Powiem ci wszystko, co chcesz!

Ojciec przysunął się do niej.

– Zadałem ci dość proste pytanie, ale może z tej ekscytacji zdążyłaś je zapomnieć albo źle mnie słyszałaś, więc je powtórzę. Czy twój mąż sypiał z moją żoną?

Pani Carter pokręciła głową.

– Nie! Nie, nie, nie!

Ojciec puścił do mnie oko.

– Jak ci się wydaje, mistrzu? Jest z nami szczerą, czy też jest to małe kłamstewko?

– Aaa! – krzyknęła pani Carter. Wybałuszyła oczy i zrobiła się czerwona.

Spojrzałem na szczura. Skubnął delikatnie sam brzeżek jej pępka. Nie na tyle mocno, by poleciała z niego krew, ale wystarczająco, żeby zrobił się czerwony i nabrzmiały. Uniósł łebek i poruszał pyszczkiem, oceniając swoje znalezisko jak kiper oceniający wyśmienite wino.

Ojciec klasnął w dłonie. Zwierzątko popatrzyło w jego stronę, zapominając na krótką chwilę o jedzeniu.

– Skubaniec robi się głodny. Ma ochotę na mięsko. To dobry znak! Jestem pewien, że smakujesz słodko, łagodnie i ostro w odpowiedniej proporcji.

– Jesteście pierdolnięci! – wypaliła pani Carter. Znowu łąpała powietrze.

Wyjęcie knebla było dobrym posunięciem. Do tej pory na pewno by zemdląła, gdyby ojciec go zostawił w jej ustach.

– Zdejmij go ze mnie, proszę – powiedziała, a po twarzy spływały jej łzy. – Odpowiedziałam na twoje cholerne pytanie, więc go zdejmij.

– Zrobię, co zechcesz. Powiem ci wszystko, tylko proszę...

Szczur ugryzł, a ona wydała z siebie najokropniejszy z możliwych krzyk. Tym razem gryzoń się nie wahał. W przeciwieństwie do pierwszego ugryzienia, które miało charakter rekonesansu, to było napędzane głodem. Ojciec miał rację – stworzonko miało ochotę na mięso. Wygryzł z brzucha kęs średnicy niecałego centymetra. Patrzyłem z zachwytem, jak miejsce najpierw różowieje, potem czerwienieje, aż wreszcie napełnia się krwią.

– O! – zawołał ojciec. – Zabawa się zaczęła!

Pani Carter zacisnęła dłonie na krawędzi łóżka, aż pobieleły jej palce, gdy szarpała za ramę. Wciągnęła powietrze. Słyszałem powiedzenie, że ktoś wytrzeszcza oczy, ale do tej pory nigdy czegoś takiego nie widziałem. Jej oczy wyglądały, jakby naprawdę miały wypaść z oczodołów.

Ojciec zauważył szklankę z wodą.

– Popatrz, mistrzu.

Przechylił szklankę i wylał kilka kropelek wody na miskę. Spłynęła z niej i zebrała się w miejscu styku plastiku ze skórą. Szczur wyczuł ją w niecałą sekundę. Przeskoczył z drugiego krańca swojej małej klatki i przycisnął pyszczek do krawędzi miski, nie mógł jednakże dostać się do wody, bo ojciec przymocował prowizoryczną kopolkę taśmą. To sfrustrowało szczura, który zaczął kopać. Wąskie pazurki cięły brzuch pani Carter, nie bacząc na jej wrzaski. A darła się wniebogłosy. Wydawało się, że ugryzienie było bolesne, ale...

Ojciec zmierzwił mi włosy.

– Ale ubaw! – Spojrzał na panią Carter. – Widzisz, Liso, wiem, że chadzała do twojego domu i znikwała w nim niekiedy nawet na kilka godzin. Wraciała cuchnąca seksem. Wraciała śmierdząca brudnym seksem i uśmiechała się do mnie, jakby nie stało się nic złego, jakby

nie zrobiła niczego złego. Oboje wiemy, że to nieprawda, zgadza się? Chyba oboje wiemy, co się tu dzieje. Kiedy go zabiła, nie usiłowała chronić ciebie, tylko siebie. Mam rację?

Pani Carter chyba go nie słyszała. Z trudem łapała powietrze. Przy każdym wdechu wydawała mokre siorbnięcia, bo powietrze mieszało się ze łzami i gilami zatykającymi jej gardło. Nie odrywała oczu od sufitu. Już nie widziała ani mnie, ani ojca.

– Chyba wpada w szok – stwierdziłem.

Szczur przestał kopać, ale niezłe narozrabiał. Z wyjątkiem pierwszego ugryzienia rany nie były głębokie, ale było ich mnóstwo. Zadrapania pokrywały obszar w pobliżu wody i wyglądały tak, jakby ktoś ponacinał skórę brzucha żyłką.

Ojciec oderwał taśmę i miskę, która pofrunęła razem ze szczurem przez piwnicę.

– Cholerny gryzoń... przesadził... – mruknął. Chwycił szklankę i wylał jej zawartość na twarz pani Carter. Uspokoila się. Popatrzyła na nas gniewnie i pisnęła.

Ojciec ją spoliczkował. Jego otwarta dłoń odcisnęła się na jej twarzy czerwoną plamą. Kobieta zamilkła; jej ciałem wstrząsały gwałtowne dreszcze.

– Daj spokój, nie było tak źle. – Docisnął do rany papierową torbę. – Widzisz? Tylko lekkie zadrapanie. Nie ma się czym przejmować. – Znowu się nad nią pochylił i przycisnął usta do jej ucha. – Gdybym chciał ci zrobić krzywdę, tak naprawdę, mógłbym zrobić o wiele więcej. Swego czasu obrałem facetowi palce z ciała do samej kości. Najpierw rozciąłem je wzdłuż, a potem zacząłem odcinać cienkie plasterki. Obranie pierwszego zajęło mi blisko godzinę. Facet prawie wpadł w szok po kilku pierwszych minutach, więc podałem mu zastrzyk z adrenaliny. Nie dość, że go to obudziło, to jeszcze wzmocniło doznania. – Poglądził grzbiet dłoni pani Carter. Szarpnęła za kajdanki. – Wiedziałaś, że ludzka dłoń składa się z dwudziestu siedmiu kości? Niektóre są duże, inne malutkie. I wszystkie się łamią. Nie jestem pewien, czy czuł dużo na tym etapie, bo nie miał skóry, mięsa i ścięgien, ale i tak pisał. Idę o zakład, że gdybym to samo zrobił z tobą, gdybym obierał z mięsa twoje paluszki, szybko wyznałabyś mi prawdę, nie sądzisz? – Muskał jej dłoń i zatoczył kółko wokół nadgarstka, po czym chwycił go mocno. – Założę się, że gdybym wykonał właściwe cięcie, gdybym zaczął tutaj i przesuwiał ostrze tędy, wzdłuż grzbietowej gałęzi nerwu łokciowego, mógłbym zdjąć skórę z dłoni jak rękawiczkę. Musiałbym uważać, żeby nie naruszyć żył, ale chyba bym sobie poradził. – Popatrzył na mnie. – Jak sądzisz, mistrzu? Powinniśmy spróbować?

Ujrzałem to oczami wyobraźni.

Ojciec przycisnął dłoń do rany na brzuchu pani Carter. Tym razem kobieta nie krzyknęła. Wywróciła oczami tak mocno, że zobaczyłem same białka, a potem głowa opadła jej na bok.

– Nie żyje?

Ojciec dotknął boku jej szyi.

– Tylko zemdląca. Przypuszczam, że tak się musiało stać. – Wstał i ruszył w górę scho-

dów. – Możesz ją rozwiązać, ale zostaw kajdanki. Potem idź na górę i trochę się prześpij. To była długa noc. Muszę porozmawiać z twoją matką.

– A co ze szczurem? – zawałęm za nim.

Jego już jednak nie było. Zostałem sam na sam z naszym gościem.

48 Emory

Dzień drugi, 8.06

„Kochanie? Naprawdę powinnaś wstać. Ta drzemka nie jest zdrowa. Ani trochę”.

Emory bezmyślnie machnęła ręką, próbując rozgonić mgiełkę, która spowijała jej myśli. Gdy otworzyła oczy, nic nie widziała. Zorientowała się, że są otwarte, na podstawie tego, jakie były przesuszzone – zimne powietrze drażniło jej źrenice, więc musiała znowu zacisnąć powieki. Próbowała się obrócić, ale nie mogła.

Ktoś ją przytrzymał! Ktoś przyciskał ją do betonowej podłogi. „Boże, nie pozwól mu zabrać mi oczu! Nie pozwól mu zabrać języka!” Spięła się w oczekiwaniu na ból, kiedy ostrze wbije się w rogówkę i wydłubie oczy lub kiedy ręka chwyci ją za gardło i ściśnie na tyle mocno, żeby otworzyła usta i...

„Uspokój się, kochanie. To tylko nosze. Nie pamiętasz? To metalowe ustrojstwo przewróciło się na ciebie, gdy usiłowałaś zlizać tę odrobinę wody jak jakiś bezpański kundel”.

Wszystko wróciło do niej w okamgnieniu, a potem poczuła w skroni tak silny ból, że nieomal znowu straciła przytomność. Dotknęła czoła – miała na palcach lepłą krew.

„Udało ci się chociaż napić tej wody, zanim to pioruństwo cię przygniotło? Nie wiem, jak ty, ale ja umieram z pragnienia”.

Sądząc po stanie jej gardła, nie udało jej się.

Początkowo nie czuła bólu nadgarstka. Nie czuła nic do chwili, kiedy

przesunęła ciężar ciała i usiłowała wydostać się spod noszy – wówczas ból się pojawił, i to błyskawicznie. Miała wrażenie, że dłoń oddzieliła się od reszty ramienia w nadgarstku, jakby jakieś wściekłe zębiska przecinały jej skórę i kość. Chciała krzyknąć, ale z jej gardła wydobył się tylko cichy charkot.

Bolały ją nadgarstek i głowa; mroczna podświadomość znowu próbowała nią zawładnąć. Zdołała się jej jednak przeciwstawić. Powiedziała sobie, że tak długo, jak czuje ból, żyje, a tak długo, jak żyje, może dojść do siebie, bez względu na to, jak wygląda jej obecna sytuacja.

„Śmiało, moja droga. Dziewczyny są silne i tak dalej. Nic nie będzie się cieszyło większą oglądalnością w całym kraju od historii dziewczyny bez ucha i dłoni opowiadającej światu, jak udało jej się przeżyć. Matt Lauer rzuci się na ten smakowity kąsek. »Jak udało ci się przetrwać, gdy straciłaś rękę i krew trysnęła? Pewnie się ucieszyłaś, że jesteś wolna, ale jak rany, to chyba piekielnie bolało?«”.

Krwawiła?

Wolną ręką dotknęła mocno opuchniętej tkanki wokół nadgarstka na wysokości kajdanek. Poczwała krew, ale nie było jej dużo. Kajdanki zdarły jej skórę, ale nie to ją najbardziej zaniepokoiło. Szczególną panikę zarezerwowała na odkrycie, że kość nadgarstka sterczała pod bardzo dziwnym kątem. Nie przebiła skóry, co nie znaczyło, że nie próbowała. Kiedy Emory próbowała poruszyć nadgarstkiem, zaprotestował w sposób, który ją obezwładnił; wciągnęła głęboko powietrze przez zaciśnięte zęby.

Nie ulegało wątpliwości, że nadgarstek był złamany. Tym razem cieszyła się, że nic nie widzi.

Coś jej podpowiadało, że powinna wstać, więc zrobiła to, nie czekając, aż jakiś inny głos ją od tego odwiedzie. Dźwignęła nosze z pomocą złamanej, osłabionej ręki, aż stanęły stabilnie na czterech kółkach. Stała w idealnej ciszy, opierając roztrzęsione ciało o nosze i czekając na ból, który musiał nastąpić.

Zalał ją falami. Czowała go nie tylko w nadgarstku, ale też w nogach i ramionach. Nie była pewna, ile czasu spędziła nieprzytomna, ale najwyraźniej były to godziny, a nie minuty. Każdy centymetr jej ciała był odrętwiały; potem pojawiło się mrowienie, aż wreszcie przyszedł tępy ból, który postano-

wił z nią na trochę zostać.

Tym razem nie krzyknęła. Za bardzo zszokowało ją to, że się zsiusiała, po raz pierwszy, odkąd się tutaj ocknęła. Ciepły płyn spływał jej po nodze i zbierał się przy palcach stóp.

Emory stała tak, gdy nagle głos Roda Stewarta zaczął ryczeć nad nią refren piosenki *Maggie May*.

Stała tak i zastanawiała się, jak długo jeszcze będzie umierać.

49 Pamiętnik

Położyłem zimny, mokry kompres na ranach pani Carter. Nie wyglądały tak źle, jak się spodziewałem. Maść z antybiotykiem i plaster z opatrunkiem by wystarczyły, tylko że, niestety, nie dysponowałem nimi, więc musiałem poprzestać na mokrej szmatce.

Wydawało mi się, że powinna się obudzić, ale po dwudziestu minutach nadal spała. Byłem przekonany, że to był tylko sen. Szok jest tylko mechanizmem obronnym organizmu. Kiedy sytuacja robi się przerażająca, ciało się wyłącza. Jeżeli doda się do tego ogromne ilości uwolnionej chwilę wcześniej, przyspieszającej metabolizm adrenaliny, przepis na wielką awarię gotowy.

Odpocznie, a potem się obudzi.

Znalazłem koc na pralce. Otuliłem nim jej drobną sylwetkę i poszedłem na górę.

Ojciec leżał nieprzytomny na kanapie, a na podłodze obok niego wałała się pusta butelka po burbonie. Minąłem go z cichym skrzypieniem podłogi, wśliznąłem się do swojego pokoju i zamknąłem drzwi.

Stanąłem z czołem opartym o drzwi i zamkniętymi oczami. Jeszcze nigdy nie czułem się taki zmęczony.

– Powiedziałeś mu o zdjęciu?

Odwróciłem się na pięcie i zobaczyłem matkę stojącą w kącie. Jej twarz kryła się w cieńcu i ledwie widziałem zarys jej sylwetki w ciemności.

– Powiedziałeś mu o zdjęciu? – zapytała ponownie, głosem cichym i chropowatym.

– Nie – odparłem; mój głos brzmiał mniej pewnie, niżbym sobie życzył. – Jeszcze nie – dodałem, bo chciałem wyjść na większego twardziela, niż byłem.

Podeszła do mnie. Dostrzegłem, że trzymała nóż, jeden z tych dużych rzeźnickich z bloku stojącego w kuchni. Nie mogłem się nimi bawić.

– Co powiedziała ojcu? – Ostrze złapało księżycową poświatę i błysnęło, kiedy obróciła nóż w dłoni. – On wie?

Pokręciłem głową.

– Myśli, że spałaś z panem Carterem.

Nie jestem pewien, gdzie poznałem to znaczenie sformułowania „spać z kimś”, i chociaż byłem pewien, że użyłem go poprawnie, dziwnie zabrzmiało w moich ustach.

– Był... przekonujący, ale nic nie powiedziała.

– Co jej zrobił?

Powiedziałem jej wszystko; pominąłem tylko fakt, że szczur nadal biegał w piwnicy. Czy szczury potrafią chodzić po schodach?

– I nie powiesz mu, prawda? To będzie nasz mały sekret?

Nie odpowiedziałem na to.

Matka uniosła ostrze i stanęła w świetle księżyca. Oczy miała czerwone i zapuchnięte. Czyżby płakała?

– Jeżeli mu nie powiesz, pozwolę ci zrobić z panią Carter różne rzeczy. Takie prywatne. O których chłopcy w twoim wieku tylko marzą. Chciałbyś?

Znowu nic nie powiedziałem. Nie odrywałem wzroku od ostrza.

– Wiesz, co ojciec mi zrobi, jeżeli się dowie, prawda? I co zrobi pani Carter? Chyba nie chcesz być za to odpowiedzialny?

– Nie mogę kłamać, matko. – Te słowa wypadły ze mnie, zanim zdałem sobie sprawę z tego, że je wypowiedziałem, zanim pojąłem swój błąd.

Matka rzuciła się w moją stronę, dzierżąc nóż wysoko. Zatrzymała się kilka centymetrów od mojej twarzy.

– Ukryjesz to przed nim albo wybebeszę cię jak jakąś cholerną świnię, gdy będziesz spał. Zrozumiano? Wydłubię ci oczy łyżeczką do cukru, wepchnę do gardła i poczekam, aż je przelkniesz jak dwa dojrzałe winogrona.

Nóż znajdował się tak blisko czubka mojego nosa, że widziałem go podwójnie.

Matka jeszcze nigdy mnie nie tknęła.

Nigdy nie zrobiła mi krzywdy.

Teraz jednak jej wierzyłem.

W każde jej słowo.

Mówiła dalej przyciszonym głosem, a jednak tak głośno:

– Jeżeli powiesz mu cokolwiek, dowie się, że ty też tam byłeś. Wiele razy. Opowiem mu, jak to stałeś w kącie z wyciągniętą na wierzch męskością, jak małpa w zoo, i śliniłeś

się do swojej kochanej pani Carter. Jak podglądałaś matkę przez okno sypialni w najbardziej prywatnym momencie. Powinieneś się wstydzić, ty podły, żaloszny dzieciaku.

Nie zamierzałem dać się zastraszyć. Nie tym razem.

– Kto zrobił zdjęcie, matko?

– Słucham?

– Chyba mnie słyszałaś. Kto zrobił to zdjęcie? Pan Carter? Ojciec miał rację? Czy przed wczorajszym dniem doszło do czegoś między wami? To dlatego tak ochoczo za tobą poszedł?

Dłoń dzierzżąca nóż zadrżała, gdy złość matki się nasiliła. Wiedziałem, że na nią naciskam i że powinienem przestać, ale nie mogłem.

– Ktoś musiał obsługiwać aparat i jestem gotów się założyć, że to był pan Carter. Dlatego go zabiłaś, matko? Nie zwabiłaś go tutaj, żeby chronić panią Carter. Chciałaś po prostu zatuszować ślady. Ojciec pozna prawdę, i lepiej się na to przygotuj. Wiesz, że nie spocznie, dopóki nie pozna wszystkich odpowiedzi. Powinnaś być mu wierna, matko. Tak robią małżonkowie. Nie szlają się z Bóg wie kim, robiąc Bóg wie co.

Miała czerwoną twarz.

– Nie mów złych rzeczy, synu.

– Nie rób złych rzeczy, matko – zripostowałem. – Każdy z nas złamał dzisiaj wieczorem jakąś zasadę.

Obróciła nóż i upuściła go. Ostrze minęło moją stopę o centymetr i wbiło się w podłogę. Otworzyła drzwi i wypadła do przedpokoju. Udała się do swojego pokoju. Ojciec nadal się nie ruszał na kanapie, obojętny na wszystko, i chrapał głęboko.

Wyrwałem nóż z podłogi, zamknąłem drzwi i ustawiłem pod klamką krzesło od biurka, żeby się zabezpieczyć. W drzwiach był zamek, ale ojciec nauczył mnie go otwierać wytrychem, gdy miałem zaledwie pięć lat. Wiedziałem, że prosty zamek nie będzie przeszkodą również dla matki, bo i ona dostała kilka lekcji. Zamknąłem także okna. To była duszna noc, ale nie miałem wyboru. Oczami wyobraźni widziałem matkę wdrapującą się do mojego pokoju i podchodzącą do łóżka z łyżeczką w jednej i nożem w drugiej dłoni. „Dzień dobry, mistrzu. Gotów na śniadanie?”, usłyszałem jej słowa wypowiedziane tuż przed tym, jak rzuciła się na mnie, wbijając mi łyżeczkę w oko, a masywny nóż w brzuch. „Twoje ulubione.”

Odpędziłem to wyobrażenie, ściągnąłem koc i poduszkę z łóżka i zaniósłem do szafy, gdzie skuliłem się na podłodze pośród tenisówek, piłki do nogi i innych szpargałów młodego chłopaka.

Nie chciałem spać, chociaż wiedziałem, że powinienem. Koniec był jeszcze daleko i

musiałem odpocząć.

Nie mogłem spać z otwartymi oczami, ale na pewno próbowałem. Mroczne sny dopadły mnie, gdy gapilem się tępo w drzwi i czekałem na powrót potwora, ściskając w dłoni rzeźnicki nóż.

50 Porter

Dzień drugi, 8.56

– Możesz pytać.

Watson zerknął na Portera, po czym skierował wzrok z powrotem na drogę.

– Uznałem, że jeśli będzie pan chciał o tym rozmawiać, sam pan podejmie temat. Nie musi pan. – Zamilkł na dłuższą chwilę, po czym ciągnął z wahaniem: – Słyszałem to i owo, głównie od Nasha. Chciałem panu powiedzieć, jak bardzo mi przykro, ale nie pojawiały się sprzyjające okoliczności. Przykro mi.

– Że nie miałeś okazji mi tego powiedzieć czy że moja żona nie żyje?

Watson zbladł.

– Ja tylko...

Porter zapadł się w sobie i pokręcił głową.

– Nie, zaczekaj. Źle to wyszło. Jestem bliski załamania. Naciskają na mnie, żeby spotkać się z psychologiem, i wiem, że powinienem, że tego potrzebuję, ale sprzeciwia się temu każda komórka mojego ciała. Zupełnie jak wtedy, kiedy jesteś dzieciakiem i rodzice każą ci coś zrobić, a ty robisz coś zupełnie przeciwnego, bo nie chcesz robić tego, co ci każą, nawet jeśli jest to dobre. Uparty ze mnie osioł.

Watson lekko przytaknął. Bawił się woreczkiem, w którym brzęczał zegarek kieszonkowy.

– Nash powiedział, że ktoś ją zastrzelił.

Porter przytaknął krótko.

– Zawsze rano, przed wyjściem do pracy, piliśmy kawę. Wieczorem zabrakło nam mleka, więc poszła po nie, żeby było na rano. Zasnąłem przed telewizorem. Nie słyszałem, kiedy wyszła. Prawdopodobnie nie chciała mnie budzić. Obudziłem się i znalazłem liścik na poduszce. Poinformowała mnie, dokąd poszła. Była dwudziesta trzecia trzydzieści, a że spałem, nie miałem pojęcia, czy wyszła pięć minut, czy dwie godziny temu. Przespałem blisko trzy godziny. Tak robi z człowiekiem ta praca. Jesteś w ciągłym biegu, a gdy wreszcie masz okazję odetchnąć, zmęczenie cię dopada i odlatujesz. Poszedłem do salonu, żeby poczytać książkę. Chciałem na nią zaczekać. Po dwudziestu minutach zacząłem się denerwować. Zwykle chodziliśmy do sklepu na rogu, mniej więcej przecznicę od nas. To jest najwyżej pięć minut drogi w jedną stronę. W środku potrzebowała też jakieś pięć minut. Powinna już wrócić. Zadzwoiłem na komórkę, ale włączyła się poczta głosowa. Po upływie kolejnych dziesięciu minut postanowiłem tam pójść. – Zamilkł i nie odrywał wzroku od drogi. – Zobaczyłem światła. Zobaczyłem je, kiedy wyszedłem z rogu na Windsor Street, i od razu wiedziałem. Wiedziałem, że to moja Heather. Zacząłem biec. Gdy dotarłem do budynku, okazało się, że był otoczony taśmą. Ulicę blokowało z pół tuzina radiowozów. Przeszedłem pod taśmą i ruszyłem w stronę budynku. Chyba rozpoznał mnie któryś z mundurowych, bo pamiętam, że usłyszałem swoje nazwisko. Wtem ktoś chwycił mnie za rękę, potem ktoś jeszcze i jeszcze... Kojarzy mi się to z jakimś złym snem, a nie z rzeczywistymi wydarzeniami.

– Prawdopodobnie był pan w szoku.

Porter przytaknął.

– Pewnie tak.

– Rabunek?

– Tak. Jakiś dzieciak. Według Tareqa, kasjera pracującego tamtego wieczoru, Heather stała w głębi sklepu, kiedy ten zbir wszedł i zaczął mu wymachiwać bronią przed nosem. Tareq pracował w tym sklepie od czterech lat. To dobry facet, przed trzydziestką. Ma żonę i dwoje dzieci. W każdym razie gość mierzył do niego z broni i kazał mu wyczyścić kasę. Tareq został już kiedyś obrabowany i wiedział, że nie należy stawiać oporu, więc zaczął pako-

wać gotówkę do torby. Według niego było tego z trzysta dolarów i trochę drobnych. Dzieciak podobno strasznie się trząsał, a to najgorsze, co może być. Ci spokojni traktują sprawę niemal jak transakcję biznesową, wszyscy odgrywają swoje role i rozchodzą się w swoje strony. Nerwowi to zupełnie inna historia. Podobno chłopak z trudem trzymał broń prosto i Tareq był pewien, że w pewnym momencie strzeli. I to właśnie zrobił, tylko że nie strzelił do Tareqa, ale do kobiety, którą dostrzegł kątem oka. Nie zauważył jej, kiedy wszedł do sklepu. Przestraszyła go. Odwrócił się i nacisnął spust. Kula przeszła pod prawą piersią, uszkodziła tętnicę podobojczykową i przebiła się dalej.

Watson spuścił głowę i przyglądał się swoim dłoniom.

– Szybko się wykrwawiła. Nie można było nic zrobić.

Porter pociągnął nosem i skręcił ostro w Roosevelt.

– Koleś uciekł. Nie zabrał pieniędzy. Tareq zadzwonił po pomoc i usiłował zatamować krwotok, ale jak sam zauważyłeś... nie można było nic zrobić.

– Przykro mi.

– A wiesz, co jest najgorsze? Kiedy wracałem tego wieczoru do domu, pamiętałem, że kończyło nam się mleko. Miałem po nie wstąpić, ale w sklepie było sporo ludzi, więc sobie odpuściłem; pomyślałem, że przyjdę później. Dasz wiarę? Straciłem ją... bo byłem zbyt leniwy, żeby postać kilka minut w kolejce.

– Nie może pan tak myśleć.

– Nie wiem już, co mam myśleć. Nie wiem, co powinienem zrobić. Chyba nie zniósłbym kolejnego dnia w tym mieszkaniu. Sąsiedzi gapili się na mnie na korytarzu, wszyscy traktowali mnie jak zgniłe jajo. Wszystko jest do bani. Nawet to... – Machnął ręką, pokazując na nich obu. – Pomyślałem, że jeśli pojedę z tobą, będzie mi łatwiej niż w towarzystwie Nasha lub Clair, ale jest tak samo. Jakaś część mnie chce rozmawiać o tym z kimś, kto nie... – Odchrząknął. – Kto jej nie znał. Inna nie chce o tym w ogóle mówić, a cała reszta mnie nie ma pojęcia, co powinienem zrobić. Pracuję w wydziale zabójstw i musiałem wiele rodzin informować o śmierci najbliższych. Zobo-

jętniałem na to, zdystansowałem się. Od dwudziestu trzech lat przekazuję takie wieści. Taki rodzaj straty stał się dla mnie czymś zwyczajnym. Dasz wiarę, że mam dwie lub trzy formułki? Po jednej pasującej do każdego scenariusza. Rzucaliśmy z Nashem monetą, żeby zdecydować, który poinformuje o śmierci. Mówiłem ludziom, co się stało, tłumaczyłem, że ich bliski jest już w lepszym miejscu, że powinni żyć dalej, pogodzić się z osobistą tragedią, że czas zagoi rany. Teraz jednak to wszystko wydaje mi się kompletną bzdurą. Kiedy straciłem... Kiedy straciłem Heather... Chryste, nawet nie potrafię powiedzieć tego na głos tak, by się nie dławić. Chciałaby, żebym się skupił na dobrych wspomnieniach i wymazał ostatnie tygodnie, bo nie powinny rzucać na nasz związek. Tylko że nie potrafię. Chcę to zrobić. Za każdym razem, kiedy widzę coś z jej rzeczy: książkę, którą czytała i której nigdy nie dokończy, szczoteczkę do zębów, której już nigdy nie użyje, brudną bieliznę, pocztę. Raz w tygodniu grywaliśmy w scrabble. Nie zebrałem kostek z naszej ostatniej rozgrywki. Nie potrafię się zdobyć na to, żeby złożyć planszę. Zerkam na jej kostki i zastanawiam się, jak by brzmiało następne słowo. Budzę się w środku nocy, dotykam pościeli po jej stronie łóżka i stwierdzam, że jest zimna.

Znowu zredukował bieg i wyminął taksówkę, która zwolniła, żeby skręcić w prawo, następnie szarpnęła ostro kierownicą w lewo, żeby nie zderzyć się z minivanem ruszającym spod Burger Kinga.

– Może powinniśmy włączyć koguta? – zasugerował Watson. – Albo ja mogę prowadzić.

Porter otarł oko rękawem koszuli.

– Nie, nie trzeba. Poradzę sobie. Chyba należało cię ostrzec, zanim wsiałeś do samochodu. Powinienem mówić o tych sprawach z terapeutą, a nie początkującym technikiem kryminalistycznym. Nie pisałeś się na to.

– Musi pan z kimś porozmawiać. W ten sposób dochodzimy do siebie. Duszenie tego w sobie nie jest zdrowe. Coś takiego będzie w panu rosło jak rak.

Porter zachichotał.

– Mówisz jak psycholog. To chyba najdłuższa gadka, jaką od ciebie usłyszałem, odkąd się poznaliśmy.

– Psychologia to jeden z kierunków, które skończyłem – powiedział niepewnie Watson.

– Poważnie? Chwila. Jeden z kierunków?

Chłopak skinął głową.

– W tej chwili robię trzeci.

Porter przejechał na późnym pomarańczowym świetle i wyminął gwałtownie volkswagena garbusa, który włączał się do ruchu.

Watsonowi aż pobiełały kostki palców, gdy Porter wrzucił trójkę i skręcił w prawo z lewego pasa, prawie ocierając się o czerwonego buicka.

– Wydaje mi się, że powinniśmy się zamienić. Kapitan prosił, żebym siadł za kierownicą.

– Jesteśmy prawie na miejscu.

– Nie jestem pewien, czy pan w ogóle powinien tam iść.

– Nie biorę pod uwagę innej możliwości. Jeśli to on, muszę go zobaczyć.

Skręcili w Pięćdziesiątą Aleję i zatrzymali się przed komisariatem. Porter zaparkował chargera na miejscu dla niepełnosprawnych i położył na tablicy rozdzielczej tabliczkę z napisem „Policja”. Sięgnął do kabury na ramieniu, wyciągnął berettę i wsunął ją pod siedzenie. Zerknął na zegarek w dłoni Watsona.

– Gdzie się znajduje sklep twojego wuja?

– Nazywa się Lost Time Antiques and Collectibles i mieści się przy West Belmont.

– Daj mi to – powiedział Porter. – Wolę mieć dowody przy sobie.

Watson podał mu zegarek, a on wsunął go do kieszeni.

– Jest pan pewien, że to dobry pomysł? – zapytał Watson.

– Uważam, że to potworny pomysł, ale muszę zobaczyć tego dzieciaka.

51 Pamiętnik

Obudziło mnie głośnie pukanie.

Kark i plecy bolały mnie od spania na siedząco na zimnej drewnianej podłodze. Zmusiłem się do tego, by wstać, i usiłowałem wygonić ból z kończyn przeciąganiem się. Moje palce nadal ścisnęły rzeźnicki nóż. Były tak mocno zaciśnięte na rękojeści, że niemal musiałem je na siłę odginać wolną dłonią.

Odłożyłem nóż na szafkę nocną. Miałem na sobie ubranie z poprzedniego dnia. Słońce już wzeszło i nie wiedziałem, która jest godzina.

Kolejne pukanie, tym razem mocniejsze od poprzedniego.

Dobiegało od drzwi wejściowych.

Wyciągnąłem krzesło spod klamki i przesunąłem na bok, po czym uchyliłem drzwi.

Po ojcu (i pustej butelce po burbonie) nie było śladu. W drugim końcu przedpokoju drzwi wiodące do sypialni rodziców stały otworem; łóżko było pościelone. Jeżeli ktoś w nim spał, to już sobie poszedł. W domu panowała dziwna cisza.

– Matko? Ojczy?

Mój głos na tle przejmującej ciszy zabrzmiał donośniej, niż chciałem.

Ojciec pojechał do pracy? Straciłem poczucie czasu. Wydawało mi się, że mamy poniedziałek, ale nie miałem pewności.

Znowu rozległo się pukanie.

Podszedłem do drzwi i odciągnąłem zasłonkę przy oknie. Na werandzie stał zwalisty mężczyzna około siedemdziesiątki. Miał na sobie beżowy płaszcz i wymięty garnitur. Spojrzał na mnie i podniósł odznakę trzymaną w lewej dłoni, żebym mógł wyraźnie zobaczyć, jak się srebrzy.

Zaciągnąłem zasłonkę, wziąłem głęboki wdech i otworzyłem drzwi.

– Dzień dobry, synu. Czy rodzice są w domu?

Pokręciłem głową.

– Ojciec jest w pracy, a matka poszła do sklepu po rzeczy na obiad.

– Mógłbym zaczekać na jej powrót?

Zważywszy na fakt, że nie miałem pojęcia, dokąd się udali, raczej nie zrobiłbym mądrze, godząc się na to. Matka mogła być w piwnicy, robiąc Bóg wie co pani Carter (lub z nią). Jak by zareagowała, gdyby weszła na górę i zastała w domu nieznajomego? I to z odznaką.

– Nie wiem, ile czasu jej nie będzie – odparłem.

Westchnął i otarł czoło rękawem płaszcza. Zdziwiło mnie, że miał na sobie nie tylko marynarkę od garnituru, ale również płaszcz, kiedy na dworze było tak gorąco. Może chciał ukryć broń. Wyobraziłem sobie magnum 44 wepchnięte do kabury pod masywnym ramieniem, gotowe wystrzelić w okamgnieniu jak w starym filmie z Brudnym Harrym. Czyż każdy policjant nie marzył skrycie, żeby być jak Brudny Harry?

Ten konkretny gliniarz nie przypominał Brudnego Harry'ego w najmniejszym stopniu. Miał poważną nadwagę, włosy porzuciły go dawno temu i zostawiły mu wielką głowę poznaczoną zmarszczkami i plamami starczymi. Kiedy był młodszy, miał prawdopodobnie błękitne oczy, teraz jednak przybrały kolor rozcieńczonego płynu do mycia szyb. Facet miał też kilka podbródków i jego skóra kojarzyła mi się z shar peiem lub jabłkiem zostawionym na słońcu.

– Może ja mógłbym panu jakoś pomóc – podsunąłem, chociaż wiedziałem dobrze, że odrzuci moją propozycję.

Dorośli rzadko kiedy przyjmują pomoc ze strony dzieciaków. Wielu z nich w ogóle ich nie zauważa. Dzieci gubią się na tle życia, podobnie jak zwierzęta i starzy ludzie. Ojciec powiedział mi kiedyś, że między piętnastym a sześćdziesiątym piątym rokiem przeżywa się cudowny okres, kiedy jest się w pełni zauważalnym. Po przekroczeniu sześćdziesięciu pięciu lat człowiek znika z widoku, popada w zapomnienie. A jak jest przed piętnastym rokiem życia? Młodzi ludzie zaczynają jako niewidzialni i powoli nabierają kształtów, coraz solidniejszych po przekroczeniu dziesiątego roku życia, by w końcu wkroczyć w spektrum widzialne. Pyk! Pewnego dnia się pojawiaasz i ludzie zwracają na ciebie uwagę, widzą cię. Wiedziałem, że ten dzień się zbliża, ale jeszcze nie nadszedł.

– Może byś mógł – stwierdził mężczyzna, ku mojemu rozczarowaniu. Przytknął rękaw do boku głowy i otarł strużkę potu spływającą w stronę ucha. Skinął głową w stronę domu Carterów. – Kiedy ostatnio widziałeś swoich sąsiadów?

Zerknąłem w stronę ich domu z największym brakiem zainteresowania, na jaki było mnie stać.

– Kilka dni temu. Powiedzieli, że wyjeżdżają. Obiecałem pani Carter, że będę podlewał jej kwiaty.

To była dobra historia. Brzmiała prawdopodobnie. Miała jednak pewną wadę. Gdy tylko wypowiedziałem te słowa, zacząłem się zastanawiać, czy pani Carter miała jakieś rośliny. Chociaż się tam nie rozglądałem, ojciec nauczył mnie zapamiętywać otoczenie okiem umysłu, i nie mogłem sobie przypomnieć żadnej rośliny. Ani jednej.

– Jesteś początkującym botanikiem?

– Słucham?

– Botanikiem. To ktoś, kto bada rośliny – powiedział.

Z głowy spływało mu coraz więcej potu, a ja usiłowałem się na to nie gapić. Starłem się w ogóle na niego nie patrzeć.

– Nie, nie badam roślin. Tylko je podlewam. To nie wymaga wielkiej wiedzy.

– Przypuszczam, że nie. – Strzelił oczami w stronę naszego małego salonu.

Czy zobaczył matkę? Przez cały ten czas była w piwnicy i właśnie wyszła?

– Mógłbym cię prosić o szklankę wody?

Pot spłynął mu ze szczęki, stoczył się po podbródkach i wsiąknął w kołnierzyk koszuli. Poczulem nagłą chęć, by wyciągnąć rękę i wytrzeć słoną strużkę obrzydliwości z jego głowy, zanim znowu skapnie, ale się powstrzymałem.

– Dobrze, ale musi pan zostać na zewnątrz – powiedziałem. – Nie wolno mi wpuszczać obcych do domu.

– Jesteś bardzo ostrożny. Rodzice dobrze cię wychowali.

Zostawiłem mężczyznę w drzwiach i poszedłem do kuchni po szklankę z wodą. Zanim dotarłem do zlewu, uzmysłowiłem sobie, że nie zamknąłem drzwi. Powiniennem je zamknąć na wszystkie spusty. Przecież mógł wejść do środka, gdyby chciał. Po tak bezczelnym wtargnięciu do domu na pewno zszedłby do piwnicy, gdzie pani Carter ochoczo by mu opowiedziała o wszystkim, co się wydarzyło w ciągu ostatnich kilku dni.

Co będzie, jeśli krzyknie?

Nie pozwól jej krzyknąć. Nie teraz. On ją na pewno usłyszy.

Nie chciałem krzywdzić tego człowieka. Ale zrobiłbym to. Wiedziałem, że bym to zrobił, gdybym musiał.

Zwalczyłem pokusę, żeby się odwrócić i spojrzeć za siebie. Gdybym to zrobił, dostrzegłby troskę malującą się w moich oczach. Ojciec uczył mnie ukrywać takie rzeczy, ale nie byłem pewien, czy mi się uda. Chyba nie opanowałem tej umiejętności na tyle, żeby oszukać policjanta, nawet z takimi małymi oczkami i wielkim brzuchem.

Zdjąłem szklankę z ociekacza, napełniłem ją zimną wodą z kranu i wróciłem do drzwi,

starając się z całych sił zatuszować ulgę, jaką poczułem, kiedy zobaczyłem go na werandzie zapisującego coś w małym notatniku.

– Proszę – odezwałem się i podałem mu szklankę.

– Jaki jesteś grzeczny – powiedział i wziął ją ode mnie. Przycisnął ją do czoła i delikatnie przeturlał po pomarszczonej skórze, następnie przystawił ją do ust, pociągnął malutki łyk i mlasnął językiem. – Tego mi było trzeba – stwierdził i oddał mi szklankę.

Naprawdę chciał się napić, czy też wykorzystał okazję, żeby się lepiej rozejrzeć po naszym domu?

– Powiedzieli, dokąd się wybierają?

Ściągnąłem brwi.

– Przecież panu mówiłem, że ojciec pojechał do pracy, a matka do sklepu.

– Pytam o sąsiadów. Mówiłeś, że pojechali na wakacje. Powiedzieli dokąd?

– Powiedziałem, że wyjechali. Nie wiem, czy na wakacje. Ale przypuszczam, że to możliwe.

Skinął lekko głową.

– Słuszna uwaga. Chyba nie powinienem wyciągać pochopnych wniosków.

Zgadza się. Czytałem sporo komiksów Dicka Tracy'ego i wiedziałem, że dobry detektyw nigdy nie wyciąga pochopnych wniosków. Bada dowody. I to one prowadzą go do faktów, a te naprowadzają go na prawdę.

– Zadzwoił do nas pracodawca pana Cartera. Pan Carter nie dotarł do pracy i nie zadzwonił. Nie odbiera też telefonu... W pracy martwią się o niego, więc powiedziałem, że tu przyjadę i się rozeznam, sprawdzę, czy nikomu nic się nie stało. Zdaje się, że w domu nikogo nie ma. Zajrzałem do środka przez kilka okien i nie zauważyłem niczego niepokojącego, niczego nadzwyczajnego.

– Wyjechali.

Przytaknął.

– Pojechali gdzieś. Tak mówiłeś. – Ściągnął płaszcz i przewiesił go sobie przez ramię. Miał pod pachami wielkie plamy od potu. Ale nie zobaczyłem broni. – Trochę to dziwne, że prosili cię, żebyś podlewał kwiaty, a zapomnieli poprosić, żebyś zajął się korespondencją i gazetami. Zwróciłem uwagę, że ich skrzynka na listy jest przepelniona, a na podjeździe leżą dwie gazety. Kiedy ludzie wyjeżdżają, zwykle tym zajmują się w pierwszej kolejności: proszą kogoś, żeby odbierał ich korespondencję i prasę. Nic nie przyciąga złodziei do pustego domu tak skutecznie jak przepelniona skrzynka na listy.

– Nie ma ich samochodu – wypaliłem nie wiem czemu. – Pojechali samochodem.

Zerknął na pusty podjazd.

– Doprawdy?

Było kiepsko. Bardzo kiepsko. Wsunąłem dłoń do kieszeni džinsów w poszukiwaniu znajomego kształtu noża myśliwskiego, ale nie znalazłem go. Gdybym go miał, mógłbym dźgnąć tego mężczyznę w szyję. Przeciąłbym te liczne podbródki i uwolnił krew, która tryśnięłaby jak z kranu. Byłem szybki. Wiedziałem to. Tylko czy wystarczająco szybki? Chyba mogłem zabić tego otyłego człowieka, zanim zdążyłby zareagować? Ojciec chciałby, żebym go zabił. Matka również. Chcieliby. Wiedziałem, że by chcieli. Tylko że nie miałem swojego noża.

Przysunął się do mnie.

– Czy masz klucz?

– Od czego?

– Od domu Carterów. Przecież musisz jakoś wchodzić do środka. Żeby podlewać rośliny.

Ścisnęło mnie w żołądku.

– Tak, proszę pana.

– Myślisz, że możesz mnie wpuścić? Tylko na chwilę, żebym się rozejrzył.

Przypuszczałem, że mogę to zrobić. Czy nie na tym zależało ojcu? Nie dlatego wyszykowaliśmy to miejsce? Jedyne problem polegał na tym, że powiedziałem facetowi o kluczu, którego w rzeczywistości nie posiadałem. Postawiłem wszystko na głowie, jak mawiał ojciec. Bezmyślnym gadaniem można pod sobą wykopać głęboki dołek.

– Ludzie martwią się o nich. A co, jeśli coś się stało?

– Wyjechali gdzieś.

Przytaknął.

– Już to mówiłeś.

– Jest pan policjantem. Dlaczego pan nie wyważy drzwi i tam nie wejdzie? – zapytałem.

Mężczyzna przekrzywił głowę.

– Powiedziałem, że jestem policjantem?

Powiedział? Gdy się nad tym zastanowiłem, doszedłem do wniosku, że chyba nie.

– Wygląda pan na policjanta.

Potał dłonią podbródek.

– Doprawdy?

– No i powiedział pan, że ktoś do pana dzwonił, bo pan Carter nie przyszedł do pracy. Gdzie by ten ktoś dzwonił, jeśli nie na policję?

- Wygląda na to, że jesteś początkującym botanikiem i detektywem.
- Dlaczego pan nie wyważy drzwi?

Wzruszył ramionami.

– My, policjanci, musimy mieć nakaz rewizji. Bez niego nie możemy wtargnąć do czyjegoś domu. Chyba że mnie wpuścisz. Jeżeli zrobisz to z własnej woli, wszyscy będziemy kryci i nikt nie będzie miał problemów. Rozejrzę się szybko i zniknę.

– Tak po prostu?

– Tak po prostu. – Puścił do mnie oko. Przestał się pocić, ale twarz miał nadal czerwona.

Pomyślałem przez chwilę. To była rozsądna propozycja. Roztropna.

Skoro był policjantem, dlaczego nie nosił broni?

– Może mi pan jeszcze raz pokazać odznakę?

To coś, co mi pokazał, wyglądało jak odznaka, miało właściwy kolor i kształt, ale skąd mogłem wiedzieć, że było prawdziwe? Nigdy nie widziałem prawdziwej odznaki policyjnej, tylko te w filmach. Zwykle trzyma się je w skórzanej okładce wraz z wizytówką z nazwiskiem. Ta jego nie miała okładki. Mogła być prawdziwa, ale równie dobrze mogła być jedną z fałszywek, które można kupić w sklepie 1001 drobiazgów.

Przekrzywił głowę, usta mu drgnęły w kącikach. Sięgnął do tylnej kieszeni, zawahał się i opuścił rękę.

– Chyba wrócę tu trochę później, kiedy już rodzice będą w domu. Porozmawiam z nimi. Dowiem się, dokąd to Carterowie... wyjechali.

Coś się zmieniło w wyrazie jego twarzy. Rysy mu stwardniały, oczy pociemniały. Z trudem się powstrzymałem przed zrobieniem kroku w tył.

– Tak będzie chyba najlepiej.

Skinął szybko głową i ruszył w stronę swojego samochodu. Starego plymoutha duster. Szmardgodozielonego. „To nie jest policyjny wóz”, pomyślałem. Ale klasyczny, to pewne, jeden z najlepszych modeli z Detroit.

W połowie trawnika Carterów zatrzymał się i zawołał przez ramię: – Pozbieraj te gazety i wygarnij korespondencję ze skrzynki. Nie chcesz, żeby ktoś niewłaściwy zauważył, że nie ma nikogo w domu. Co gorsza, mógłby się zorientować, że i ty jesteś tu sam. Po świecie kręcą się okropni ludzie, mój mały przyjacielu.

Dokładnie zamknąłem drzwi.

52 Clair

Dzień drugi, 9.23

Przez weneckie lustro Clair widziała Talbota, który podszedł nerwowo do jednego z aluminiowych krzeseł w pokoju przesłuchań. Próbował przysunąć się do stołu, ale krzesło było przymocowane do podłogi. Clair często się zastanawiała, czy zrobiono to celowo – umieszczono krzesła w takiej odległości od stołu, żeby jeszcze nasilić dyskomfort związany z przebywaniem w małym pomieszczeniu. Louis Fischman, prawnik, z którym Nash i Porter spotkali się poprzedniego dnia w Wheaton, siedział obok Talbota. Strój golfowy ustąpił miejsca ciemnoszaremu garniturowi kosztującemu prawdopodobnie więcej niż jej honda civic w czasach świetności. Talbot miał na sobie białą koszulę, beżowe spodnie i najbardziej błyszczącego roleksa, jakiego kiedykolwiek widziała.

– Porter powinien być przy tym obecny – odezwał się siedzący obok niej Nash, nie odrywając wzroku od Talbota.

– Tak.

Fischman się pochylił i szepnął coś klientowi, po czym zerknął czujnie w stronę lustra weneckiego.

– Myślisz, że wie, dlaczego tu jest? – zapytał Nash.

Clair wzruszyła ramionami.

– W związku ze wszystkim, co ma na sumieniu? Jestem pewna, że przegląda w myślach całą listę. A jego prawnik ślini się na myśl o rachunkach, jakie wystawi. Już pewnie wybrał sobie nowy dom letniskowy nad Jeziorem Genewskim.

Siedzący przy stoliku wciśniętym do pomieszczenia obserwacyjnego technik kiwnął do nich głową.

– Nagrywamy. Powiedzcie, kiedy będziecie gotowi.

Nash przytaknął i zwrócił się do Clair:

– Jak chcesz to rozegrać?

– Jak zawsze. Dobry glina, zły glina – odparła, wskazując kciukiem najpierw siebie, a potem jego. Zanim zdążył odpowiedzieć, wzięła wielkie pudło z aktami i udała się z nim do pokoju przesłuchań.

Talbot i jego prawnik popatrzyli na nią.

– Doceniam, że przyszli panowie tak szybko – powiedziała Clair i odsta-
wiła pudło na stół, po czym usiadła naprzeciwko mężczyzn. Nash usiadł
obok niej.

– Znaleźliście Emory? – wypalił Talbot.

– Jeszcze nie, ale szuka jej wielu ludzi.

Fischman zerknął na duże pudło.

– To dlaczego wezwaliście pana Talbota?

– Kiedy widział pan ostatnio Gunthera Herberta?

Talbot przechylił głowę.

– Mojego dyrektora finansowego? Nie wiem. Kilka dni temu. Nie było
mnie w biurze. A dlaczego?

Nash rzucił szarą kopertę na stół i otworzył ją. Patrzyły na nich błysz-
cząca fotografie.

– A my spotkaliśmy go niedawno i nie wyglądał zbyt dobrze.

– O Boże. – Talbot odwrócił głowę, żeby nie patrzeć na zdjęcia.

Fischman spojrzał gniewnie na Nasha.

– Co wam odbiło? Czy to jest na pewno Gunther, czy też jakiś chory
dowcip?

– To jest Gunther.

– Co mu się stało? – Talbot znowu odwrócił się do nich i skierował wzrok przed siebie, żeby nie musieć oglądać zdjęć.

Clair wzruszyła ramionami.

– Nadal czekamy, aż lekarz medycyny sądowej określi przyczynę śmierci, ale jestem pewna, że sam się nie zabił. Czy wie pan coś o budynku wydawnictwa Mulifax stojącym na nabrzeżu, panie Talbot?

Fischman uniósł rękę i uciszył klienta.

– Dlaczego?

Nash się pochylił.

– Bo szczury w tamtejszej piwnicy żywiły się pańskim dyrektorem finansowym.

Talbot zbladł.

– I to przez to... tak wygląda?

Fischman posłał mu znaczące spojrzenie i odwrócił się do Nasha.

– Firma pana Talbota kupiła ten budynek od miasta. Jeżeli go odwiedził, a nie twierdzą wcale, że to zrobił, to tylko w celu oszacowania wartości budynku.

– Czy to prawda, panie Talbot? – zapytała Clair.

– Przecież powiedziałem – warknął Fischman.

– Wolałabym to usłyszeć od pańskiego klienta.

Talbot popatrzył na Fischmana. Prawnik zastanowił się i skinął głową.

– Byłem tam z Guntherem kilka miesięcy temu. Jak powiedział Louis, zastanawialiśmy się nad kupnem tego budynku i kilku innych w tym samym kwartale. Miasto przeznaczyło je do rozbiórki. Musieliśmy ocenić, czy dałoby się uratować konstrukcje i urządzić w tych budynkach lofty, czy też lepiej byłoby pozwolić miastu zburzyć je i kupić ziemię – wyjaśnił.

– Zna pan jakikolwiek powód, dla którego wrócił tam sam?

– Czy zrobił to Zabójca Czwartej Małpy?

– Nie odpowiedział pan na pytanie, panie Talbot.

– Jeżeli tam poszedł, to nie na moje życzenie – powiedział Talbot. – Zrobił to z własnych pobudek.

– To sprawka Zabójcy Czwartej Małpy? – powtórzył pytanie klienta Fischman.

Clair wzruszyła ramionami.

– Może tak, a może nie.

– Co to ma znaczyć?

– Tylko tyle, że pański klient mógł mieć swoje powody, żeby chcieć się pozbyć dyrektora finansowego. I własnej córki też, jeśli chodzi o ścisłość – stwierdził Nash.

Talbot otworzył usta.

– To jakiś absurd! Dlaczego miałbym...

– Dlaczego przez cały ten czas trzymał pan Emory w ukryciu, panie Talbot? – przerwała mu Clair.

Fischman podniósł rękę.

– Nie odpowiadaj na to pytanie, Arthurze.

Clair zwróciła uwagę, że prawnik zrezygnował z mniej formalnego Arty'ego, o którym wspominał Porter.

– Nie trzymałem jej w ukryciu – odparł Talbot, patrząc ze złością na prawnika. – Emory było ciężko po śmierci matki. Pomyślałem, że lepiej będzie, jeśli nikt nie będzie jej wiązał z moją osobą. Prasa mnie nie odstępuje. Dziennikarze zamieściliby jej zdjęcia na pierwszych stronach brukowców. „Dziecko miliardera z nieprawego łóża” i tak dalej. Uganialiby się za nią po mieście, nękaliby ją przy każdej nadarzającej się okazji. Dlaczego miałbym skazywać ją na takie atrakcje? Wystarczy, że Carnegie musi to znoś. Chciałem dać Emory szansę na normalne życie. Zapewnić jej dobre wykształcenie, pozwolić założyć rodzinę, zrobić coś bez dodatkowej presji w postaci mojego cienia. – Spojrzał Clair prosto w oczy. – Najważniejsze jest to, że gdyby chciała się ujawnić, natychmiast stanąłbym przy niej. Bez

względu na konsekwencje. Ma pani dzieci, pani detektyw?

– Nie.

– Więc nie mogę liczyć na pani zrozumienie. Kiedy rodzą się dzieci, życie przestaje się kręcić wokół ciebie i kręci się wyłącznie wokół nich. Jesteś gotów zrobić dla nich wszystko. Swego czasu rozmawiałem o tym z panią Burrow i zadała mi proste pytanie: „Czy gdyby Emory stała pośrodku ulicy i miałyby w nią uderzyć samochód, poświęciłby pan własne życie, żeby ją ratować?”. Bez chwili wahania wiedziałem, że tak. Lecz kiedy zadała mi to samo pytanie w odniesieniu do mojej żony, zawahałem się. I wiele to o mnie mówi. Nikogo się nie kocha tak, jak własnego dziecka, nawet samego siebie. I robi się absolutnie wszystko, żeby je chronić.

– Dlaczego ktoś mógłby chcieć ją porwać? – zapytała Clair.

Fischman zmrużył oczy.

– Czy nie chciała pani zapytać, dlaczego porwał ją Zabójca Czwartej Małpy?

– Niech będzie. – Clair wzruszyła ramionami. – Dlaczego Zabójca Czwartej Małpy porwał pańskie nieślubne dziecko?

Talbot poczerwieniał na twarzy, ale odpowiedział spokojnie: – To pani jest detektywem. Może pani mi to powie?

Clair położyła rękę na białym pudle.

– W ciągu minionych lat dowiedzieliśmy się o Zabójcy Czwartej Małpy jednego. On nie działa bez powodu. Wziął pana na cel, bo według niego zrobił pan coś złego, coś zasługującego na karę. Zamiast skrzywdzić pana bezpośrednio, porwał pańską córkę. Dziwi mnie tylko, że wybrał tę, o której nikt wcześniej nie słyszał, córkę całkowicie odizolowaną od imperium Talbotów, a nie dziedziczkę. Pańska druga córka, Carnegie, udziela się towarzysko. Jest zepsutą bogatą dziewczuchą...

– Proszę mieć się na baczności, pani detektyw – przestrzegł ją Fischman.

– Zepsutą bogatą dziewczuchą, która szuka rozrywki w mieście i wydaje pieniądze tatusia. Gdyby ktoś ją porwał, wrzawa w mediach gwarantowana. Sprawa wzbudziłaby takie zainteresowanie, że pisano by o niej w gazetach na

Filipinach. I zwykle na tym mu zależy, prawda? Jeżeli przyjrzeć się pozostałym przypadkom, dążył do wielkiego rozgłosu, karmił krwią maszynę mediów. Tym razem oszczędził od swojego wzorca postępowania i wybrał nieznaną córkę. Tę, którą zamknął pan w wieży z kości słoniowej i ukrył przed światem. Jak pan myśli, dlaczego?

Talbot popatrzył na prawnika, potem znowu na Clair.

– Może uznał, że jeśli prasa dowie się o Emory, wrzawa będzie jeszcze większa niż wtedy, gdyby porwał Carnegie.

Clair przechyliła głowę i zastanowiła się nad tym.

– Jasne, też bym tak pomyślała, ale on jest na to za mądry. Według mnie miał bardzo konkretny powód, dla którego wybrał Emory, a nie Carnegie. Powód, który wyjaśni, dlaczego wziął pana na celownik. – Wyciągnęła rękę i popukała w wieko pudła. – Może mi pan opowie, co się dzieje w Moorings, panie Talbot?

Talbot zaczął się wiercić na krześle. Wymienił spojrzenie z Fischmanem, po czym popatrzył na pudło.

– Moorings? – zapytał łamiącym się głosem.

– Nic nie mów, Arthurze. Ani słowa – polecił mu Fischman. – Pani detektyw, przyszliśmy tu, by pomóc znaleźć Emory. Pan Talbot przyszedł tu z własnej woli. Jeżeli rozmowa ma się przerodzić w jakieś polowanie na czarownicę, będę ją musiał w tej chwili zakończyć.

Kąciki ust Clair uniosły się w złośliwym uśmiešku.

– Myślę, że to ma więcej wspólnego z Emory, niż pański klient panu powiedział, panie Fischman. Proszę na niego spojrzeć. Widzi pan, jak intensywnie myśli? – Wstała, stanęła za nimi i odwróciła się w stronę lustra. Pochyliła się, żeby szepnąć Fischmanowi do ucha: – Próbuje wymyślić, jak pana przekona, że nadal ma fundusze na opłacenie pańskich usług, kiedy już zobaczy pan jego najnowsze wyciągi z kont.

Nash podszedł do stolika i skierował ciężkie spojrzenie na pudło. Fischman i Talbot odwrócili głowy w jego stronę.

– Twój kumpel Arty nie mógłby sobie kupić nawet snickersa. Zgadza się,

Arty?

– Przerzuciał środki między różnymi inwestycjami, jakby to była zabawa – dodała Clair. – Ma wyczyszczone konta, pożyczki do spłacenia, a do jego drzwi zaczęli pukać inwestorzy. Prawdopodobnie ma w samochodzie spakowaną torbę, gotów uciekać z miasta. No i jest jeszcze problem z drugą fazą inwestycji w Moorings. – Przekrzywiła głowę i przyglądała się Fischmanowi. – Czy przypadkiem nie włożył pan pieniędzy w ten projekt?

Fischman ściągnął brwi.

– A jaki to ma związek?

– Czy jako inwestor zmartwiłby się pan na wieść, że pan Talbot nie jest właścicielem ziemi, na której chce wznosić budynki? – zapytała Clair.

– Słucham?

– Chcę tylko, żebyście znaleźli moją córkę – mruknął Talbot.

– Jestem tego pewien, Arty – rzucił Nash.

– O czym oni mówią, Arthurze?

– Carnegie nie jest właścicielką żadnej nieruchomości, prawda, panie Talbot? Przynajmniej nie w taki sposób jak Emory – ciągnęła Clair. – Może powie pan swojemu przyjacielowi, dlaczego Zabójca Czwartej Małpy wybrał ją, a nie Carnegie?

Fischman mu się przyglądał.

– Arthurze?

Talbot zbył go machnięciem ręki.

– Właścicielką ziemi pod budowę na odcinku od Belshire do Montgomery była niegdyś matka Emory. Przed śmiercią przekazała ją w testamencie Emory. – Popatrzył na Clair. – To jest czysta formalność. Emory zgodziła się sprzedać mi tę ziemię. Popiera ten projekt.

Fischman poczerwieniał.

– Jest nieletnia, Talbot. Nie może ci nic sprzedać jeszcze przez ile? Trzy lata? A inwestycja ma się zakończyć za piętnaście miesięcy.

Talbot kręcił głową.

– Możemy to obejść. Współpracowałem z jej zarządem powierniczym. Dokumenty sporządzono kilka miesięcy temu. Jako jej prawny opiekun mogę je podpisać w każdej chwili.

Nash wyciągnął z kieszeni skopiowany przez Hosmana dokument prawny i podał go Talbotowi, wskazując na podkreślony paragraf.

– Pański dyrektor finansowy nie żyje. Podpisał się jako świadek przeniesienia zastawu. Jedyny człowiek, który mógłby ujawnić ten problem, został usunięty. Czy nie wydaje się to dość wygodne? Jest pan ojcem Emory. Jeżeli ona zginie, przejmie pan pełną kontrolę nad jej majątkiem. Zarząd powierniczy nie będzie miał nic do powiedzenia. Przejmie pan ziemię i będzie kontynuował inwestycję bez zakłóceń. Zaczynam się zastanawiać, czy Zabójca Czwartej Małpy ma z tym cokolwiek wspólnego. Odnoszę wrażenie, że wszystko, co się wydarzyło, działa na pańską korzyść.

– To jest motyw, panie Talbot – zauważyła Clair. – A pan ma duże możliwości.

Talbot kręcił głową.

– Nie, nie. Nic nie rozumiecie. To nie tak.

– Wydaje mi się, że właśnie tak.

– Z tym funduszem jest zupełnie inaczej. – Talbot wziął głęboki wdech, próbując się uspokoić. – Jeżeli Emory zginie, ziemia wróci do miasta.

Clair ściągnęła brwi.

– Słucham?

Talbot wywrócił oczami.

– To pomysł matki. Kiedy zakładała fundusz, wyraźnie tego zażądała. Jeśli coś się przydarzy Emory, jeżeli umrze przed osiemnastymi urodzinami, nieruchomość wróci do miasta, a pozostały majątek trafi do różnych instytucji charytatywnych. Mogę pozyskać tę ziemię tylko za zgodą Emory. – Uśmiechnął się. – Widzi pani, pani detektyw, jeśli ktokolwiek ma interes w tym, żeby moja córka odnalazła się cała i zdrowa, jestem to ja.

Clair popatrzyła na prawnika.

– Czy to prawda, panie Fischman?

Prawnik uniósł obie ręce i wzruszył ramionami.

– Moja kancelaria nie zajmuje się tym funduszem. Nic na ten temat nie wiem.

– Musimy zobaczyć kopię dokumentu – poinformowała Talbota Clair.

Skinął głową.

– Poproszę sekretarkę, żeby wysłała ją na pani e-mail. – Zerknął na oboje detektywów i dodał: – Jeżeli nie mają państwo więcej pytań, muszę wracać do biura. Chyba że chcą mnie państwo o coś oskarżyć. Domyślam się, że wówczas musiałbym wnieść kaucję.

– Jest pan spłukany, panie Talbot – wytknął mu Nash. – Jak by pan to chciał zrobić?

Talbot tylko spojrział na niego gniewnie i zacisnął usta.

Clair jęknęła, odwróciła się i przeszła do sąsiedniego pokoiku, zostawiając Nasha z Talbotem i Fischmanem. Technik nagrywający rozmowę zerknął na nią.

– Gładko poszło.

– Odwal się – warknęła. Rozejrzała się po stole, wzięła zdjęcie i wróciła do pokoju przesłuchań. Rzuciła fotografię na stół przed Talbotem. – Rozpoznaje je pan?

– A powinienem? – Ściągnął brwi. – To chyba buty firmy John Lobb, z czarnej skóry.

– Należą do pana?

– Nie wiem. Mam sporo butów. Jeśli chciałaby pani kupić parę, mogę polecić miły sklep w centrum miasta.

– Mądrała – wtrącił Nash. – Zabójca Czwartej Małpy miał je wczoraj na nogach, kiedy rzucił się pod autobus. Zdjęliśmy z nich pańskie odciski palców. Jak pan to wytłumaczy?

Fischman podniósł rękę, przysunął się do Talbota i szepnął mu coś na ucho.

– Nie potrafię tego wytłumaczyć – powiedział Talbot. – Być może ktoś je ukradł z jednej z moich rezydencji. Mam z tuzin butów tej marki. Są dość wygodne.

Na jego ustach błąkał się protekcyjny uśmieszek. Clair miała ochotę go uderzyć.

– Jaki rozmiar buta pan nosi?

Talbot zerknął na prawnika, który skinął głową. Popatrzył znowu na Clair.

– Jedenaście.

– Te są w tym rozmiarze.

Talbot wziął zdjęcie do ręki, a następnie odrzucił je na bok.

– Marnujecie swój czas, uganiając się za mną. Czy w to wierzycie, czy nie, kocham córkę i nigdy nie zrobiłbym niczego, co zagroziłoby jej bezpieczeństwu. Jeżeli wolicie o mnie myśleć jako o pozbawionym serca draniu, pamiętajcie, że potrzebuję, aby przeżyła, żeby zrealizować inwestycję w Moorings. A w czasie, który mi poświęcacie, nie szukacie jej i to jest nie do przyjęcia.

Fischman ścisnął Talbota za ramię.

– Wystarczy, Arty.

Arty wrócił.

– Myślę, że zmarnowała pani już dość czasu mojego klienta, detektyw Norstrum – stwierdził Fischman.

– Norton.

– Proszę o wybaczenie – odparł. – Czy zamierzacie postawić mojemu klientowi jakieś zarzuty? Jeśli nie, chcielibyśmy już iść.

Clair wydała z siebie sfrustrowane westchnienie i dała Nashowi znak, żeby poszedł za nią do sąsiedniego pokoju. Posłuchał jej i zamknął za sobą

drzwi.

– Ani słowa – powiedziała do technika Clair.

Mężczyzna uniósł ręce i powstrzymał uśmiech.

– To nie było zupełne fiasko – zauważył Nash. – Przynajmniej poleci nam dobry sklep obuwniczy.

Clair uderzyła go w klatkę piersiową.

– Chryste, Clairmisiu! – Ryknął śmiechem. – Jestem dobrym facetem, pamiętasz?

– To strata czasu – stwierdziła. – On w tym siedzi... Na pewno.

Nash pokręcił głową.

– Za bardzo się dałaś wciągnąć. Myślę, że #4MK się nami bawi. Talbot jest jego celem. To nie znaczy, że musi być też naszym celem. Jeżeli powiedział prawdę na temat funduszu powierniczego, jest zwolniony z podejrzeń. Myślisz, że tak po prostu kropnął swojego dyrektora finansowego? Nie sądzę. #4MK od początku wykorzystywał takie same pudełka. Skąd ktoś taki jak Talbot miałby wiedzieć, jakie kupić? Gdyby chciał zabić dyrektora finansowego, żeby coś ukryć, wynająłby kogoś, kto załatwiłby go w taki sposób, żeby to wyglądało na wypadek, utonięcie, kraksę samochodową, a może nawet zawał serca. Jestem gotów się założyć, że Hosman powiąże dyrektora finansowego z jakimiś przestępstwami – dlatego #4MK się nim zajął. Zabijał już z bardziej błahych powodów.

Clair wiedziała, że Nash miał rację, ale nie zamierzała się do tego przyznać.

– Dopadniemy Talbota w związku z jakimś przestępstwem finansowym, tylko innym. Musimy się skupić na poszukiwaniu Emory.

– Jesteśmy w tym samym miejscu co dwanaście godzin temu. Ta dziewczyna umrze z powodu odwodnienia, zanim ją znajdziemy – powiedziała cicho Clair. – Mamy coraz mniej czasu.

Nash wskazał ruchem głowy pudło stojące na stole w pokoju przesłuchań.

– A co z tym?

Clair wzruszyła ramionami.

– Jest puste. Pomyślałam, że wytrąci go z równowagi.

Nash wywrócił oczami.

– Niech federalni zajmą się przestępstwami finansowymi. My powinniśmy iść na dół i działać.

Zadzwonił telefon Clair. Kobieta zerknęła na wyświetlacz.

– To Belkin. – Odebrała połączenie i włączyła głośnik.

– Pani detektyw? Jestem w Centrum Medycznym Uniwersytetu Chicagowskiego. Pielęgniarka rozpoznała #4MK na podstawie zdjęcia rekonstrukcji twarzy.

– Jest tego pewna? – zapytała Clair.

– Jak najbardziej. Powiedziała, że zawsze nosi fedorę i w czasie podawania leków zerka na staromodny zegarek kieszonkowy. To nasz człowiek. Nazywa się Jacob Kittner. Mam jego adres. Zaraz wyślę go SMS-em.

– Proszę go przesłać także Espinosie z oddziału antyterrorystycznego i powiedzieć mu, że spotkamy się na miejscu. Już tam jedziemy. – Rozłączyła się i uśmiechnęła się do Nasha. – Chętnie bym cię ucałowała, gdybyś nie był takim wrednym sukinsynem.

53 Pamiętnik

– Poproszę ziemniaki – powiedziałem, nie zwracając się do nikogo konkretnego.

Matka wróciła do domu jakieś dwie godziny wcześniej i od razu zajęła się obiadem. Ojciec tylko się z nią przywitał i usiadł przy stole. Zmierzył mi włosy, pytając: „Jak się miewa mój mały mężczyzna?”, ale wyczułem, że było to wymuszone.

W powietrzu czuć było napięcie, i to silne.

Gdy ziemniaki nie wylądowały na moim talerzu, sam sięgnąłem po miskę i nałożyłem sobie sporą dokładkę. Ani matka, ani ojciec nie skomentowali tego, że tego wieczoru zrezygnowałem z warzyw i zostawiłem brokuły dla dorosłych, a sam nałożyłem sobie dodatkowy kawałek klopsa.

Niespokojne stukanie sztućcami o porcelanowe talerze wydawało się tak głośno, że na pewno słyszeliby je nasi sąsiedzi, gdyby nie byli martwi lub przykuci do rury w naszej piwnicy.

Sięgnąłem po mleko, wypilem je i otarłem usta grzbietem dłoni.

– Był tu pewien mężczyzna. Szukał Carterów. W pierwszej chwili pomyślałem, że to gliniarz, ale teraz nie jestem tego taki pewien.

Ojciec zerknął znad jedzenia w stronę matki. Gdy ich spojrzenia się spotkały, popatrzył na mnie. Jadł brokuły – kawałek warzywa utknął mu między przednimi zębami.

– Nie powinieneś nazywać go gliniarzem, tylko policjantem. Nazywając go gliniarzem, okazujesz mu brak szacunku.

– Rozumiem, ojcze.

– Czy przedstawił się jako policjant?

Wcześniej długo się nad tym zastanawiałem.

– Miał odznakę, ale nie. Nie powiedział tego. Zachowywał się jednak, jakby nim był. Przynajmniej na początku. Potem już nie tak bardzo.

– Nie rozumiem.

Zreferowałem im rozmowę najwierniej, jak umiałem.

– Plymouth duster? – zapytała matka, gdy skończyłem. – Jesteś tego pewien?

– Tak. Ojciec mojego kolegi Bo Ridleya takim jeździ, tylko że żółtym. Wszędzie bym rozpoznał ten samochód.

Ojciec odwrócił się do niej.

– Z czymś ci się to kojarzy? Znasz go?

Matka zawahała się na ułamek sekundy, ale pokręciła głową.

– Nie. – Wstała i zaczęła zbierać naczynia.

Popatrzyliśmy z ojcem po sobie. Też to dostrzegł.

Nie mówiła prawdy.

54 Porter

Dzień drugi, 9.23

Porter i Watson szli za mundurowym policjantem korytarzami pięćdziesiątego pierwszego komisariatu i zatrzymali się przed drzwiami na drugim piętrze.

– Funkcjonariusz prowadzący sprawę to Ronald Baumhardt. Czeka na pana w środku. – Przez krótką chwilę przyglądał się swoim butom, potem popatrzył na Portera. – Jeżeli to jest cokolwiek warte, przykro mi w związku z tym, co się wydarzyło.

Porter skinął głową i wszedł do małego pokoju.

Baumhardt był przysadzistym mężczyzną po czterdziestce z siwiejącymi włosami i kocią bródką. Siedział na krawędzi stołu i przeglądał akta. Porter podał mu rękę.

– Dziękuję, że zgodził się pan na moją obecność.

Baumhardt uścisnął mu dłoń.

– Nie potrafię sobie wyobrazić, przez co pan przechodzi. Przynajmniej tyle możemy zrobić. – Przyjrzał się Watsonowi. – A pan to?

– Paul Watson. Pracuję w laboratorium kryminalistycznym w centrum. Asystuję detektywowi Porterowi przy innej sprawie.

– Zabójcy Czwartej Małpy? – Baumhardt gwizdnął. – Niezłe gówno. Ściągacie go od ilu lat? Pięciu lub sześciu? I nagle rzuca się pod autobus. Zaoszczędził podatnikom wydatku. Mam nadzieję, że kierowca wrzucił wsteczny i przejechał gnoja jeszcze raz.

– Odrzuciło go, ale zginął na miejscu – poinformował go Watson. – Kierowca nie mógł zrobić nic więcej.

– No tak – odparł Bauman i posłał mu rozbawione spojrzenie.

Porter wskazał na akta, które policjant trzymał w ręce.

– Na czym stoimy?

Baumhardt zaprosił ich do stołu i rozłożył na nim akta.

– Nazywa się Harnell Campbell. Wszedł do 7-Eleven przecnicę stąd wczoraj wieczorem kwadrans po dwudziestej drugiej, zaczął wymachiwać kasjerowi przed nosem trzydziestką ósemką i zażądał zawartości kasy oraz sejfu. Typowe bzdury, tylko że beznadziejnie wybrał miejsce. Do tego sklepu chodzi połowa naszych ludzi przed i po zmianie. Znajduje się prawie naprzeciwko policyjnego parkingu. Funkcjonariusz po zmianie stał przy lodówce z piwami; wyciągnął puszkę Coors Light z sześciopaku, porządnie nią wstrząsnął i cisnął w stronę drzwi. Niedoszły rabuś odwrócił się w stronę hałasu i gapił się na eksplodującą puszkę na tyle długo, że nasz człowiek zdążył się do niego podkraść i przystawić mu lufę do głowy. Jeszcze nigdy nie słyszałem, żeby piwo pomogło kogoś zatrzymać.

– Nie jestem pewien, czy Coors Light cieszy się statusem piwa.

– Żona mówi, że to piwo dla początkujących – przyznał Baumhardt. – Widać, że ma zastosowanie jako broń taktyczna. Obejrzelismy sobie kulę z tej trzydziestki ósemki, standardowe postępowanie, i okazało się, że...

– ...z tej samej broni zabito moją żonę – dokończył Porter.

Baumhardt przytaknął.

– Chodziłem do akademii z pańskim kapitanem, więc od razu zadzwoniłem do Daltona i powiedziałem mu, co się tu dzieje.

– Doceniam to, że będę mógł być przy przesłuchaniu. Dziękuję.

Zadzwonił telefon na ścianie. Baumhardt podniósł słuchawkę i przycisnął ją do ucha.

– Mówi Baumhardt. W porządku, przyprowadźcie go.

Chwilę później drzwi do pokoju obserwacyjnego otworzyły się i wprowa-

dzono do środka Tareq. Twarz mu się spięła na widok Portera. Mężczyzna wyciągnął rękę przed siebie.

– Przykro mi, Sammy. Gdybym wiedział, że dzieciak naprawdę strzeli, byłbym... No nie wiem, coś bym zrobił inaczej. Oni nigdy nie strzelają. Zwykle wchodzi i wychodzi. Chryste... Tak mi przykro...

Wydawało się, że targało nim ogromne poczucie winy.

Porter podał mu rękę i ścisnął go za ramię.

– Nie obwiniam cię, Tareq. Powiedzieli mi, co zrobiłeś, jak starałeś się jej pomóc. Dziękuję, że byłeś przy niej. To jakaś pociecha, że na koniec widziała zaprzyjaźnioną twarz. Nie umierała sama.

Tareq przytaknął i otarł oczy mankietem rękawa.

Baumhardt podszedł do niego, przedstawił się, a następnie wyjaśnił, co się będzie działo.

– Wprowadzimy sześciu mężczyzn, którzy ustawią się w rzędzie. Każdy z nich będzie trzymał tabliczkę z numerem. – Zerknął na dokumenty leżące na stole. – W oświadczeniu powiedział pan, że facet, który pana napadł, powiedział: „Wrzucaj gotówkę do torby, ale już”. Poproszę każdego z nich, żeby wystąpił przed szereg i powtórzył te słowa. Musi się pan bardzo uważnie przyjrzeć każdej osobie. Proszę pamiętać, że człowieka, który chciał pana obrabować, może tu nawet nie być, więc nie ma żadnej presji, nie musi pan nikogo wskazywać. Chcę mieć stuprocentową pewność, że zamkniemy tego właściwego. Jeżeli będzie pan miał wątpliwości, jeżeli żaden nie będzie pasował wyglądem, proszę mi o tym powiedzieć. Rozumie pan?

Tareq przytaknął.

– Oni nas nie widzą, więc proszę się o to nie martwić. Proszę się niczym nie przejmować, tylko się im przyglądać – poinstruował go Baumhardt.

– Okej – powiedział Tareq.

Baumhardt wcisnął guzik interkomu na ścianie.

– Możecie ich wprowadzać.

Porter stał w głębi pokoju. Miał zimne, lepkie dłonie. Wytarł je w

spodnie. Czuł walące tętno z boku szyi, słyszał bicie własnego serca.

Stojący obok niego Watson patrzył w stronę pomieszczenia, do którego dwóch mundurowych policjantów wprowadziło sześciu mężczyzn.

– Numer cztery – odezwał się Tareq. – To on. Jestem tego pewien.

Baumhardt zerknął na Portera, potem znowu na Tareqa.

– Czy mają powtórzyć tamte słowa? Musi pan mieć absolutną pewność.

Tareq skinął głową.

– Nigdy nie zapomnę twarzy tego dzieciaka. To on.

Porter postąpił kilka kroków do przodu, żeby się lepiej przyjrzeć. Chłopak miał, według znaczników na ścianie, prawie metr osiemdziesiąt wzrostu, był biały i na pewno nie przekroczył dwudziestki. Miał ogoloną głowę i mnóstwo kolczyków w uszach. Prawą rękę zdobiły tatuaże przedstawiające różne wzory, od smoka na ramieniu do ptaszka Tweety’ego na przedramieniu. Lewą rękę miał dziwnie czystą. Patrzył na nich z zaciśniętymi zębami i nieruchomym wzrokiem.

Baumhardt ponownie przejrzał akta.

– Nie wspominał pan o tatuażach.

– Miał na sobie kurtkę. Nie widziałem jego rąk – odparł Tareq. – Miał też tatuaż na prawym uchu. Zapamiętałem to. I wiem, że powiedziałem o tym policjantowi prowadzącemu przesłuchanie.

– Powiedział pan również, że tak się trząśł, że nie mógł utrzymać broni prosto. Nie wydaje się nerwowy – stwierdził Baumhardt. – Robi wrażenie zimnego jak gład.

– To on. Sprawdźcie ucho.

Baumhardt ponownie wcisnął guzik interkomu.

– Numer cztery, wystąp i odwróć się w lewo.

Porter mógłby przysiąc, że dzieciak się uśmiechnął, zanim zrobił, co mu kazano, jakby mu się to podobało. Kiedy się odwrócił, Porter dostrzegł ciemne litery po wewnętrznej stronie płatka ucha.

– Jest. Widzę to.

– Gdzie? Ja widzę tylko masę kolczyków – powiedział Baumhardt.

– Po wewnętrznej stronie. Pod kolczykami. Czarny atrament.

Baumhardt zbliżył się do szyby i zmrużył oczy.

– Cholera, widzi to pan? Ja ledwo, ledwo. – Sięgnął po opis leżący na stole. – Według tego, co tu napisano, ma wytatuowane słowo „filtr”.

Tareq odwrócił się do nich.

– No właśnie! Powiedziałem wam, że to on.

Baumhardt westchnął.

Porter położył dłoń na ramieniu Tareqa.

– Dziękuję.

Tareq popatrzył na niego.

– Żałuję, że nie mogłem zrobić nic więcej.

– Nie możesz się obwiniać.

„Bardziej, niż ja sam obwiniam siebie”.

Baumhardt skinął na jednego z umundurowanych policjantów.

– Zaprowadź numer cztery do pokoju przesłuchań. Odbędziemy bardzo długą rozmowę. – Odwrócił się do Tareqa. – Wypuścimy pana stąd najszybciej, jak się da. Musimy tylko wypełnić dokumenty.

Porter szturchnął Watsona.

– Jedźmy do wuja porozmawiać o zegarku.

Watson ściągnął brwi.

– Nie chce pan być świadkiem przesłuchania?

Porter pokręcił głową.

– Krew we mnie wrze. Nie mogę tu zostać. Wydawało mi się, że tego potrzebuję, ale tak nie jest. Lepiej, żebym stąd wyszedł.

Baumhardt stał kilka kroków od nich i zaczął pakować dokumenty.

– Chce pan, żebym do pana zadzwonił? I powiedział, co się dzieje?

– Bardzo proszę.

– Zgrywa twardziela, ale pęknie. A nawet jeśli nie, mamy dowody balistyczne i zeznania Tareqa. Widziałem już sędziów, którzy uznawali winę oskarżonego na znacznie słabszej podstawie.

Porter podał mu rękę.

– Jeszcze raz dziękuję.

Watson przyglądał mu się ze ściągniętymi brwiami.

– Słucham?

– Jest pan trochę blady, to wszystko.

– Nic mi nie będzie. Muszę zaczerpnąć trochę powietrza – rzucił Porter.
– Chodźmy.

Otworzył energicznie drzwi i wyszedł na ruchliwy korytarz. Wpadł na zwałistego policjanta niosącego cztery kubki z kawą ze Starbucksa. Gorący płyn poszybował nad nich i spadł na podłogę. Watson zdążył się odsunąć.

– Co jest, kurwa?! – ryknął policjant. – Nie patrzysz, gdzie idziesz?

– Przepraszam, ja...

– Gównu mnie to obchodzi. Chce pan posłać kogoś na oddział oparzeniowy? – Gorączkowo wycierał plamę na koszuli serwetką.

Porter też nieźle ucierpiał. Kawa spływała mu z rękawa i marynarki, miał też dużą plamę na nogawce spodni. Miał tak przemoczoną skarpetkę, jakby połowa kawy wlała mu się do buta. Sięgnął do kieszeni na piersi i wyciągnął mokrą wizytówkę.

– Pracuję w wydziale zabójstw. Proszę mi przysłać rachunek z pralni. Ureguluję go.

– No jasne – warknął mężczyzna i chwycił wizytówkę. – Ma pan szczęście, że nie każe panu iść do bankomatu i po świeżą kawę. – Oddalił się korytarzem, mrużąc pod nosem coś na temat stanu swojej kawy.

– Chodźmy – powiedział Porter do Watsona. – Moje mieszkanie jest po drodze do twojego wuja. Wpadnę do siebie i się przebiorę.

55 Clair

Dzień drugi, 10.59

– Powinniśmy zadzwonić do Portera – powiedział Nash.

Podjechali pod blok Kittnera, nijaki trzypiętrowy budynek z piętnastoma mieszkaniami. Espinosa i jego ludzie zajęli już pozycje i szykowali się do wejścia. Detektywi włożyli kamizelki i weszli za brygadą antyterrorystyczną głównym wejściem. Pokonali dwie kondygnacje schodów. Mieszkanie Kittnera znajdowało się na końcu korytarza po prawej stronie.

Clair sprawdziła magazynek w swoim glocku i stanęła obok Nasha przy ścianie korytarza.

– Myślę, że nie powinniśmy zawracać mu teraz głowy.

– Chciałby wiedzieć, co się dzieje – upierał się Nash.

– Musimy dać mu trochę luzu.

– Wchodzimy na pięć – warknął w słuchawce Clair głos Espinosy.

– Wchodzimy – powiedziała.

Nash przyglądał się, jak Brogan i Thomas wyważają drzwi taranem. Otworzyły się z jękiem pękającego drewna i walnęły w ścianę po drugiej stronie.

– Naprzód! – krzyknął Espinosa i wpadł do środka.

– Idziemy – rzuciła Clair i przebiegła przez korytarz, dzierżąc skierowaną w dół broń przed sobą. Gdy dotarła do drzwi, usłyszała głosy: – Brogan, teren czysty.

- Thomas, teren czysty.
- Tibideaux, sypialnia czysta.
- Espinosa, teren czysty. Tak jakby.

Nash wszedł do mieszkania z Clair depczącą mu po piętach.

- Jasny gwint.

Jeżeli w salonie znajdowały się jakieś meble, nie było ich widać. Przestrzeń wypełniały dziesiątki stosów gazet ciągnące się od podłogi do sufitu. Niektóre były pożółkłe i wyblakłe ze starości, inne zupełnie nowe. Oprócz gazet zgromadzono tu także stosy książek w twardych i miękkich okładkach.

– Posegregowano je według gatunków. Tutaj mamy westerny, tu romanse i science fiction. To są chyba horrory. Jak ktoś może mieszkać w takich warunkach?

– To mi się kojarzy z tym programem o zbieraczach – zauważyła Clair. – Ludzie zaczynają zbierać drobiazgi tu i tam, z czasem coraz więcej. Wyobrażam sobie, że twój stos świerszczyków wygląda podobnie. – Przekrzywiła głowę. – Słyszycie kota?

- Czuję kota – stwierdził Brogan.

– Zapach pochodzi stąd – powiedział Tibideaux. – Kuwety nie opróżniano od kilku dni.

- Jak udaje mu się do niej trafić? – zapytał Nash.

Espinosa wyszedł z łazienki.

– Bałagan zdaje się ograniczać do salonu. Reszta mieszkania jest dość czysta.

Tibideaux wyszedł z sypialni ze sporym rosyjskim niebieskim kotem. Kot miauczał w jego ramionach i lizał czarną kewlarową kamizelkę.

- Biedactwo pewnie umiera z głodu.

Nash się cofnął.

- Trzymajcie to coś z dala ode mnie. Mam alergię.

Clair zaczęła przeglądać stos gazet. Podniosła egzemplarz „Tribune”.

– Jest sprzed sześciu lat.

– Sądząc po wysokości tych stert, są tu gazety z ostatniej dekady – skomentował Espinosa. – Czego szukamy?

– Czegoś, co pomoże nam znaleźć Emory – powiedział Nash.

Zadzwonił telefon Clair.

– To Kloz. – Włączyła głośnik.

– To dziwne – oznajmił Kloz bez słowa przywitania.

– Co jest dziwne?

– Przejrzałem aktywność na kontach Kittnera... Porter, zanim dobierzesz mi się do tyłka, informuję, że mam nakaz.

– Portera tu nie ma.

– A gdzie się podziewa?

Clair wywróciła oczami.

– Jest zajęty. Co znalazłeś?

– Przelew na dwieście pięćdziesiąt tysięcy, który został zaksięgowany pięć dni temu. Ale nie to jest dziwne. Kolejne ćwierć miliona wpłynęło na jego konto wczoraj, już po jego śmierci – oznajmił Kloz.

– Potrafisz powiedzieć, skąd są te pieniądze?

– Z rachunku w banku na Kajmanach. Próbuję ustalić nazwisko właściciela, ale nie są tam chętni do współpracy. Mam wśród federalnych kolegę. Może uda mu się napędzić im trochę stracha. Zaraz do niego zadzwonię.

Nash szturchnął Clair.

– Myślisz, że to kasa od Talbota?

– W jakim celu by ją przesłał?

– Nie wiem. W ramach rekompensaty?

Clair popatrzyła na telefon.

– Kloz, czy Talbot ma jakieś rachunki na Kajmanach?

– Ma rachunki wszędzie. Pieniądze przysły z RCB Royal. Na kontach firm Talbota znalazłem operacje z tym konkretnym bankiem, przelewy wychodzące i przychodzące, ale numery kont się nie zgadzają. To nie znaczy jednak, że powinniśmy to wykluczyć. – Zamilkł na chwilę. W słuchawce dało się słyszeć wyłącznie stukot klawiszy. – Hm...

– O co chodzi?

– Znalazłem kolejny przelew. Pięćdziesiąt tysięcy wpłynęło na rachunek Kittnera dokładnie miesiąc przed tym, jak na jego konto wpłynęło pierwsze ćwierć miliona. Jeżeli to jest jakaś rekompensata, to zaczęło ją realizować przed miesiącem.

– Co możesz nam powiedzieć o Kittnerze? – zapytała Clair.

– Miał pięćdziesiąt sześć lat. Jeszcze miesiąc temu pracował w UPS, a potem poszedł na długie zwolnienie. Poprosiłem o jego dokumentację z miejsca zatrudnienia, ale domyślam się, że miało to związek z diagnozą.

– Miał telefon komórkowy? Potrafisz odtworzyć jego kroki?

– Nic z tego. Nie mogę znaleźć telefonu zarejestrowanego na jego nazwisko. Firma też nie zapewniła mu telefonu. Jeżeli miał komórkę, to na kartę. W mieszkaniu jest telefon stacjonarny. Przeglądam historię połączeń.

– A co z krewnymi? Ma jakąś rodzinę?

Znowu stukot klawiatury.

– Miał młodszą siostrę, ale zginęła w wypadku samochodowym pięć lat temu. Niejaka Amelia Kittner. Mathers po mężu.

Nash się ożywił.

– Mathers?

– Tak. A co?

– Emory ma chłopaka, Tylera Mathersa. Uczy się w Whatney Vale High School.

– Chwileczkę, próbuję wyciągnąć jej akta – odparł Kloz.

Clair otworzyła szeroko oczy.

– Emory spotyka się z siostrzeńcem #4MK?

Kloz znowu się odezwał:

– Bingo. To on. Szesnaście lat. Mieszka z ojcem w centrum miasta.

– Detektywi?

Clair i Nash popatrzyli na Espinose, który stanął w drzwiach sypialni, dzierżąc w dłoni telefon komórkowy.

– To telefon Emory.

– Kloz? Zaraz do ciebie oddzwonię – powiedziała Clair i się rozłączyła.

– Proszę pokazać.

Espinosa podał jej telefon. Wzięła go dłonią ubraną w rękawiczkę i puknęła w ekran. Nic się nie wydarzyło.

– Skąd pan wie?

– Wyciągnął baterię. Sprawdziłem numer seryjny. Telefon został zakupiony przez Talbot Enterprises, a zarejestrowanym użytkownikiem była Emory. Telefon wyłączono przedwczoraj wieczorem o godzinie osiemnastej czterdzieści trzy – wyjaśnił Espinosa.

Clair wrzuciła telefon do woreczka na dowody i popatrzyła na Nasha.

– Musimy jechać po siostrzeńca. Może wiedzieć, gdzie ona jest.

56 Pamiętnik

Następnego ranka był naprawdę piękny letni dzień, więc postanowiłem iść na spacer, zamiast siedzieć w czterech ścianach. Wyszedłem na krótko, maksimum na godzinę – tyle potrzebowałem, żeby zajrzeć do kota, rzucić kilkoma kamieniami, potwierdzić, że zdołałem pochować pana Cartera pod wodą na stałe, i dotrzeć z powrotem do domu.

Wrócił zielony plymouth.

Stał zaparkowany przed domem Carterów. Był pusty. Podeszedłem bliżej. Silnik był jeszcze ciepły i pykał, a w powietrzu czuć było woń spalin. Nie widziałem nigdzie człowieka poznanego dzień wcześniej.

Podeszedłem jeszcze bliżej, starając się chować za gęstymi krzewami i drzewami.

Kluczyki wiszące przy stacyjce połyskiwały w świetle słońca.

Ten człowiek był bardzo ufny.

Skoro kluczyki tkwiły w stacyjce, nie było powodu sądzić, że samochód jest zamknięty.

Wystawiłem głowę nad krzaki na ułamek sekundy i zerknąłem w stronę domu Carterów.

Drzwi wejściowe były zamknięte, ale coś mi nie pasowało. Odniosłem wrażenie, że dom nie jest pusty.

On na pewno tam był. No bo gdzie miałby być?

Drzwi kierowcy znajdowały się po stronie domu Carterów, a pasażera – po stronie ulicy.

Uzbrojony w głęboki oddech i śmiałość, wypadłem ze swojej kryjówki i zatrzymałem się z poślizgiem na żwirze przy drzwiach pasażera. Widziałem stąd dom Carterów, a to znaczyło, że ktoś wychodzący z domu też by mnie zauważył. Nie miałem jednak wyboru;

musiałem działać szybko.

Nacisnąłem na klamkę i otworzyłem drzwi z największą ostrożnością. Zaprotestowały z piskiem. W pierwszej chwili wydawało mi się, że hałas był na tyle głośny, by dotrzeć do tego mężczyzny, więc zostawiłem drzwi otwarte i padłem na ziemię, obserwując dom spod samochodu. Po upływie minuty nikt się nie pojawił, więc wstałem i wsiałem do auta.

Duster miał czarne skórzane siedzenia i długi drążek zmiany biegów zwieńczony czarną kulą bilardową z cyfrą osiem – to był najfajniejszy drążek zmiany biegów, jaki kiedykolwiek widziałem, i dałem sobie słowo, że sprawię sobie taki sam, kiedy tylko kupię pierwszy samochód. W tamtej chwili taka transakcja była odległa, ale właściwe planowanie jest niezbędne w wypadku zakupu pojazdu, jak również włamywaniu się do niego.

Nie miałem czasu zaplanować tego konkretnego włamania i kiedy sięgnąłem ręką do schowka na rękawiczki, modliłem się w duchu, żeby był otwarty. Bo gdyby był zamknięty, nie dostałbym się do niego bez wytrychów, a zostawiłem je w górnej szufladzie szafki nocnej pod najnowszym tomem przygód Spidermana.

Schówek otworzył się z głośnym pyknięciem.

Miałem nadzieję znaleźć dowód rejestracyjny lub jakieś dokumenty, które pomogłyby mi zidentyfikować tego dziwnego człowieka, ale od razu zorientowałem się, że nie będę miał tyle szczęścia. W schowku nie było żadnych papierów. Za to leżał w nim dość duży pistolet. Nie znam się na broni i skłamałbym, gdybym stwierdził, że w zwyczajnych okolicznościach potrafiłbym natychmiast zidentyfikować jakkolwiek. Tę jednak rozpoznałem, bo kilka miesięcy wcześniej urządziłem sobie maraton filmów o Brudnym Harrym – to był pistolet wybrany przez bohatera granego przez Clinta Eastwooda.

Magnum 44, najpotężniejszy rewolwer na świecie, broń, która może odstrzelić ci głowę, zwłaszcza jeśli jesteś pechowym smarkaczem.

Nie byłem pechowym smarkaczem. Byłem mądrym smarkaczem. Sięgnąłem po broń, otworzyłem magazynek, przechyliłem go i wysypałem kule na dłoń. Wrzuciłem je do kieszeni, wsunąłem magazynek na miejsce i schowałem magnum tam, gdzie je znalazłem.

Gdy Pan Nieznajomy postanowi sięgnąć po rewolwer (a byłem pewien, że dojdzie do tego w najbliższej przyszłości), będę się rozkoszował tym, że broń okaże się równie skuteczna jak pistolet na wodę. Gdybym miał przy sobie swoje narzędzia, wymontowałbym iglicę, a zostawił naboje. Nawet brałem to pod uwagę, ale oznaczałoby to konieczność udania się do domu i z powrotem tuż przed oknami domu Carterów. Takie ryzyko nie wchodziło w grę. Wróć do tego pomysłu, jeżeli nadarzy się jeszcze okazja.

Rozbroiwszy pistolet i odłożywszy go tam, gdzie go znalazłem, zamknąłem schówek i sięgnąłem pod fotel. Nie znalazłem nic oprócz starego papierka po kanapce, nadal cuchnącego musztardą. Tylnie siedzenie też było puste.

Mężczyzna, który mógł być policjantem, ale prawdopodobnie nim nie był, nadal stanowią dla mnie zagadkę, którą postanowiłem rozgryźć.

Chciałem przeszukać jeszcze bagażnik, ale rozsądek i intuicja podpowiadały mi, że już przeciągnąłem strunę, więc wysiadłem z samochodu, delikatnie zamknąłem drzwi pasażera i wróciłem do lasu.

Trzymając się nadal największych dębów, zbliżyłem się do domu Carterów. Gdy znalazłem się na wysokości frontowej werandy, przebiegłem przez trawnik i przyklęknąłem pod oknem salonu.

Zamknąłem oczy i nasłuchiwałem.

Ojciec powiedział mi kiedyś, że w ciągu dnia nasze zmysły pracują parami, ale jeżeli zablokuje się jeden lub więcej i skupi na pozostałych, te działające się wyostają. Nieraz obserwowałem, że to prawda – proste zamknięcie oczu sprawiało, że uszy sięgały po niewykorzystane zazwyczaj możliwości.

Usłyszałem, jak Pan Nieznajomy szura w domu nogami. To przynajmniej było jasne. Miałem pewność, że znajdował się w salonie tuż nade mną.

Dotarło do mnie głośne łupnięcie.

Wydawało się, że dobiegło z salonu, ale nie przypominałem sobie, żeby stało tam coś zdolnego do wydania takiego łoskotu, a miałem doskonałą pamięć. Ojciec często kazał mi wchodzić do nieznanego mi pomieszczenia, natychmiast zamykać oczy i recytować z pamięci, co zapamiętałem, łącznie z tym, gdzie stoją poszczególne przedmioty. W ramach ćwiczeń w dni otwarte odwiedzaliśmy domy wystawione na sprzedaż i zaglądaliśmy do kolejnych pokoi. Gdy skończyliśmy w jednym domu, jechaliśmy do następnego, a jeśli mieliśmy dość czasu, odwiedzaliśmy kolejny. Pewnego razu zajrzeliśmy aż do sześciu jednego dnia. Zapamiętywałem szczegóły z niemal fotograficzną dokładnością – tak powiedział z dumą ojciec. On miał jeszcze lepszą pamięć. W czasie kolacji po maratonie po sześciu domach poprosił mnie, żebym opowiedział, co się znajdowało w pokojach w drugim domu. Nie byłem przygotowany na taki egzamin i mimo że pamiętałem co nieco, nie mogłem sobie przypomnieć wszystkiego. Ojciec za to najwyraźniej pamiętał wszystko. Wydawało się, że...

– Przyszedłeś podlać rośliny?

Ten głos mnie przestraszył i prawie wyskoczyłem ze skóry, kiedy się odwróciłem w stronę jego źródła. Pan Nieznajomy stał tuż za mną, mrużył oczy, a jego czoło znaczyły głębokie zmarszczki – zdaje się, że często ściągał brwi w swoim życiu. Obracał w dłoniach młotek.

– Carterowie wyjechali na wakacje i wydawało mi się, że ktoś kręci się po ich domu – wypaliłem szybko.

To był przekonujący powód dla mojej obecności w tym miejscu. Czasami najprostsze odpowiedzi są najlepsze, bo jeżeli kłamiesz i zabrniesz w rozmowie za daleko, kłamstwo jak lina okręca ci się wokół szyi i odcina dopływ powietrza.

– To mój partner, pan Smith – poinformował mnie Pan Nieznajomy. – Podobnie jak ja i mój pracodawca pan Smith martwi się tym, że twój sąsiad nie przychodzi do pracy od kilku dni. Chyba wspominałem, że pan Carter nie wnioskował o urlop przed wyjazdem, i jest to niepokojące.

Nie pamiętałem, czy mówił o tym poprzedniego dnia, ale mimo to przytaknąłem.

– Nie wolno panom wchodzić do jego domu. Może powinienem zadzwonić po policję?

– To świetny pomysł – przyznał Pan Nieznajomy. – Chcesz zadzwonić z tego domu czy ze swojego?

Szczury.

Ręka Pana Nieznajomego popędziła w stronę mojego ramienia. Zrobiłem unik, obróciłem się i stanąłem obok niego.

Zachichotał i postukał w okno, po czym wygiął palec w przyzywającym geście.

– Spokojnie, dzieciaku. Tylko proszę pana Smitha, żeby wyszedł na zewnątrz.

Od strony mojego domu dał się słyszeć hałas. Zauważyłem, że na podjazd wjeżdża porsche ojca. Ojciec wysiadł z za kierownicy, a matka od strony kierowcy. Patrzyli na Pana Nieznajomego i na mnie i rozmawiali przyciszonym tonem. Ruszyli w naszą stronę, ojciec z uśmiechem, który mógłby rozjaśnić pokój. Matka szła z nim pod rękę. Miała na sobie śliczną zieloną sukienkę w kwiaty, która opinała jej nogi przy każdym zmysłowym kroku. Wyglądali jak wycięci z czasopisma.

Ojciec podał dłoń i z pewnością mocno uściśnął rękę Pana Nieznajomego.

– Jak się pan miewa? Jest pan przyjacielem Carterów?

Pan Nieznajomy posłał mu w odpowiedzi uśmiech.

– Przysłał mnie tu pracodawca pana Cartera. Pan Carter nie pojawił się w pracy od wtorku i ludzie zaczęli się o niego niepokoić. Postanowiłem tu przyjechać i sprawdzić, co się dzieje.

Drzwi z siatką przy frontowej werandzie trzasnęły i wszyscy się odwróciliśmy. Na werandę wyszedł żylasty mężczyzna z długimi blond włosami i w okularach z grubymi szklami. Zamiast do nas podejść, oparł się o balustradę i wyciągnął paczkę czerwonych marlboro. Patrzyłem, jak zapala zapalniczką prawym kciukiem, a następnie przypala papierosa, który jakimś cudem trafił w jego usta, chociaż nie widziałem, żeby wyjmował go z paczki.

– To mój współpracownik, pan Smith.

Pan Smith zaszalutował do nieistniejącego daszka i dalej się nam przyglądał z daleka. Jego wzrok zatrzymał się na matce trochę dłużej, niż powinien; pomyślałem, że pewnie rozzłościło to ojca, który jednak nie dał tego po sobie poznać. Zamiast tego powiedział ser-

decznie:

– Miło mi pana poznać. – A potem skierował uwagę z powrotem na Pana Nieznajomego. – Nie usłyszałem pańskiego nazwiska.

Pan Nieznajomy się uśmiechnął.

– Tak przypuszczam. Nazywam się Jones.

– Jest pan policjantem, panie Jones?

Pan Nieznajomy przechylił głowę.

– Dlaczego pan tak myśli?

Ojciec utrzymywał kontakt wzrokowy z Panem Nieznajomym.

– Syn powiedział, że miał pan wczoraj odznakę.

Pan Nieznajomy spuścił wzrok, żeby na mnie spojrzeć.

– Nie wiem, dlaczego powiedział coś takiego. Chyba zaszło jakieś nieporozumienie. – Puścił do mnie szybko oko i zmierzwił mi włosy, po czym popatrzył znowu na ojca. – Carterowie powiedzieli może państwu, dokąd jada?

Ojciec pokręcił głową.

– Nie jesteśmy aż tak zaprzyjaźnieni.

– A powiedzieli, kiedy wracają?

– Jak już mówiłem...

– Nie jesteście aż tak zaprzyjaźnieni.

– Zgadza się.

Pan Smith pozwolił, żeby niedopałek jego papierosa spadł na podłogę werandy, i zdeptał go pod czarnym butem, który pasowałyby do stopy motocyklowego buntownika, a nie stojącego przed nami człowieczka. Był niewiele wyższy ode mnie. Głos jednak miał głębszy, niż można by się spodziewać, chropawy.

– Pan Carter pracował przy dość delikatnym projekcie, a ponieważ nie zgłosił w biurze swoich wakacji i zdaje się nieosiągalny, musimy założyć, że unika wypełniania obowiązków. Z tego względu wszystkie związane z pracą dokumenty naszego pracodawcy muszą natychmiast do niego wrócić. Mielśmy nadzieję, że znajdziemy je w jego domu, ale ich tu nie ma. A przynajmniej, jeśli są, to nie w widocznym miejscu. Czy pan Carter rozmawiał kiedykolwiek z państwem o pracy? Może wspominał, czym się zajmował?

– Nie jesteśmy na tyle zaprzyjaźnieni – powtórzył ojciec. – Przykro mi to powiedzieć, ale nawet nie wiem, kim pan Carter jest z zawodu.

– Księgowym – poinformował Pan Nieznajomy.

Zauważyłem, że zerknął na matkę na ułamek sekundy. Ona również na niego popa-

trzymała. To proste spojrzenie miało coś zakomunikować, ale nie wiedziałem co.

Pan Smith wyciągnął ręce przed siebie. Narysował w powietrzu kwadrat.

– Przechowywał dokumenty w beżowej metalowej skrzynce wysokiej na trzydzieści i szerokiej na sześćdziesiąt centymetrów, ogniotrwałej i zamykanej na kluczyk. Podobnej do skrytki bankowej. Znalazłem ją pod łóżkiem, ale świeci pustkami. Jestem ciekaw, co zrobił z zawartością.

Matka, która do tej pory milczała, odezwała się stanowczym tonem.

– Nie sądzę, by Carterowie byli zadowoleni, słysząc, że szperali panowie w ich rzeczach bez pozwolenia w poszukiwaniu owej skrzynki, bez względu na to, co stanowiło jej zawartość. Chyba najlepiej będzie, jeżeli panowie stąd odjadą. Gdy Carterowie wrócą, osobiście dopilnuję, żeby pan Carter skontaktował się z biurem. Domyślam się, że nie zgłosił swojego urlopu z powodu zwyczajnego niedopatrzenia i wszystko da się wytłumaczyć w bardzo trywialny sposób.

Pan Nieznajomy uśmiechnął się, ale jego uśmiech był wymuszony; przywdziewasz taki w ramach uprzejmości, kiedy ktoś zaserwuje ci gorzkie pożegnanie.

– Na pewno ma pani rację i jesteśmy przewrażliwieni. – Ukłonił się kpiarsko. – Miło było państwa poznać. – Znowu zmierzwił mi włosy. – Mają państwo wspaniałego syna. Proszę powiedzieć panu Carterowi, żeby zadzwonił do biura zaraz po powrocie.

– Oczywiście – zapewnił ojciec.

Po tych słowach mężczyźni podeszli swobodnym krokiem do plymoutha zaparkowanego przy krawężniku. Nie obejrzelik się za siebie. Ojciec, matka i ja staliśmy w miejscu do chwili, gdy ich samochód zniknął z widoku, zostawiając za sobą tuman kurzu.

57 Emory

Dzień drugi, 11.57

Emory przyciągnęła kolana do klatki piersiowej i objęła nogi wolną ręką, usiłując się w ten sposób rozgrzać. Trzęsa się niekontrolowanie i szczękała zębami. Wcześniej obmacała złamany nadgarstek zdrową ręką i musiała ją cofnąć. Nadgarstek spuchł tak bardzo, że ciało wydawało się oblewać kajdanki – metalowa bransoletka wrzynała się w nie. Dziewczyna czuła puls uderzający o ostrą stal. Obawiała się, że może stracić dłoń, jeśli się stąd niebawem nie wydostanie, ale nie wiedziała, co ma robić.

Nie było stąd wyjścia.

Żadnych drzwi.

Żadnego sufitu.

Otaczał ją wyłącznie beton.

Ryczała też jakaś muzyka, nieznana jej piosenka.

Pozbieranie myśli również stawało się coraz trudniejsze. Wiedziała, że to efekt braku jedzenia i wody, ale niewiele jej ta świadomość pomogła. W głowie pulsował jej ból, a myśli wydawały się przytłumione, jakby kryły się za mgłą.

Kiedyś się upiła.

Razem z Colleen McDoogie.

Znalazły butelkę Wild Turkey pod szafką kuchenną w domu Colleen i postanowiły spróbować trunku. Skąd miałyby wiedzieć, ile mogą wypić na imprezie, żeby się nie wstawić, gdyby wcześniej tego nie przećwiczyły?

Wystarczyło im bardzo niewiele, a matka Colleen bynajmniej się nie ucieszyła, kiedy się na nie natknęła, wróciwszy do domu godzinę przed czasem. Emory nie pamiętała, ile wypily, ale następnego dnia obudziła się z wyjątkowym bólem głowy, takim, który zaczynał się gdzieś za oczami i narastał, przesuając się do tyłu.

Teraz też czuła taki ból.

„Pamiętam, kiedy to się stało. Nie zdołałabyś przejść po linii prostej, choćby zależało od tego twoje życie. Ale próbowałaś, razem z Colleen, w nadziei że jej matka się nie zorientuje”.

– To było w zeszłym roku, mamó. Nie żyłaś już.

„To nie znaczy, że tego nie widziałam, kochanie. Jak bardzo chciałam cię ukarać! Zabrałabym ci komputer, telefon i telewizor. Mogłabym zrobić to samo, co moja matka, kiedy mnie przyłapała na picciu z bratem. Pamiętasz wujka Rogera, prawda? Złapała Rogera i mnie z jedną piątą butelki wódki i zmusiła nas, żebyśmy wypili ją do końca. Odchorowywałam to przez kilka dni, ale nie tknęłam alkoholu przez prawie trzy lata. Jak się miewa Roger?”

– Kim jest Roger? Nie pamiętam wujka Rogera.

„Jak mogłaś zapomnieć wujka Rogera? Mieszkał z nami przez blisko rok po tym, jak się urodziłaś”.

Wtem Emory przypomniała sobie Rogera. Miał lekką nadwagę, ciemne włosy zmierzwione w próżnej próbie ukrycia łysiny, która powoli zajmowała czubek jego głowy. Naprawił im zlew, kiedy pani Burrow zapchała odpływ makaronem. Pomógł jej też zdobyć nową przepustkę do windy, gdy przestała działać, bo pani Burrow trzymała ją w torebce pod telefonem. Chwileczkę...

– Nie mam żadnego wujka Rogera. Roger jest dozorcą w naszym budynku.

„Powiedziałaś Roger? Ojej, chodziło mi o wujka Roberta”.

– Nie mam wujka. Jeżeli poznałam jakichś twoich krewnych, nie pamiętam ich – powiedziała cicho Emory. Gdyby chciała, mogłaby to wykrzyczeć, bo i tak nie przebiłaby się przez grzmiące dźwięki zespołu Cream wykonującego *Born Under a Bad Sign*.

„Nie pamiętasz wujka Steve’a? Bardzo by się zdenerwował. Uwielbiał kołysać cię do snu, kiedy byłaś malutka. Śpiewał ci taką piosenkę... Jak to szło? Pamiętasz ją? Coś o dniu, w którym umiera muzyka...”

– Pojechałem na przystań, ale nie było wody – zachrypiała Emory. Usta miała wysuszone i spierzchnięte. Przesunęła po nich językiem. – Tego dnia umrę...

„Zgadza się! Wujek Ryan ją uwielbiał”.

– Nie mam żadnych wujków. Nie mam też matki. Ty nie istniejesz. Proszę, przestań ze mną rozmawiać.

„Myślisz, że to jest ten dzień?”

– Słucham?

„No wiesz, ten, w którym umrzesz”.

Emory przysunęła czubki palców zdrowej ręki do skroni i wcisnęła je w miękką skórę.

„Lepiej będzie pogodzić się ze swoją ograniczoną przyszłością. Naprawdę, kochanie, nawet jeśli Zabójca Małpy nie zabije cię niebawem, nie jadłaś i nie piłaś od kilku tygodni. Jak myślisz, jak długo jeszcze przetrwasz?”

– Nie minęły tygodnie, tylko dwa, najwyżej trzy dni.

„Wydaje mi się, że co najmniej tydzień, kotku”.

Emory pokręciła głową i skuliła się, bo ten ruch wstrząsnął jej okaleczonym uchem.

– Uważam, że muzyka włącza się o konkretnej porze. A jeśli tak, to zdarza się to raz dziennie. Dlatego uważam, że dzisiaj jest drugi dzień.

„Nawet jeśli twoja teoria okaże się prawdziwa, w co nie wierzę, jak długo wytrzymasz bez jedzenia i wody?”

– Gandhi pościł przez dwadzieścia jeden dni – stwierdziła Emory.

„Dwadzieścia jeden dni bez jedzenia, ale miał przecież wodę”.

– Tak?

„Jestem tego pewna. I nie zdziwiłabym się, gdyby ktoś podsunął mi cukierka lub dwa. Wiesz, jakie są te sławy”.

– On nie był sławą, tylko...

Dlaczego z nią rozmawiała? Przecież ona nie istniała. To był jej umysł. Zaczęła wariować. Załamie się na długo przed tym, zanim wykończy ją brak wody. Jej umysł powoli ulegał odwodnieniu, jak gąbka pozostawiona na słońcu. Narządy wewnętrzne również. Czowała, że chce się jej siku, ale kiedy próbowała oddać mocz, nic z niej nie leciało. Potrafiła sobie niemal wyobrazić kurczące się w niej nerki i wątrobę. Kiedy przestaną funkcjonować? Mimo że się nie ruszała, serce jej waliło jak oszalałe. Na początku myślała, że tylko to sobie wyobraża, ale kiedy zmierzyła sobie puls kilka godzin temu, naliczyła blisko dziewięćdziesiąt uderzeń na minutę. To bardzo dużo. Gdy biegła, rzadko sięgał osiemdziesięciu.

Emory przycisnęła palec do szyi i jeszcze raz zmierzyła tętno, licząc uderzenia przez ponad piętnaście sekund. Dwadzieścia sześć. Dwadzieścia sześć razy cztery to... Kurczę, nie mogła się skupić. Dwadzieścia sześć razy...

„Prawie dwieście, kochanie. Szybko”.

– Sto cztery – powiedziała Emory, ignorując głos.

Jej puls w stanie spoczynku wynosił zazwyczaj pięćdziesiąt pięć. W tej chwili nic nie robiła, a jej serce biło szybko. Emory nie wiedziała, co to dokładnie oznaczało, ale na pewno nic dobrego.

„Może kiedy Zabójca Małpy wróci, będziesz mogła go poprosić, żeby cię szybko zabił. Byłoby to lepsze od akcji z oczami i językiem, nie sądzisz?”

Emory przesunęła językiem po wnętrzu ust. Prawie zupełnie straciła smak, ale to, co poczuła, skojarzyło jej się z trocinami. Usta pełne trocin.

Chciała się rozpłakać, ale zabrakło jej łez. Suche oczy piekły ją w ciemności.

A na górze Jimi Hendrix chwycił gitarę i zaczął zawodzić.

58 Pamiętnik

Szczur zdechł.

To była pierwsza rzecz, którą zauważyłem, kiedy popędziłem za matką i ojcem po schodach wiodących do piwnicy. Jego czarne ciało przypominało mokrą szmatkę z oczami. Szczur miał pyszczek odwrócony w stronę pleców i łapki rozciągnięte we wszystkie strony. Zmasakrowany gryzoń leżał w małej kałuży krwi w pobliżu łóżka, na którym siedziała pani Carter z wolną ręką naznaczoną czerwoną śmiercią.

Uśmiechała się do nas, gdy podchodziliśmy. Strach, który przepelniał jej oczy jeszcze kilka godzin temu, zniknął, a jego miejsce zajęło lodowate spojrzenie.

– Zabije nas wszystkich. – Głos też miała inny, spokojny i opanowany. Pewny siebie.

– Kto? – zapytał ojciec, chociaż byłem prawie przekonany, że wiedział dokładnie kto.

Zastanawiałem się, skąd wiedziała, o kim lub o czym chcemy rozmawiać; bo ewidentnie wiedziała. Wiedziała, dlaczego do niej zeszliśmy.

– Odjechał? Bo jeśli tak, nie liczyłabym na to, że zniknął na długo. – Pani Carter wytarła zakrwawioną dłoń o łóżko, następnie kopnęła martwego szczura, który zostawił na podłodze za sobą krwawą smugę. – Naprawdę nie należało zabijać mojego męża.

Ojciec cofnął rękę i byłem pewien, że ją uderzy. Nie potrafiłem go sobie wyobrazić w takiej sytuacji. Zawsze mi powtarzał, że nie wolno uderzyć kobiety, nawet jeśli ona uderzy ciebie, nawet jeśli uderzy czymś ciężkim. Nic nie usprawiedliwiało uderzenia kobiety. Nigdy.

Cofnął rękę, chwycił ręcznik leżący na pralce i rzucił go jej.

Uśmiechnęła się w ramach podziękowania i wytarła krew na tyle, na ile mogła bez użycia wody.

– Jeśli mnie uwolnicie, mogę spróbować wyjaśnić, co się wydarzyło, ale raczej mi nie

uwierzy. A nawet jeśli uwierzy, wątpię, żeby się tym przejął.

– Zależy mu na dokumentach związanych z pracą twojego męża. Powiedział, że pracuje dla szefa twojego męża – wyjaśnił ojciec.

Przekrzywiła głowę.

– Nie kłamał.

– Wiesz, gdzie one są?

Pani Carter znowu się uśmiechnęła, ale się nie odezwała, następnie szarpnęła za kajdanki.

Matka, która w czasie tej wymiany zdań milczała, rzuciła się na nią. Ojciec pochwycił ją, gdy skoczyła, żeby dopaść panią Carter. Wiła się w jego uścisku i młóciła rękami powietrze, usiłując dosięgnąć panią Carter.

– Coś ty ściągnęła na mój dom?! – krzyknęła.

Pani Carter popatrzyła na nią gniewnie.

– To ty mnie sprowadziłaś do swojego domu. Nie prosiłam o to. Nie kazałam ci zabijać mojego męża, ty szurnięta suko.

To wkurzyło matkę i przez chwilę wydawało mi się, że ojciec nie zdoła jej powstrzymać, ale jakoś mu się to udało. Zarzucił jej rękę na szyję i ścisnął, nie na tyle mocno, żeby straciła przytomność, ale wystarczająco, by dać jej do zrozumienia, że mógłby ją przyduś, gdyby chciał. Tylko tyle było trzeba, żeby matka się poddała i uspokoiła. Ojciec nie zwolnił uścisku, a ja wiedziałem dlaczego. Kiedy uczył mnie tego chwytu, powiedział, że ofiara może udawać, że odleciała lub że współpracuje, a w chwili gdy poluzujesz uścisk, zaatakuj. Powiedział mi to po to, żebym wiedział nie tylko, jak poprawnie założyć duszenie, ale również, jak się zachować, gdybym sam się znalazł w takim uścisku. Nauczył mnie nawet, jak udawać, że zemdlałem. Ojciec był bardzo mądry.

– Puszczę cię, ale musisz obiecać, że będziesz się dobrze zachowywać – powiedział matce na ucho.

Przytaknęła, więc powoli zabrał ręce. Był gotów znowu ją złapać, gdyby wykonała ruch, ale tego nie zrobiła. Oparła się o pralkę i patrzyła złym wzrokiem na drugą kobietę.

Ojciec znowu skierował wzrok na panią Carter.

– Dla kogo pracuje twój mąż?

– Nie chciałeś zapytać, dla kogo pracował?

Machnął lekceważąco ręką.

– Semantyka – prychnął.

Pani Carter zamilkła, a ja po raz pierwszy, odkąd tu zesliśmy, dostrzegłem w jej oczach błysk wcześniejszego strachu. Próbowwała go powstrzymać, zgrywać twardą, ale

zobaczyłem go. Nie miałem co do tego wątpliwości. Ojciec też go spostrzegł. Kiedy się wreszcie odezwała, mówiła cichym, słabym głosem.

– Musimy stąd wyjechać. Wszyscy.

Ojciec uklęknął przy łóżku i położył rękę na jej dłoni.

– Dla kogo pracował?

Popatrzyła na matkę, potem na mnie i znowu na ojca.

– Dla przestępców. Było ich z tuzin, może więcej. Kilku należy nawet do rodziny Genovese. Pomagał im ukrywać pieniądze.

Ojciec słuchał jej uważnie.

– Co im zabrał?

Pani Carter wzięła głęboki wdech, zamknęła oczy i wypuściła powietrze.

– Wszystko. Do ostatniego pensa.

59 Porter

Dzień drugi, 12.18

– Rozgość się – powiedział do Watsona Porter. Rzucił kluczyki na stolik w pobliżu drzwi. – Możesz zajrzeć do lodówki. Chociaż nie wiem, co tam mam.

W drodze z pięćdziesiątego pierwszego komisariatu do jego mieszkania milczeli. Watson wiercił się na swoim miejscu, a Porter starał się z całych sił zapomnieć twarz dzieciaka, który zastrzelił mu żonę.

Bez skutku.

Całym sobą chciał tam wrócić, przystawić lufę beretty do brody dzieciaka i naciskać spust tak długo, aż wystrzeliłby ostatnią kulę. A potem tłukłby to, co by zostało z jego głowy.

Nie był dumny z tych myśli. Nie chciał ich. Nie był agresywnym człowiekiem i Heather by go złażała, gdyby się dowiedziała, że żywi do tego młodego człowieka choćby cień nienawiści. Kazałaby mu być ponad to, nie ulegać gniewowi. Powiedziałyby mu, że złość i nienawiść nie sprowadzą jej z powrotem i takie myśli tylko brukały jego duszę.

Miałaby naturalnie rację. Heather chyba zawsze miała rację, ale ta świadomość niczego nie zmieniała.

– Dobrze się pan czuje? – Watson przyglądał mu się.

Porter przytaknął.

– Dojdę do siebie. Muszę tylko złapać oddech, przepracować to. – Zawahał się, po czym dodał: – Dzięki, że tam ze mną pojechałeś.

– Do usług. To ona? – Wskazał na zdjęcie stojące na niskim stoliku.

Przedstawiało Heather mniej więcej sprzed roku. Porter wziął je do ręki.

– Tak. Byłem z niej taki dumny tamtego dnia. Zawsze pragnęła być pisarką, ciągle coś pisała w notatniku. Zgłosiłem jedno z jej opowiadań do konkursu Shirley Jackson Awards i wygrała. Zrobiłem to zdjęcie zaraz po uroczystości rozdania nagród.

Porter poczuł wdzięczność, że Watson nie ciągnął go za język.

– Zaraz wrócę. Zrób sobie coś do jedzenia. – Ponownie skinął w stronę kuchni, a Watson poszedł w tamtą stronę.

Kiedy wchodził do sypialni, w kieszeni zawibrował mu telefon. Pomyślał, że odsłucha później wiadomość, ale zmienił zdanie. Zerknął na wyświetlacz i stwierdził, że dzwoni Kloz. Odebrał i przysunął słuchawkę do ucha.

– Sam?

– Tak?

– Mamy poważny problem.

– Co się dzieje?

– Pamiętasz odcisk palca, który zdjąłeś wczoraj z wagonika?

– Tak.

– Mamy wyniki z laboratorium.

Porter podszedł do szafy i wyciągnął marynarkę, po czym zaczął rozpinąć koszulę. Kawa była zimna i lepka, zalała mu połowę rękawa. Pewnie będzie musiał wyrzucić koszulę.

– Sam, odcisk palca należy do Watsona. Tylko że to nie jest Watson. Według Programu Ścigania Brutalnych Przestępców to Anson Bishop. Odebrałem właśnie telefon z laboratorium kryminalistycznego. Na pierwszy rzut oka wszystko wydaje się w porządku, ale kiedy zacząłem szperać, znalazłem kilka luk. Ten profil w Programie Ścigania został sfalszowany. Nie ma Paula Watsona. To przydomek Ansona Bishopa. Próbuję to jakoś poskładać, ale facet dotykał tamtego wagonika, zanim ty i brygada antyterrorystyczna się tam pojawiliście. To znaczy, że jest w to uwikłany. Jest kiepsko, Sam.

Naprawdę kiepsko. Kimkolwiek jest, nie należy do organów egzekwowania prawa. Gdzie ty i Nash go znaleźliście?

– Hm, hm...

– Cholera. Jesteście razem?

– Tak.

– Gdzie jesteście? Jesteście sami?

Porter wystawił głowę za drzwi sypialni i zerknął w stronę kuchni.

– Sam, jesteś tam?

– Watson? – zawołał głośno Porter. – Czy mam jakieś piwo w lodówce?

– Jesteście u siebie? W twoim mieszkaniu?

– Tak jest. W rzeczy samej.

Słyszał Watsona w kuchni lub salonie, ale mężczyzna mu nie odpowiedział.

Porter zdjął buty i wyszedł po cichu z sypialni do przedpokoju. Szybko omiół wzrokiem pusty salon, a następnie otwarte drzwi do kuchni.

– Watson? – Porter powoli sięgnął do kabury i odpiął skórzany pasek. Zacisnął palce wokół beretty, gdy wyciągał broń. – Wiem, że jest wczesnie, ale dobrze by mi zrobiło kilka łyków dla rozluźnienia.

Usłyszał, jak Klozowski słabym głosem wyrzuca z siebie polecenia.

– Zatrzymaj go tam, Sam. Już wysyłam do ciebie ludzi.

– Jasne, Kloz. Wpadnij. Jedziemy z Watsonem do sklepu jego wuja. Możesz do nas dołączyć.

– Najbliższy radiowóz dojedzie za cztery minuty. Gdzie on jest? Widzisz go? Może nas słyszeć?

– Watson, jeżeli zjesz do końca resztki pizzy, nie będę szczęśliwy.

Z bronią gotową do strzału Porter wpadł do małego pomieszczenia.

Było puste.

Duży nóż wbił się w jego udo, tuż zanim Porter dostrzegł kątem oka Ansona Bishopa.

– Nie ruszaj się – szepnął mu do ucha stojący za nim Bishop. – Nóż przeciął tętnicę biodrową wspólną. To jedna z największych w układzie. Jeżeli spróbujesz wyciągnąć nóż, wykrwawisz się w kilka sekund. Pomogę ci się położyć na podłodze. Rzuć broń.

– Kim jesteś... – zdołał zapytać przez zaciśnięte zęby Porter.

– Rzuć broń. Telefon też.

Porter zrobił, co mu kazano, i nie ruszał się, kiedy Bishop kopnął pistolet i zgniótł butem telefon.

– Watson?

– Cii, nic nie mów – polecił Bishop. – A teraz spokojnie. Najpierw na kolana, potem połóż się na brzuchu. Bardzo dobrze. Uważaj na nóż.

Porter pozwolił, żeby mężczyzna pomógł mu się położyć. Czuł ciężar noża w nodze, ale Bishop stabilizował ostrze wolną ręką do czasu, aż Porter położył się na drewnianej podłodze.

– Domyślam się, że twój przyjaciel wysłał już pomoc, więc nie będziesz musiał długo czekać. Jak zauważyłeś, połało się niewiele krwi. I nic się pod tym względem nie zmieni, o ile zostawisz nóż w ranie. Zaczekaj na zawodców, będą wiedzieli, jak się tym zająć. Wystarczy kilka szwów i będziesz zdrow jak ryba. Przykro mi, że musiałem wyrządzić ci krzywdę. Naprawdę. Miałem nadzieję, że spędzimy razem więcej czasu. Świetnie się bawiłem. Jednak wszystko, co dobre, musi się kiedyś skończyć, a my szybko zbliżamy się do końca.

– Gdzie jest Emory?

Bishop się uśmiechnął.

– Pozdrów ode mnie Nasha i Clair. I jeżeli to cokolwiek warte, naprawdę przykro mi z powodu twojej żony.

Porter odwrócił głowę na tyle, by zobaczyć, jak mężczyzna znika za rogiem w przedpokoju. W oddali wyły syreny.

60 Pamiętnik

– Taki przynajmniej był plan. Ukraść wszystko i uciec. Nie wiem jednak, czy go zrealizował. Simon dużo gadał, ale jego działanie pozostawiało wiele do życzenia.

– Znaleźli pod waszym łóżkiem beżową metalową skrzynkę. To tam ukrył dokumenty?

Pani Carter wzruszyła ramionami.

– Nie wiem.

Matka znowu się na nią rzuciła, i tym razem była szybsza od ojca. Chwyła w garść włosy kobiety i mocno pociągnęła. Pani Carter pisnęła i zdzieliła matkę po ramieniu wolną ręką – jej paznokcie zostawiły czerwone ślady na skórze.

– Dość tego! – ryknął ojciec i wcisnął się między nie.

Matka rozluźniła chwyt i prychnęła. Cofnęła się o krok.

– Wszyscy zginiemy przez tę kobietę.

– Co konkretnie zabrał? – zapytałem.

To było istotne pytanie. Miałem nadzieję, że złagodzi nieco napięcie.

Pani Carter dotknęła delikatnie skóry głowy i skrzywiła się. Popatrzyła na matkę przy-mrużonymi oczami.

– Wszyscy już jesteśmy martwi.

Ojciec pchnął ją na łóżko.

– Odpowiedz na pytanie mojego syna.

Uśmiechnęła się pogardliwie.

– Ale z ciebie twardziel. Popychasz kobietę skutą kajdankami w twojej piwnicy. – Zaszła jej krew pod paznokciami i zaczęła ją wydłubywać. – Simon znał ich interesy

lepiej od nich. Jeżeli myślą, że uciekł, mają powód do zmartwienia. – Posłała matce i ojcu oskarżycielskie spojrzenie. – Wygląda na to, że świetnie wam się udało stworzyć pozory, że się ulotnił. Pewnie ostro się wkurzyli. Sami ściągnęliście ich sobie na głowę.

– Co im ukradł? – powoził pytanie ojciec, a w jego głosie słychać było narastający gniew. Nie powtórzy tego pytania po raz trzeci, a na pewno nie w miły sposób.

Pani Carter zrezygnowała z czyszczenia paznokci i wciągnęła głęboko powietrze.

– Mniej więcej miesiąc temu powiedział, że dwóch właścicieli firmy zaczęło się zachowywać dziwnie, tajemniczo, w każdym razie inaczej niż zwykle. Nie zaprosili go na kilka zebrań, w których powinien, według niego, uczestniczyć. Zaczęli pracować w dziwnych godzinach. Kilka razy odniósł wrażenie, że ktoś szperał w jego rzeczach. Wydawało mu się, że ludzie szeptali za jego plecami, szykowali się do wyrzucenia go, albo i czegoś gorszego. Zaczął przynosić dokumenty do domu i robić kopie. Powiedziałam mu, że oszalał. Nie sposób było zgadnąć, co by się stało, gdyby go przyłapali, ale mimo to dalej kopiował dziesiątki dokumentów. Powiedział mi, że to jego ubezpieczenie. Gdyby spróbowali mu zrobić krzywdę lub odciąć go od interesów, upubliczniłby te dokumenty.

Ojciec przeczesał włosy palcami.

– To brzmi jak bardzo niebezpieczna gra.

Pani Carter przytaknęła.

– W zeszłym tygodniu, kiedy zablokowali mi dostęp do największego konta, powiedział, że zamierza wykorzystać zdobyte informacje do zdefraudowania pieniędzy i przelania ich do zamorskiego banku, żebyśmy mogli uciec i po prostu zniknąć.

– Nie wiesz, czy to zrobił?

Pokręciła głową.

– Jeżeli tak, nie powiedział mi o tym. W zeszłym tygodniu często się kłóciliśmy. Nie wiem, czy udało mu się to zrobić.

Do oczu napłynęły jej łzy, a ja poczułem się niezręcznie, patrząc na nią. Spuściłem wzrok na podłogę i wzniecałem stopą kurz.

– Co zrobił ze skopiowanymi dokumentami? – zapytał ojciec.

Pani Carter wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Nie powiedział mi. A teraz już go nie ma.

Ojciec popatrzył na matkę.

– Tacy ludzie prędzej zabiją nas wszystkich, niż podejmą ryzyko, że ich brudy wyjdą na jaw. Może powinniśmy wyjechać.

– A może powinniśmy ich zabić jako pierwsi? – odparła cicho matka.

– Znam tego człowieka. To dopiero początek – powiedziała pani Carter. – On wróci,

prawdopodobnie niedługo i najpewniej z innymi. Ucieczka to jedyne wyjście.

61 Clair

Dzień drugi, 13.23

– Co tu się dzieje, do diaska? – Twarz Stevena Mathersa była purpurowa, kiedy wpadł do gabinetu dyrektora Kolby’ego.

Kolby uniósł obie ręce.

– Uspokój się, Stevenie. Zadzwoiłem do ciebie natychmiast po ich przyjeździe.

Spojrzenie Stevena Mathersa spoczęło na synu siedzącym w kącie pomieszczenia ze spuszczoną głową ujętą w dłonie. Popatrzył na detektywów.

– Czego chcecie od mojego syna?

Clair wskazała puste krzesło naprzeciwko dużego dębowego biurka.

– Może pan usiądzie, panie Mathers.

To go tylko jeszcze bardziej rozzłościło.

– Zamierzam zabrać stąd mojego syna, zamknąć w naszym mieszkaniu i posłać trzech moich prawników do biura waszego szefa. To jest to, co zrobię.

Clair wciągnęła głęboko powietrze i westchnęła.

– Pański syn może być zaangażowany w porwanie i potencjalne zabójstwo Emory Connors-Talbot.

Mathers ściągnął brwi.

– Talbot to ten gość od nieruchomości?

Nash przytaknął.

– Pański syn spotyka się z jego córką.

– Spotykanie się to nie to samo co porwanie, detektywie.

– Proszę usiąść, panie Mathers – poprosiła ponownie Clair.

Tym razem Mathers jej posłuchał i postawił aktówkę obok siebie.

– Co może nam pan powiedzieć o Jacobie Kittnerze? – zapytała Clair.

– O bracie żony?

Clair przytaknęła.

– Nie rozmawiałem z nim od ponad pięciu lat, odkąd moja żona Amelia zginęła.

– A pański syn? Kiedy rozmawiał z panem Kittnerem po raz ostatni?

– Też nie utrzymywał z nim kontaktu. Nie rozmawiamy z rodziną z jej strony – odparł Mathers.

Wszyscy troje popatrzyli na Tylera siedzącego w kącie. Nadal chował twarz w dłoniach.

– Zgadza się, Tylerze? – zapytał Mathers.

Gdy Tyler odsłonił twarz, popatrzył na nich czerwonymi, zapuchniętymi oczami.

– To wszystko moja wina. Nie sądziłem, że komukolwiek coś się stanie.

Mathers wstał i podszedł do syna.

– O czym ty mówisz?

– Wujek Jake powiedział, że nic jej się nie stanie.

Clair i Nash popatrzyli na siebie, a potem na Tylera.

– Wujek Jake? Od kiedy to łączą cię jakiekolwiek relacje z tym człowiekiem?

Tyler westchnął.

– Mama i ja często się z nim spotykaliśmy. Nie mówiliśmy ci o tym, bo

się nie dogadywaliście, a mama nie chciała się z tobą kłócić. Kiedy mi powiedział, że umiera, zacząłem mu pomagać w domu. Chodziłem do niego po szkole. To wszystko.

– Umierał?

Clair zerknęła na dyrektora, który obserwował wszystko zza biurka.

– Panie Kolby, czy mógłby nas pan zostawić na chwilę samych?

Kolby ściągnął brwi, gotów zaprotestować, ale się zreflektował.

– Będę w pobliżu, gdybyście czegoś potrzebowali.

Po wyjściu mężczyzny Clair skierowała uwagę z powrotem na Mathersa.

– Pański szwagier miał zaawansowanego raka żołądka. Prawdopodobnie zmarłby w ciągu najbliższych tygodni.

Mathers kręcił głową.

– Chwileczkę. Co macie na myśli, mówiąc, że zmarłby? Co się stało?

Nash przeczesał włosy palcami.

– Wczoraj rano, kilka minut po szóstej, Jacob Kittner wpadł pod miejski autobus i zginął na miejscu. Zmierział do skrzynki na listy na rogu Pięćdziesiątej Piątej i Woodlawn. Według nas chciał wysłać małe białe pudełeczko. Znajdowało się w nim ludzkie ucho... Ucho Emory. Pański szwagier był Zabójcą Czwartej Małpy.

Mathers zbladł i poruszył się niespokojnie na krześle.

– Jake? To niemożliwe.

Nash skinął głową.

– Porwał Emory. Ona nadal gdzieś tam jest. Bez jedzenia i wody, bez opieki, nie zostało jej wiele czasu. Pański syn może być jedyną żyjącą osobą, która wie, gdzie ją znaleźć.

Mathers wyglądał gorzej od swojego syna, był blady i oddychał płytko.

– Tylerze, czy to prawda?

Tyler wciągnął powietrze.

– On nie jest Zabójcą Czwartej Małpy. To nie jest tak, jak myślicie.

Clair przeszła przez pokój i przyklękła przy jego krześle.

– Rozumiem, że był ci bliski, ale dopuścił się okropnych rzeczy. Teraz jednak musimy się skupić na Emory. Jeżeli wiesz, dokąd ją zabrał, musisz nam o tym powiedzieć.

– Nie jest Zabójcą Czwartej Małpy – powtórzył Tyler.

Mathers wstał i podszedł do syna.

– Co próbujesz powiedzieć?

– Wujek Jake tylko próbował nam pomóc.

– W jaki sposób? – zapytała Clair.

Tyler popatrzył na ojca, a potem z powrotem na podłogę.

– Ojciec miał problemy finansowe. W zeszłym roku został zdegradowany w pracy. Miał trudności z opłaceniem rachunków, więc sięgnął do mojego funduszu na studia.

– Skąd wiesz o...

Clair uniosła rękę. Tyler kontynuował: – Dzięki swoim ocenom mam ogromne szanse dostać się na uczelnię należącą do Ivy League, ale nie jestem na tyle dobry, żeby przyznano mi stypendium. Tata nadal zarabia za dużo, żebym mógł się ubiegać o stypendium socjalne, więc musielibyśmy opłacić studia z własnej kieszeni. Kredyt studencki nie pokryje wszystkich kosztów. Wujek Jake powiedział, że muszę mu pozwolić sobie pomóc. Kiedy się dowiedział o chorobie, ubiegał się o polisę na życie, ale odrzucili jego wniosek, gdy odkryli diagnozę. Potem poinformował mnie, że znalazł inny sposób. Mniej więcej miesiąc temu skontaktował się z nim mężczyzna, który powiedział, że da mu zarobić dużo pieniędzy, jeśli wujek mu w czymś pomoże. Obiecał wujkowi, że to nie będzie nic nielegalnego, no, nic bardzo nielegalnego. Wiedział, że wujek Jake choruje i że nie zostało mu dużo czasu. Powiedział, że dzięki współpracy z nim wujek pomoże nie tylko mnie, lecz także wielu innym ludziom. Jednak wujek Jake nie mógł działać sam i potrzebował mojej pomocy.

Mathers znowu poczerwieniał.

– Do czego ten drań cię namówił?

– Panie Mathers, proszę – odezwała się Clair.

Tyler westchnął.

– Do niczego mnie nie namówił, tato. Do niczego, czego bym nie chciał. Powiedział, że muszę się zaprzyjaźnić z Emory Connors, może nawet zaprosić ją na kilka randek. Jest super, więc pomyślałem, czemu nie? Byliśmy na kilku randkach, potem zaczęła odwiedzać mnie w domu... – Jego wzrok powędrował w stronę Clair. – Na początku chciałem tylko sprawdzić, czy zdołam ją namówić do spotkania, ale kiedy ją lepiej poznałem, naprawdę mi się spodobała. Świetnie się razem bawiliśmy. Mogłem z nią pogadać. I jest taka mądra. Pomagała mi nawet w nauce. Dobrze się między nami układało. I wtedy wujek Jake kazał mi ukraść buty.

– Pana Talbota? – dopytała Clair.

– Tak. W zeszły czwartek oglądaliśmy film u Emory. Pan Talbot wpadł do mieszkania na jakieś dwadzieścia minut. Miał brudne ubranie. Nie wiem dlaczego. Powiedział, że musi wziąć prysznic i się przebrać. Zostawił brudne ubrania w gościnnej sypialni, żeby służąca zrobiła z nimi porządek. Mniej więcej dwadzieścia minut po jego wyjściu zadzwonił do mnie wujek Jake. Poprosił, żebym przyniósł buty pana Talbota. Nie wytłumaczył mi dlaczego. Powiedział tylko, że kazał mu je zdobyć tamten mężczyzna. Nie miałem pojęcia, skąd wiedział, że pan Talbot wpadł z wizytą i że zostawił swoje rzeczy. Zdziwiło mnie to. Pomyślałem, że założył w mieszkaniu kamery. Kiedy Em poszła do łazienki, schowałem buty do plecaka. Zaniósłem je wujkowi następnego dnia. Słowem nie skomentowałem, po co mu były potrzebne, ale powiedział, że tamten mężczyzna przelał mu na konto tyle pieniędzy, że wystarczy na moje chesne i jeszcze zostanie. Za parę butów! Nie mogłem w to uwierzyć. Spodziewaliśmy się, że przelew zostanie cofnięty, ale się tak nie stało. Następnego dnia wujek Jake dostał podręcznik do matematyki. Poprosił, żebym podrzucił go do mieszkania Emory. Znowu mnie to zdziwiło, ale nie widziałem powodu, żeby tego nie zrobić. Jeżeli jakiś dziwny gość chce płacić setki tysięcy dolarów za parę butów i za to, żebym...

– Ile? – wypalił Mathers.

Tyler popatrzył na ojca.

– Wujek Jake powiedział, że dostał pięćdziesiąt tysięcy po tym, jak się zgodził pomóc, potem dwieście pięćdziesiąt tysięcy za buty i...

– Chyba nie powinniśmy dalej rozmawiać przed przybyciem mojego prawnika – zwrócił się do detektywów Mathers.

Clair wywróciła oczami.

– Tylerze, gdzie jest Emory?

– Nie wiem.

– Pani detektyw, czy pani mnie nie słyszała? – zapytał Mathers.

– Jak wyglądał ten mężczyzna?

Tyler wzruszył ramionami.

– Nigdy go nie widziałem. I przypuszczam, że wujek Jake też go nie widział. Rozmawiał z nim tylko przez telefon.

– Mamy swoje prawa!

– Proszę dać nam minutę. – Clair chwyciła Nasha za ramię i wyprowadziła go z ciasnego gabinetu na korytarz. – Przekonuje cię to?

– Sam już nie wiem, w co mam wierzyć. W tej sprawie nic nie ma sensu.

Zawibrował telefon Clair. Spojrzała na wyświetlacz i odczytała wiadomość:

ZADZWOŃ DO MNIE! KLOZ

62 Pamiętnik

Zostawiliśmy panią Carter w piwnicy.

Powiedziała, że oni wrócą, i rzeczywiście wrócili. Po niespełna godzinie usłyszeliśmy ryk silnika duster na ulicy. Pan Nieznajomy przygazował silnik ze trzy lub cztery razy – chciał, żebyśmy wiedzieli o jego obecności.

Zebraliśmy się w trójkę przy oknie i obserwowaliśmy zielony samochód przez prawie pięć minut. Wreszcie ojciec warknął pod nosem, otworzył kuchenne drzwi i ruszył w stronę ulicy.

Stałem w otwartych drzwiach z matką za plecami, kiedy ojciec szedł trawnikiem prosto w stronę plymoutha zaparkowanego na ulicy między naszym podjazdem i podjazdem Carterów. Gdy od samochodu dzieliły go jakieś trzy metry, Pan Nieznajomy wrzucił bieg i odjechał z piskiem opon, zostawiając za sobą tuman kurzu.

Ojciec dość długo wpatrywał się w miejsce, w którym stało wcześniej zielone auto. Wrócił do domu, zamknął za sobą drzwi i przekręcił zasuwę. Rzadko kiedy zamykaliśmy drewniane drzwi w letnie miesiące. Nie mieliśmy klimatyzacji i w domu robiło się potwornie duszno; otwieranie drzwi i okien stanowiło jedyny sposób na walkę z upałem.

Zauważył, że mu się przyglądamy.

– To się źle skończy.

– Nie wiedzą, że ona tu jest – odparła matka.

– Wiedzą – nie zgodził się z nią. – Nie wiem skąd, ale wiedzą.

– To może im ją wydajmy. Niech z nią zrobią, co chcą.

Ojciec pomyślał przez chwilę, po czym pokręcił głową.

– Według mnie ona dobrze wie, gdzie są dokumenty związane z pracą jej męża.

Matka podeszła do ekspresu do kawy i włączyła go. Wyciągnęła z szafki brązową torebkę PT's Roasting Coffee Company, wsypała dwie łyżeczki kawy do filtra i uruchomiła ekspres. Po minucie pomieszczenie wypełniła woń świetnie palonego szczęścia i chociaż ojciec twierdził, że byłem za młody, żeby pić kawę (według niego kofeina mogłaby spowolnić mój rozwój i zwiększyć ryzyko, że cierpiałbym w dorosłości na bezsenność), lubiłem ten zapach. Dawał ukojenie i uspokajał atmosferę. Matka wyjęła dwa kubki, napełniła je i przyniosła do kuchennego stołu, przy którym usiadła razem z ojcem.

– Może powinniśmy zaprowadzić ją nad jezioro i utopić, żeby to wyglądało na wypadek? – podsunęła matka.

– To mogłoby otworzyć puszkę Pandory. Rybki w tym jeziorze żywią się już panem Carterem. Nie powinniśmy zwracać niczyjej uwagi na ten konkretny zbiornik wodny – odparł ojciec.

– To może w jej wannie?

Ojciec pociągnął łyk kawy i odstawił kubek na stół; obracał go w dłoniach.

– Ci ludzie przeszukali już ich dom i wiedzą, że jej tam nie ma. Wszystko wskazuje na to, że Carterowie wyjechali w pośpiechu, więc wątpię, żeby pani domu mogła wrócić w celu wzięcia kąpieli.

Przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Nie wiem skąd, ale wydawał się sensowny, więc go przedstawiłem.

– Moglibyście ją udusić i podrzucić ciało do bagażnika samochodu Carterów. Jeżeli dobrze wszystko zainscenizujecie, będzie to wyglądało tak, jakby zamordował ją pan Carter i uciekł.

Matka i ojciec popatrzyli na mnie pustym wzrokiem. Byłem w opałach. Trzeba się było nie odzywać. Może powinienem iść do siebie i...

– Doskonały pomysł, mistrzu! – stwierdził ojciec. – Zostawiliśmy samochód na dworcu. To idealne miejsce dla uciekającego męża.

Matka kiwała potakująco głową.

– Najpierw jednak musimy się dowiedzieć, gdzie schowali dokumenty.

Ojciec nie odrywał wzroku od kawy.

– Zabezpieczenie?

Matka przytaknęła.

– Zgadza się. Jeżeli ci ludzie nie uwierzą w ten wybieg, nie zaszkodzi nam mieć coś cennego, co pozwoli się z nimi targować. A co, jeśli ukradł pieniądze? Mogą się nam przy-

dać.

– Nie jesteśmy złodziejami – stwierdził ojciec.

– Jeżeli będziemy musieli się przeprowadzić, pieniądze będą nam potrzebne. Kto wie, jak się to wszystko potoczy. To przez nich jesteśmy w to uwikłani. Są naszymi dłużnikami.

Zważywszy na fakt, że matka zabiła pana Cartera i że pani Carter siedziała skuta kajdankami w naszej piwnicy, nie rozumiałem, jakim cudem to mogła być ich wina, ale ojciec chyba się z nią w jakimś stopniu zgadzał, bo nie zgłosił sprzeciwu.

Matka dopiła kawę, wstała i odstawiła pusty kubek do zlewu.

– Zrobimy to dzisiaj wieczorem czy jutro?

– Lepiej to zrobić w ciągu dnia. Wieczorem na dworcu jest raczej spokojnie i ktoś mógłby nas zauważyć – powiedział ojciec.

– Jak zamierzasz nakłonić ją do wyjawienia nam, gdzie są dokumenty?

Ojciec też dokończył kawę i postawił kubek obok kubka matki.

– W tym sęk, że jest dość twarda. Może ty spróbujesz?

Matka uśmiechnęła się szeroko.

– Bardzo chętnie!

63 Clair

Dzień drugi, 15.56

Clair zgmiotła pustą puszkę po pepsi i wrzuciła do kosza stojącego obok Nasha.

– Ile czasu minęło?

– Odkąd tam wjechał czy odkąd zadałaś to samo pytanie ostatnio? – odpowiedział pytaniem na pytanie Kloz.

Pokręciła głową.

– Jedno i drugie... Sama nie wiem. Dlaczego to trwa tak długo?

– Po raz ostatni pytałaś mnie o to dwadzieścia minut temu. Dotarł do szpitala trzy i pół godziny temu. Operacja zaczęła się trzy godziny i dwanaście minut temu.

– To moja wina – rzucił Nash w przestrzeń, nie zwracając się do nikogo konkretnego. – Założyłem, że dzieciak jest technikiem kryminalistycznym. Fotografował miejsce wypadku. Wydawał się kompetentny. Wokół kręciło się z tuzin innych techników i żaden z nich nie zasugerował, że to oszust.

– Nie był oszustem – zaprzeczył Kloz. – Przynajmniej nie na papierze. Skontaktowałem się z jego przełożonym. Według dokumentów z działu kadr przeniesiono go z Tucson przed dwoma miesiącami. Nikt nie zweryfikował danych telefonicznie. Wystarczyły dane elektroniczne.

– Które sfalszował?

Kloz przytaknął.

– To jeden z najlepszych wyczynów hakerskich, jakie widziałem. Według jego porucznika Watson, to znaczy Bishop, pracował przy tuzinie albo i więcej spraw, odkąd się tutaj pojawił. Połowa jego zespołu mogłaby poświadczyc, że to doskonały technik. Rozwikłał dwa zabójstwa na podstawie pobieżnego obejrzenia śladów krwi. Gdyby się utrzymał, pewnie za kilka lat kierowałby całym wydziałem.

Clair wydawała się zagubiona.

– Ale powiedziałeś, że jego odciski palców były opatrzone innym nazwiskiem. Jak udało ci się wpaść na coś, czego nie dostrzegły kadry ani laboratorium kryminalistyczne?

– Jego odciski palców zarejestrowano pod dwoma nazwiskami. Jeden zestaw należał do Paula Watsona, ale w rejestrze młodocianych należał do Ansona Bishopa. Myślę, że włamał się do systemu Programu Ścigania Brutalnych Przestępców i stworzył profil dorosłego, żeby zmylić tych, którzy weryfikują odciski palców. Nie mają dostępu do rejestru młodocianych przestępców.

– Ty miałeś.

Kloz wywrócił oczami.

– Oficjalnie nie. Rejestr młodocianych jest zabezpieczony. Trzeba wiedzieć, gdzie szukać. Zapomnijcie, jak mi się to udało osiągnąć. Rzecz w tym, że dopóki nie wejdzie się do akt, nie zna się nazwiska młodocianego przestępcy, więc pewnie założyli, że odciski należały do Paula Watsona. Rzekomo dopuścił się kradzieży w sklepie, a nie jest to występki, który dyskwalifikuje kogoś ubiegającego się o pracę w laboratorium kryminalistycznym, więc ten, kto weryfikował jego osobę, kiedy się to wszystko zaczęło, pewnie zignorował sprawę i poszedł dalej. O ile w ogóle widział te akta. To jest wielkie gdybanie. Osobiście wątpię, by ktokolwiek grzebał tak głęboko, tym bardziej że trafił tu z przeniesienia.

– Co wiemy o Ansonie Bishopie? – zapytała Clair.

Kloz prychnął.

– Nic. Kiedy się połapałem, co się dzieje, zadzwoniłem do Portera. – Westchnął ciężko. – Cholera, myślicie, że to moja wina? Gdybym do niego

nie zadzwonił, nadal sprawdzaliby poszlaki. Bishop nie miałby powodu, żeby robić mu krzywdę. Kurwa, to przeze mnie.

W pomieszczeniu zapanowała cisza. Kloz przyjrzał się ich twarzom.

– Hej, mieliście powiedzieć, że to nie moja wina. Że i tak doszłoby do czegoś takiego.

Nash pchnął go w ramię.

Kloz odskoczył i rozcierał bolące miejsce.

– Co jest?

– Jeżeli Porter umrze, wykopię ci zęby – warknął Nash.

– Przestań być takim neandertalczykiem – rzuciła Clair. A do Kloza powiedziała: – Jasne, że to nie twoja wina. Próbowalesz go ostrzec. Każdy z nas zrobiłby to samo.

Ciemnowłosy lekarz w okularach w drucianej oprawce wszedł do poczekalni, przyjrzał się dziwnie dwóm mężczyznom, po czym zwrócił się do Clair: – Detektyw Norton?

Clair wstała.

– Słucham?

– Operacja pani przyjaciela odbyła się bez zakłóceń. To wielki szczęście. Nóż tkwił w odległości trzech milimetrów od tętnicy. Najmniejsze przesunięcie i pan Porter wykrwawiłby się w ciągu minuty. Jego rana jest jednak powierzchowna. Doszło wyłącznie do uszkodzenia tkanki. Zatrzymamy go na noc, ale nie widzę powodu, żeby przebywał w szpitalu dłużej.

Clair objęła mężczyznę, niemal wytrącając mu z ręki podkładkę z dokumentami.

– Możemy go zobaczyć? – zapytał Nash.

Lekarz odsunął się niezgrabnie od Clair i skinął potakująco głową.

– Właśnie się obudził i pytał o was. W zwykłych okolicznościach nie pozwoliłbym na wizytę zaraz po operacji, ale pacjent poinformował mnie, że prowadzicie śledztwo, i oznajmił, że sam tu przyjdzie, jeżeli was do niego nie

przyprowadzę. Nie mogę pozwolić, żeby chodził, więc muszę zrobić wyjątek. Proszę nie siedzieć u niego długo. Powinien odpoczywać. – Wskazał w stronę korytarza. – Proszę ze mną.

Sala 307 była na poły prywatna. Nikt nie zajmował łóżka przy oknie. Clair poczuła, że serce jej zamarło, kiedy wyszła z za rogu i zobaczyła Portera na drugim łóżku, podłączonego do monitora i kroplówki. Odwrócił się w ich stronę, gdy weszli do pokoju. Spojrzenie miał szkliste i nieobecne.

– Dziesięć minut – odezwał się lekarz, po czym odwrócił się i odszedł w stronę stanowiska pielęgniarek.

Clair podeszła do łóżka i wzięła Portera za rękę.

– Jak się czujesz, Sam?

– Jak ktoś, kogo dźgnięto w udo jego nożem kuchennym – odparł. Głos miał zachrypnięty, wysiłony.

– Dorwiemy go – zapewnił Nash.

Kloz podszedł do niego z wahaniem, z nisko pochyloną głową.

– Przepraszam, Sam.

– To nie twoja wina – stwierdził Porter. – Powinienem być dostrzec sygnały. Coś było z nim nie tak.

– Nic nie było z nim nie tak – zaproponował Nash. – Nabrał nas wszystkich.

– Co o nim wiemy?

Kloz wyjaśnił sprawę odcisków palców i rejestru młodocianych przestępców.

– Poza tym nie mamy nic. Wyciągnęliśmy zdjęcie z jego biogramu i udostępniłyśmy prasie. Pokazują jego facjatę tak często, jak się da. Kapitan uczestniczył w trzech konferencjach prasowych. Weźmie udział w kolejnej w wiadomościach o osiemnastej.

Zadzwonił telefon Clair. Kobieta spojrzała na wyświetlacz.

– Tyler Mathers jest na komisariacie. Zatrzymają go tak długo, jak się da,

ale prawdopodobnie wyjdzie za kilka godzin. Upiera się, że powiedział nam wszystko, co wie. Pokazali mu zdjęcie Bishopa, ale go nie rozpoznał.

– Tyler Mathers? – Porter ściągnął brwi. – Co on ma z tym wspólnego?

Clair przekazała mu, czego się dowiedzieli – że Kittner dostał pieniądze za odebranie sobie życia, a Tyler ukradł buty Talbota i podrzucił książkę do mieszkania.

– Watson to #4MK – powiedział cicho Nash. – Albo Bishop, czy jak mu tam. Pieprzony fiut organizował całą akcję tuż pod naszym nosem.

Porter usiłował to wszystko zrozumieć, a jego umysł walczył z działaniem środków przeciwbólowych.

– Wiem, że chcielibyście tu być, ale musicie wrócić na komisariat i zająć się tym gościem. – Przesunął ciężar ciała na prawą stronę. – Nadal ma Emory, a teraz, kiedy już znamy jego tożsamość, pewnie będzie chciał przyspieszyć działanie. Dziewczyna ma coraz mniej czasu. My mamy go coraz mniej. Czy jego adres widnieje w dokumentach z działu kadr?

Kloz skinął głową.

– Tak, tylko że jest to adres Kittnera.

Porter obrócił się i natychmiast się skrzywił.

– Ostrożnie, Sam. Jesteś ranny – powiedział zatroskany Nash.

– Drań wiedział dokładnie, gdzie ugodzić. Wystarczyło siedem szwów, ale boli jak sukinsyn.

– Gdyby chciał cię zabić, zrobiłby to. Zależało mu na tym, żeby cię spowolnić – stwierdził Kloz.

Porter znowu przeniósł ciężar ciała.

– Trzeba było pojechać z kimś z was. Było mi ciężko i nawet nie wiem, czy będę potrafił o tym teraz mówić. Wydawało mi się, że jeśli pojedę na pięćdziesiąty pierwszy z tym dzieciakiem, będzie mi łatwiej.

Clair ujęła jego dłoń.

– Jesteśmy jak rodzina, Sam. Możesz rozmawiać z każdym z nas lub z

nikim. Wiesz, że będziemy przy tobie, kiedy będziesz gotów.

– Złapali go. Kolesia, który ją zabił. Złapali go w czasie kolejnego napadu i zidentyfikował go kasjer z naszego sklepu. Już jest po wszystkim.

Clair ścisnęła go za rękę.

– Domyślaliśmy się, że pojechałeś tam z tego powodu. Jeżeli ci czegoś trzeba, mów. Dobrze?

Porter skinął głową.

– Wracajmy do rzeczy i przeanalizujmy to, co już wiemy.

– Na pewno jesteś na to gotowy? – zapytał Nash.

– Nadal jestem trochę skołowany po narkozie i podają mi jakieś cudowne środki przeciwbólowe, przez co pewnie zgłupiałem do twojego poziomu, a ty wydajesz się funkcjonować normalnie.

– Jestem na tyle bystry, żeby nie dać się dźgnąć nożem.

Porter zbył Nasha machnięciem ręki.

– Clair, możemy tutaj podsumować, co wiemy?

Przytaknęła i wyciągnęła telefon.

– Mam tu wszystko. – Stukała przez chwilę w ekran, aż w końcu włączyła aplikację notepad. – No dobra. Mężczyzna w kostnicy to nie Zabójca Czwartej Małpy. Jest nim nieuchwytny Anson Bishop. – Popatrzyła na Kloza. – Wrócisz na komisariat i dokopiesz się do wszystkich informacji na jego temat. Zwłaszcza jego ruchów w mieście. Może się nam poszczęści i znajdziemy Emory na podstawie danych GPS z jego komórki. Postaraj się o nakaz.

– Pewnie korzystał z telefonu jednorazowego użytku – zauważył Kloz.

– Może tak, a może nie. Nie spodziewał się, że rozgryziemy, kim jest, a przynajmniej jeszcze nie teraz. Możesz też poszperać w informacjach na temat Paula Watsona. Może tam coś znajdziesz.

– Trzeba sprawdzić rejestr – odezwał się Porter.

Clair ściągnęła brwi.

– Jaki rejestr?

– Musieliśmy się wpisać do rejestru w pięćdziesiątym pierwszym komisariacie. To znaczy, że zamieścił tam swój numer telefonu i adres.

Nash wyciągnął telefon i wybrał numer.

– Zajmę się tym.

– Wiemy, że Bishop ubrał Kittnera w te buty – ciągnęła Clair. – Chciał, żeby w nich zginął, co miało nas doprowadzić do Talbota. To znaczy, że wszystkie pozostałe przedmioty znalezione przy nim stanowią potencjalną wskazówkę.

– Drobne, kwit z pralni, fedora, zegarek kieszonkowy... Co to wszystko znaczy?

– Rozgryź to – mruknął Porter.

– Słucham?

Porter pokręcił głową.

– Użył tego sformułowania w pamiętniku. Możesz mi go podać? Miałem go w kieszeni spodni, kiedy mnie tu przywieźli.

Clair rozejrzała się po sali i zauważyła zamkniętą szczelnie torebkę z rzeczami Portera leżącą na szafce na prawo od łazienki. Wyciągnęła pamiętnik i podała mu go.

– Skoro już tu tkwię, doczytam go do końca. Nie zostało mi dużo.

Nash rozłączył się i podszedł do łóżka Portera.

– Podał adres w La Salle. To nie jest adres Kittnera. Jakies nowe miejsce: Berwyn Apartments.

– W porządku. To musi coś znaczyć. Skontaktuj się z Espinosą i jedźcie tam z Clair – polecił Porter.

– O co może mu chodzić? – zapytał Nash. – Mamy sporo informacji na temat Talbota, ale nic na tyle poważnego, żeby go oskarżyć. Według mnie to znaczy, że Bishop jeszcze nie skończył. Nadal czegoś nie wiemy.

– Emory musi przeżyć, żeby Talbot zrealizował swój projekt nad jezio-

rem – powiedziała Clair.

– Jak to? – zapytał Porter.

Opowiedziała mu o rozmowie z Talbotem.

– To nie znaczy, że Bishopowi też zależy, żeby przeżyła – odparował Nash. – Równie dobrze może ją zabić, żeby uniemożliwić realizację projektu.

Porter pomyślał przez chwilę.

– Zgadzam się z Nashem. #4MK zawsze zabija osobę bliską komuś, kto popełnił przestępstwo. Według mnie guzik go obchodzi Emory, byle tylko zdołał dowalić Talbotowi. Domyślam się, że po wyjściu ode mnie udał się do miejsca, w którym ją przetrzymuje. Chce to doprowadzić do końca. Sądzę, że według niego jej śmierć wszystko zakończy.

Tablica z listą dowodów

#4MK = PAUL WATSON = ANSON BISHOP

Ofiary

1. Calli Tremell, 20 l., 15 marca 2009 r.
2. Elle Borton, 23 l., 2 kwietnia 2010 r.
3. Missy Lumax, 18 l., 24 czerwca 2011 r.
4. Susan Devoro, 26 l., 3 maja 2012 r.
5. Barbara McInley, 17 l., 18 kwietnia 2013 r. (jedyna blondynka) 6. Allison Crammer, 19 l., 9 listopada 2013 r.
7. Jodi Blumington, 22 l., 13 maja 2014 r.

Emory Connors, 15 l., 3 listopada 2014 r.

Wyszła biegać wczoraj o 18.03

TYLER MATHERS

Chłopak Emory – siostrzeniec JACOBA KITTNERA – mężczyzny potrąconego przez autobus

ARTHUR TALBOT

Finanse?

Zwłoki znalezione w budynku Mulifax Publications (który jest własnością Talbota) zidentyfikowano jako ciało Gunthera Herberta, dyrektora finansowego Talbot Enterprises

Coś śmierdzi w przypadku Moorings Development (które należy do Talbota) Emory jest właścicielką ziemi / Moorings Development

N. BURROW

Gospośia? Opiekunka? – Jedno i drugie Nauczycielka

PRZEDMIOTY ZNALEZIONE PRZY #4MK

Drogie buty – John Lobb / 1500 \$ za parę – rozmiar 11 (rozmiar stopy PODEJRZANEGO to 9) – są na nich odciski palców Talbota Tani garnitur

Fedora

75 centów drobnymi (dwie ćwierćdolarówki, dwie dziesiątki i jedna piątka)

Zegarek kieszonkowy

Kwit z pralni (nr 54 873) – Kłoz zawęza liczbę pralni, które wystawiły kwity z tym numerem

Rak żołądka – leki: oktreotydy, trastuzumab, oksykodon, lorazepam Tatuż po wewnętrznej stronie prawego nadgarstka, świeży – cyfra osiem, znak nieskończoności?

Podręcznik matematyki – podrzucony przez #4MK – prowadzi do – MAGAZYNU MULIFAX PUBLICATIONS

Fragment odcisku palca znaleziony na wagoniku w wejściu do tunelu, najprawdopodobniej wykorzystanego do przewiezienia ciała. Odcisk = Watson/Bishop/#4MK

Ucho, oczy i język znalezione w pudełkach (Gunther Herbert) – broszura znaleziona przy ciele i pudełka prowadzą do – BUDOWY MOORINGS LAKESIDE

Szczegółowa rewizja – nic nie znaleziono

Zdjęcia z kamery przemysłowej – #4MK popełnił samobójstwo, nie widać jego twarzy

Zadania

■ Clair i Nash pojedą do La Salle (do mieszkania #4MK/Bishopa) ■ Kłoz zbierze informacje na temat Watsona/Bishopa/#4MK

■ Porter dokończy czytać pamiętnik

64 Emory

Dzień drugi, 16.18

W świecie Emory zapanowała cisza.

Cisza tak ogłuszająca, że rozgrzewała do czerwoności przestrzeń między jej oczami, przebijała się do zdrowego ucha i mózgu, a następnie wylewała z drugiej strony z gwałtownością wrzącego oleju. Przycisnęła wolną dłoń do boku głowy i przeklęła tę, którą miała uwiązaną.

Dlaczego ten koszmar się nie kończył?

– Proszę, zabij mnie – szepnęła głosem, który nie należał do niej. Słabym, wysuszonym, drapiącym ją w gardło. To był głos dziewczyny, której nie chciała znać.

Muzyka ucichła, a jej miejsce zajęło dzwonienie – wiedziała, że było wytworem jej mózgu, ale mimo to wydawało się odbijać echem od ścian. Napędzało migrenę będącą pochodną bólu głowy, który zrodził się z pragnienia, by umrzeć, zamiast musieć znieść kolejną godzinę tego piekła.

Muzyka znowu ucichła. Ale wróci. Zawsze wracała.

Ostatnim utworem było *Whole Lotta Love* Led Zeppelin. Emory знаła tę piosenkę, ale nie miała pojęcia skąd. Zaskoczyło ją, z jaką łatwością przypomniała sobie nazwę zespołu, chociaż nie potrafiła sobie uzmysłwić, jaki to dzień tygodnia. Śpiewali też *Stairway to Heaven*, i czekała na ten kawałek. Odkąd się tu ocknęła, słyszała go już cztery razy i zaczęła myśleć, że stanowi oficjalny wyznacznik końca kolejnego dnia. Dzisiaj go jednak nie słyszała. A może słyszała? Kiedy słyszała go po raz ostatni? Nie pamiętała. Już nic nie pamiętała.

„Jesteś odwodniona, kochanie. Wydaje mi się, że w rękę wdała się infekcja. Marnie wyglądasz. Nikt by cię nie zaprosił na bal w tym stanie, to pewne”.

Rękę pewnie miała zainfekowaną. W nadgarstku pulsował jej ból prawie tak silny jak ból głowy.

Nie chciała dotykać nadgarstka.

Nie zrobi tego.

Wykluczone.

Kiedy ostatnio go dotykała, odniosła wrażenie, że nie należy do niej. Wydawało jej się, że dłoń jest jak wypchana rękawiczka. Była opuchnięta – co najmniej dwa razy większa niż zwykle – a ciało wokół bransoletki kajdank zrobiło się wilgotne i miękkie. O dziwo, nie bolało jej tak bardzo jak sam nadgarstek, i nie mogła przestać się zastanawiać dlaczego. Czy kajdanki uszkodziły nerwy?

Kości były ustawione pod dziwnym kątem, palce wykrzywione do tyłu w kierunku, w którym nie powinny być wygięte – coś takiego potrafiły tylko postaci z kreskówek. Nie było dobrze. Ani trochę.

Powinna znowu zmierzyć sobie puls, tylko że takie sprawy przestały już mieć dla niej znaczenie.

„Założę się, że mogłabyś zjeść szczura”.

– Nie zamierzam jeść szczura – odparła Emory i potarła skroń. – Prędzej umrę.

„Naprawdę? Ja bym wolą zjeść szczura. Zjadłabym go bez namysłu, gdybym znalazła się na twoim miejscu. Mogłabyś złamać mu kark i ostrą krawędzią noszy rozciąć mu brzuch. Jeżeli zrobisz to szybko, mięso będzie jeszcze ciepłe. Przypominałoby to wyjadanie resztek kurczaka z kubelka. Robiłaś coś takiego. Widziałam”.

– Nie zjem szczura – powtórzyła Emory, tym razem głośniej, bardziej stanowczo.

„Jest tak ciemno, że mogłabyś udawać, że jesz cokolwiek innego. Co byś powiedziała na żeberka? Uwielbiasz je”.

Emory zaburczało w brzuchu.

„Twoi przyjaciele się nie dowiedzą, a nawet gdyby się dowiedzieli, myślisz, że mieliby ci to za złe? Na pewno pogratulowaliby ci odwagi i zaradności”.

Chociaż Emory nie widziała żadnego szczura, była pewna, że w jej celi przebywał niejeden. Od czasu do czasu przebiegały jej po stopach i nogach, kiedy leżała na podłodze. Nawet teraz, gdy siedziała na noszach, czuła, że coś ją obserwuje. Stanęły jej włoski na karku. Czy szczury widzą w ciemnościach? Czy nie zastanawiała się już nad tym? Już nic nie pamiętała.

„Naturalnie najpierw musiałabyś któregoś złapać. Uważam, że powinnaś, nie sądzisz? To będzie nasza mała tajemnica. Obiecuję, że nikomu nie powiem. Odzyskasz siły, będziesz mogła się skupić. Może nawet uda ci się wrócić do tego małego problemu i wymyślić, jak się stąd wydostać? Słyszałam, że szczury to doskonałe pożywienie. Wspomagające pamięć”.

Emory zamknęła oczy, wzięła głęboki wdech i zaczęła liczyć od dziesięciu do jednego, żeby zagłuszyć ów głos. Gdy doszła do jednego, usłyszała ciszę.

„Jestem pewna, że ich oczy smakują jak cukierki”.

– Zamknij się! – krzyknęła. – Nie zjem szczura!!!

„Jak chcesz. One z pewnością nie będą się wahały, czy zjeść ciebie, kiedy już umrzesz z głodu. Pewnie już ciągną zapałki, żeby zdecydować, któremu przypadną pierwsze kąski”.

Głośnie kliknięcie.

Białe światło oślepiło Emory. Zacisnęła oczy, a gdy to nie wystarczyło, przycisnęła twarz do nogi i zasłoniła się ramieniem. To też nie pomogło. Wszystko zrobiło się różowe, widziała naczynia krwionośne w powiekach. Jej otoczenie wypełniło światło tak jaskrawe, że aż ją parzyło.

Usłyszała, że ktoś krzyknął. Przerazający wrzask odbijał się echem wokół niej. Dopiero gdy zaczerpnęła powietrza, dotarło do niej, że ten dźwięk wydobywał się z niej. Zdusiła go i milczała; słyszała tylko bicie własnego serca i świst każdego oddechu.

Zmusiła się, żeby otworzyć oczy, i przez łzy udało jej się stwierdzić, że jaskrawe światło biło z góry. Wygięła plecy, podniosła głowę i spojrzała w stronę jego źródła.

Nad nią, niebywale wysoko, przemknął jakiś cień. Usłyszała też głos, który odbijał się od ścian, przez co miała wrażenie, że człowiek wypowiadający te słowa stoi zaledwie kilka kroków od niej.

– Cześć, Emory. Przepraszam, że odwiedzam cię tak późno. Byłem bardzo zajęty chłopakiem.

65 Pamiętnik

Nie pamiętam, żebym spał, ale musiałem w pewnym momencie odlecieć, ponieważ leżałem na plecach, a potem na boku, bo poduszka obok mojej twarzy była nasączona śliną. Miałem na sobie wczorajsze ubranie. Zdjąłem tylko tenisówki, bo nie należy się kłaść do łóżka w butach bez względu na to, czy leży się pod pościelą, czy na niej. Ojciec kazał matce i mnie zostać w ubraniach, żebyśmy mogli szybko działać, w razie gdyby Pan Nieznajomy pojawił się w nocy.

Według zegarka na szafce nocnej dochodziła ósma.

Wstałem, przeciągnąłem się i podszedłem do drzwi.

Poprzedniego wieczoru znowu ustawiłem krzesło pod klamką. Byłem pewien, że matka już nie chce zrobić mi krzywdy, ale uznałem, że strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Krzesło jęknęło, gdy odepchnąłem je na bok. Otworzyłem drzwi i wyszedłem do przedpokoju.

Ojciec znowu spał na kanapie. Może urwał mu się film. Głośno chrapał, a na podłodze leżała pusta butelka po rumie Captain Morgan.

Drzwi do pokoju rodziców też były zamknięte. Matka pewnie spała spokojnie. Oboje siedzieli do późnej nocy i dyskutowali o naszej obecnej sytuacji. Chciałem z nimi zostać, ale ojciec upierał się, że powinienem odpocząć. Domyślałem się, że chciał też porozmawiać z matką sam na sam.

Chociaż wiem doskonale, że podsłuchiwanie nie jest stosownym zachowaniem w wypadku młodego dżentelmena, słuchałem mimo to. Niestety spodziewali się tego, bo mówili cicho i niewyraźnie, przez co nie mogłem ich zrozumieć. Domyślałem się, że się nie dogadali, skoro matka spała w sypialni, a ojciec na kanapie drugą noc z rzędu. Chyba że postanowił pełnić tam wartę. Jeżeli wziął na siebie takie zadanie, kiepsko się z niego wywiązywał.

Skoro matka nadal spała w sypialni, znaczyło to, że jeszcze nie rozmawiała z panią Carter. Dobrze się składało, bo chciałem uczestniczyć w tej rozmowie, jeśli dostanę pozwolenie.

Ojciec pewnie się niebawem obudzi, a wiedziałem, że będzie miał wielkiego kaca i równie ogromny apetyt, więc poszedłem do kuchni, żeby przyrządzić śniadanie. Dwadzieścia minut później postawiłem na stole talerz z tostami posmarowanymi masłem, pomarańczami pokrojonymi w plastry i patelnię z jajecznicą z żółtym serem.

Podziałało to na matkę jak muzyka czarodziejskiego fletu – wyłoniła się z sypialni, ziewnęła szeroko i usiadła.

– Zaparzyłeś kawę?

Owszem, zaparzyłem, więc postawiłem przed nią kubek i napełniłem go po brzegi. Wrzuciłem dwie kostki cukru i dodałem odrobinę śmietanki.

– Dziękuję.

Leżący na kanapie ojciec obudził się z jękiem. Opuścił stopy na podłogę i przetarł zmęczone, zaczerwienione oczy.

– Która godzina? – Głos miał zachrypnięty, szorstki.

– Siedem po ósmej – poinformowałem go. – Chcesz zjeść śniadanie, ojczy?

Przytaknął i wstał. Przeciągnął się przed dużym oknem w salonie.

– O rety. – Patrzył na zewnątrz, a jego blada twarz nic nie wyrażała. – Spójrzcie na to.

Podeszliśmy do niego z matką. Poczulem, jak jakaś pięść ścisła mnie za serce.

Dodge aries Carterów stał na ich podjeździe. Drzwi miał otwarte z obu stron, a ubrania, które tak pieczołowicie spakowałem, rozwłóczono po podjeździe i całym podwórku. Nie tylko ich podjeździe i podwórku, lecz także naszym. Zauważyłem koszulę zwisającą z dużego wiązowca, który rósł w rogu naszej działki; tenisówki i klapki zdobiły krzew róż matki, a...

O rety. Porsche ojca. Dach kabrioletu był opuszczony, a drzwi po stronie pasażera otwarte. Ojciec nigdy nie zostawiał opuszczonego dachu, chyba że samochód stał w garażu, a zostawienie otwartych drzwi było niedopuszczalne bez względu na okoliczności.

Ojciec przepchnął się obok nas i wybiegł na zewnątrz. Próbowałem go zatrzymać, bo bałem się, że ten, kto to zrobił (najprawdopodobniej byli to Pan Nieznajomy i jego przyjaciel, ale nie miałem tendencji do pochopnego wyciągania wniosków), może nadal być gdzieś w pobliżu, jednak byłem za słaby, żeby mu przeszkodzić.

Kiedy zbliżyłem się do samochodu, zorientowałem się, że dach nie został opuszczony – po prostu już go nie było. Ktoś odciął go niedbałymi pociągnięciami noża i cisnął materiałem za siedzenie kierowcy.

Zniszczenia nie ograniczały się do tego.

Przebito wszystkie cztery opony. Przyjrzałem się najbliższej i bez trudu dostrzegłem, gdzie wbito nóż. W bocznej ścianie widniały dwie dziury, co niwelowało jakiegokolwiek szansę na załatwienie ich. Trzeba będzie je wymienić. Przypuszczałem, że pozostałe znajdowały się w takim samym stanie.

Zbito też przednie reflektory. Okruchy szkła leżały na zderzaku i podjeździe. Tylne światła również ucierpiały. Ktoś w nie kopnął lub uderzył kijem baseballowym. Trudno było to stwierdzić.

Jak udało im się zrobić coś takiego, nie hałasując? Przecież ojciec coś by usłyszał, prawda?

W lakierze wydrapano słowa, plugawe, wulgarne. A siedzenia? Nóż, który rozprawił się szybko z dachem i oponami, miał styczność także z luksusową czarną skórą i pociął ją na cienkie paski, uwalniając puszyste wypełnienie.

Mniej więcej równocześnie z ojcem dostrzegłem, że maska samochodu jest lekko uniesiona. Podnieśliśmy ją. Przewody wychodzące z akumulatora zostały wyrwane i przyłożone odwrotnie, przez co wszystkie części elektryczne w pojeździe na pewno uległy uszkodzeniu. Nadal czułem woń siarki w powietrzu. Taki manewr wystarczył by uszkodzenia doszło w jednej chwili, lecz sprawca mimo to poświęcił sporo czasu na podpięcie przewodów w odwrotnej pozycji, by spowodować jak największe zniszczenia. Akumulator wybuchł z przeciążenia, kwas siarkowy wydostał się z otworów na górze i zalał koło zapasowe oraz zestaw narzędzi, które ojciec trzymał pod maską.

Bagażnik również był otwarty. Brakowało korka od zbiornika z olejem oraz z płynem chłodniczym. Z obydwu zbiorników wysypało się z pół kilograma cukru. Niewątpliwie wypełniono je nim.

Znaleźliśmy cukier także we wlewie paliwa.

Ojciec mógł się tylko przyglądać.

Samochód matki był w niewiele lepszym stanie. Jej ford tempo miał cztery przebite opony i podniesioną maskę.

Rozejrzałem się w poszukiwaniu zielonego plymoutha, ale nie było po nim śladu.

Matka patrzyła w stronę domu Carterów. Drzwi wejściowe stały otworem.

66 Porter

Dzień drugi, 16.40

Telefon na stoliku obok szpitalnego łóżka Portera ożywił się i zadzwonił tak głośno, że mężczyzna aż się wzdrygnął. Noga ostro go zaboląła. Skulił się i potarł świeże szwy na udzie, następnie sięgnął po słuchawkę i odebrał połączenie.

– Halo?

– Jak się czujesz, Sam? – zapytał mężczyzna, który był niegdyś Paulem Watsonem, a teraz Ansonem Bishopem. W jego głosie pobrzmiwała dziwna pewność siebie, wcześniej nieobecna. Porter zorientował się, że była prawdziwa i że osoba Watsona była tylko fasadą.

– Czuję się tak, jakby ktoś próbował mnie zabić – odparł, a jego wolna dłoń bezwiednie zawędrowała w stronę rany w nodze.

– Nie usiłowałem cię zabić, Sam. Gdybym chciał, już byś nie żył. Dlaczego miałbym zabijać swojego ulubionego gracza w tej grze?

Porter rozejrzał się po szpitalnym stoliku i szafce w poszukiwaniu swojej komórki, ale przypomniało mu się, że Bishop ją rozdeptał w jego mieszkaniu. Gdyby mógł wybrać numer kwatery głównej, mogliby zacząć namierzać faceta.

– Korzystam z telefonu na kartę, Sam. To tani model, który można kupić w sklepie wielobranżowym. Aktywowałem go z użyciem karty kupionej za gotówkę ponad miesiąc temu. Domyślam się, że mógłbyś go śledzić, tylko po co? Za kilka minut telefon będzie sobie pływał w rzece Chicago w otoczeniu innych śmieci, a ja będę wiele kilometrów dalej.

– Gdzie Emory?

– Gdzie jest Emory?

– Żyje?

Brak odpowiedzi.

Porter zmusił się do tego, by usiąść pomimo bólu.

– Nie musisz robić jej krzywdy. Powiedz nam, co masz na Talbota, a my się nim zajmiemy. Masz moje słowo.

Bishop zachichotał.

– Wierzę w twoje słowo, Sam. Naprawdę. Obaj jednak wiemy, że nie tak gra się w tę grę, prawda?

– Nie musi ginąć nikt więcej.

– Jasne, że musi. Bo jak inaczej się nauczą?

– Jeżeli ją zabijesz, zrobisz coś złego, Bishop. A przez to nie będziesz lepszy od innych – wytknął mu Porter.

– Talbot to szumowina. Jest zieloną, jątrzącą się infekcją toczącą ten świat, czymś, co należy wyciąć i wyrzucić, zanim zniszczy okoliczną tkankę.

– Więc dlaczego krzywdzisz Emory? Dlaczego nie zabijesz jego?

Bishop westchnął.

– Trzeba zniszczyć pionki, żeby upadł król.

– To nie jest gra.

– Wszystko jest grą, Sam. Wszyscy jesteśmy pionkami na szachownicy. Czy lektura mojego pamiętnika nic ci nie dała? Myślałem, że twój wewnętrzny domorosły psycholog już się w tym zdążył połapać. Dawno temu nauczyłem się, że najlepszym sposobem ukarania ojca za jego grzechy jest zmusić go, by doświadczył bólu własnego dziecka. Ktoś taki jak Talbot spodziewa się, że w pewnym momencie zapłaci za swoje występki. Jest na to mentalnie przygotowany. Czeka na nadejście tego dnia. Jeżeli wtrącicie go do więzienia, niczego się nie nauczy, nie ewoluuje, nie zmieni się. Odsiedzi swoje, wyjdzie na wolność i zrobi coś jeszcze gorszego. A co się stanie, jeśli

za to, czego się dopuścił, zabierzesz mu dziecko? To zupełnie inna historia. Do końca życia będzie przeklinał to, co zrobił. W każdej godzinie będzie świadom tego, że jego dziecko zginęło za jego grzechy.

– Emory jest niewinna – powiedział Porter.

– Jest bardzo dzielna. Powiedziałem jej, że dzięki jej poświęceniu coś zmieni się na lepsze. Wy tłumaczyłem jej, że to jej ojciec postawił ich dwoje w tej sytuacji, i wydaje mi się, że zrozumiała.

Mówił o niej w czasie teraźniejszym. Czy nadal żyła?

– Proszę, żebyś i ty zrozumiał. To dla mnie bardzo ważne. Poskładaj wszystkie elementy, które ci podsunąłem. Rozgrzyź to. Masz odpowiedź na wyciągnięcie ręki, a raczej miałeś.

– Powiedziałeś, że wszystko, czego potrzebuję, znajdę w pamiętniku.

Bishop westchnął.

– Tak powiedziałem?

Porter przekartkował notatnik.

– Prawie skończyłem.

– Zgadza się, Sam. Prawie skończyłeś. – Wciągnął głęboko powietrze i wypuścił je powoli. – Domyślam się, że twoi przyjaciele są już w moim mieszkaniu. Może to rzuci trochę światła na sprawę?

– Gdzie jest Emory, Bishop?

– To elementarne, jak mógłbyś wczoraj powiedzieć. Jaka szkoda, że musieliśmy przerwać tę farsę. Tak świetnie się bawiłem, grając detektywa z tobą i twoimi przyjaciółmi. Będzie mi też brakowało kolegów z laboratorium kryminalistycznego.

– Dlaczego to zrobiłeś? Dlaczego udawałeś technika? Dlaczego namówiłeś Kittnera, żeby się zabił? Po co to wszystko?

Bishop znowu się zaśmiał.

– W rzeczy samej, po co? – Zamilkł na chwilę. – Chyba byłem ciebie ciekaw, Sam. Uganasz się za mną od ponad pięciu lat. Bawimy się w kotka i

myszkę. Chciałem cię lepiej zrozumieć. Ojciec powiedział mi kiedyś, że lepszemu diabeł znany niż nieznany. Musiałem cię poznać. Nie będę kłamał. Intrygowano mnie to wyzwanie. Dobrze jest stawiać przed sobą wyzwania, nie sądzisz?

– Uważam, że jesteś wariatem – odparł Porter.

– Nie musisz mnie obrażać. Pamiętaj o lekcjach mojego ojca. Mówienie złych rzeczy tylko prowadzi do większego zła, a jest go już całkiem sporo na tym świecie.

– Puść ją wolno, Bishop. Odejdź. Zakończ to.

Bishop odchrząknął.

– Mam dla ciebie kilka nowych pudełek, Sam. Świeżych. Obawiam się jednak, że nie będę miał czasu ich wysłać. Nie obrazisz się, jeśli ci je po prostu podrzucę?

– Gdzie ona jest? – powtórzył pytanie Porter.

– Może już je gdzieś zostawiłem. Może powinieneś się skontaktować z Clair i Nashem.

– Jeśli zrobisz jej krzywdę, zabiję cię – warknął Porter.

– Tik-tak, Sam. Tik-tak.

Klik.

Rozłączył się.

Porter jeszcze przez chwilę trzymał słuchawkę przy uchu i słyszał w niej tylko własny oddech. Odłożył ją na widełki.

Tik-tak.

Bishop bawił się w kolejną grę.

Porter wstał z łóżka. Poruszał się powoli i trzymał dłoń przyciśniętą do rany. Szwy go ciągnęły, ale się nie rozchodziły. Podszedł do szafy i wyciągnął plastikową torbę z butami. Nigdzie nie było jego ubrań. Spodnie rozcięto i pewnie leżały już w śmietniku razem z koszulą.

„Cholera”.

Otwierał szuflady tak długo, aż znalazł zielony strój chirurga. Włożył go – okazał się trochę za ciasny, ale musiał mu wystarczyć. Sięgnął po buty i zatrzymał się, kiedy spostrzegł wystający ze środka kawałek folii: to była torebka z zegarkiem.

Świecił we fluorescencyjnym świetle.

Serce mu załomotało i zabrakło mu tchu.

„Czy to mogło być aż tak proste?”

67 Pamiętnik

Trawa była wciąż wilgotna od porannej rosy i wydawała się gąbczasta pod butami. Ruszyłem w stronę domu Carterów bez zastanowienia i chociaż ich nie słyszałem, wiedziałem, że moi rodzice szli w odległości kilku kroków za mną. Spodziewałem się, że któreś z nich każe mi się zatrzymać, poczekać lub cofnąć za nich, ale nie usłyszałem takiego polecenia. Domyśliłem się, że ojciec był w szoku, i mogłem sobie tylko wyobrażać, jakie myśli przelatywały przez głowę matki.

Kiedy mijałem samochód Carterów, dostrzegłem, że nie był w takim samym stanie jak porsche ojca. Owszem, został unieruchomiony, ale zniszczenia nie miały tak osobistego charakteru. Nikt nie pociął siedzeń ani nie zbił reflektorów. Uszkodzono go w sposób, który uniemożliwiał ucieczkę, i na tym poprzestano. W wypadku porsche zaatakowano nie tylko samochód, lecz także mojego ojca. Skierowano do niego przesłanie.

Torba podróżna, którą tak skrupulatnie spakowałem, była otwarta, a jej zawartość rozwłoczono po werandzie: lekarstwa, szczoteczki do zębów, dezodorant. Ktoś zgniótł tubkę pasty pod butem i usmarował nią deski. Mrówki były zachwycone i już przystąpiły do prakochłonnego procesu transportowania jej do niewidzialnej kolonii pomiędzy deskami podłogi. Miałem ochotę je rozdeptać, ale się zreflektowałem.

– Postarajcie się nie nadepnąć na pastę. Nie chcemy zostawić odcisków butów – powiedziałem przyciszonym tonem.

Ojciec mruknął za mną. Jestem pewien, że docenił moją ostrożność, ale nie mogłem mieć do niego pretensji o to, że mnie nie pochwalił.

Zarówno wewnętrzne drzwi, jak i te z siatką były otwarte. Mogłem zajrzeć do kuchni.

Odwrociłem się w stronę ulicy, żeby się upewnić, że zielony plymouth nie wrócił, po czym wszedłem do domu.

Kałuża burbona już wyschła i leżały na niej truchła pijanych mrówek. Szlaczek z nich

był coraz cieńszy, aż wreszcie niknął pod zlewozmywakiem. Ktoś zmiotł potłuczone szkło w małą kupkę w rogu w głębi pomieszczenia.

Na stole leżało sześć fotografii – nigdy wcześniej ich nie widziałem, a mimo to wyglądały znajomo. Przedstawiały matkę i panią Carter leżące nago na łóżku.

68 Clair

Dzień drugi, 16.47

Clair wciskała pedał gazu w podłogę, gdy jej honda civic pędziła West Van Buren, a niebiesko-czerwone światło koguta odbijało się od bielonych betonowych ścian tunelu.

– Jakie są szanse na to, że zamknął ją w swoim mieszkaniu? – zapytał Nash, zaciskając palce na uchwycie przy drzwiach tak mocno, że aż zbieleły.

Clair prychnęła.

– Nie podoba ci się mój styl jazdy?

Nash się zaczerwienił i puścił uchwyt. Rozprostował palce.

– Jechałaś przez Loop sto trzydzieści na godzinę, a przecież zaczęły się już popołudniowe godziny szczytu. Dziwię się, że jeszcze nie wskoczyłaś na chodnik i nie staranowałaś kilkoro pieszych.

Clair gwałtownie skręciła kierownicą i zajęchała drogę mężczyźnie w średnim wieku w czarnym bmw. Uderzył w klakson i przysunął środkowy palec do szyby.

– Pojazdom uprzywilejowanym trzeba ustąpić z drogi, dupku! – ryknęła Clair do wstecznego lusterka i też wystawiła palec.

– Nie odpowiedziałaś na moje pytanie – powiedział Nash.

– Chcesz znać moje zdanie? Według mnie ten Watson, Bishop, czy jak mu tam, bawi się nami. Wyważymy drzwi, a wtedy to mieszkanie wybuchnie. Tak właśnie myślę – oznajmiła Clair. – Ale wiesz co? Jeżeli istnieje prawdopodobieństwo, że ona tam jest, warto podjąć ryzyko. Od samego

początku traktował to jak grę. A my byliśmy jak myszy biegające po jego labiryncie. Jedziemy do jego mieszkania, bo on tego chce. To proste. W jakim innym celu zostawiłby swój adres? Domyślam się...

– Cholera! – krzyknął Nash.

Clair skręciła gwałtownie, wskoczyła na krawężnik i minęła śmieciarkę w odległości mniej więcej metra. Gdy szarpnęła kierownicę w lewo, samochód zeskoczył z powrotem na drogę, mijając budkę z hot dogami niemal na odległość gazety – Nash mógłby wystawić rękę przez okno i chwycić obiad.

– Domyślam się, że tak długo, jak pociąga za sznurki, Emory żyje.

– Zamierzasz udawać, że to się nie stało?

Clair przytaknęła.

– Tak.

Nash wywrócił oczami.

– Wyłącz syrenę i koguta. Jesteśmy blisko. Budynek Bishopa jest przed nami.

– Widzę Espinosę. – Clair wskazała na granatową furgonetkę z napisem Tomlinson Plumbing zaparkowaną dwie przecznice dalej. Zaparkowała równolegle trzy samochody od niej i wezwała Espinosę przez radio.

– To ten dwupiętrowy budynek z żółtą camry przed nim – zatrzeszczał głos Espinosy.

Clair i Nash popatrzyli równocześnie we wskazanym kierunku.

– Przyjęłam.

– Moi ludzie zajęli pozycje. Mieszkanie Bishopa znajduje się na parterze, drugie drzwi od prawej od strony ulicy. Obserwujemy je od około dwudziestu minut. Żaluzje są zaciągnięte. Nie widzimy źródła ciepła w środku, ale trudno o dobry odczyt przez tak grubą cegłę. Wejdziemy tam, sprawdzimy teren i damy wam znak, żebyście weszli za nami.

– Zrozumiałam – odparła Clair. – Czekamy na sygnał.

Espinosa zaczął wyszczekiwać rozkazy. Trzech ludzi wysiadło z furgo-

netki i ruszyło szybkim biegiem. Espinosa i drugi mężczyzna podbiegli w stronę drzwi wejściowych, a trzeci mężczyzna obiegnął budynek i zmierzał na jego tył. Po dotarciu do drzwi pierwszy mężczyzna krzyknął „Policja!”, następnie wyważył drzwi małym taranem, podczas gdy Espinosa go krył. Obaj wśliznęli się do środka i zniknęli w mroku.

Głos Espinosy odezwał się w radiu: – Teren czysty.

Clair i Nash wysiedli z hondy i popędzili ulicą, wyciągnawszy broń.

Gdy dotarli do drzwi wejściowych, Espinosa wyszedł im na spotkanie.

– Wiedział, że przyjedziemy. Chce, żebyśmy tu byli.

– Dlaczego? Co jest wewnątrz?

Skinął głową za siebie.

– Sami zobaczcie.

Clair ściągnęła brwi i weszła do mieszkania.

Nie było duże, miało trochę ponad siedemdziesiąt metrów kwadratowych. Drzwi otwierały się na salon, skąd można było wejść do małej kuchni. Łazienka znajdowała się po prawej stronie, a w głębi widniały drzwi prowadzące do drugiego pokoju. Mieszkanie świeciło pustkami, a kuchnia wyglądała na nieużywaną. Ściany były gołe.

Pośrodku pokoju stało białe pudło na dokumenty przewiązane czarnym sznurkiem.

69 Pamiętnik

Zebrałem zdjęcia i schowałem je do kieszeni w chwili, kiedy matka i ojciec weszli do kuchni za mną.

– Coś tu potwornie śmierdzi – wykrzyknęła matka, marszcząc nos.

Ojciec wskazał na lodówkę.

– Ktoś zostawił otwarte drzwi. Pewnie wszystko zaczęło się psuć.

Nadal trzymałem rękę w kieszeni. Bałem się spojrzeć w dół i po części spodziewałem się, że zdjęcia wypadną na podłogę, ale tkwiły bezpiecznie w moich spodniach.

Ojciec gwizdnął.

– Nieźle przetrząsnęli ten dom.

Rzeczywiście. Wszystkie szuflady i szafki w kuchni stały otworem, a ich zawartość leżała na podłodze i blatach. Kanapa w salonie została wybebeszona. Poduszki pocięto, a ich wnętrze fruwało po pokoju, przywodząc na myśl białe biegacze stepowe. Na ekranie telewizora wydrapano wielki X. Książki z kolekcji pani Carter zrzucano z półek i podarto na strzępy. Kawałki papieru walały się wszędzie. Nie przepuszczono żadnej rzeczy.

– Coś mi tu nie pasuje – stwierdziła matka. – Powinniśmy stąd wyjść.

Ojciec przeszedł szybko przez przedpokój, zajrzał do sypialni i wrócił do kuchni.

– Jeżeli to coś, czego szukali, było tutaj, na pewno to znaleźli. Zajrzeli do każdego pomieszczenia, w każde możliwe miejsce.

– Chcę stąd wyjść. – Matka przestępowała z nogi na nogę.

Usłyszałem samochód tuż przed tym, jak usłyszał go ojciec. Mimo to on dobiegł do drzwi jako pierwszy. Stałem obok niego i obserwowałem zielonego plymoutha duster, który zjechał z ulicy na żwirowy podjazd prowadzący do domu. Poranne słońce odbijało

się od przedniej szyby i nie mogłem zajrzeć do środka.

– Do domu! – rozkazał ojciec.

Wypadliśmy z domu i popędziliśmy przez trawnik jak szaleni. Matka biegła pierwsza, ojciec zamykał szereg. Spodziewałem się, że się zatrzyma i zrewanżuje za swoje porsche, ale tego nie zrobił. Był bardzo mądry i nie pozwalał, żeby gniew nim zawładnął.

Dopałem do schodów w chwili, kiedy plymouth zatrzymał się gdzieś za nami. Pisnęły otwierane drzwi, a potem usłyszałem charakterystyczny dźwięk odwodzonego kurka strzelby.

– Hejka, sąsiedzi! Tęskniliście za nami? – ryknął głos Pana Nieznajomego.

70 Porter

Dzień drugi, 16.57

Gdy Porter wychodził głównym wyjściem ze szpitala, zauważył młodą kobietę wysiadającą z taksówki. Wsunął dwa palce w usta i gwizdnął tak głośno, że przestraszył starszego mężczyznę stojącego na prawo od niego. Posłał mu wymuszony uśmiech, ukłonił się i pokuśtykał do taksówki.

Kiedy opadł ciężko na tylne siedzenie, kierowca parsknął śmiechem.

– Ucieka pan?

Porter zatrzaskał drzwi i skrzywił się, bo ciągnęły go szwy.

– Słucham?

– Ma pan na sobie strój chirurga i wydaje się pan skołowany, trochę za bardzo na kogoś z personelu.

– Nic z tych rzeczy. Jeden z moich współpracowników dźgnął mnie kuchennym nożem w nogę, a potem porzucił mnie w mojej własnej kuchni, żebym tam umarł. Nie mogłem znaleźć swojego ubrania, więc wykorzystałem to.

– Mądrała. – Mężczyzna się uśmiechnął. – Dokąd jedziemy?

– Do Lost Time Antiques and Collectibles przy Belmont – odpowiedział Porter.

– Poproszę adres.

Do Portera dotarło, że nie znał dokładnego adresu. Sięgnął po telefon i znowu sobie przypomniał, że Bishop go zniszczył.

– Nie znam. Powiedziano mi, że antykwariat znajduje się przy Belmont.

Kierowca wywrócił oczami, sięgnął po swój telefon i wklepał nazwę.

– West Belmont trzysta szesnaście. Wygląda na to, że to naprzeciwko apartamentów Belmont Edge.

– Może tak być. – Porter spojrział przez okno na nasilający się ruch. – Jeżeli powiem panu, że jestem gliniarzem, pewnie pan nie przyspieszy?

Kierowca włączył się do ruchu i zerknął na Portera we wstecznym lusterku.

– Proszę pokazać odznakę.

Porter wykonał ruch w kierunku tylnej kieszeni, ale przypomniało mu się, że ma na sobie strój chirurga.

– Jest w moich...

– ...spodniach, z których wystaje nóż?

– Tak.

– Zobaczę, co mi się uda zrobić.

Porter wyciągnął pamiętnik i wrócił do lektury w miejscu, w którym przerwał.

71 Pamiętnik

Chyba poczułem kulę, zanim usłyszałem wystrzał. Nabój minął ze świstem moją głowę i wbił się we framugę jakieś piętnaście centymetrów na prawo ode mnie, posyłając w powietrze odłamki drewna. Jeden z nich uderzył mnie w policzek i rozciął skórę. Zanim zdążyłem wyciągnąć rękę, by dotknąć twarzy, ojciec pchnął mnie w plecy. Straciłem równowagę i runąłem na podłogę obok kanapy. Przeturlałem się i znalazłem matkę kuczającą za kanapą. Popatrzyła jak oszalała na mnie, potem na drzwi i znowu na mnie. Ojciec zatrzasnął drzwi kopnięciem.

Leżał na podłodze. Patrzyłem, jak wyciągnął rękę i przekręcił zasuwę, po czym znowu się położył.

– Postrzelił cię! – wykrzyknęła matka.

Pokręciłem głową.

– Nie, matko. To był tylko odłamek framugi, nic poważnego. Nic mi nie jest.

Dopiero po chwili pojąłem, że nie mówiła do mnie. Powiodłem za jej wzrokiem w kierunku ojca. Przyciskał lewą rękę do prawego ramienia. Pod jego palcami rosła czerwona plama.

Matka wstała i podeszła do niego.

– Pochyl się! – polecił jej ojciec.

Uklękła przy nim.

– Pokaż.

– Tylko mnie drasnął. To nic poważnego.

Matka rozpięła mu koszulę i przyjrzała się ranie.

– Przynieś mi apteczkę i mokry ręcznik. I pochyl głowę – powiedziała.

Poszedłem do kuchni i wyciągnąłem czerwone pudełeczko spod zlewu. Mieliśmy takie same zestawy w każdym pokoju oraz w łazience. Matka zazwyczaj korzystała z tego, kiedy zadrapałem sobie kolano lub otarłem łokieć, więc nie byłem pewien, czy jest tu wszystko, co trzeba. Pomyślałem, że przyniosę któryś z pozostałych zestawów, ale uznałem, że lepiej będzie podać matce ten i w razie konieczności pójść po następny. W szufladzie obok zlewu znalazłem czysty ręcznik do rąk, włożyłem go pod wodę, żeby dobrze nasiąknął, i popędziłem do salonu.

Na czole ojca lśnił pot. Nie pamiętałem, żebym go widział spoconego.

Matka wzięła ode mnie apteczkę, otworzyła wieko jedną ręką i wyciągnęła butelkę z alkoholem. Wytarła krew mokrym ręcznikiem i polała ranę spirytusem. Ojciec wciągnął głęboko powietrze i syknął.

Kula nie przebiła się przez ciało, tylko się o nie otarła, zostawiając za sobą czerwony rowek. Pochyliłem się, żeby móc się lepiej przyjrzeć, ale matka mnie odgoniła.

– Zasłaniasz mi światło.

– Przepraszam.

Ponownie delikatnie osuszyła zadrapanie i wyjęła wolną ręką gazik. Chwilę później rana była opatrzona. Bandaż się zaróżowił, ale krew płynęła już wolniej. Ojciec dojdzie do siebie.

Uśmiechnął się do matki.

– Dziękuję.

Matka skinęła głową, wrzuciła resztkę alkoholu w buteleczce i gazik do apteczki, następnie odepchnęła ją na bok.

– Co teraz?

– Teraz doprowadzimy to do końca.

72 Clair

Dzień drugi, 17.09

Clair podeszła bliżej.

– Otwieraliście je?

Espinosa pokręcił głową.

– Chciałem zostawić ten zaszczyt wam. Jeżeli uważacie, że to może być coś niebezpiecznego, mogę sprowadzić saperów.

Nash przyklęknął przy białym pudle, włożył lateksowe rękawiczki i szturchnął czarny sznurek związany na górze.

– To nie jest w stylu naszego faceta. On wkłada części ciała do swoich pudełeczek. Nigdy nie było to nic tak dużego.

– Otwórz, Nash – odezwała się Clair.

– Może rzucimy monetą? Musiałem otwierać poprzednie pudełko.

– Nalegam. Oglądałam *Siedem*. Jeżeli w środku leży głowa Gwyneth, nie będę mogła zapomnieć tego widoku miesiącami. Zostawiam to tobie. Bądź mężczyzną.

Nash wyrócił oczami i odwrócił się w stronę pudła.

– To jest standardowe pudło na dokumenty. Można takie kupić w każdym sklepie z artykułami biurowymi. – Przyklęknął. – Nic nie czuję. Nie ma śladów wilgoci. Nic nie napisano na wierzchu.

Pociągnął za sznurek – rozwiązał się i opadł na boki. Kiedy Nash sięgnął w stronę wieka, Clair i Espinosa cofnęli się o krok.

– Może powinniśmy poczekać na techników kryminalistycznych? – zasugerował Nash.

– Otwieraj. Może się dowiemy, gdzie szukać Emory.

Nash przytaknął niechętnie, zdjął pokrywę, pochylił się i zajrzał do środka.

– Hm...

73 Pamiętnik

Wzdrygnąłem się, kiedy ktoś rąbnął w drzwi wejściowe.

– Trafiłem cię? – zapytał z drugiej strony Pan Nieznajomy. – Przykro mi. Chyba mnie trochę poniosło. Dawno już nie byłem na polowaniu i odkąd wyjechaliśmy z miasta, cieszyłem się, że będę mógł strzelić ze swojej dmuchawki.

– Nie podchodźcie do okien – powiedział cicho ojciec.

Przytaknąłem i przysunąłem się bliżej rogu kanapy. Nie bałem się jednak. No, może trochę, ale nie chciałem, żeby matka lub ojciec to wiedzieli. Zależało mi na odzyskaniu noża.

Pan Nieznajomy zaczął znowu walić w drzwi. Nie potrafiłem stwierdzić, czy robił to pięścią, czy kolbą strzelby, ale mimo to podskoczyłem.

Pan Nieznajomy powiedział stłumionym głosem:

– Próbowałem prosić po dobroci, naprawdę. A teraz poproszę mniej sympatycznie. Potrzebne mi są dokumenty, które ukradł wasz miły sąsiad. Wiem, że je macie, więc darujmy sobie udawanie, że jest inaczej. Nie jestem pewien, co się tu dzieje, i szczerze mówiąc, mało mnie to obchodzi. Oddajcie nam dokumenty i wskażcie kamień, pod którym schowali się Carterowie, a sobie stąd pójdziemy, bez zadawania dalszych pytań. To chyba niezły układ, co? Chyba jestem uprzejmy i zachowuję się fair?

– Myśli, że oboje żyją – odezwała się cicho matka. Odsunęła się od ojca i próbowała wyrzeć przez okno.

– Oczywiście, jeśli ich ukrywacie, sytuacja przedstawia się inaczej. Chyba nie chcecie trzymać w domu przestępców, prawda? Bo on jest przestępcą. Każdy, kto kradnie coś z miejsca pracy, nawet jeśli są to tylko informacje, jest według mnie kryminalistą, takim samym jak gwałciciel i mordercy. Jego żona też nie jest lepsza. Ma sporo na sumieniu.

Mówił głośno, ale spokojnie. Miałem wrażenie, że stoi na werandzie, tuż za drzwiami.

Gdybyśmy mieli broń, moglibyśmy go zastrzelić. Kulka wycelowana w środek drzwi pewnie załatwiłaby sprawę. Najwyraźniej myślał, że mamy broń, i to potężną, bo w przeciwnym razie wyważyłby już drzwi. Ja bym tak zrobił. Ojciec nie dowierzał broni palnej, więc nie mieliśmy jej w domu. „Zdarzają się wypadki”, powtarzał. „Z nożami jest inaczej. Nie da się kogoś dźgnąć przypadkowo. Coś takiego się nie zdarza”. Zastanawiałem się, czy nie chciał zrewidować swojego stanowiska. Nie potrafiłem nic wyczytać z jego twarzy. Prawie się nie ruszał. To nie rana go unieruchomiła – było to tylko lekkie draśnięcie; koncentrował się. Jestem pewien, że obmyślał plan. Nie wpadał w panikę. I nie reagował przesadnie. Zawsze zdawał się wiedzieć, co i kiedy robić.

Matka podczołgała się do okna za kanapą, tego, za którym było widać podwórko, i wystawiła głowę nad parapet. Gdy w oknie pojawiła się twarz, matka odskoczyła z wrzaskiem. Po drugiej stronie stał mężczyzna z długimi blond włosami i okularami z grubymi szklami, a na jego wąskich czerwonych ustach zakwitł uśmiech. Powiedział bezgłośnie „cześć” i przycisnął dłoń do szyby. Przyglądałem się wilgoci zbierającej się wokół. Kiedy oderwał rękę, zostawił na szkle odcisk dłoni. Podniósł lufę strzelby i popukał nią w okno. Uśmiechnął się jeszcze szerzej i zniknął z widoku. Matka i ja popatrzyliśmy po sobie, a potem na ojca – szukaliśmy jakiejś wskazówki.

Znowu rozległo się walenie do drzwi.

– Jesteście tam jeszcze?

Ojciec przystawił palec do ust.

Pan Nieznajomy ciągnął:

– Ta akcja z ich samochodem wprawiła mnie w zakłopotanie. Porzucenie auta na dworcu wydaje się sensowne. Można odnieść wrażenie, że wyjechali. Tylko dlaczego zostawili bagaże w środku? Kto wybiera się w podróż i zapomina o bagażu? Kiedy znaleźliśmy samochód i zobaczyłem torby, zorientowałem się, że ktoś to zaaranżował. W pierwszej chwili pomyślałem, że Carterowie chcieli zmylić pogoń, zbić nas z pantałyku, żeby dać nogę. Od razu się jednak zreflektowałem. Simon nie jest zbyt bystry. Owszem, świetnie radzi sobie z cyferkami, ale jak większość moli książkowych, nie jest zbyt rozsądny. Brakuje mu sprytu. Gdyby chciał uciec, zrobiłby to. To znaczy, że gdyby porzucił samochód na dworcu, zabrałby bagaże ze sobą. I gdy na to wpadłem, szybko się zorientowałem, że jesteście w to zamieszani. Przy tej zapomnianej przez Boga uliczce stoją tylko wasze dwa domy. Dokąd mieliby się udać? Wasz dzieciak prawie się posrał, kiedy tu wczoraj zająłem. Jest cwany, muszę mu to oddać, ale powinien trochę popracować nad kłamaniem. Za kilka lat się podciągnie.

Ojciec wskazał na matkę, potem na kuchnię i wykonał w powietrzu ruch pchnięcia nożem. Matka zrozumiała i przeczołgała się obok mnie, żeby poszukać noży.

– Nie chce mi się dłużej gadać. Nieważne, jak się znalazłem na waszej werandzie. Liczy się to, że tu stoję, a wy jesteście w środku. To, czego potrzebuję, znajduje się gdzieś pomiędzy nami. Domyślam się, że nie będziecie ryzykować życia dla kilku papierków, a nawet dla sąsiadów kryminalistów. Dlaczego mielibyście za nich ginąć? Dlaczego wasz dzieciak miałby zginąć z powodu cudzych problemów? A tak się właśnie stanie, jeżeli za chwilę nie wyjdziecie.

Matka wróciła z dwoma dużymi nożami wyciągniętymi z drewnianego bloku w kuchni. Jeden podała ojcu, drugi zostawiła sobie.

Pan Nieznajomy odchrząknął.

– Jak już mówiłem, prosiłem grzecznie. Teraz nie będę już taki miły. Kiedy my tu sobie gawędziliśmy, mój przyjaciel pan Smith obszedł ten piękny domek z kilkoma kanistrami z benzyną. Śmierdzi tu jak cholera! Oblał ściany wysoko, wlał benzynę w zakamarki i zahaczył nawet o kilka drzew, żebyśmy mogli tu rozpalić spore ognisko.

Coś uderzyło w dach, przeturlało się po nim i zatrzymało.

– Rety! Szkoda, że tego nie widzicie! Rzucił właśnie na dach pełen kanister, z którego wypływa zawartość. Benzyna dostała się do rynien. Cały budynek jest nią nasączony. – Pan Nieznajomy zaczął chichotać i mówił coraz wyższym z ekscytacji głosem. – W tym momencie zwracam się do was już nie tak miło. Macie pięć minut na to, żeby wyjść stąd z Carterami, albo zaczniemy rzucać zapalkami i rozpalimy ogień. Stracimy wówczas dokumenty i waszych sąsiadów, ale pogodzę się z tym. Będę spał jak dziecko ze świadomością, że z tym wszystkim skończyliśmy. Jeżeli będziecie próbowali uciekać, wystrzelamy was jak gołębice. Macie pięć minut. I ani sekundy dłużej.

74 Porter

Dzień drugi, 17.12

Taksówka zatrzymała się z piskiem opon przy West Belmont na wschód od Lake Shore Drive, naprzeciwko apartamentów Belmont Edge. Kierowca wskazał kciukiem na budynek po prawej stronie.

– To tutaj. Dotarliśmy tu w rekordowym czasie.

Porter przesunął się na siedzeniu i wyjrzał przez okno. Budynek był typowy dla tej okolicy: ceglany, zbudowany na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku, z przeszklonymi sklepami na parterze i częścią mieszkalną na pierwszym piętrze. Wielu właścicieli w tej części miasta mieszkało nad swoimi sklepami. Pozostali wynajmowali te mieszkania za małe fortuny, bo znajdowały się w niewielkiej odległości od jeziora Michigan, a widok na wodę zawsze jest w cenie. Nawet jeśli trzeba kawałek nad tę wodę przejść.

Porter sięgnął do klamki i zaczął wysiadać z samochodu.

– Hej! – krzyknął kierowca. – Jest mi pan winien dwadzieścia sześć dolarów dwadzieścia dwa centy!

– Nie mam pieniędzy – odparł Porter. – Ale policja Chicago dziękuje panu za pomoc.

– Jasne! – Kierowca odpiął pasy i otworzył swoje drzwi.

Porter podniósł rękę.

– Spokojnie. Żartowałem. Zadzwoń ze środka do swojego partnera i przywiezie gotówkę. Proszę mi dać chwilę.

Kierowca chciał się kłócić, ale poruszył się gwałtownie i powiedział: –

Pańska noga krwawi.

Porter spojrział na udo i zobaczył ciemną plamę o średnicy około pięciu centymetrów.

– Cholera, chyba szew puścił.

– Naprawdę pana dźgnięto nożem?

Porter sięgnął w stronę uda, delikatnie przycisnął czubek palca do rany. Na palcu widniała krew.

– Powinienem pana zawieźć z powrotem do szpitala.

Porter pokręcił głową.

– Nic mi nie będzie.

Mężczyzna niechętnie skinął głową i oparł się o samochód.

Porter odwrócił się w stronę sklepu.

W Lost Time Antiques and Collectibles było ciemno. Pokuśtykał do drzwi wejściowych i przysunął twarz do szyby.

– Są zamknięci – odezwał się z tyłu kierowca. – Godziny otwarcia są wypisane obok drzwi. Zamykają o siedemnastej. Spóźniliśmy się kwadrans.

Porter odsunął się o krok i zauważył małą czerwoną tabliczkę z godzinami otwarcia sklepu. Kierowca miał rację. Podeszedł do szyby i zajrzał do środka. Na ścianach wisiały zegary. Małe modele cyfrowe oraz wolno stojące zegary po dziadkach. Wahadła poruszały się niestrudzenie w tę i z powrotem, niektóre synchronicznie, inne niezależnie od pozostałych. Wyglądało to urzekająco. Porter mógł sobie tylko wyobrazić, jak było w środku, kiedy wszystkie wybijały godzinę.

Uderzył pięścią w drzwi, odsunął się i przyglądał się mieszkaniom na górze. Może właściciel tutaj mieszkał?

– Nie chcę panu mówić, jak ma pan pracować, ale jeśli ma pan tu jakąś pilną sprawę do załatwienia, a domyślam się, że tak jest, zważywszy na fakt, że wali pan w drzwi pięścią, równocześnie krwawiąc, może powinien pan porozmawiać z kimś z lokalu obok? Pewnie wiedzą, jak się skontaktować z kierownikiem lub właścicielem.

Porter się odwrócił i powiódł za wzrokiem mężczyzny. Ze sklepu obok wyszła kobieta z trzema workami z pralni. Prawie spadła z krawężnika, kiedy obeszła parkometr, żeby dostać się do bagażnika samochodu.

Porter poczuł, że wali mu serce. Podszedł do parkometru stojącego przed taksówką i przeczytał informację o wysokości opłat.

Siedemdziesiąt pięć centów za godzinę.

– Mogę pożyczyć pańską komórkę?

– Pan żartuje?

Twarz Portera wyrażała chyba coś innego, bo taksówkarz tylko wzruszył ramionami, podszedł do drzwi kierowcy i wyciągnął telefon z uchwytu na desce rozdzielczej. Porter wbił numer.

– Klozowski – odezwał się głos po drugiej stronie.

– Kloz, tu Porter.

– Masz nowy numer?

– To długa historia. Jesteś w pobliżu tablicy?

– Tak. A co?

Porter wziął głęboki wdech.

– Ile drobnych znaleźliśmy w kieszeni ofiary?

– To znaczy Kittnera już nie #4MK? Siedemdziesiąt pięć centów. A dlaczego?

Porter ruszył w stronę pralni obok.

– Jaki numer widniał na kwicie z pralni?

– Co ty robisz? Nie powinienes odpoczywać?

– Kloz, podaj mi numer kwitu. – Otworzył drzwi i podszedł prosto do kontuaru.

Otyły mężczyzna z ciemnymi włosami, w okularach z grubymi szklami i dwoma wypchanymi workami prania posłał mu kose spojrzenie. Dzieciak za kontuarem nie miał żadnych skrupułów.

– Proszę stanąć w kolejce. – Wtem zauważył krwawą plamę na spodniach Portera. – Cholera, potrzebuje pan lekarza?

Porter sięgnął do tylnej kieszeni spodni, żeby wyjąć odznakę, i przypomniał sobie już drugi raz z rzędu, że jej nie ma.

– Jestem z chicagowskiej policji. Proszę, żeby mi pan wydał ubranie. Kloz, podaj mi numer kwitu – zwrócił się do telefonu.

– A tak. Pięć, cztery, osiem, siedem, trzy.

Porter powtórzył numer pracownikowi pralni, który przyjrzał mu się podejrzliwie, a potem wklepał go w komputer.

– Proszę dać mi chwilę.

Zniknął za drzwiami i poszedł na zaplecze. Porter usłyszał, że mężczyzna z nadwagą rzucił worki z praniem na podłogę i westchnął.

– Przepraszam.

Klient mruknął, ale nic nie powiedział.

Dzieciak wrócił z trzema połączonymi ze sobą wieszakami. Powiesił je na haczyku przymocowanym z boku lady.

Porter odsunął folię i ujrzał kobiece spodenki do biegania, białą koszulkę i bieliznę. Wszystko wyprano i wyprasowano. Biało-różowe buty firmy Nike leżały w torbie przywiązanej do wieszaków.

Chłopak wskazał na buty.

– Powiedziałem gościowi, który to przyniósł, że nie czyścimy butów, ale upierał się, żebyśmy je zatrzymali z resztą ubrania.

– Porter? Odezwij się do mnie – rzucił Kloz. – Co się dzieje?

– Mam ubranie Emory.

75 Pamiętnik

– Przyrowadź tu Lisę – polecił matce ojciec.

Przytaknęła i zniknęła w kuchni. Usłyszałem skrzypienie drzwi do piwnicy i jej kroki na schodach. Ojciec popatrzył na mnie.

– Mistrzu, idź do kuchni i wyciągnij garnek do zupy. Wiesz, o którym myślę? Ten duży ze szklaną pokrywą.

Skinałem potakująco głową.

– Napełnij garnek do połowy olejem roślinnym i postaw na największym gazie. Możesz to zrobić?

Znowu potaknąłem.

– Dobrze. Pospiesz się.

Pobiegłem do kuchni, wyciągnąłem garnek do zupy z dolnej szafki i postawiłem na kuchence. Znalazłem olej roślinny w szafce obok kuchenki, prawie cztery litry. Odkręciłem korek i wlałem jedną czwartą do garnka, po czym ustawiłem pokrętło na maksymalnej pozycji. Nic się nie wydarzyło. Chwilę później poczułem gaz.

– Ale jestem głupi – rzuciłem w przestrzeń i wyszperałem pudełko zapalek z szuflady pod kuchenką.

Zapalnik kuchenki prawie nigdy nie działał. Matka pewnie co tydzień musiała kupować nową paczkę zapalek. Potarłem jedną o dżinsy i przyglądałem się, jak zatańczył na niej płomień, a następnie przysunąłem ją pod garnek. Gaz zapalił się z lekkim puf. Błękitne płomienie lizały dno metalowego garnka. Wrzuciłem pudełko zapalek do kieszeni i wróciłem do salonu. Pokazałem ojcu kciuk uniesiony do góry.

Skinał głową.

Znowu pukanie do drzwi.

- Jest tu potwornie cicho. Wszystko w porządku? Zostały wam cztery minuty.
- Simon Carter nie żyje! – odkrzyknął ojciec.

Po drugiej stronie drzwi zapadło milczenie, a po chwili mężczyzna zapytał:

- Co się stało?
- Nieszczęśników spotykają niekiedy nieszczęścia.

– W rzeczy samej – odparł Pan Nieznajomy. – Mało mnie obchodził. A co z jego panią?

Matka i pani Carter pojawiły się w salonie. Matka zarzuciła ręcznik na ramiona kobiety, starając się w ten sposób zakryć jej nagi tors. Pani Carter miała ręce skute kajdankami przed sobą. Nie potrafiłem powstrzymać rumieńca na jej widok. Nawet po kilku dniach spędzonych w piwnicy we własnym brudzie nadal wyglądała pięknie. Czubek noża mamy znajdował się jakieś dwa i pół centymetra poniżej jej żeber i naciskał na nagie ciało.

Ojciec przyjrzał się jej, następnie skierował uwagę z powrotem na mężczyznę na werandzie.

– Od kilku dni korzysta z naszej gościny, ale obawiam się, że jej nadużyła. Chętnie oddam ją w wasze ręce, pod warunkiem że wsadzicie ją do swojej bryki i pojedziecie do miasta. Moja rodzina i ja nie mamy z tym wszystkim nic wspólnego i chcemy, żebyście zostawili nas w spokoju. Dostaniecie, czego chcecie, my dostaniemy, czego chcemy, i wszyscy będą zadowoleni.

– Czyżby? – Pani Carter gwałtownie pokręciła głową. – Jeżeli wydasz mnie tym ludziom, zabiją nas wszystkich, także twojego syna. Oni nie zostawiają niedokończonych spraw. Nie możesz im ufać.

– Trzy minuty! – krzyknął Pan Nieznajomy.

– Nic nie wie o zaginionych dokumentach. W cokółwiek był zamieszany jej mąż, nie przekazał jej żadnych szczegółów – powiedział ojciec.

– I mam w to uwierzyć?

– Ale to prawda – powiedziała głośno pani Carter.

– Jesteś tam, Liso? – zawołał Pan Nieznajomy. – Obiecałaś część pieniędzy tym ludziom, jeśli się tobą zaopiekują? Czy tak? Dlaczego nie wyjdiesz, żebyśmy mogli porozmawiać? Zaczynam już chrypieć przez tę rozmowę przez drzwi.

Ojciec popatrzył w stronę wejścia.

– Jak już mówiłem, mogę ją wam wydać. Nie obchodzi mnie, co z nią zrobicie, o ile nie będziecie nas w to mieszać. Wasz problem nie jest naszym problemem.

– Och, nie zgadzam się z tym.

– Powiedzcie szefowi, że Simon nie żyje! – krzyknęła pani Carter. – Zabrał swoje

tajemnice ze sobą.

– Obawiam się, że nie wypełniłbym swojego zadania, gdybym uwierzył ci na słowo.

Usłyszeliśmy z tyłu dźwięk tłuczonego szkła. Spojrzeliśmy wszyscy w kierunku kuchni. Ktoś wsunął rękę przez wybitą szybę bocznego okienka i majstrował przy zamku. Ojciec rzucił się w tamtą stronę. Uniósł nóż i przeciągnął ostrzem po palcach intruza szybkim, płynnym ruchem, rozcinając dwa lub trzy. Krew zebrała się w ranie, jeszcze zanim mężczyzna krzyknął z bólu. Ręka zniknęła. W drodze powrotnej pod drzwi wejściowe ojciec zabrał z kuchenki garnek z wrzącym olejem.

Pan Nieznajomy wybuchnął śmiechem.

– Nieźle urządziliście pana Smitha. Mówiłem mu, że nie jest dość szybki, ale nie chciał mnie słuchać i postanowił działać po swojemu. Tak to już jest z młodym pokoleniem. Młodzi nie słuchają już starszych, inaczej niż za naszych czasów. Brakuje im szacunku, który nam wpojono. Zaszczepiano nam go od początku. Chociaż może twój syn jest inny. Wydaje się dobrze wychowany. Założę się, że wyrósłby na filar społeczeństwa, gdyby miał szansę. Naturalnie to, czy się tak stanie, zależy wyłącznie od ciebie.

– Zabiję pieprzonego drania! – krzyknął pan Smith gdzieś zza pleców Pana Nieznajomego.

Podczołgałem się do okna wychodzącego na podwórko przed domem i zobaczyłem mężczyznę z długimi blond włosami i w okularach stojącego na skraju werandy. Krew utworzyła kałużę przy jego stopach. Oderwał kawałek materiału z dołu koszulki i owinał nim uszkodzoną rękę. Materiał natychmiast zrobił się czerwony.

Pan Nieznajomy mnie zauważył i puścił do mnie oko.

– Przez tę ekscytację zupełnie straciłem poczucie czasu – powiedział głośno. – Domyślałem się, że zostało wam jakieś trzydzieści sekund. Zgadza się?

Schowałem się i oddaliłem od okna.

– Jest ich tylko dwóch, ojcze. Jeżeli część z nas wyjdzie od tyłu, a reszta od frontu, nie zatrzymają wszystkich.

– A dokąd mielibyśmy uciekać? Zniszczyli nasze samochody.

– Weźmiemy jego auto.

Ojciec kręcił głową.

– Musimy to zakończyć tutaj albo będziemy przez całe życie uciekać.

– Mają broń palną.

– Jesteśmy od nich mądrzejsi. Musimy to przemyśleć i jakoś rozgryźć.

Matka o dziwo milczała; zachowywała spokój.

– Zabijmy Lisę i rzućmy im jej ciało.

Pani Carter szarpnęła się na te słowa, ale matka przysunęła nóż do jej oka. Stała spokojnie i wpatrywała się w srebrny czubek.

– Mój mąż przerzucił blisko czternaście milionów na zamorskie rachunki. Mam wszystkie numery i hasła. Połowa tych pieniędzy jest wasza, jeżeli wyjdę z tego żywa.

Ojciec odszedł od drzwi i zbliżył się do niej.

– A co z dokumentami? Bo na nich im zależy.

Pani Carter westchnęła głęboko.

– Są w skrytkach bankowych w centrum Middletown. W czterech. Zawarte w nich informacje dają dostęp do kolejnych stu milionów.

– Gdzie są klucze?

Pani Carter milczała.

Ojciec chwycił ją za włosy, wyrwał z uścisku matki i przeciągnął nad garnek z gorącym olejem. Przysunął jej twarz nad garnek. Pani Carter siłowała się z nim, wygięła plecy i próbowała go kopnąć, ale ojciec był dla niej za silny. Jej twarz od parującego płynu dzieliło kilka centymetrów.

– Zapytam raz jeszcze, a potem cię zanurzę. Gdzie są klucze?

Pani Carter pokręciła głową i szarpnęła się do tyłu, ale ojciec przytrzymał ją mocno, nie zważając na jej wierzganie. Ręce miała skute przed sobą, więc nie mogła zrobić z nich użytku.

– Nie... – zdołała wykrztusić.

Ojciec wzruszył ramionami i pchnął ją jeszcze bliżej.

Olej się pienił i strzelał, małe kropelki wylądowały na jej skórze, zostawiając drobne czerwone plamki. Pisnęła i szarpnęła się do tyłu z całej siły. Kropłe oleju skwierczały w jej włosach.

– Są pod kotem! Boże, przestań! Leżą pod kotem!

– Słucham? – Ojciec poluzował chwyt i odsunął panią Carter na kilka centymetrów od garnka.

Ja wiedziałem, co miała na myśli. Wiedziałem bardzo dobrze.

– Nad jeziorem? Pod moim kotem?

Pani Carter szybko przytaknęła.

– Wiesz, o czym ona mówi?

– Tak, ojciec.

Ojciec popatrzył na panią Carter przez zmrużone powieki.

– Masz zrobić dokładnie to, co ci każę. Zrozumiano?

Rozległo się kolejne walenie w drzwi.

– Wasz czas minął!

76 Clair

Dzień drugi, 17.12

– Co to jest? – zapytała Clair.

– Mnóstwo dokumentów i liścik – odpowiedział Nash i sięgnął do pudełka. Wyciągnął kartkę papieru listowego leżącą na dokumentach pospi-
nianych gumkami recepturkami.

Clair pochyliła się nad nim.

– Co tu jest napisane?

Nash przeczytał na głos:

– „Przyjaciele! Jak dobrze wiedzieć, że wreszcie tu trafiliście! Miałem nadzieję towarzyszyć wam, gdy nadejdzie ta chwila, ale nie było mi to pisane. Pociesza mnie fakt, że te materiały dostały się w kompetentne ręce, i jestem pewien, że przekażecie je swoim towarzyszom z wydziału przestępstw finansowych, żeby mogli wzbogacić rosnący stos dowodów świadczących przeciwko panu Talbotowi i jego firmie. Wierzę, że w tym pudle znajduje się wystarczająco dużo informacji, żeby skazać tego człowieka, ale obawiam się, że nie mogłem czekać na proces i od razu przeszedłem do wyroku, który wydaje mi się najbardziej stosowny w wypadku popełnionych przestępstw. Podobnie jak jego wieloletni partner biznesowy Gunther Herbert, pan Talbot stanie dzisiaj twarzą w twarz ze sprawiedliwością i odpowie za swoje czyny w najszybszym możliwym trybie. Może pozwolę, żeby ucałował córkę po raz ostatni na pożegnanie? A może nie. Może najlepiej będzie, jeśli pozwolę im się przyglądać, jak się wykrwawiają. Oddany Wam Anson Bishop”. – Nash zmrużył oczy. – Czy nadal śledzimy Talbota?

Clair miała już przygotowany telefon.

– Dowiem się.

Nash wrócił do pudła i wyciągnął z niego dokumenty. Stos miał około pięciu centymetrów wysokości i składał się z około trzystu kartek. Górna kartka była biała w zielone linie; wypełniało ją drobne, staranne pismo.

– To mi wygląda na księgę rachunkową. Starą. Tę stronę zapisano blisko dwadzieścia lat temu. Kto do diabła prowadzi księgi na papierze?

Clair zbyła go machnięciem ręki, odwróciła się do niego plecami i zaczęła chodzić po pokoju z telefonem przyciśniętym do ucha.

Nash wzruszył ramionami i wrócił do dokumentów. W pierwszej linijce napisano: 163.WF14 2.5 k. JM.

– To jakiś szyfr?

Sięgnął do środka i zaczął wyjmować kolejne księgi, w sumie dwanaście. We wszystkich znajdowały się podobne wpisy. Nash ułożył je w równym stosie z boku. Na dnie pudła leżała szara koperta.

– To rozumiem – powiedział, zanim ją wyjął.

Clair zakończyła rozmowę i podeszła do niego.

– Zgłasza mi się poczta głosowa patrolu, który go śledził. Dyspozytor też nie może się z nimi skontaktować. Musimy jechać do domu Talbota.

Nash wskazał na pudło.

– A co z tym?

– Niech ktoś to dostarczy Klozowi – poleciła Clair.

Przytaknął i otworzył kopertę. Znajdowały się w niej zdjęcia. Wyciągnął jedno z nich – przedstawiało nagą dziewczynkę w wieku co najwyżej trzynastu lub czternastu lat.

77 Pamiętnik

Otworzyłem drzwi. Mogłem to zrobić tylko ja – nie ojciec, nie matka, a już na pewno nie pani Carter. Otworzyłem je i ujrzałem Pana Nieznajomego stojącego na schodach. Miał na sobie tę samą marynarkę, co podczas pierwszej wizyty przed zaledwie kilkoma dniami. Pot spływał mu po czole. Otarł go białą chusteczką trzymaną w lewej dłoni. Pulchne paluchy prawej zaciskał na rękojeści magnum 44, pistoletu, który znalazłem wczoraj w schowku na rękawiczki. Celował w moją głowę.

– Jak się masz, przyjacielu? Mam nadzieję, że dobrze.

Stojący za nim pan Smith ścisnął zranioną rękę opatuloną skrawkiem materiału; na ziemi przy czubku jego buta zebrała się mała kałuża krwi. Trzymał luźno strzelbę między ramieniem a bokiem ciała. Twarz miał w plamach i pałał gniewem.

– Wypruję za to twojemu ojcu bebechy. – Uniósł zakrwawioną rękę, na wypadek gdybym nie wiedział, o jakie „to” mu chodziło, i potrząsnął nią. Schlapał przy tym kropelkami krwi białe deski naszej nieskazitelnej werandy. Matka nie będzie z tego zadowolona.

– Spokojnie – odezwał się Pan Nieznajomy. – Po co ta wrogość. Nie możesz winić tych ludzi za to, że po prostu bronią swojego domu.

– A właśnie, że mogę, kurwa.

Pan Nieznajomy znowu otarł pot. Miał mokry kołnierzyk koszuli.

Czułem woń benzyny. Jej opary unosiły się nad werandą, tworząc lekką mgiełkę. Spływała z sidingu. Na podjeździe stały cztery kanistry.

– Dlaczego nosi pan marynarkę, skoro jest panu gorąco?

To było proste pytanie, ale musiałem poznać na nie odpowiedź bez względu na okoliczności. Czasami nie potrafię przejść do porządku dziennego nad kwestiami, które mnie fra-
pują.

Pan Nieznajomy uśmiechnął się szeroko.

– No właśnie, dlaczego? Jesteś ciekawskim gościem, co? Dociekliwym. Co byś powiedział na informację, że to moja ulubiona marynarka i mam ją dłużej, niż ty chodzisz po ziemi? I na to, że to jest moja szczęśliwa marynarka, a ja uznałem, że dzisiaj przyda mi się trochę szczęścia, więc wyciągnąłem ją z szafy i włożyłem, nie bacząc na temperaturę? Co byś na to powiedział?

– Powiedziałbym, że jest paskudna i pewnie niewiarygodnie śmierdzi z powodu potu, który w nią wsiąknął.

Uśmiech nie zniknął z twarzy Pana Nieznajomego, ale jego oczy pociemniały.

– Przeżywam lekkie *déjà vu*, kiedy tak odbijamy piłeczkę, synku, więc zadam ci to samo pytanie, co w dniu, w którym się poznaliśmy. Dzięki temu zatoczmy pełne koło. Czy rodzice są w domu?

Wiedział doskonale, że są, więc uznałem, że zadał głupie pytanie. Niemniej przytaknąłem i pchnąłem lekko drzwi, żeby się otworzyły.

Pani Carter stała kilka kroków za mną. Ojciec stał za jej plecami. Jedną ręką obejmował ją w talii, a drugą położył jej na ramieniu. Przystawił jej do szyi kuchenny nóż i przytknął ostry czubek do tętnicy szyjnej. Odchyłała lekko głowę od ostrza i nie odrywała wzroku od mężczyzny na werandzie.

– Liso. – Pan Nieznajomy skinął głową. – Wyrazy współczucia z powodu męża.

Nie odezwała się. Zasłoniła biustonosz skutymi kajdankami rękoma.

Pan Nieznajomy spojrzał na matkę, która opierała się o bok kanapy. Ręce opuściła wzdłuż boków.

– Miło znowu panią widzieć.

Matka uśmiechnęła się, ale nic nie powiedziała.

Pan Nieznajomy wetknął chusteczkę do kieszeni i wycelował pistolet w ojca.

– Rzuć nóż.

Ojciec pokręcił głową.

– Nie.

– I co teraz? – zapytał Pan Nieznajomy.

– Dokumenty znajdują się w skrytce bankowej. Mój chłopak wie, gdzie schowała klucze, więc pójdzie po nie, a my tu na niego poczekamy. Będę trzymał nóż w tym miejscu i jeżeli ty lub twój przyjaciel spróbujecie zrobić coś, co uznam za niebezpieczne, poderżnę jej gardło. Trzymam nóż przy tętnicy. Jeśli do mnie strzelisz, zdołam ją przeciąć, zanim upadnę. Jeżeli skrzywdzisz moją żonę lub syna, załatwię ją. Zrobię to, a wtedy nie przeżyje nikt, kto mógłby powiedzieć, co się znajduje w skrytce.

Pan Smith otworzył usta, by zaprotestować, ale Pan Nieznajomy uciszył go, unosząc rękę.

– Skąd mamy wiedzieć, że nie ucieknie, żeby wezwać policję?

Ojciec wzruszył ramionami.

– Bo zamordowaliśmy Simona. Wszyscy mamy coś na sumieniu. Weźmie klucze i przyniesie je tu w ciągu pół godziny.

Spojrzenie Pana Nieznajomego spoczęło na pani Carter.

– Ci ludzie są pieprzni – poinformowała go. – Zabili go i więzili mnie w swojej piwnicy przez prawie tydzień.

Nóż tkwił tuż przy jej szyi. Sam ruch spowodowany mówieniem sprawił, że po ostrzu spłynęła cienka strużka krwi.

Pan Nieznajomy znowu patrzył na ojca.

– Twój syn ma dokądś biec, a my będziemy celowali do siebie z broni do czasu, aż wróci z kluczami od skrytek bankowych? Wtedy wydasz nam Lisę i ja z przyjacielem odjedziemy stąd, a ty i twoja rodzina będziecie sobie żyli spokojnie do końca swych dni? Nikt więcej nie musi umierać? Co ma nas powstrzymać przed zabiciem was, gdy tylko poznamy nazwę banku?

Ojciec wzruszył nieznacznie ramionami.

– Sądzę, że w pewnym momencie będziemy musieli sobie zaufać.

Pan Nieznajomy pomyślał przez chwilę, po czym pokręcił głową.

– Nie podoba mi się ten plan. – Wycelował magnum w głowę ojca.

– Nie jest naładowany! – krzyknąłem. – Wyciągnąłem naboje!

Ojciec pchnął panią Carter w stronę mężczyzny, a jego ręce...

Pistolet wypalił z ogłuszającym hukiem.

78 Porter

Dzień drugi, 17.22

– Co to znaczy, że masz ubranie Emory? – zapytał Kloz.

Porter zdjął wieszaki z haczyka i ruszył w stronę drzwi.

– Hej! Trzeba za to zapłacić! – krzyknął dzieciak zza lady. – Wracaj pan!

– Porter? Jesteś tam?

– Jestem w pralni przy Belmont. Numer kwitu pasował i...

– Chwileczkę. Nie ma cię w szpitalu? – zapytał Kloz. – Porter, proszę, tylko mi nie mów, że uciekłeś ze szpitala.

Chłopak z pralni wypadł na zewnątrz z nożem tapicerskim w dłoni.

– Musi pan wrócić i zapłacić za te rzeczy. W przeciwnym razie będziemy mieli poważny problem, przyjacielu.

Porter patrzył, jak kierowca taksówki obchodzi samochód i staje za chłopakiem, po czym wyjmując mu nóż z ręki i klepie go otwartą dłonią w tył głowy.

– Facet jest policjantem, idioto. Naprawdę masz ochotę iść do ciupy?

Dzieciak potarł tył głowy.

– Jest glina? To dlaczego chodzi w pizamie?

Porter skinął głową w stronę pralni.

– Idź do środka.

Chłopak odwrócił się na pięcie i poszedł do pralni.

– Porter?

Przycisnął telefon do ucha i opowiedział Klozowi o rozmowie z Bishopem i przeczuciu, by podążać za tropem zegarka. Kręciło mu się w głowie.

– Godzina parkowania kosztuje siedemdziesiąt pięć centów, a obok jest pralnia. Od samego początku mówił nam, żebyśmy tu przyjechali, tylko że my tego nie dostrzegaliśmy.

– No dobra, ale gdzie on jest? Gdzie jest Emory?

Porter wyciągnął zegarek z kieszeni i zaczął go obracać w palcach. Wcisnął przycisk na górze i wieko odskoczyło, powoli, bo ruch utrudniała torebka. Wskazówki tkwiły nieruchomo.

3.14.

Porter spojrzał na taksówkarza.

– Jaki to jest adres?

– West Belmont trzysta szesnaście.

Porter popatrzył w lewo. Sąsiedni budynek stał za ogrodzeniem budowlanym. Był to wysoki wieżowiec; miał z pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt pięter.

– Kloz, kto jest właścicielem budynku przy West Belmont trzysta czternaście?

– Czekaj. – Porter usłyszał stukanie klawiatury. – To jest biurowiec kupiony w ubiegłym roku przez Intrinsic Value LLC należąca do Common-Core Partnership, przedsiębiorstwo kontrolowane przez A. T. The Market Corp, jedną z firm Talbota. W tej chwili trwają tam prace renowacyjne. Budynek ma być oddany do użytku wiosną.

– Sprowadź tu brygadę antyterrorystyczną. Natychmiast.

79 Pamiętnik

Patrzyłem, jak ojciec rzucił się do przodu z rękami wyciągniętymi w stronę gardła Pana Nieznajomego. Miał otwarte usta i czerwoną twarz; aż płonął z wściekłości.

Kiedy pistolet wypalił, kiedy lufa się cofnęła po tym, jak wyleciała z niej kula, świat zwolnił do ślimaczego tempa. Widziałem kulę, która wypadła z lufy. Obserwowałem, jak przesuwa się w powietrzu. Jak wbija się w czoło ojca nad jego lewym okiem, zostawiając na skórze czerwony ślad. Widziałem szok malujący się na twarzy ojca, a potem widziałem, jak jego głowa eksploduje czerwoną mgłą.

Ojciec upadł na ziemię bez ruchu.

– Ojczy?

Nie poznałem własnego głosu, był taki cichy i słaby, stłumiony, jakby ktoś krzyczał pod wodą.

– Przecież... wyciągnąłem kule.

Pan Nieznajomy otworzył i zamknął magazynek.

– Dobry żołnierz zawsze sprawdza broń przed walką, dziecko. – Wycelował bron w panią Carter, która leżała teraz u jego stóp. – Wstań.

Powoli się podniosła.

Matka stała bez ruchu, z otwartymi ustami, przez które oddychała głęboko.

Nie odrywałem wzroku od martwego ciała ojca. Wiedziałem, że nie żył, ale nie byłem gotów pogodzić się z tym faktem. Liczyłem na to, że wstanie, żeby wykończyć człowieka, który zagroził jego życiu, napadł na nasz dom.

Z mojego gardła wydobył się krzyk.

Tak piskliwy i ostry, że czułem jego wibracje w samej głębi ciała. Wsunąłem palce do

kieszoni i zacisnąłem na nożu. Dotknięcie rękojeści pokrzepiło mnie, srebrne nity były ciepłe, wręcz gorące. Chwyciłem rangersa z wielką siłą, wyciągnąłem go i otworzyłem ostrze jednym płynnym ruchem. I rzuciłem się na niego. Próbował podnieść broń, ale byłem dla niego za szybki. Zamachnąłem się w górę i wbiłem ostrze w miękką skórę pod brodą. Napierałem na nóż, żeby przeciąć ciało i kość, dostać się do ust i rozciąć język. Gdy nóż zatrzymał się w podniebieniu, wyszarpnąłem go i wbiłem w gardło – przeciąłem mięśnie, ścięgna i żyły. Krew trysnęła mi na twarz, włosy i oczy. Nie przejmowałem się tym. Znowu ciąłem. Gdy jego ciało zaczęło osuwać się na ziemię, usiadłem na nim okrakiem i wbijałem ostrze raz po raz w klatkę piersiową. Dźgałem go dziesiątki, może nawet setki razy. Dźgałem tak długo, aż...

Otworzyłem oczy i znowu patrzyłem na martwe ciało ojca. Nie poruszyło się nawet o centymetr. Wsunąłem dłoń do kieszeni w poszukiwaniu noża, ale go nie znalazłem. Matka mi go zabrała. Moje palce natknęły się wyłącznie na pudełeczko zapalek i zdjęcia, które zgarnąłem ze stołu Carterów.

– Wyjmij powoli rękę z kieszeni, dziecko – usłyszałem głos Pana Nieznajomego.

Poczułem czubek lufy jego magnum przy skroni. Nadal był ciepły.

Wyciągnąłem rękę, zostawiwszy zapaliki i zdjęcia w kieszeni.

Lufa napierała mocno na skroń.

Rozległ się wystrzał. Zacisnąłem powieki. Naprężyłem ciało w oczekiwaniu na kulę, która rozsądzi mi czaszkę jak w wypadku ojca, wyrwie ze mnie życie i ciśnie mnie w ciemność, gdzie spotkam się z nim znowu.

Ciemność nie nastąpiła.

Pan Nieznajomy padł przy mnie jak długi, a z dziury w boku jego czaszki unosił się dym.

80 Clair

Dzień drugi, 17.26

Policjanci z patrolu nie żyli. Zastrzelono obu. Kierowcę zabito bezpośrednim strzałem w głowę tuż poniżej lewej skroni. Jego partner dostał trzy serie w klatkę piersiową. Z tego, co Clair wiedziała, #4MK nigdy nikogo nie zastrzelił. Beretta 92FS leżała na desce rozdzielczej. Broń Portera.

„Końcówka”, pomyślała Clair.

Nash popukał ją w ramię. Odwróciła się od samochodu. Wskazał w stronę drzwi wejściowych do domu Talbota. Trzymał już swoją broń w dłoni.

Drzwi były uchylone na kilka centymetrów.

Słońce chyliło się ku zachodowi i długie cienie pełzały po terenie przed domem. Wewnątrz nie paliły się żadne światła, mimo że było już na tyle ciemno, że by się przydały. Nie dobiegał też stamtąd żaden dźwięk. I tylko drzwi były lekko uchylone.

– Może tam nadal być – powiedziała Clair i wyciągnęła glocka.

– Byłem tu wczoraj z Porterem. Talbot ma żonę i córkę. I co najmniej jedną gosposię.

Clair zadzwoniła do dyspozytorni. Kiedy się rozłączyła, pokręciła głową.

– Już tu jadą, ale mamy godziny szczytu. Będą za dziesięć, piętnaście minut. Ludzie Espinosy są nadal w mieszkaniu.

Nash ruszył w stronę drzwi.

– Ubezpieczaj mnie.

Clair przytaknęła ponuro. Nie mogli czekać. Jeżeli Bishop nadal znajdował się w środku, nie sposób było przewidzieć, co robił z tą rodziną. Śmiercią policjantów zajmą się posiłki, które były już w drodze. Ten cały Talbot w ogóle jej nie obchodził, ale nie zamierzała pozwolić, by cokolwiek się stało jemu lub jego rodzinie, jeżeli mogłaby temu zapobiec. Nash myślał podobnie.

Dotarli do drzwi.

Nash oparł się o framugę i wychylił nieznacznie, żeby zerknąć do środka. Po chwili pokręcił głową.

– Rolety są opuszczone – powiedział bezgłośnie.

Clair potaknęła i przysunęła palec do ust.

Nash otworzył drzwi i wzdrygnął się, kiedy zawiasy skrzypnęły cicho.

Zapaliły się uliczne latarnie i Clair ucieszyła się z jakże potrzebnego światła. Wtem dostrzegła swój cień na podłodze. I Nasha tuż obok. On też to pewnie zauważył, bo wemknął się do środka i natychmiast stanął za rogiem, żeby się ukryć w ciemnym przedpokoju. Clair podążyła za nim, a jej oczy szukały w mroku jakichkolwiek oznak życia.

Z głębi przedpokoju dotarł do nich stłumiony jęk.

Nash ruszył szybko do przodu, trzymając mocno broń skierowaną po skosie w dół i do przodu. Pamiętał rozkład, bo bez trudu ominął stół w przedpokoju. Clair na pewno by na niego wpadła. Światło docierające z zewnątrz jakby zatrzymało się na progu i nie chciało wejść dalej.

Po minięciu stolika zauważyli duży otwór w ścianie, a za nim bibliotekę lub salon. Dogasający ogień strzelał w palenisku murowanego kominka. Roztrzaskany stół leżał pośród odłamków szkła – szczątków kryształowej karafki lub wazonu. Kanapę przewrócono na bok. Pośrodku dywanu leżała kobieta.

Nash rozejrzał się po pokoju i przyklęknął przy niej. Na podstawie stroju Clair domyśliła się, że to pokojówka. Obserwowała ich kątem oka i skierowała broń w stronę przedpokoju.

Kobieta miała ręce i nogi związane kablem telefonicznym i zakneblowane usta. Clair widziała w słabym świetle, jak strzelała szybko oczami to na

nią, to na Nasha. Nash dał jej znak, żeby zachowywała się cicho, i wyjął jej knebel. Zakasłała i jej oczy się zaszkliły.

– Nadal tu jest? – zapytał szeptem Nash.

81 Pamiętnik

– Powinienem kropnąć tego gnoja dwadzieścia minut temu – powiedział pan Smith. Stał w progu, dzierżąc strzelbę zdrową ręką.

– Czemu tego nie zrobiłeś? – zapytała matka.

– Nie byłem pewien, co mam zrobić z twoim mężem. Nie tak miało być.

– Czasami trzeba improwizować – odparła matka. – Pokaż mi rękę.

Pan Smith ruszył w jej stronę, a ja patrzyłem, jak pani Carter spoliczkowała matkę obiema rękami nadal skutymi kajdankami i prawie ją przewróciła.

– Co jest, do diabła? – warknęła matka. Z kącika ust pociekła jej krew.

– Mogłeś to przerwać wiele dni temu. Wiesz, co mi robił z tym szczurem? Mógł mnie zabić!

Pan Smith wciągnął Pana Nieznajomego do domu i dalej, pod drzwi do piwnicy.

– Przestańcie się kłócić. Nie ma na to czasu. Briggs wezwał posiłki, kiedy tu jechaliśmy.

Ciało ojca nadal leżało na podłodze.

Nie ruszyłem się.

Nie mogłem.

Pani Carter podeszła do mnie powoli i przeczesała mi włosy palcami.

– Nic ci nie jest?

Skinąłem potakująco głową. Myśli miałem zamglone, ociężałe. Wyciągnąłem zdjęcia z kieszeni i podałem jej.

– Należą do pani.

Wzięła je, przejrzała uważnie i poczerwieniała.

– Gdzie je znalazłeś?

– Dzisiaj rano na pani kuchennym stole. Ktoś je tam zostawił.

Pan Smith parsknął śmiechem.

– Zrobił to Briggs. Był pierdolnięty. Znalazł je w książce kucharskiej na lodówce. Ciało ojca.

Usłyszałem jęk i dotarło do mnie, że wyrwał się ze mnie. Mroczny szloch z głębi gardła.

– Mówiłam ci, że chłopak jest walnięty. Zawsze coś było z nim nie tak – odezwała się matka.

Miała takie zimne i ciemne oczy. Nie takiej matki potrzebowałem w tej chwili. To była ta druga. Nie widziała ciał leżących na podłodze. Patrzyła przez nie, jakby nie istniały.

Pani Carter ściągnęła brwi.

– Nie powinnaś tak mówić.

Matka podeszła do mnie, ujęła mnie za brodę i odchyliła mi głowę.

– Kiedy ostatnio brałeś lekarstwa?

– Nie... Nie wiem.

– Nie wiem, nie wiem, nie wiem – przedrzeźniała mnie śpiewnym tonem. – Masz biec nad jezioro i zabrać klucze z miejsca, w którym ukryła je pani Carter. Myślisz, że dasz radę to zrobić?

Przytaknąłem.

– Tak, mamusiu.

– Nie odzywaj się tak do mnie. Wiesz, że nienawidzę, kiedy mnie tak nazywasz.

– Przepraszam, matko.

– Leć. Musimy się pospieszyć i zniknąć stąd, zanim pojawią się kumple tego faceta. – Ruchem głowy wskazała na Pana Nieznajomego.

Przecisnąłem się obok pana Smitha i pani Carter. Kiedy się odwróciłem, matka majstrowała przy zamku kajdanek pani Carter. Opadły ze stukotem na ziemię; kobieta rozcierała nadgarstki. Szepnęły coś do siebie, patrząc na mnie. Pan Smith dźwigał ciało ojca.

Bez dalszych słów pobiegłem w stronę wąskiej ścieżki wiodącej w głąb lasu.

82 Porter

Dzień drugi, 17.27

Porter zabrał nóż tapicerski taksówkarzowi i wsunął go sobie do kieszeni.

– Jak się pan nazywa?

– Marcus. Marcus Ingram.

– Czy ma pan broń?

Kloz odezwał się na tyle głośno, że było go słychać, mimo że głośnik w telefonie nie był włączony: – Nie wejdiesz tam, Sam. Poczekaj na wsparcie. Dopiero co dźgnął cię nożem, pamiętasz? Powinieneś leżeć i kropka. Clair może posłać ci kulkę, jeśli tam wejdiesz.

– Czy ma pan broń? – powtórzył Porter.

Kierowca pokręcił głową.

– Nie lubię pistoletów. Ale mam to. – Sięgnął pod siedzenie kierowcy i wyciągnął mały kij baseballowy z napisem CHICAGO CUBS sporządzonym kolorowymi literami. – Dostałem go w dwa tysiące ósmym, kiedy grali z Dodgersami o wejście do ligi. Przegrali, ale to maleństwo pomogło mi pogonić niejednego łobuza i wałkonia. To nie jest żaden tani gadżet. Zrobiono go z jesionu. Nie pęknie.

– Porter? Rozmawiałem z dyspozytornią. Jadą już do ciebie radiowozy. Nic nie rób.

Porter wziął kij i zważył go w dłoni. Był ciężki.

– A latarka?

Markus skinął głową.

– Mam. – Sięgnął do samochodu i wyciągnął małą latarkę ledową. – Mała, ale świeci ostro. – Podał ją Porterowi.

– Kloz, postaram się mieć cię na linii tak długo, jak się da, ale włożę telefon do kieszeni, żeby mieć obie ręce wolne. Postaraj się nie odzywać. Jeżeli jest w środku, nie chcę, żeby słyszał, że się zbliżam.

Bishop jednak się go spodziewał; Porter był tego pewien. Niedysiejszy Watson rozsypał za sobą okruszki chleba, żeby Porter do niego trafił. Wiedział, że Porter przyjdzie, a co więcej, czekał na niego.

– Chce, żebym przyszedł sam, Kloz. Jeżeli dziewczyna jeszcze żyje i jest tam, możemy ją odbić tylko wtedy, kiedy pójdę tam sam, zgodnie z jego życzeniem – powiedział Porter.

Kloz westchnął.

– Zabije cię. Rozumiesz to, prawda?

– Już mógł mnie zabić. Chce, żebym to widział do samego końca.

– Żeby móc cię zabić – zripostował Kloz. – To jest jego ostatni akt i chce, żebyś w nim uczestniczył. Tylko dlatego pozostawił cię przy życiu. Kiedy kurtyna opadnie i odegrasz swoją rolę, wykończy cię. Czekał na zewnątrz na posiłki. Dotrą do ciebie w niecałe dziesięć minut. Wejście tam to samobójstwo.

Porter nie musiał się nad tym zastanawiać. Bez Heather nie miał po co żyć.

– Powiedz im, żeby szukali Marcusa. Będzie stał na zewnątrz i czekał na antyterrorystów. Pokaże im, którędy wszedłem. – I zanim Kloz zdołał zareagować, Porter wrzucił telefon do kieszeni i podszedł do budynku przy West Belmont 314 z latarką w jednej i małym kijem baseballowym w drugiej ręce.

83 Pamiętnik

Jeziro wydawało się dziwnie spokojne, gdy do niego podszedłem, woda w ogóle się nie ruszała, pomijając lekkie zmarszczki spowodowane przez kaczkę pływającą leniwie na środku. Całą drogę biegłem i prawie upadłem na skraju wody, ciężko dysząc. Miałem nadzieję, że bieg pomoże mi oczyścić głowę. Że dzięki niemu zapomnę o tym, co widziałem, co się właśnie wydarzyło, ale gdy tylko zamknąłem oczy, ujrzałem, jak kula rozrywa ojca. Widziałem też matkę, która się temu przyglądała, nie podejmując żadnego działania; stała równie spokojnie jak ja, gdy ojciec zginął. Pochyliłem się i oparłem dłonie na kolanach, czekając, aż odzyskam siły. Rozejrzałem się w poszukiwaniu kota.

Zostały z niego tylko futro i kości. Resztkę ciała, którą widziałem podczas ostatniej wizyty, została wyczyszczona. Po padlinie nie chodziła nawet jedna mrówka. Przeniosły się pewnie do większej i lepszej zdobyczy. W lesie co chwila coś umierało, podobnie jak co chwila rodziło się nowe życie.

Dziobnąłem kota czubkiem buta, bo spodziewałem się, że może uciec spod niego jakiś żuk lub inny robal, ale nic takiego się nie stało.

Matka kazała mi się spieszyć.

Opadłem na kolana, odsunąłem kota i zacząłem kopać w ziemi pod jego delikatnym szkieletem. Zwróciłem uwagę na lekki zapaszek, mieszankę woni cebuli i zgniłego szpinaku, i starałem się nie myśleć o rozpuszczonym tłuszczu i żółci, które pewnie wsiąkły w ziemię, kiedy kot się rozkładał. Usiłowałem w ogóle nie myśleć o takich sprawach, bo robiło mi się od tego niedobrze, a zważywszy na fakt, że na dnie jeziora leżało ciało pana Cartera, nie mogłem zostawić na brzegu swoich wymiocin, żeby nie znalazła ich tu policja, w razie gdyby jednak odkryła jego miejsce spoczynku.

Na głębokości mniej więcej piętnastu centymetrów musnąłem palcami foliowy woreczek, taki zamykany na strunę. Wyciągnąłem go i otrzepałem z ziemi.

Wewnątrz znajdował się mój nóż.

Nie było kluczy do skrytki bankowej.

Tylko mój nóż, nic więcej.

Ścisnęło mnie w żołądku, jakby czyjaś ręka zacisnęła się boleśnie na moich jelitach.

Złapałem woreczek i ruszyłem w stronę domu. Usłyszałem głosy tuż przed tym, jak wyszedłem z lasu na nasze podwórko.

Męskie głosy.

Na naszym podjeździe stały dwie białe furgonetki; na drzwiach obydwu widniały jaskrawoczerwone litery tworzące napis TALBOT ENTERPRISES. Przed drzwiami wejściowymi do domu stało trzech mężczyzn.

Plymouth duster zniknął.

Matka i pani Carter odjechały z panem Smithem. Tego byłem pewien.

Zostałem sam.

84 Porter

Dzień drugi, 17.31

Budynek przy West Belmont 314 miał przeszklony front, i mimo że większość okien zabito na razie sklejką, duże obrotowe drzwi zostawiono w spokoju. Porter pchnął je na próbę. Spodziewał się, że będą zablokowane, obróciły się jednak wokół osi. Po raz ostatni zerknął na Marcusa, po czym wszedł do środka. Odgłosy i zapachy miasta szybko się ulotniły, a ich miejsce zajęły cisza i pudrowa woń gipsowego pyłu. Znalazł się w holu budynku.

Przede wszystkim pomyślał, że nie ma szans na oddanie go do użytku wiosną. Wszystkie ściany były oczyszczone do gołego betonu, a gdzieś tam gdzieś widniały stalowe konstrukcje. W końcu przestrzeń zostanie podzielona i powstaną tu ściany oraz pokoje, ale na razie panował tu wyłącznie przemysłowy chaos. Na podłodze widniały dziesiątki odcisków butów zmierzające we wszystkie strony. Światło ulicznych latarni wpadało do środka przez wielkie okna za plecami Portera, lecz mimo to widoczność słabła wraz z zachodzącym słońcem.

Porter przyklęknął i przyglądał się śladom na podłodze. Włączył latarkę i muskał powierzchnię podłogi snopem światła z regularnością latarni morskiej. Prawie wszystkie odciski sugerowały obuwie robocze; wszystkie z wyjątkiem jednych. Wstał, podszedł bliżej i pochylił się, by przyjrzeć się im uważniej. Męskie pantofle. Obok nich znalazł ślad sugerujący, że mężczyzna coś ciągnął.

Porter poszedł za tropem do zachodniego rogu przyszłego holu i stanął naprzeciwko ściany, w której znajdowały się wejścia do wind, w sumie sześciu. Wcisnął guzik, ale nic się nie wydarzyło. Nie oczekiwał, że windy będą

działały. Miał wrażenie, że prąd był odłączony. Stalowe drzwi były zamknięte, zaklejone czerwoną taśmą i widniało na nich ostrzeżenie: NIE-BEZPIECZEŃSTWO – BRAK WIND.

Trop w pyle skręcał w lewo przed ścianą z windami. Gdy Porter minął róg, stanął naprzeciwko drzwi – przypuszczał, że za nimi znajdowały się schody. Na zielonej farbie widniały jaskrawoczerwone litery układające się w słowa: NIE WIDZIAŁEM NIC ZŁEGO. Na podłodze leżały dwie gałki oczne. Patrzyły na niego z zatrwającą spokojem.

85 Clair

Dzień drugi, 17.31

– Mirando, czy on nadal jest w domu? – powoził pytanie bardziej stanowczym tonem Nash.

Wokół oczu gosposi widniały ślady zaschniętych łez. Jęknęła cicho, pokręciła głową, wzruszyła ramionami i szybko przytaknęła.

– Nie wiem – powiedziała. – Nie widziałam, dokąd poszedł.

– Kiedy widziała go pani po raz ostatni?

Wydawała się zaskoczona pytaniem. Otworzyła szerzej oczy.

– Nie... Nie wiem.

– Podał pani jakiś narkotyk?

Patrzyła na nich i zastanawiała się nad tym.

– Nie wiem. Chyba tak. Nie pamiętam, żeby mnie związywał. Wszystko pamiętam jak przez mgłę.

– Czy w domu jest ktoś jeszcze? – dociekał Nash.

Gosposia odetchnęła głęboko i zerknęła w stronę schodów.

– Pani Patricia i pan Talbot są w swoim pokoju. – Jej oczy stawały się coraz większe. – Poszedł tam. Pamiętam, jak wszedł na schody.

Nash powiódł wzrokiem w kierunku schodów, ledwie widocznych w słabnącym świetle.

– A co z Carnegie?

– Nie jestem pewna, czy jest w domu. Nie widziałam jej od rana. Być może jest w swoim pokoju.

Clair przyklękła przy kobiecie, nie odrywając wzroku od przedpokoju i nadal mierząc w tamtą stronę z broni.

– Ma pani na imię Miranda?

Gospościa przytaknęła.

– Rozwiążę panią. A gdy to zrobię, będę chciała, żeby wyszła pani na zewnątrz. Zobacz pani mój samochód. To zielona honda. Jest otwarta. Proszę wsiąść do środka i poczekać na policję. Proszę się schować w samochodzie do czasu przyjazdu radiowozów – powiedziała. – Da pani radę to zrobić?

Miranda potaknęła.

Clair uporowała się szybko z kablem pętającym nogi kobiety, a Nash rozwiązał jej ręce. Gdy gospościa spróbowała wstać, zachwiała się i prawie upadła. Nash przytrzymał ją i pomógł jej znaleźć równowagę.

– Cokolwiek pani poda, potrzeba trochę czasu, żeby pani organizm się tego pozbył, więc proszę się poruszać powoli.

– Niedobrze mi – poinformowała Miranda i zbladła. Oparła się o stół.

– Proszę się nie spieszyć – zwróciła się do niej Clair. – Pomoc niebawem tu będzie.

Patrzyli za kobietą idącą wzdłuż ściany, aż dotarła do drzwi frontowych i wyszła na spowitą mrokiem ulicę. Gdy zniknęła im z oczu, odwrócili się w stronę schodów z bronią gotową do strzału.

86 Porter

Dzień drugi, 17.32

Porter powiódł palcem po farbie. Była jeszcze mokra.

Oczy były niebieskie.

Chciał wykrzyknąć imię Emory, ale wiedział, że w ten sposób tylko zdradziłby swoją pozycję. Wiedział również, że powinien zapakować oczy do woreczka, tylko że nie miał żadnego przy sobie. Przyklęknął. Bishop wyłupił je w całości, z nerwem wzrokowym. To nie było łatwe zadanie. Gałki oczne wyszły z oczodołów nietknięte, a żeby wyjąć je bez uszkodzenia, trzeba było mieć zwinne ręce i odpowiednie narzędzia. Wyglądały świeżo. Krew dopiero zaczęła krzepnąć i zasychać.

Porter sięgnął do kieszeni i wyciągnął komórkę.

– Kloz? Jestem w środku. Znalazłem oczy Emory przed schodami ewakuacyjnymi na parterze. Czy wezwałeś także karetkę?

Nie usłyszał odpowiedzi, więc zerknął na telefon. Brak sygnału.

– Cholera.

Wsunął telefon z powrotem do kieszeni.

Zacisnął mocniej palce na kiju baseballowym, zrobił krok nad oczami i delikatnie nacisnął na drzwi. Otworzył je i wszedł na schody. Światło latarki podświetlało kurz wirujący w powietrzu jak sucha mgła i Porter musiał zwalczyć odruch kaszlu. Nie sposób było iść tutaj za tropem. Na pierwszym stopniu znajdowało się tyle odcisków butów, że nie dało się stwierdzić, ile osób tędy przechodziło, ale na pewno dziesiątki.

Porter skierował snop światła do góry.

O ilu piętrach mówił Kloz? Czy wspominał coś na ten temat? Z zewnątrz budynek wyglądał na co najmniej pięćdziesięcioletni. Porter nie był pewien, czy zdołałby je pokonać w najlepszym kondycyjnie dniu, a co dopiero z raną w udzie. Opuścił szpitalne spodnie i przyjrzał się ranie. Już nie krwawiła. Niemniej czuł w niej pulsowanie. Udo bolało go bardziej niż zaraz po dźgnięciu nożem. Udało mu się stwierdzić, że pod bandażem i plastrami ciało było fioletowo-czarne.

Wyjął nóż tapicerski z kieszeni i odciął pas materiału od bluzy. Owinął nim zabandażowaną nogę. Odciął kolejny pas i zawiązał go tuż nad raną – nie była to opaska uciskowa, ale spowolni przepływ krwi. Oby mu pomogła, przynajmniej przez jakiś czas.

Ruszył w górę schodów.

87 Clair

Dzień drugi, 17.33

Nash wysforował się na prowadzenie i przeszedł płynnie przez przedpokój. Clair szła tuż za nim. Zachód słońca pogrążył wnętrze domu w ciemności, a co więcej, w powietrzu wyczuwało się chłód. Clair poczuła, jak włoski na karku i ramionach stają jej dęba. Powiedziała sobie, że to z powodu zimna, jednakże bijące szybko serce informowało o czymś zupełnie innym.

Pierwszy stopień zaskrzypiał pod ciężarem Nasha, który zaklął pod nosem. Clair ścisnęła go za ramię wolną ręką. Usłyszała, że deski skrzypią także pod jej ciężarem. Zastanawiała się, czy nie zdjąć butów, ale potem pomyślała, że w takim domu niewiele to da. W tak starych budynkach drewniane podłogi często skrzypią pod stopami.

Wspinali się powoli, żeby zminimalizować hałas. Kiedy palce Clair napotkały coś wilgotnego na balustradzie, zatrzymała się i przysunęła dłoń pod nos. Poczula charakterystyczną miedzianą woń krwi. Nawet nie pamiętała, ile razy czuła ten zapach, ale nie było jej z tego powodu łatwiej.

Nash również się zatrzymał i spojrzał na nią. Jego twarz kryła się w mroku.

Clair wyciągnęła palce przed siebie.

– Krew – szepnęła, wypowiadając to słowo na jednym wydechu.

Nash spojrzał na swoją dłoń. Clair przyglądała się, jak wytarł krew w spodnie i ruszył dalej.

Zaczęły jej się pocić dłonie, a glock zrobił się cięższy.

Na górze stanęli w przedpokoju prowadzącym w dwie strony. Naprzeciwko mieli łazienkę. Nash wszedł do niej pochylony, dzierżąc broń przed sobą, by sprawdzić, czy pomieszczenie jest puste.

Clair stała tyłem do ściany z bronią wymierzoną w stronę łazienki i czekała na jego powrót.

Wąski pas diod ledowych wbudowany w listwę przypodłogową oświetlał przedpokój. Widzieli troje zamkniętych drzwi po lewej stronie i podwójne drzwi na końcu korytarza na prawo od schodów. Na ścianach widniały zdjęcia rodziny w ramach różnych wielkości i kształtów. Clair pomyślała, że podwójne drzwi prowadzą do głównej sypialni, a pozostałe należą do pokoi gościnnych i pokoju Carnegie.

– Którędy? – zapytała szeptem.

– Do głównej sypialni – odparł, ruszając w tamtym kierunku.

88 Porter

Dzień drugi, 17.33

Porter zatrzymał się tuż przed spocznikiem na trzecim piętrze. Na małym skrawku podłogi o wymiarach dwa na półtora metra leżał pył przemieszany z opakowaniami po fast foodach. Ściany pomalowano na kolor limonkowy.

Usłyszał głos.

Z kijem w dłoni pokonał ostatnie schody. Wodził snopem światła latarki w tę i z powrotem, przeczesując gęstniejący mrok.

– Zacząłeś odczuwać zmęczenie, Sam?

Rozległ się trzask, szum, a potem zapanowała cisza.

– Gdzie jesteś, Bishop? – zapytał Porter. Głos miał wyższy, niżby chciał, gdy słowa odbijały się echem od betonowych ścian.

– Wiem, że nie jesteś w formie, ale daj spokój. Widziałem staruszki, które wchodziły po schodach szybciej od ciebie.

– Pierdol się.

– Może te ćwiczenia dobrze ci zrobią i spalisz trochę tego bęcoła. – Trzask.

Porter zauważył radio, gdy stanął na spoczniku. Czarna mała motorola z gumową anteną stała oparta o pierwszy schodek kolejnej kondygnacji. Bishop znowu się odezwał, a wówczas małe czerwone światełko zapulsowało w rytm jego głosu.

– Co byś powiedział na rymowanekę dla zabicia czasu? Jesteś na nią

gotowy, Sam?

Sam podniósł radio. Trzaskający głos Bishopa wrócił:

– Gąski, gąski, gąsioriki, dokąd to mam pójść? Do mojej pani, na górę i w dół. Spotkałem staruszkę, co się modlić nie chciał. Podłożyłem mu nogę i w dół schodów zleciał. Zastanawiałaś się kiedyś, o czym mówi ten wierszyk? Jest dość mroczny jak na dziecięcą rymowanąkę, a mimo to go ich uczymy. Matka uwielbiała mi go recytować, kiedy szliśmy po schodach.

Porter wcisnął guzik i przysunął mikrofon do ust.

– Idę po ciebie, ty świrze.

– Sam! – odezwał się na to Bishop. – Wreszcie tu dotarłeś. Zacząłem się już o ciebie martwić.

– Gdzie jesteś, Bishop?

– Blisko, Sam. Chciałem na ciebie poczekać. Wiedziałem, że to rozgryziesz. Jesteś najbystrzejszy w swojej grupie odmieńców. Musiałem cię trochę naprowadzić, ale się połapałeś. Jestem z ciebie dumny

– Znalazłem oczy. Czy Emory nadal żyje?

Bishop westchnął.

– Przepraszam, że nie miałem czasu ich zapakować. Bałem się, że mógłby je przed tobą porwać jakiś szczur i uciec z tą przekąską. Niewiele jednak mogłem zrobić, więc cieszę się, że byłeś pierwszy.

Porter zdał sobie sprawę, że powinien był jakoś zabezpieczyć oczy. Nie pomyślał o szczurach.

– Gdzie jesteś?

Bishop zachichotał.

– Obawiam się, że masz jeszcze sporo do przejścia. Na pewno nie jest ci łatwo z tą raną. Naprawdę cię za to przepraszam. Mam nadzieję, że nie zrobiłem ci zbyt dużej krzywdy, ale musiałem improwizować. Ty i twoi przyjaciele naprawdę mnie zaskoczyliście. – Zamilkł na chwilę, po czym ciągnął: – Lepiej się pospiesz, Sam. Nie zostało nam dużo czasu. Nieważne, czy jesteś ranny, czy nie, masz przed sobą mnóstwo schodów.

Porter zaczął się znowu wspinać. Choć stał przez krótką chwilę, poczuł w nodze napięcie. Zmusił mięśnie do reakcji i zacisnął zęby, kiedy poczuł ból. Przy każdym kroku miał wrażenie, że nóż tkwi w udzie i przecina mięśnie oraz tłuszcz.

– Pozwól mi z nią porozmawiać. Przynajmniej tyle mi jesteś winien. Niech wiem, że nadal żyje.

Odpowiedział mu szum, a potem z małego głośnika popłynął głos Bishopa:

– Obawiam się, że Emory nie jest w tej chwili dostępna.

Porter minął czwarte piętro i szedł dalej. Noga go piekła.

– Skończyłeś? – zapytał Bishop.

– Co takiego?

– Dobrze wiesz co.

– Twój pamiętnik?

– Nie kpj ze mnie, Sam. Nigdy ze mnie nie kpj. Kpina jest złem sama w sobie, a ja nie przepadam za złem.

Sam otarł czoło rękawem bluzy.

– Matka cię na koniec wykpiła. Jak ci się to podobało?

– A więc doczytałeś do końca.

– Tak. Skończyłem.

– Moja matka była złą czarownicą, która zasłużyła na swój los, cokolwiek ją spotkało – stwierdził Bishop.

– Wygląda na to, że była niezłą diabolicą. Owinęła sobie wszystkich wokół paluszka. Te seksowne laski zawsze są stuknięte.

– Wiem, do czego zmierzasz, ale nic z tego, więc daruj sobie te wycieczki – wypalił Bishop.

– Więc nie wrócili? Zostawili cię tam?

Radio zaczęło klikać, jakby Bishop naciskał przycisk raz po raz, w szyb-

kim tempie, chyba za sprawą jakiegoś nerwowego tiku.

– Pamiętasz zapałki? Spaliłem dom doszczętnie, a ludzie Talbota usmażyli się w nim. Uznałem, że wykorzystam benzynę, którą rozlali panowie Nieznajomy i Smith. Strażacy wezwali służby zajmujące się dziećmi i zabrano mnie do czegoś, co nazywano tymczasowym domem opieki. Spędziłem tam dwa tygodnie, po czym trafiłem do pierwszej rodziny zastępczej. Nikt nie wiedział, że to ja podłożyłem ogień. Jeżeli matka po mnie wróciła, nic o tym nie wiedziałem.

– Wygląda na to, że odjechała w siną dal z Carterową i nie chciała, żeby jej dzieciak zaburzał fantazję w duchu Thelmy i Louise. Od początku nie zamierzały zabierać cię ze sobą.

– Lepiej mi było bez nich.

– W rodzinie zastępczej? Pewnie masz rację. Jeżeli wydarzyła się choćby połowa z tego, co opisałeś, to dorastałeś w popieprzonym domu.

– Język, Sam. Bacz na język.

– No tak. Nie mów nic złego. Przepraszam. Nie chciałem pogwałcić jednej z zasad twojego błogosławionego ojca.

Piąte piętro.

– Twoja matka chciała, żeby ojciec zginął tamtego dnia. Zaplanowała to. Miała go dość. Którą z nich posuwał blondyn? Twoją matkę czy panią Carter? Do diaska, założę się, że koleś brał w obroty obie, podczas gdy ty bawiłeś się ptaszkiem w kącie.

– Bacz na słowa, Sam.

– Pierdol się, Bishop. „Do diaska” to żadne przekleństwo.

Bishop westchnął.

– Używanie jakichkolwiek wulgaryzmów jest przejawem słabości umysłu, a ja wiem, że ty nie masz słabego umysłu. Idę o zakład, że opracowałeś już plan, jak wyrównać rachunki z facetem, który zastrzelił twoją żonę. Jak się nazywał? Campbell? Wyszedłeś stamtąd taki spokojny, jakbyś mu wybaczył, ale widziałem wściekłość gotującą się w twoich oczach, nienawiść.

– Nie wszyscy pragną zemsty.

Bishop zachichotał.

– Chcesz mi powiedzieć, że gdyby cię zamknąć z nim w pokoju i zagwarantować, że nie będziesz odpowiadał za to, co mu zrobisz, nie wyrządziłbyś mu krzywdy? Nie wpakowałbyś mu kulki między oczy? Nie wyciągnąłbyś noża i nie rozplatał go od szyi po krocze, by obserwować, jak się wykrwawia? Nie oszukuj się, Sam. Nosimy to w sobie.

– Ale tak nie robimy.

– Niektórzy z nas robią i dzięki temu świat jest lepszym miejscem.

– Może gdybyś nie był takim mazgajem i ciamajdą, matka by od ciebie nie uciekła. Może tamta trójka uwzględniłaby cię w swoich planach. Mógłbyś sobie żyć z nowym tatusiem i dwiema mamusiami, i tym, co zawierały ich skrytki bankowe.

Bishop zaśmiał się cicho.

– Założę się, że twoi kumple z pięćdziesiątego pierwszego planują nie zamykać dzisiaj celi Campbella. Wpuszczą cię tylnym wejściem, żebyś mógł sobie z nim pogadać na osobności. Czy jeżeli odkryją rano, że wisi, ktoś się tym naprawdę przejmie? Nikt nie uroni łzy z powodu straty kogoś takiego. Zasłużył sobie na to, prawda? Tym, co zrobił.

– Jak się nazywał naprawdę? Ten blondyn.

Bishop nie odpowiedział od razu, lecz po chwili jego głos trząsknął z głośnika.

– Franklin Kirby.

– Twoja matka i pani Carter planowały uciec z Franklinem Kirbyem.

– Tak.

– Te plany nie uwzględniały twojego ojca.

Bishop milczał.

– Jak twoja matka i pani Carter poznały tego Kirby'ego? – Porter podtrzymał rozmowę. Guzik go obchodzili Kirby, Carterowie czy rodzice

Bishopa, ale wiedział, że tak długo, jak Bishop będzie mówił, nie zrobi Emory dalszej krzywdy. Nie mógł pozwolić, by stało się jej coś więcej.

Bishop kliknął przyciskiem mikrofonu – pięć, tuzin razy.

– Kirby pracował z Simonem Carterem w firmie księgowej w dziale operacyjnym. Myślę, że odpowiadał za wyprowadzanie pieniędzy. Najprawdopodobniej planowali podzielić się funduszami i zachować dokumenty na wypadek, gdyby ktoś chciał im się dobrać do skóry.

– Nikt nie będzie się uganiał za kilkoma milionami dolarów i ryzykował, że wyciek informacji spowoduje zniszczenie całej operacji.

– Zgadza się.

– Kirby zdołał go jednak przechytryć z pomocą twojej matki – zauważył Porter. – I jego partnerki. Po prostu go wykończył.

– Simon Carter stosował przemoc wobec swojej żony. Dostrzegła możliwość wyrwania się z tego i z niej skorzystała. Myślę, że matka zgodziła się jej pomóc, a ten drugi mężczyzna był skutkiem ubocznym.

Porter poczuł, jak coś ciepłego splywa mu po nodze. Zerknął w dół. Rana znowu krwawiła. Przycisnął dłoń do uda i szedł dalej.

– Zobaczyłeś nazwisko Talbota na furgonetkach i połączyłeś fakty?

W radiu zapadła cisza.

– Bishop?

– Ojciec nauczył mnie, że bym do każdej sytuacji podchodził z dobrze przemyślanym planem. W wieku szesnastu lat miałem kilka fałszywych dowodów osobistych. Łatwo je zdobyć, kiedy jest się w systemie adopcyjnym. Od chwili, w której moja noga stanęła po raz pierwszy w grupowym domu opieki, poznałem sporo przyszłych przestępców. Jednakże pozostałem czysty. Unikałem bójek i narkotyków. Skupiłem się na jednym. Wreszcie dostałem pracę u Talbota. Byłem cierpliwy. Zacząłem jako stażysta i piąłem się wyżej. Od zawsze radziłem sobie z komputerami. Pewnie mam talent. Dość szybko dostałem się do działu IT. Prześledziłem kroki Simona Cartera. Ułatwił mi to. Sporządził kopie zapasowe wykradzonych plików na ich serwerach. Mieli je pod nosem, ukryte pod nazwiskami fikcyjnych klientów. Po

dwóch latach miałem wszystko, co zgromadził, i więcej. Pan Carter zebrał informacje na temat dziesiątek przestępców w mieście, nawet sprzed dwudziestu lat. Dysponował szczegółowymi danymi na temat ich przestępstw, a także dokumentacją księgową dotyczącą niemal każdego dolara, który przeszedł z ręki do ręki. To byli źli ludzie, Sam. Zajmowali się hazardem i niewolnictwem seksualnym. Wszyscy byli powiązani ze sobą, współpracowali. To podziemne zło oddychało jak żywy byt. Za dnia pracowałem dla Talbota, a nocami kojarzyłem fakty.

– Żyłeś samodzielnie w wieku szesnastu lat?

– Zajmowałem puste mieszkanie w West Side. Dzieliłem je z pięcioma innymi dzieciakami, które poznałem w systemie rodzin zastępczych. Wszystko było lepsze od grupowych ośrodków. Nie przerywaj mi Sam. To niegrzeczne.

– Przepraszam.

– Wszyscy ci przestępcy byli powiązani, jak w pajęczej sieci – ciągnął Bishop. – Wszyscy, co do jednego, a jeden z nich był postacią centralną. Trzymał wszystko w garści.

– Talbot.

– Partner Kirby’ego pociągnął za spust i uśmiercił mojego ojca, ale za jego bronią stali wszyscy ci ludzie – powiedział poważnie Bishop. – A w szczególności Talbot.

– Ilu zabiłeś? – zapytał Porter. Brakowało mu tchu, kiedy mijał dziewiąte piętro.

– Już nie jestem taki czysty, Sam. Ale zrobiłem to, co było konieczne.

– Zabijałeś niewinnych ludzi.

– Nikt nie jest niewinny.

– Pozwól mi porozmawiać z Emory – ponowił swoją prośbę Porter.

Dziesiąte piętro.

– Hej, chcesz usłyszeć coś zabawnego?

– Jasne.

Krzyk rozległ się gdzieś na górze i popłynął z głośnika radia trzymanego przez Portera – ścinający krew w żyłach krzyk świadczący o bólu tak przejmującym, że Porter poczuł go we własnym ciele.

– Lepiej się pospiesz, Sam. Ciach, ciach.

89 Clair

Dzień drugi, 17.34

Drzwi były zamknięte.

Nash nacisnął na klamkę ponownie, jakby spodziewał się innego rezultatu, i odwrócił się, sfrustrowany.

Clair przycisnęła ucho do drzwi.

Cisza.

Nash dał jej znak, żeby się cofnęła, i pochylił się, wystawiwszy trzy palce.

Clair zrozumiała.

Przyklękła i wymierzyła pistolet w stronę drzwi. Zablokowała łokcie.

Nash zgiął jeden palec, potem drugi. Na trzy uderzył ciałem w drzwi i prawie wpadł do środka, gdy drzwi ustąpiły z buntowniczym trzaskiem.

Clair omiotła wzrokiem pomieszczenie, nadal kucając z bronią gotową do strzału.

W głębi pokoju stało wielkie łóżko z baldachimem. Nad nim znajdował się misterny podwieszany sufit. Po lewej stronie urządzono małą przestrzeń z półkami zastawionymi książkami, biurkiem i dużą kanapą oddzielającą tę część od reszty pokoju. Na kominku w rogu trzaskał ogień. Na końcu pokoju znajdował się kolejny korytarz, który niknął za rogiem.

Nash wszedł ostrożnie do pokoju. Clair ruszyła za nim.

Na podłodze obok kanapy leżała kobieta, związana i zakneblowana jak

gosposia na dole.

Nash podszedł do garderoby znajdującej się w głębi i przetrząsnął ubrania, aby się upewnić, że nikogo tam nie ma. Clair skręciła za róg. Znalazła się w przestronnej łazience wykładanej białym marmurem. Nie było się tu gdzie schować. Kabina prysznicowa była szklana i ewidentnie pusta. Na lewo od wejścia stała bielizniarka wypełniona grubymi ręcznikami, butelkami szamponów, odżywek i środków higieny w ilościach pozwalających zaopatrzyć niewielki hotel. Nikogo tam nie było.

Wróciła do sypialni, gdzie zastała Nasha zagląającego pod łóżko.

Przyklęknęła przy kobiecie i wyjęła jej knebel.

– Jest tu nadal?

– Nie sądzę – odpowiedziała kobieta drżącym głosem. – Boże, chyba zabrał Arty’ego! – Rzuciła się gorączkowo i usiłowała usiąść.

Nash pomógł jej wstać, rozwiązał ją i posadził na wypchanym fotelu obok łóżka.

– Co się stało z pani pasierbicą? – zapytał.

– Carnegie wróci do domu po... – Odwróciła głowę w stronę kominka, nad którym minuty odmierzał mały zegar stojący na półce. – Która jest godzina? Jest ciemno. Nic nie widzę.

– Około siedemnastej trzydzieści.

– Już po siedemnastej?

Słysząc było syrenę.

Clair podeszła do dużego okna przy łóżku i odciągnęła zasłonę. Niczego nie zobaczyła.

– Proszę pani, jak dawno temu wyszedł?

Nash rozwiązał jej rękę. Potarła skronie.

– Arty wrócił do domu krótko po czternastej, żeby się przebrać na spotkanie. On wpadł tu chwilę później. Najdalej po dziesięciu minutach.

– Co się stało?

– Nie wiem dokładnie. Wszystko wydarzyło się tak szybko. Siedziałam na kanapie i czytałam. Ktoś zapukał do drzwi sypialni. Pomyślałam, że to Miranda. Arty powiedział, że otworzy. Usłyszałam łoskot, a chwilę później, kiedy wstałam, żeby zobaczyć, co się stało, ten mężczyzna wpadł do pokoju. Rzucił się na mnie i pchnął mnie na kanapę. Chyba uderzył mnie w głowę, bo na moment straciłam przytomność. Gdy się ocknęłam, miałam związane ręce i pętał mi nogi. Krzyknęłam, a on się tylko do mnie uśmiechnął. Przeprosił mnie za to, że zepsuł mi popołudnie, i poinformował mnie, że musi zamienić słowo z moim mężem. Potem mnie zakneblował. Widziałam leżącego tam Arty’ego – wskazała w stronę korytarza. – Ruszał się, ale niezbyt szybko. Chyba próbował wstać. Mężczyzna podszedł do niego i wbił mu igłę w szyję. Podał mu pewnie jakiś narkotyk, bo chwilę później Arty odleciał. Mężczyzna podszedł do mnie, jeszcze raz mnie przeprosił i wbił mi igłę w ramię. Znowu straciłam przytomność, a kiedy się ocknęłam, ogień prawie wygasł, więc pewnie minęło trochę czasu. Potem wy tu weszliście.

Clair znalazła zdjęcie Bishopa w telefonie i pokazała kobiecie.

– To on?

Przytaknęła.

– Skrzywdzi Arty’ego?

Nash poszukał włącznika światła i nacisnął go. Natychmiast tego pożałował.

Na ścianie widniały wymalowane krwią słowa: NIE CZYNIEŃ NIC ZŁEGO.

90 Porter

Dzień drugi, 17.40

Gdy Porter dotarł do dziesiątego piętra, poczuł, że robi mu się niedobrze. Na drzwiach nabazgrano świeżą krwią ściekającą po wyblakłej zielonej farbie słowa: NIE MÓW NIC ZŁEGO. W pyle na podłodze u jego stóp leżał ludzki język i zakrwawione nożyczki.

To było właściwe piętro.

Wrzucił radio do kieszeni, wyłączył latarkę, zacisnął mocniej kij w dłoni i pchnął ciężkie metalowe drzwi. Wszedł na korytarz pochyłony, ignorując ból w nodze.

Korytarz oświetlały świece.

Wzdłuż lewej ściany stał szereg świec o średnicy około dwóch i pół i wysokości około pięciu centymetrów. Ciągnął się na długości blisko dziewięciu metrów i ginął za rogiem.

Porter wyjął z kieszeni telefon komórkowy i nacisnął przycisk. Nadal nie miał zasięgu. Schował telefon i poprawił kij w dłoniach.

Wtem Guns N' Roses zaczęli zawodzić od środka utworu...

Welcome to the jungle

We take it day by day

Porter prawie upuścił kij, gdy próbował zakryć uszy. Przycisnął obie dłonie z boków głowy i trzymał broń palcami. Jeszcze nigdy nie słyszał tak głośniejszej muzyki. Zupełnie jakby stał na koncercie w pierwszym rzędzie. Nie widział głośników, ale źródło muzyki znajdowało się gdzieś przed nim, za

rogiem.

Ruszył korytarzem.

Wydawało się to niemożliwe, ale muzyka stała się jeszcze głośniejsza. Mógłby przysiąc, że płomienie świec tańczyły w rytm basu.

Gdy dotarł do końca korytarza i był gotów wyjść z za rogu, nie miał wyboru – musiał opuścić dłonie i chwycić kij oburącz. Tak też zrobił i skręcił, dzierżąc swoją słabą broń przed sobą i ciągnąc krwawiącą nogę za sobą. Wszedł do swego rodzaju holu, w którym znajdowały się pozostałości po firmie zajmującej niegdyś tę przestrzeń.

Na środku widniało stare biurko otoczone świecami ustawionymi na podłodze. Na biurku stał wysłużony boombox, jakiego Porter nie widział od dwudziestu lat. Czarną plastikową obudowę pokrywały kurz i farba, brakowało klapki jednej z dwóch kieszeni na kasety, a szybkę, która miała chronić tuner, znaczyła siatka pęknięć tak gęsta, że nie dało się odczytać częstotliwości. Diody ledowe migały i tańczyły w rytm muzyki, zalewając pomieszczenie czerwonym, zielonym, żółtym i niebieskim światłem. Z radia wystawał kabel, który spływał po biurku i prowadził do czterech wielkich głośników ustawionych przy jednej z trzech otwartych szybów wind. Do boomboxa przyczepiono kartkę: JEŚLI ZMIENISZ STACJĘ, ZRZUCĘ CIĘ Z DACHU. PODPISANO: PRZYJACIELE Z LOKALU 49. Poniżej ktoś nabazgrał: KLASYCZNY ROCK JEST WIECZNY.

Sprzęt podłączono do czerwonego generatora prądu, który sapał na prawo od Portera. Sam nacisnął wyłącznik. Generator zakasłał i ucichł, a wraz z nim muzyka.

– Nie lubisz Guns N’ Roses? – zatrzeszczał głos Bishopa z radia w kieszeni Portera.

Porter wyciągnął radio i wcisnął guzik mikrofonu.

– Gdzie jesteś, do cholery?

– Zapomniałem ci powiedzieć, kim Lisa Carter została w swoim nowym życiu.

– Słucham?

– Lisa Carter umarła tego samego dnia, co mój ojciec, ale odrodziła się jako zupełnie nowa osoba. Chcesz poznać jej nowe nazwisko? Być może je rozpoznasz.

Porter słyszał, że głos Bishopa nie tylko trzeszczy z radia, ale dobiega też skądinąd; prawdziwy głos, którego źródło jest blisko, brzmiący jak echo. Nie mógł go jednak namierzyć. Wciąż dzwoniło mu w uszach.

Przy windach znajdowało się czworo otwartych drzwi, po dwoje z każdej strony. Światło świec otaczających biurko nie pozwalało zobaczyć, co było za nimi. Porter czuł na sobie spojrzenie Bishopa.

– Nie chcesz wiedzieć, kim została pani Carter po tym, jak wyjechała z moją matką?

Porter ruszył w stronę pierwszych otwartych drzwi. Uniósł wysoko kij, gotów uderzyć.

– Stój.

Zamarł w miejscu.

Cień w drugim końcu pomieszczenia poruszył się, gdy Anson Bishop wyłonił się z ciemności, pchając przed sobą Arthura Talbota w fotelu biurowym na kółkach. Mężczyzna był przymocowany do oparcia szarą taśmą, miał skrępowane ręce, stopy i tułów. Oczy osłaniał mu założony byle jak bandaż, a z ust kapała krew.

Anson Bishop stał za Talbotem z nożem przystawionym do jego gardła.

– Cześć, Sam.

Porter zbliżał się ostrożnie i badał wzrokiem pustą poza tym przestrzeń.

– Gdzie ona jest?

– Masz pistolet, Sam? Bo jeśli tak, poproszę, żebyś go zostawił tam w korytarzu.

– Mam tylko to. – Uniósł kij.

– Możesz go trzymać, jeśli czujesz się dzięki temu lepiej. Ale nie idź dalej. Nie ma potrzeby, żebyś się zbliżał.

Talbot wydał z siebie słaby jęk, głowa opadła mu na bok.

Porter usłyszał dobiegające z oddali syreny.

– Pozwól mi go zawieźć do szpitala. Nie musi umierać.

– Wszyscy umieramy, Sam. Niektórzy są w tym po prostu lepsi od innych. Zgadza się, Arty? – Nacisnął ostrzem noża na gardło Talbota i pojawiła się strużka krwi. Talbot nie zareagował; najpewniej był w szoku. Bishop oderwał od niego wzrok i ściągnął brwi. – Powinieneś iść z tą nogą do lekarza. Te schody to chyba nie był dobry pomysł.

Porter zerknął w dół i zobaczył, że całą nogawkę ma moką od krwi. Prawdopodobnie puściły wszystkie szwy. Przycisnął dłoń do rany i krew przeciekła mu przez palce. Zaczynało mu się kręcić w głowie. Kij wypadł mu z lewej ręki i upadł na podłogę.

– Nic mi nie jest.

– Jesteś dobrym detektywem, Sam. Muszę ci to przyznać. Wiedziałem, że rozwikłasz tę zagadkę. No i przedkładasz dobro innym nad własne. Postawa godna podziwu. Nieczęsto się spotyka coś takiego. Już nie.

Porter wciągnął głęboko powietrze i zmusił się, żeby stać prosto. Ignorował białe plamy latające mu przed oczami. Syreny były coraz bliżej.

– Będą tu niebawem. Nadal masz czas postąpić słusznie. Powiedz mi, gdzie jest Emory, i puść Talbota. Odejdź. Nie mogę cię gonić. Nie w tym stanie.

Bishop przysunął fotel do otwartych drzwi pierwszego szybu windy. Uśmiechał się.

– Mam go puścić?

– Nie! Nie rób tego! – Porter ruszył ku niemu.

Bishop wyciągnął uzbrojoną w nóż rękę w jego stronę.

– Stój! Nie zbliżaj się!

Porter zamarł w bezruchu.

Krew Talbota spłynęła z czubka noża i wylądowała na jego ramieniu.

Fotel stał niecałe półtora metra od głębokiego na jedenaście kondygnacji – plus piwnica – szybu. Porter próbował liczyć, ale nie myślał jasno. Trzydzieści metrów? Trzydzieści sześć? Nie był tego pewien. Zresztą nie miało to znaczenia. Znajdowali się wysoko.

– Rozumiem, że chcesz bronić Emory, ale tego łajzę? Niedługo zobaczysz dokumenty, Sam. Jestem pewien, że Clair i chłopaki już je znaleźli. Ten człowiek od trzydziestu lat maczał paluchy we wszystkich nieczystych interesach w tym mieście. Pragniesz zapobiegać morderstwom i przestępstwom, a on żyje po to, by do nich dochodziło. Ilu ludzi zginęło przez niego? I ilu jeszcze zginie, żeby mógł wypchać sobie kieszenie?

Z zewnątrz dobiegał regularny szum skrzydeł śmigłowca, który lądował na dachu. Bishop też go usłyszał. Strzelił oczami w stronę sufitu, potem spojrzął na Portera.

– Wygląda na to, że zjawili się twoi przyjaciele.

– Przyjdą tu od góry, a antyterrorysty są już pewnie na schodach. Twój czas się skończył, Bishop. To koniec. – Porter przez chwilę widział zamglony obraz i zatrzęsły się pod nim nogi. Zmusił się, by stać spokojnie. – Odsuń się od Talbota i uklęknij.

Bishop wprowadził fotel w powolny obrót.

– Ten świat byłby lepszym miejscem bez niego, nie sądzisz? Ojciec by sobie tego życzył.

– Jaki związek ze sprawą miał partner Kirby’ego? – zapytał Porter, uciekając się do odwrócenia uwagi. – Facet, który zastrzelił twojego ojca.

– Słucham?

– Kirby planował uciec z twoją matką i Carterową, ale jak było z drugim mężczyzną, tym, którego nazywałeś Panem Nieznajomym? – Porter stał z trudem. Całe ciało mu ciążyło. Chciał zasnąć. Musiał jednak wciągnąć Bishopa w rozmowę na tyle długą, żeby posiłki zdążyły tu dotrzeć. Na tyle długą...

– Nazywał się Felton Briggs. Pracował dla naszego przyjaciela – odpowiedział Bishop i znowu obrócił Talbota. – Myślę, że był jakimś specem od

bezpieczeństwa. Pytałem o niego Arty'ego, ale nie chciał mi odpowiedzieć. Ciągłe gadał o swoich oczach. „Nic nie widzę! Nic nie widzę!” Bla, bla, bla. Wreszcie musiałem go uciszyć. Trzeba było to widzieć.

– Był jakoś zaangażowany w sprawę?

– Do chwili kiedy nacisnął spust i zabił ojca, był tamtego dnia chyba jedynym niewinnym człowiekiem w naszym domu. Wykonywał tylko swoją pracę. Nie miał pojęcia o zaangażowaniu Kirby'ego i na pewno nie wiedział, że Kirby planował go zabić.

Ciało Talbota się szarpnęło, głowa odchyliła się do tyłu. Palce dziwnie się wyprężyły i każdy mięsień zaczął drgać konwulsyjnie.

– Wpada w szok. Musisz mi pozwolić zawieźć go do szpitala.

Bishop się uśmiechnął.

– Twój przyjaciele niedługo tu będą. Ale martwię się o ciebie. Dobrze się czujesz? Potwornie zbladłeś, Sam.

Porter nie czuł się dobrze. Zamiast jednego Bishopa stojącego w rogu widział dwóch i tracił czucie w rękach. Chciał się schylić po kij baseballowy i rzucić się na tego mężczyznę, żeby stłuc go do nieprzytomności, zamienić jego głowę w krwawą miazgę, ale musiał się skupiać na tym, żeby stać. Żeby nie zemdleć.

– Jakie nazwisko przyjęła pani Carter?

Twarz Bishopa pojaśniała.

– A, właśnie! W całym tym podnieceniu prawie o tym zapomniałem. Dziękuję, Sam, że mi przypomniałeś.

Talbot znieruchomiał. Porter nie potrafił ocenić, czy oddychał.

Bishop ciągnął:

– Matka zmieniła tożsamość na Emily Gerard. Potrzebowałem kilku lat, żeby to ustalić. Niestety, albo ta tożsamość od razu umarła, albo nauczyła się żyć tak, by nie zostawiać żadnych śladów. Żadnych kredytów, sprzedaży ziemi, nic. Matka chyba się nią nie posługiwała. Za to pani Carter korzystała ze swojej nowej tożsamości, i to jak. Nawet nie próbowała się ukrywać. To

nazwisko powinno ci być znane, spotkałeś się z nim w ostatnich dniach. Pani Carter została Catriną Connors.

Porter miał mętlik w głowie. Myślał, ale ten proces przebiegał powoli, ociężale. Słyszał to nazwisko, ale nie potrafił go umiejscowić. Wtem...

– Matka Emory?

Bishop uśmiechnął się szeroko i zakręcił szybko Talbotem.

– Prosiłeś, żebym zebrał informacje na jej temat, a ja tak bardzo chciałem ci powiedzieć, co już wiedziałem, ale popsułbym całą zabawę.

– Ale jak?

– Simon Carter przerzucił ponad czternaście milionów dolarów na zamorskie rachunki. Wiem, że matka i pani Carter żyły z tych pieniędzy przez jakiś czas. Ale też kupowały nieruchomości. Mnóstwo nieruchomości. Catrina Connors wiedziała, że Talbot pewnego dnia będzie chciał wejść w ich posiadanie. Kiedy wreszcie zapytał ją o konkretny pas magazynów na wybrzeżu, uwiodła go. Tak powstała Emory. W dniu pierwszej rocznicy jej urodzin Catrina Connors przepisała wszystkie nieruchomości na córkę i wyjawiała Talbotowi swoją prawdziwą tożsamość. Powiedziała mu również, że ma wszystkie dokumenty, które przed laty wykradł jej mąż, i udostępni je prasie, jeżeli Talbot nie zgodzi się, by cały jego legalny majątek przeszedł po jego śmierci na Emory. Krótco potem zmienił testament.

– Skąd to wszystko wiesz? Mówiłeś, że nie wiedziałeś, dokąd się udały twoja matka i pani Carter.

– Gunther Herbert bardzo się rozgadał – odparł Bishop. – Świetnie się nam rozmawiało przed tygodniem.

– Dyrektor finansowy Talbota?

– Tak.

– Jeżeli Talbot zginie...

– Emory odziedziczy miliardy, a wszelka działalność przestępcza, z którą jej ojciec ma związek, przestanie istnieć.

Porter popatrzył na Talbota. Znowu się ruszał. Rzucił głową na prawo i

lewo, a z jego gardła wydobywał się głęboki jęk.

– Nie możesz go zabić.

– Nie? – zapytał Bishop i pchnął fotel.

Talbot pomknął w stronę otwartych drzwi szybu wentylacyjnego po lewej stronie, a Porter rzucił się w jego kierunku, wykrzesując z nóg całą siłę, jaka w nich jeszcze pozostała. Upadł na beton i sunął po nim z wyciągniętymi przed siebie rękami, musnął palcami zimną stal i chwycił jedno z kółek, gdy staczało się z krawędzi. Trzymał je przez ułamek sekundy, zanim się wyrwało i zniknęło w ciemności.

Talbot uderzył o ziemię daleko w dole. Porter usłyszał krzyk. Dziewczęcy, stłumiony, słaby krzyk wydobywający się z sąsiedniego szybu, tego pośrodku, oddalonego od niego o zaledwie kilka kroków na prawo.

„Emory”.

Kątem oka zobaczył niewyraźnie, jak Bishop podszedł spokojnie do trzeciego szybu, stanął tyłem do otworu, pomachał mu na pożegnanie i powiedział:

– Do widzenia, Sam. Było fajnie.

A potem rzucił się w przepaść i zniknął w mrocznej czeluści.

Ciemność spowiła wszystko i Porter wreszcie zemdlał.

91 Porter

Dzień drugi, 17.58

– Sam, słyszysz mnie? Chyba się ocknął...

To była Clair.

Clairmisia.

„Cztery niedźwiedzie ryk usłyszały. Jeden uciekł, a trzy zostały”.

Gdzie podział się Bishop?

– Proszę się odsunąć.

Ostre światło.

Jeszcze nigdy nie widział tak ostrego światła.

– Detektywie?

Światło zniknęło z kliknięciem, a Porter zamrugał. W głowie mu dudniło.

– Gdzie?

Clair przesunęła ratownika.

– Na parterze, tuż przed budynkiem. Ściągnęliśmy cię tu w koszu śmi-głowca. Znoszenie twojego grubego cielska po schodach nie wchodziło w grę.

– Bishop zabił Talbota.

Clair odgarnęła mu kosmyk włosów z oczu.

– Wiemy. Popatrz...

Porter powiódł wzrokiem za jej palcem.

Nash przepchnął się przez szklane drzwi umieszczone obok obrotowych i przytrzymał je, żeby ratownicy mogli wyprowadzić nosze z leżącą na nich młodą dziewczyną. Wisiała nad nią kroplówka. Głowę i nadgarstek miała owinięte białymi bandażami.

– Czy ona...?

– Wyjdzie z tego – poinformowała go Clair. – Bishop przypiął ją kajdankami do noszy na dnie szybu windy. Jest mocno odwodniona, kajdanki pokiereszowały jej nadgarstek, ale raczej nie straci dłoni. Odciął jej ucho, ale nie zrobił jej nic więcej. Po prostu ją tam zostawił. Budowlańcy kręcili się po budynku przez cały czas, ale nikt nie miał pojęcia, że ona tam była. Pracowali na wyższych piętrach.

Porter oblizał usta. Zaszło mu w gardle.

– Bishop wskoczył do drugiego szybu. Nie żyje?

Clair wciągnęła głęboko powietrze i wypuściła je powoli.

– Nie skoczył. Zszedł z użyciem liny. Przygotował sobie linę i uprząż na platformie serwisowej wewnątrz szybu i spuścił się na dół. Gdy tam weszliśmy, znaleźliśmy otwór w ścianie wiodący do jednego z podziemnych tuneli, takich jak pod budynkiem Mulifaxu. Uciekł, Sam. Patrole sprawdzają wszystkie wyjścia z tuneli w archiwach miasta, ale uważam, że go nie znajdziemy. W czasie gdy połowa policji przebywała w tym budynku i próbowała dostać się do ciebie z góry i z dołu, on uciekł nam sprzed nosa i zniknął gdzieś pod miastem.

– Proszę pani – przerwał jej ratownik. – Musimy zawieźć pana do szpitala. Stracił dużo krwi.

Clair posłała mężczyźnie złe spojrzenie i uśmiechnęła się do Portera.

– Świetnie się spisałeś, Sam. Znalazłeś Emory i znamy tożsamość #4MK. W końcu wyjdzie na powierzchnię, a wtedy go dopadniemy. Wieczorem cały świat będzie znał jego wizerunek. Nie będzie się miał gdzie ukryć.

Porter ścisnął Clair za rękę i przyglądał się, jak pakowano Emory do karetki stojącej na prawo od nich. Zamknął oczy. Chciało mu się spać.

92 Porter

Dzień 3, 8.24

Kiedy Porter otworzył oczy, leżał w szpitalnej sali. Zdaje się, że tej samej co wcześniej... Która była godzina? Poszukał zegarka i telefonu, ale bez skutku. Promienie słońca wpadały do środka przez okno i ogrzewały koc leżący na łóżku. Naprawdę przespał całą noc?

– Gdzie jest ten przeklęty przycisk przywołania pielęgniarki?

Szukał go w pościeli, ale tylko owinął sobie głowę rurką od kroplówki.

– Nie można cię zostawić samego nawet na minutę – rzucił Nash. Wrócił z kubkiem kawy z automatu i paczką żelków. – Już wyobrażam sobie ten nagłówek: „Detektyw uciekł seryjnemu zabójcy, ale udusił się w szpitalnym łóżku”.

– Nie uciekłem mu. Nigdy nie zamierzał mnie zabić – zaoponował Porter zachrypniętym głosem.

Nash sięgnął po papierowy kubeczek stojący na szafce i podał mu go.

– Spróbuj tego. Pielęgniarka przyniosła je kilka minut temu.

– Co to jest?

– Kostki lodu.

Porter wziął kubek i przystawił go do ust, oblewając sobie zimną wodą brodę i klatkę piersiową.

– No dobra, może to było więcej niż kilka minut temu. Lód się chyba rozpuścił. – Nash sięgnął pod łóżko i wyciągnął przycisk przywołania pielę-

gniarki. Wcisnął go. – Poproszę, żeby przyniosła nowy.

Porter uniósł kołdrę i przyjrzał się świeżo zabandażowanej nodze. Miał nowe zadrapania i siniaki na rękach. Opowiedział Nashowi, co się stało z Talbotem.

– Może ten Watson czy Bishop, czy jakkolwiek się nazywa, wyświadczył nam przysługę?

Porter uniósł brwi, ale się nie odezwał.

– W mieszkaniu Bishopa znaleźliśmy pudło z dokumentami. Te informacje wystarczyłyby do sformułowania dwudziestu trzech oddzielnych oskarżeń o przestępstwa popełnione w Chicago i okolicy. A wiesz, co je wszystkie łączyło?

– Talbot?

– Talbot.

– Bishop mi o tym powiedział.

Nash prychnął.

– Gdybyś mnie o niego zapytał tydzień temu, mógłbym pomyśleć, że gość ma szansę zostać burmistrzem.

– I może by nim został, gdyby to wszystko się nie wydarzyło.

– Coś nie daje mi nadal spokoju. Skąd Bishop wziął na to wszystko pieniądze? Wysłał trzysta tysięcy Kittnerowi za rzucenie się pod autobus. Skąd wytrzasnął tę kasę? – zapytał Nash.

– Może znalazł ją pod kotem.

– Jakim kotem? – Nash ściągnął brwi.

– Musisz przeczytać pamiętnik.

Nash pociągnął łyk kawy.

– Chyba zaczekam na film.

W drzwiach pojawiła się głowa Clair Norton.

– A niech mnie, dostałeś tę samą salę?

– Cześć, Clairmisiu.

– Ty szurnięty draniu. Zastanawiałam się, czy nie przykuć cię do tego łóżka, żebyś znowu nie dał nogi.

Nash się ożywił.

– Jeśli on odmówi, ja się na to piszę.

Clair chwyciła pusty kubeczek po lodzie i rzuciła nim w niego.

– Zboczeniec.

– Z dumą noszę kartę członkowską tego klubu.

Popatrzyła na Portera.

– Jesteś gotów przyjąć gościa?

Wzruszył ramionami.

– Jeżeli radzę sobie z wami, poradzę sobie ze wszystkim.

Clair wygładziła mu pościel i uśmiechnęła się.

– Nigdzie nie idź. Zaraz wrócę.

Zniknęła za drzwiami i wróciła po kilku sekundach, pchając przed sobą wózek z nastolatką. Dziewczyna miała zabandażowaną głowę i nadgarstek oraz potwornie bladą skórę, ale nie sposób było jej nie rozpoznać.

– Witaj, Emory – powiedział cicho Porter.

– Cześć.

Porter zerknął na pozostałych.

– Dacie nam chwilę?

Clair chwyciła Nasha za rękę i pociągnęła w stronę drzwi.

– Poszukamy czegoś na śniadanie.

Nash uśmiechnął się do Emory i Portera.

– Chyba mnie lubi.

Kiedy drzwi się za nimi zamknęły, Porter przeniósł wzrok na Emory.

Zważywszy na to, co przeszła, wyglądała dobrze. W porównaniu z kilkoma zdjęciami, które widział, schudła. Twarz jej wyszczuplała i pojawiło się na niej kilka zmarszczek – w normalnych okolicznościach zagościłyby na skórze dziewczyny najwcześniej za dziesięć lat. Domyślił się, że były skutkiem odwodnienia i najprawdopodobniej z czasem znikną. Zdradziły ją jednak oczy. To nie były oczy piętnastolatki; należały do kogoś znacznie starszego, kto widział rzeczy, których nigdy nie powinien oglądać.

– A więc – odezwał się.

– A więc.

Wskazał na szafkę.

– Chętnie bym cię czymś ugościł, ale nie mam już nawet lodu. Ta sala jest kiepsko zaopatrzona.

Emory machnęła ręką w stronę kropłówki przymocowanej do wózka.

– Przyszłam z własną przekąską. Ale dziękuję.

Porter podciągnął się do pozycji siedzącej. Pokój zawirował mu przed oczami.

– Rety.

– Środki przeciwbólowe?

Oblizła spierzchnięte wargi.

– Tym razem dali mi coś mocnego.

Emory wyciągnęła rękę.

– Mnie też dali coś niezłego na to i na ucho. Poprosiłam ich, żeby się wstrzymali z kolejną dawką, bo chciałam pana odwiedzić.

Porter wbił wzrok w podłogę.

– Przykro mi, że nie znalazłem cię wcześniej, Emory.

Pokręciła głową i położyła dłoń na jego ręce.

– Niech pan tego sobie nie robi. Znalazł mnie pan. Detektyw Norton opowiedziała mi o wszystkim, co pan robił dla mnie przez ostatnie dni, i nie

wiem, jak mam panu podziękować. – Emory powiodła wzrokiem za jego spojrzeniem i też popatrzyła na zabandażowany nadgarstek. – Zoperowali mnie w nocy. Niektóre nerwy uległy uszkodzeniu i mam złamaną kość łódeczkowatą, to ta mała kostka poniżej kciuka, ale poza tym nic mi nie jest. Stracę część czucia, ale wszystkie palce działają, jak należy, i lekarz mówi, że odzyskam pełen zakres ruchu. – Pomachała palcami, żeby to zademonstrować, i wzdrygnęła się, gdy poczuła ból.

– A co z uchem? – Porter nie wiedział, dlaczego o to zapytał. Normalnie nie zadałby takiego pytania, gdyby ona nie zaczęła tematu. Zrzucił winę na narkotyki.

– Zdaje się, że wyhodują mi nowe.

– Słucham?

– Był u mnie rano lekarz, który powiedział, że mogą mi wyhodować na przedramieniu ucho z wykorzystaniem chrząstki z żeber – wyjaśniła Emory. – Potrzeba na to około trzech miesięcy, ale podobno nie da się go odróżnić od oryginalnego.

Porter opadł na poduszkę.

– Zdecydowanie zaaplikowali mi coś mocnego. Czy właśnie powiedziałaś, że wyhodują ci ucho na przedramieniu?

Emory zachichotała. Jak miło było to słyszeć.

Porter popatrzył na nią, zajrzał w oczy, które oglądały rzeczy, których widzieć nie powinny, przyjrzał się kryjącej się za nimi dziewczynie i wiedział, że dojdzie do siebie.

– Może porozmawialibyśmy o twojej matce? Wiele o niej ostatnio słyszałem. Możemy porównać to, co o niej wiemy.

Emory się uśmiechnęła.

– Chętnie.

Epilog

Dwa dni później

– Cholera. – Nash podniósł stopę i gapił się na psią kupę przyklejoną do podeszwy buta.

– Powinienem cię ostrzec, żebyś uważał – powiedział Porter, szukając kluczy. – Z reguły tu leży. Chyba nie czułbym się tu jak w domu, gdyby psie kupy przestały się pojawiać na schodach.

Nastał wieczór i światła ożywiały miasto. Wraz z zachodzącym słońcem zakradł się chłód i Porter powitał go z zadowoleniem, bo rześkie powietrze przypomniało mu, co znaczy żyć.

Stali przed jego blokiem. Lekarze trzymali go w szpitalu przez dwa dni, żeby się upewnić, że szwy nie puszczą. Najwyraźniej stracili do niego zaufanie, po tym jak opuścił samowolnie szpital i wszedł po schodach na dziesiąte piętro za seryjnym zabójcą krótko po operacji. Obawiali się, że może dojść o infekcji, ale zagrożenie minęło i rana ładnie się goiła.

– Nie musiałeś przywozić mnie do domu. Dałbym sobie radę sam.

Nash zbył go machnięciem ręki.

– Clair suszyłaby mi głowę do końca moich dni.

– Nie ufasz mi.

– To też. – Nash podszedł do skraju chodnika i wytarł but o krawężnik.

Na chwilę przed wyjściem ze szpitala Porter odebrał telefon od detektywa Baumhardta z pięćdziesiątego pierwszego komisariatu. Harnell Campbell, człowiek, który zabił Heather, zdołał jakimś cudem wpłacić kaucję.

– Skąd taki gnojek wykombinował pół miliona dolarów? – zapytał Nash.

– Jeżeli miał poręczyciela, wystarczyło mu dziesięć procent tej kwoty – zauważył Porter.

– Nie dysponuje nawet taką forszą, skoro rabuje sklepy spożywcze.

– Pewnie ma kumpla dealera albo ktoś był mu winien przysługę. To nie ma znaczenia. Baumhardt uważa, że mają niepodważalne dowody. Odsiedzi swoje, tylko nie dzisiaj.

Nash wzruszył ramionami.

– O ile postanowi pojawić się na rozprawie.

– Nie pomagasz mi.

– Przepraszam.

Weszli do holu i Porter otworzył skrzynkę na listy. Była pełna.

– Kiedy ją ostatnio opróżniałeś?

– Kilka dni temu. – Przejrzał korespondencję, wybrał program telewizyjny na kolejny tydzień, a resztę wcisnął z powrotem do skrzynki i zamknął klapkę. Zerknął w stronę schodów, ale Nash chwycił go za ramię i wskazał na windę.

– Nie ma mowy. Nad sylwetką zaczniesz pracować od przyszłego tygodnia. Żadnych ćwiczeń, a już na pewno żadnego chodzenia po schodach. Tak kazał lekarz.

– Będę się musiał przeprowadzić na parter. Bishop obrzydził mi zarówno schody, jak i windy – stwierdził Porter.

Nash wcisnął przycisk przywołania windy. Drzwi się otworzyły i weszli do środka.

– Udało się go namierzyć?

Porter miał zakaz wstępu do pokoju narad i polecono mu trzymać się z daleka od sprawy do czasu uzyskania pozwolenia od lekarza, ale musiał o to zapytać. Zżerała go świadomość, że Bishop nadal był na wolności.

– Zbadaliśmy ponad tysiąc zgłoszeń w ciągu ostatnich dni, ale nie mamy

nic konkretnego. Widziano go blisko Hard Rock nad jeziorem, a także w Paryżu. Tego we Francji, nie w stanie Illinois. Technicy kryminalistyczni przeczesali jego mieszkanie i zdaje się, że nigdy tam nie mieszkał. Wyszukował to miejsce dla nas. Kto wie, gdzie jest jego dom.

– A co z domem z dzieciństwa? Tym z pamiętnika. Udało się go zlokalizować?

– Kloz szuka w całym kraju spalonych mniej więcej dwadzieścia lat temu domów w pobliżu stawu lub jeziora, ale jeszcze niczego nie znalazł. Zaprzyśiężeni i zwykli księgowi są rejestrowani, ale ten trop też zawiódł nas donikąd. Kloz sporządził listę plymouthów dusterów zarejestrowanych w kraju, znalazł ich ponad cztery tysiące i nie mam pojęcia, co mam zrobić z tak długą listą. Pewnie też będzie to ślepy zaułek. Zażądaliśmy listy pracowników różnych firm Talbota, ale nie znaleźliśmy żadnego Cartera, Feltona Briggsa ani Franklina Kirby'ego. Odnoszę wrażenie, że cały ten pamiętnik to stek kłamstw, kolejna zmyła. Przyjechali do nas wczoraj federalni, czterech, w ciemnych garniturach i z ponurymi ego. Chcieli zająć nasz pokój, ale zainstalowałem ich w pokoju po drugiej stronie korytarza.

Porter ściągnął brwi.

– Tym, w którym dziwnie śmierdzi?

– Tak. To przecież federalni. Może wytropią, skąd się bierze ten smród.

Drzwi windy otworzyły się na trzecim piętrze i ruszyli korytarzem w stronę mieszkania Portera.

Sam wsunął klucz w zamek.

– Wydaje mi się, że ten pamiętnik to jedyna prawdziwa informacja o nim, do jakiej nas dopuścił. Chciał, żebyśmy poznali jego pochodzenie.

– Mnie obchodzi tylko to, dokąd zmierza.

Weszli do mieszkania i Porter zapalił światło. Omiótł wzrokiem miejsce, gdzie leżał po tym, jak Bishop dźgnął go nożem.

– Kto tu sprzątał?

– Clair była tu wczoraj. Nie chcieliśmy, żebyś widział coś takiego po powrocie do domu, i wypadło na nią. Pewnie dobrze się złożyło. Ja bym

położył tu dywanik albo postawił doniczkę z rośliną. Plamy z krwi nadają miejscu charakteru. Powinieneś widzieć moje mieszkanie.

Porter mógł je sobie tylko wyobrazić.

– Podziękuj jej w moim imieniu, kiedy ją zobaczysz.

Nash przestąpił z nogi na nogę.

– To kiedy wracasz?

– Pewnie za tydzień, może za dwa. – Sięgnął do lodówki i wyciągnął piwo. – Napijesz się?

– Nie mogę. Jestem jeszcze na służbie. – Odwrócił się w stronę drzwi. – Zajrzę do ciebie jutro, okej?

– Nie musisz do mnie zaglądać. Nic mi nie będzie.

Nash się uśmiechnął i skinął głową.

– Wiem. Dobranoc, Sam.

– Dobranoc, Brianie.

Porter zamknął za nim drzwi i otworzył butelkę. Zimne piwo sprawiało, że wszystko wydawało się lepsze.

Zdjęcie Heather przyglądało mu się ze stolika. Podeszedł do niego i pogładził palcem jej policzek.

– Tęsknię za tobą, Guziczku. – Sięgnął po nowy telefon komórkowy, zaczął wybierać numer jej poczty głosowej, ale się rozmyślił. – Śpij dobrze, moja piękna.

Dopił piwo, postawił butelkę na stole i udał się do sypialni.

W pierwszej chwili nie dostrzegł małego białego pudełeczka leżącego na skraju łóżka, a kiedy je zauważył, pomyślał, że je sobie wyobraził. Jednak ono tam było – małe białe pudełeczko obwiązane czarnym sznurkiem leżało obok liściku od Heather. Odruchowo poszedł po broń, ale przypomniał sobie, że nadal jej nie ma.

Obszedł łóżko i podniósł pudełko. Starał się uspokoić trzęsącą się rękę. Wiedział, że powinien włożyć rękawiczki, ale w ogóle się tym nie przejmował.

wał. Pociągnął za sznurek, rozwiązał go i pozwolił, żeby opadł na podłogę. Zdjął wieczko i zajrzał do środka.

Na podkładzie z waty leżało ludzkie ucho. Były w nim kolczyki, sześć z brylancikami i cztery małe kółka. Ucho odcięto równo, z chirurgiczną precyzją. Na wacie widniały brązowe strzępki zaschniętej krwi.

Na zewnętrznej krawędzi ucha czarnymi literami wytatuowano napis FILTR.

Natychmiast go rozpoznał. Tarek zwrócił uwagę na ten tatuaż, kiedy byli w pięćdziesiątym pierwszym komisariacie.

Po wewnętrznej stronie wieczka Anson Bishop nagryzmolił liścik: „Sam, oto drobiazg ode mnie dla ciebie...

Przykro mi, że nie słyszałeś jego krzyku.

Co byś powiedział na odwzajemnienie przysługi?

Taka mała wymiana między przyjaciółmi.

Pomóż mi znaleźć moją matkę.

Już najwyższy czas, żebym z nią porozmawiał.

B.”

Podziękowania

Przede wszystkim pragnę podkreślić, że dorastałem w szczęśliwej rodzinie we Florydzie Południowej. Nawet nie mieliśmy piwnicy. Żadna z kiepskich decyzji rodzicielskich podjętych przez mamę i tatę małego #4MK nie była inspirowana wydarzeniami z życia, przynajmniej nie mojego. Ta historia zrodziła się z gdybania i mojej wyobraźni, która wyrwała mi się spod kontroli już jakiś czas temu. To wszystko.

Dziękuję wspaniałej ekipie z Houghton Mifflin Harcourt. Tim Mudie dostrzegł coś w tej opowieści i pomógł mi ją opublikować, Michaela Sullivan zaprojektowała świetną okładkę, Katrina Kruse zajęła się marketingiem, Stephanie Kim promocją... Pracuje tam tak wiele osób, że jeśli kogoś pominąłem, proszę o wybaczenie, ale wiedźcie, że jestem Wam ogromnie wdzięczny i nie mogę się doczekać, kiedy znowu będziemy razem pracować!

Szczególne podziękowania kieruję do Kristin Nelson, która znalazła dla tej książki dobry dom i pomogła mi nawigować po wodach współczesnego świata wydawniczego.

Pragnę również podziękować swoim pierwszym Czytelniczkom: Summer Schrader, Jenny Milchman, Erin Kwiatkowski, Darlene Begovich i Mary Hegemann. Bez Waszych sugestii i propozycji ta historia wyglądałaby zupełnie inaczej, a ta jej wersja bardzo mi się podoba. Jak zawsze dziękuję Jennifer Henkes za wyłowienie momentów, które mogą wypaść kiepsko, jeśli ktoś przesypiał lekcje angielskiego.

Na koniec zostawiłem sobie ulubionego człowieka – swoją żonę Daynę. Być może nigdy nie zrozumie, dlaczego ze mną wytrzymujesz, ale jestem Ci za to wdzięczny. Nie wyobrażam sobie, abym mógł wybrać się w tę podróż z kimkolwiek innym.

J. D.

Przypisy końcowe

1. W oryginale: *ball washer*, co można by przetłumaczyć także jako „urządzenie do mycia jaj (jąder)” [przyp. tłum.]. ↵